

# Pajzderska Helena Janina

## ON I MY

Nowelle

*ON I MY. — PORTRET — BŁĘKITNY NASZYJNIK  
KWIATY NIEWIERNOŚCI. — WYGRAŁAM!*

ON I MY  
OPOWIADANIE

Mniejsza z tem, jak do tego przyszło, że pewien cudzoziemiec — mniejsza również, jakiej narodowości — opowiedział mi co następuje:

— Jednym z najboleśniejzych i najdroższych wspomnień mego życia jest mój przyjaciel Bert. Nazywali go tak wszyscy, gdyż było to skrócenie jego imienia, a stanowiło także jedną z sylab jego nazwiska. Poznałem go pewnej zimy w gościnnym i serdecznym domu hrabiostwa P\*. Sama pani była wielką miłośniczką muzyki i grała precudnie, zwłaszcza Beethovena. Tego wieczoru urządziła u siebie wspaniałą ucztę artystyczną dla ścisłego kółka wybranych. Liszt, bawiący przejazdem w naszym mieście, a osobisty przyjaciel hrabiny, znajdował się pomiędzy nami i po herbacie, po skrzypcach Ernsta i śpiewie pani

Artôt, usiadł do fortepianu, przy stłumionem świetle lamp, i zaczął improwizować. Jeżeli kiedy był u szczytu natchnienia, to chyba wówczas.

Nigdy nie zapomnę tej boskiej chwili. Zdawało mi się, że na innym jakimś świecie, że nie ten sam człowiek, który przed paru godzinami był w stanie myśleć o niesłownym krawcu, o niewypłacalnym dłużniku lub natarczywym wierzyteliu. Całe moje jestestwo skupiło się i drgało pod palcami mistrza; bytem jakby drugą klawiaturą, po której genialność jego biegła, dobywając z niej mnie samemu nieznanne oddźwięki.

Z tej ekstazy wyrwało mnie — nie, źle mówię — wmieszało się w nią tylko, nie mącąc jej zgoła, ciche, ale dziwnie przejmujące westchnienie; urwane aa! zachwytu, rozkoszy, bólu, całej gamy uczuć, wypadłe gwałtem z jakiejś przepelnionej piersi słuchacza.

Spojrzałem.

Tuż obok, profilem do mnie zwrócony, w najciemniejszy kąt pokoju zasunięty, siedział mężczyzna może czterdziestoletni, o powierzchowności uderzającej, niezwyklej. Cera jego, w słabem półświecie, jakie na niego ze stojącej na słupie lampy padało, była papierowej bledości, jak gdyby jej nigdy żywszy promień słońca nie dotknął. Włosy bujne, ciemnoblonde, siwiejące już, rozdzielone miał przez środek głowy, gładko wkoło wysokiego czoła przyczesane i poniżej uszu, które zakrywały, równo obcięte.

Długą, delikatną, nadzwyczaj starannie utrzymaną ręką podpierał wygolony podbródek i patrzył w Liszta z wyrazem, jaki chyba spotykał się u świętych wyznawców w chwilach objawień. Na nieprawdopodobnie długich rzęsach tego oka, które dla mnie widocznem było, świeciła wielka łza...

Razem wzięty sprawiał wrażenie tak dziwne, tak wyjątkowe, takim czemś zaświatowem tchnące, że w tym stanie podniecenia, w jakim byłem, uczułem się wstrząśniętym do szpiku kości. Wydało mi się po prostu, że mam przed sobą postać z krainy duchów, lub przynajmniej kogoś obcującego z duchami.

W tej samej chwili on, uczuwszy widocznie mój wzrok na sobie, zwrócił się ku mnie całą twarzą; spojrzenia nasze

spotkały się, a jednocześnie ręce mistrza wzięły ostatni akord i opadły.

W salonie zaległa głęboka, uroczysta cisza. Oddechy wszystkich zdawały się wisieć na konających w powietrzu tonach.

Wtedy nieznajomy pochylił się ku mnie i dłoń na moich kolanach położył.

— Warto było żyć, żeby to słyszeć! — szepnął.

Głos jego, pomimo, że tak cichy, był bardzo czysty i sympatyczny.

— Prawda — odszepnąłem, wcale nie zdziwiony dziwacznością tego ruchu i tego zwrócenia się do mnie człowieka, którego pierwszy raz w życiu widziałem. Owszem, wydało mi się to w nim zupełnie naturalnym; byłbym się raczej zdziwił, gdyby mi się był wedle wszelkich przepisów salonowych przedstawił.

Zamieniliśmy jeszcze słów kilka. Ciekawość moja była tak pobudzona, że czatowałem na swobodniejszą chwilę uroczej gospodyni, aby ją o niego zagadnąć.

— Kto to taki? — rzekłem, wskazując na niego oczami.

Wymieniła nazwisko, które mi nic nic powiedziało, i dodała:

— To daleki krewny mego męża i dobry przyjaciel nas obojga. Mogę powiedzieć, że nasz dom jest jedynym, w którym bywa.

— Doprawdy? Nie spotkałem go tu jednak nigdy.

Hrabina uśmiechnęła się.

— Naturalnie; bo przychodzi tylko wtedy, gdy jesteśmy we dwoje, raz na miesiąc, na partyę Beethovena, jak ja to nazywam. Ubóstwia muzykę i sam gra bardzo pięknie. Dziś Liszt okazał się magnelem, silniejszym nad jego mizantropię. To wielki dziwak, uprzedzam pana.

— Wygląda na to.

— I nieszczęśliwy człowiek przytem. Życie jego to jedna fantazja minorowa. Opowiem je panu kiedyś.

— Bardzo proszę. Tymczasem pragnąłbym się z nim zapoznać.

— To będzie trudno. Nowe znajomości są dla niego postrachem. Dziś jeszcze, przyszedłszy, zastrzegł sobie, że bym go uważała za nieobecnego dla wszystkich gości.

W tej samej chwili przedmiot naszej rozmowy, wynurzywszy się ze swego ką

ta, zbliżył się do nas. Gdy szedł przez salon, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, wyglądał trochę na lunatyka, postawę jednak miał szlachetną i ruchy wytworne, rasowe.

Spostrzegłem, że hrabina jest zdziwiona; skorzystała jednak z tej niespodzianki, aby spełnić moją prośbę.

Przyszły mój przyjaciel uściśnął mnie za rękę.

— My się już znamy — rzeki. — Odczuliśmy się wzajem w lepszych sferach, gdzie nas przeniosła ta wielka potęga, której Liszt jest wybranym narzędziem. Nieprawdaż, panie?

Skinąłem głową, a on mówił dalej, wlepiając we mnie swe podłużne, szafirowe oczy, które w ocienieniu tych nieprawdopodobnie długich rzęs wydawały się prawie czarne.

— Czy pan jesteś tego zdania, że geniusz jest własnością jednostki jak na przykład mózg, serce, mięśnie; czy też wierzysz, że, niezależny od niej, w pewnych tylko chwilach nawiedza ją, przeobraża, podnosi i opuszcza, stygmatyzując ją tylko, aby potem znów do niej trafić?

Chudą, przezroczystą niemal ręką wskazał nieznacznie w kierunku Liszta, który, popijając drobnymi łykami herbatę z kryształowej czarki, siedział już zdaleka od fortepianu na niskiej kozetce i rozmawiał uprzejmie z piękną, młodą blondynką.

— Czy sądzisz pan, że ten człowiek, olbrzym przed chwilą, jest obecnie czymś więcej, niż zwykłym ludzkim organizmem? Czy sądzisz, że łatwiej byłoby mu zdobyć się teraz na twórczość, niż panu i mnie? Geniusz odszedł i zostawił swoje naczynie, aby piło herbatę i prowadziło salonową rozmowę. On przecież nie sprofanowałby się tak, aby w tem uczestniczyć.

Nie pamiętam już, co mu odpowiedziałem, ale czułem wyraźnie, że coś mnie do tego człowieka przykuwa. Być może, byłem ujęty serdecznością, okazaną mi przez takiego odludka.

Gdyśmy się mieli rozstawać, rzekł:

— Wyświadczysz mi pan jedną łaskę? Przyjdiesz do mnie jutro na śniadanie?

I nim zdążyłem odpowiedzieć, dodał:

— Bo ja jadam śniadanie o szóstej z rana.

Jak wspominałem, było to podczas zimy i to bardzo ostrej, bardzo dokuczliwej. Co parę dni miewaliśmy zadymki. Sama myśl o wychyleniu się z domu o tak wczesnej godzinie i o wędrówce przez zaśnieżone, ciemne, świszczące surowym wichrem ulice przejęła mnie dreszczem. I w dodatku po co? Aby wypić filiżankę herbaty lub kawy i zjeść kawałek szynki z kimś, kogo się jeszcze przed godziną nie znało, o kim w tej chwili nawet nie wiedziało się, gdzie mieszka?

On musiał to wszystko dobrze zrozumieć, bo patrzył we mnie z natężeniem wprost nieproporcjonalnym w stosunku do błahości samej sprawy. Zdawać się mogło, że od mego "tak" lub "nie" zawisła jakaś ważna zmiana w dotychczasowym jego życiu. Było w nim w tej chwili coś tak smutnego, tak zrezygnowanego, że, sam nie wiem czemu, zdjęła mnie nad nim litość ogromna.

Wyobraziłem go sobie, jakim byłby jutro sam przy swoim śniadaniu o szóstej godzinie z rana w ponury zimowy ranek.

— Przyjdę chętnie — odpowiedziałem.

Pochwycił moją rękę w obłę dłonie i zatrzymał ją długo, bez uścisku, ale w taki sposób, że do tej chwili uprzytomnić sobie jeszcze mogą to ujęcie, w które przelał swoją duszę.

— Dziękuję panu — szepnął, — dziękuję. Potrzebowałem być czyimś przyjacielem. Pan mi do tego otwierasz drogę. Od dzisiaj mów o mnie zawsze: Mój przyjaciel Bert.

I był nim, w najrozciąglejszem, najpiękniejszym znaczeniu tej wielkiej nazwy, którą tak nieoględnie i świętokradzko świat szafuje. Nie miałem nigdy i mieć nie będę serca, któreby mnie bezinteresowniej i wierniej kochało —

Tu głos mego cudzoziemca zadrżał trochę, chociaż wogóle był to człowiek, trudno się rozrzewniający. Przeciagnął ręką po czołe, a po chwili, widząc, że nie czynię żadnej uwagi, mówił dalej:

— Zaraz nazajutrz po owem śniadaniu i rozmowie przy niem, która mnie utwierdziła w przekonaniu, iż danem mi było poznać jeden z najoryginalniejszych typów na świecie, poszedłem do hrabiny po przybiecaną mi opowieść dziejów

mego przyjaciela Berta. W krótkości ją tu pani powtórzę.

Był on synem zamożnej, ale bardzo nieszczęśliwej rodziny. Matka jego, kobieta niepospolitego umysłu i serca, obdarzona wielkim talentem muzycznym, była melancholiczką i zarodek tej fatalnej choroby przekazała potrosze Bertowi, a w zupełności starszej od niego o dwanaście lat siostrze.

Obie te kobiety, piękne, smutne, czyste, stroniące od ludzi, nie mające pojęcia o życiu rzeczywistem, nie świadome ani jego wymagań, ani jego pokus, zarówno obce jego stronom jaskrawym, jak jego stronom brudnym, wychowały chłopca w najidealniejszych, ale zgoła nie naszego świata zasadach; urobiły jego wrażliwą duszę w kształty kryształowe, lecz dziwaczne, które później sam los i okoliczności jeszcze fantastyczniej wyrzeźbić miały.

Ojciec Berta, mistyk, w filozoficznych badaniach pogrążony, sparaliżowany jeszcze w pierwszych latach dzieciństwa syna, zgołą się do kierunku jego wychowania nie mieszał. Rósł więc mały Bert w obszernym rodzinnym domu, w którym

prawie nikt nie bywał, w którym śmiech był taką samą rzadkością, jak słońce, spuszczone mi zawsze storami i firankami tłumione; rósł w otoczeniu dwóch histeryczek i kaleki, wdychając w siebie atmosferę nieszczęścia, arcyzmu i chorobliwej fantazy prawie od samej kolebki.

Matka uczyła go grać na fortepianie, a pierwsza sztuka, jaką niewprawnymi jeszcze rączynami dziesięcioletniego dziecka wygrał, była księżycowa sonata Beethovena.

Siostra, posiadająca prześliczny głos i dar improwizacji, śpiewała mu wysnute przez siebie, melancholii, duchów i czarów pełne pieśni, stojąc nad nim, gdy zasypiał, w białej sukni, z rozpuszczonymi włosami i z małą, czerwoną lampką w ręku.

Nie posyłano go do szkół, ale pierwszorzędni profesorowie rozwijali wszechstronnie jego lotny umysł. Chciał jednakże Bert zda egzamin i wstąpić na wydział filozoficzny, gdy trzy katastrofy, jak trzy gromy, uderzyły w niego, i trafiwszy na przygotowany już pod ich wpływ grunt, uczyniły go takim, jakim go poznałem.

Kończył lat osiemnaście, kiedy matka jego w letnią, księżycową noc wyskoczyła z balkonu na bruk i zabiła się na miejscu, a w pół roku potem siostra takąż samą samobójczą śmiercią z tego samego balkonu zginęła. Nie dosyć na tem; pomiędzy jednym z tych tragicznych wypadków a drugim ojciec wskutek uderzenia krwi na mózg zaniewidział. Bert znalazł się sam w okrytym kirem domu, z nieszczęśliwym, podwójnym kaleką, którego został jedynym opiekunem. Na samym wstępie do życia, po takim samotnym i dziwnym dzieciństwie, dusza biednego młodzieńca, strwożona i przepojona bólem, cofnęła się przed światem wpiers, nim go poznać mogła. Poczucie fatalizmu, prześladowającego całą jego rodzinę, weszło mu w krew, niszcząc w zarodku wszelkie pragnienia i porywy wiosenne; szczęście, miłość, nadzieje złote, co jak motyle nad różą, nad pąkowieńcem życia zwykły się unosić, wydawały mu się jakimś niedościgłym widmem, o którym nawet marzyć mu nie było wolno.

Oddał się cały wyłącznie pielęgnowaniu ojca; całe miasto znało tego bladego, smukłego młodzieńczyka, jak latem, gdy

słońce miało się już ku zachodowi, szedł za wózkiem niedołężnego ślepeca, toczącym się do miejskiego ogrodu. Tam zajmowali zawsze jedną i tę samą ławkę. Bert siadał na jej brzeżku, wózek stawał obok; i tak przebywali po parę godzin, twarzami zwrócenymi ku gasnącym łunom, obaj zadumani, obaj, widzący i niewidzący, zarówno obojętni na tłumy, co się dokoła nich przesuwały, na wesoły gwar rozmów, srebrzyste śmiechy i ciekawe spojrzenia pięknych kobiet. W domu, w ciągu dnia, Bert czytywał ojcu całymi godzinami jego ulubione filozoficzne dzieła, zagłębiał się wraz z nim w mgliste labirynty metafizyki, a wieczorami grywał na fortepianie, lub dumał na fatalnym balkonie, który, czarnym sukniem wybitym, z umieszczonymi w obu rogach posągami białych aniołów o złamanym skrzydłach, robił wrażenie grobowej krypty.

Jedynym gościem, jaki ich czasem odwiedzał, był hr. P\*, daleki krewny matki, naprzód jako wdowiec, potem, gdy się po raz drugi ożenił, ze swą młodą żoną, również dobrą jak piękną, która potrafiła przezwyciężyć nieco odludne usposobie

nie Berta i wywabić go czasem z kryjówki swą cudną grą na fortepianie, przypominającą mu matkę. W taki sposób, z małemi zmianami, upłynęło memu przyjacielowi piętnaście lat życia, piętnaście najpiękniejszych lat, w ciągu których ani razu nie spostrzegł się, że był młodym, a potem, że młodym być przestaje. Po upływie tego czasu umarł mu ojciec. Bert sprawił mu wspaniały pogrzeb i sam jeden poszedł za trumną, nie zawiadomiwszy nawet hrabstwa P o śmierci staruszka, aż dopiero po powrocie z cmentarza. Myślano, że teraz, nie mając już żadnego powodu do zakopywania się żywcem, Otrząśnie się z posepnych mroków dotychczasowej egzystencji i wyjrzy na świat, na słońce. Życie stało przed nim otworem, mogło mu dać jeszcze wszystko. Miał trzydzieści trzy lat, majątek, niezależność, piękne wykształcenie, talent. Hrabina coś w tym duchu napomykać mu zaczęła, ale Bert potrząsł tylko głową. — Ja już należę cały do tych, których niema — rzeki, — za późno dla mnie cie

szyc się, śmiać i patrzeć w przyszłość... Przyszłość? Czy pani wiesz, żem ja o niej nigdy według waszego rozumienia nie myślał? Dla mnie przyszłością nazywają się te chwile, które mnie dzielą jeszcze od wieczności... Więcej ich czy mniej, cóż to znaczy? i czyż się o nie troszczyć można wobec tego, do czego wiodą?

I rzeczywiście nie zmienił wcale trybu życia. Zamieszkał w jednym tylko pokoju, owym balkonowym, resztę domu zostawiając opiece starej sługi, która była jeszcze jego piastunką, i jej męża. Do pokoju tego kazał powstawiać wszystkie sprzęty, przypominające mu rodziców'

i siostrę, i otoczony temi pamiątkami, zapadał w coraz głębszą melancholię i ascetyzm.

Wstawał latem i zimą o piątej z rana. Godzinę poświęcał na ubranie (był wyrafinowanie starannym około siebie); następnie jadł śniadanie i do dziewiątej załatwiał korespondencyę i interesa, jakie mu zarząd jego posiadłości nastęrczał. Potem wychodził na miasto i wracał o piątej po południu.

Czy wie pani, gdzie ten czas przepędzał? Oto wynajdywał sobie opuszczonych, zniedołężniałych starców — a tych nigdy niebrak — i chodził pielęgnować ich, czytywać im, uprzyjemniać, jak się dało, ich samotność, wspierać ich

biedę. Przez tyle lat tak się do roli siostry miłosierdzia przyzwyczyli, że stała się ona jego drugą naturą. Zresztą wyobrażał sobie, że w ten sposób w dalszym ciągu obcuje ze swym ojcem.

O piątej wracał do domu, przebierał się, według angielskiego zwyczaju, we фрак i biały krawat, i wyświeżony, elegancki, z białym kwiatkiem w butonierce, zasiadał do samotnego obiadu, składającego się z zupy, kawałka pieczonego mięsa, jakiejś jarzyny i obfitości owoców, który mu od razu cały na stół przynoszono.

Po czarnej kawie pisał lub czytał do jedenastej. Wtedy zapalał dwie świece na starym jesionowym fortepianie z klapą, na którym uczyła się jeszcze grać jego matka, a który był zarówno jego muzycznym elementarzem, i grał sonatę księżycową.

To miały być jego chwile obcowania z duchem matki, których nikt nigdy świadkiem nie był. Hrabina odwiedzała go czasem z mężem i Bert był wówczas nadzwyczaj gościnnym, ale byłby jej pozwolił raczej cały dom podpalić, niż dotknąć klawiszy owego starego szpineta. Była to jego świętość, do której on jeden miał przystęp.

O północy szedł spać, aby nazajutrz toż samo rozpocząć życie.

Poznanie ze mną wprowadziło nowy, ważny żywioł w tę tak prostą na pozór a tak dziwną, hoffmanowską niemal egzystencję. Dlaczego i czym zdołałem zawładnąć tak w zupełności sercem i duszą tego człowieka, to pozostanie dla mnie na zawsze jedną z tych zagadek, które w sferach tajemniczych abstrakcji mają swe rozwiązanie.

On pociągnął mnie ku sobie swą oryginalnością naprzód, a potem tem wszystkim, co mi o nim powiedziano. Ale ja? Byłem młodym, o dziesięć lat młodszym od niego, szalapatą, z podkładem artystycznym; prowadziłem życie czynne, ruchliwe, lubiłem namiętnie podróżować, uprawiałem wszelkiego rodzaju sporty,

melancholia i duchy były dla mnie krainą zamkniętą, do której zajrzeć nigdy mnie ciekawość nie brata; wielbiłem piękną naturę, a nadewszystko piękne kobiety, i nie gardziłem dobrem winem. Co mogło być wspólnego pomiędzy mną a tym smutnym odludkiem, tym mistycznym myślicielem o dziewiczym sercu i obyczajach mniszki?

A jednak wprędce doszło do tego, żeśmy się widywali codziennie; on przynajmniej musiał choć na chwilę wstąpić do mnie, a jeżeli mnie w domu nie zastał, usiąść na moim fotelu przed biurkiem i parę słów, jako ślad swej bytności, zostawić. Była jakaś gwałtowna potrzeba systematyczności, jakaś wrodzona nałogowość uczuć i czynów w tym człowieku. Rzecz zdarzająca się parę razy stawała się wnet dla niego przyzwyczajeniem i cierpiał, jeżeli nie powtarzała się więcej.

Dopiero jednak po roku takiej zażyłości, kiedy już dusza jego żadnego dla mnie tajnika nie miała, kiedy całe jego minione życie było dla mnie otwartą księgą, dopiero wtedy dał mi najwyższy dowód przyjaźni i zaufania.

Często bardzo, zwłaszcza wiosną, kiedy życie towarzyskie zaczynało zamierać, spędzałem u niego wieczory; nigdy jednak obecność moja nie przeciągała się dłużej, niż do trzy kwadrans na jedenastą; on mnie też nigdy nie zatrzymywał. Myślę nawet, że gdybym się był zapomniał, byłby mnie po prostu sam wyprosił.

Ale tego wieczora, gdym wstawał jak zwykle, aby go pożegnać milczącym uściśnieniem ręki, zmusił mnie usiąść napowrót. Pamiętam, rozmawialiśmy przedtem o rzeczach poważnych i szerokie widnokreśli myśli obejmujących; byłem wyjątkowo zdenerwowany i, że się tak wyrażę, uduchowiony — i mój przyjaciel musiał to odczuć.

— Zostań — rzekł przyciszonym głosem, — dzisiaj nie będziesz tu nadto.

Noc była ciepła, księżycowa; drzwi balkonu, ku któremu zawsze z pewnem niemiłym wrażeniem spoglądałem, były na rozcież otwarte i na jego czarnem tle przeblyskiwała niebieskawa błądź strzegących go posągów.

Dom Berta stał przy dosyć odludnej ulicy i w tej spóźnionej porze żaden turkot,

żaden szmer nawet nie przerywał głębokiej ciszy, jaka nagle zapanowała między nami. Z poblizkiego ogrodu dochodził słabo zapach przekwitających bzów...

Bert zdawał się zapominać zupełnie o mojej obecności. Siedział z głową opartą na dłoni, z nawpół przymkniętymi powiekami, których długi cień kładł się na jego szczupłych, ascetycznych policzkach. Zrobiło mi się jakoś nieprzyjemnie; żałowałem prawie, że zostałem.

Z uderzeniem godziny jedenastej mój przyjaciel wstał, automatycznym ruchem zapalił owe dwie świece na fortepianie, rozłożył nuty i zaczął grać.

Od pierwszego prawie uderzenia w klawisze długich jego, chudych palców dreszcz mnie przeszedł po całym ciele. Słyszałem muzykę potężniejszą, artystyczniejszą, słyszałem, jak pani wiadomo, improwizującego Liszta, to dosyć! Nigdy jednak nie zdarzyło mi się słyszeć dźwięków fortepianowych, któreby miały w sobie coś bardziej fantastycznego...

Łała się z nich rzewnym, stłumionym, kryształowo czystym strumieniem bezbrzeżna, jakby nie z ludzkich źródeł płynąca melancholia... Po raz pierwszy do

piero zrozumiałem ten wyraz w całej pełni; po raz pierwszy, jakby w zwierciadle tych tonów, ujrzałem to widmo posępne, z mgły, łez i poezji utkane, co się czepia najchętniej dusz nieskalanych a cierpiących i wysysa je z krwiozerczością upióra.



Anim się spostrzegł, jak w wyobraźni mojej, ale tak wyraziście, jakby na jawie, stała nieszczęśliwa kobieta, której ręce biegały niegdyś po tej pozółkłej od starości klawiaturze, dobywając z niej te same dźwięki, jakie teraz płynęły z pod palców jej syna.

Ujrzałem ją piękną i bladą, trawioną smutkiem, tem straszniejszym, że bezprzyczynowym, pochylającą się nad bladym także i smutnym chłopcem, który miał rysy mego przyjaciela Berta, i powtarzającą z nim pierwsze takty księżycowego natchnienia największego w świecie tonów melancholika.

Wydało mi się dalej, że widzę ją, jak sama już w nocnej ciszy, odegrawszy tę sonatę, której akordy napępiały wciąż pokój, odchodzi od fortepianu krokiem wolnym, sennym, zbliża się do otwartych drzwi balkonu i znika w nich, aby za

chwilę krwawą, martwą masą znaleźć się na bruku ulicznym...

Zimny pot wystąpił mi na czoło, ogarnęła mnie jakaś niepojęta, bojaźliwa bezwładność do tego stopnia, że lękałem się skierować oczy w inną stronę, niż w tę, w którą od początku patrzyłem, a wzdłuż kości pacierzowej czułem jakby miliony ukłuc drobniuchnych szpileczek, elektryzujących każdy mój nerw.

A Bert grał ciągle. Nie patrzył w rozłożone na pulpicie nuty, odwracał je wszakże machinalnie; wazkie jego usta były lekko rozchylone, twarz skupiona, wzrok zwrócony w przestrzeń, tęskny, bolesny, a zarazem tak łagodny, jak spojrzenie cierpiącego dziecka...

Trzykrotnie, bez żadnej przerwy, odegrał sonatę, poczem, trzymając jeszcze ręce na klawiszach:

— Prawda, jaka ona piękna? — rzekł zniżonym, religijnym głosem, jakim się mówi w kościele.

Zadrzałem.

— Kto? — spytałem takim samym szeptem.

— Moja matka! Ona tu była. Musiałeś ją przecież widzieć?

Przyznani się pani, że gdy mi to powiedział w taki zupełnie naturalny sposób, jak gdyby chodziło o rzecz, która żadnej wątpliwości podlegać nie może, ani też obudzać zdziwienia, uczułem literalnie, że mi się włosy jeżą na głowie, i przez całą tę noc oka zmrużyć nic mogłem...

Od tej chwili nigdy już więcej nie słyszałem księżycowej sonaty i Bert nigdy mnie już na nią nie zatrzymywał... Ale wieczór ten nie minął bez śladu; zadzierzgnął jeden więcej węzeł pomiędzy nami.

Przyjaźń nasza przetrwała tak lat trzy. — W trakcie tego czasu kilka razy zdarzyło mi się wyjechać na parę miesięcy lub dłużej i wtedy zostawiałem klucz od mego mieszkania i wszystkiego, co w niem miało zamki, Bertowi, oraz dawałem mu nieograniczone pełnomocnictwo do załatwiania wszelkich moich interesów, jakie się zdarzyć mogły.

Mój przyjaciel wywiązywał się z tego znakomicie, ze skrupulatnością najczystszej wody businessman'a. Pomimo swej niepraktyczności i małego obeznania ze stosunkami życiowymi, posiadał on nadzwyczaj bystry i kombinujący umysł,

oraz intuicyjną trafność sądu o ludziach i rzeczach z pierwszego rzutu oka, zastępującą mu doświadczenie. Pisywaliśmy wtedy do siebie, to jest ja, jak się zdarzyło, raz na tydzień lub rzadziej, ale on codziennie. Czasem przysyłał mi tylko słów kilka: "Dzień dobry, drogi przyjacielu! Śniłeś mi się dzisiejszej nocy!" albo: "Kochany przyjacielu! Piszę, aby ci donieść, że dzisiaj nie mam ci nic do powiedzenia. Twój przyjaciel Bert."

Nie umiem pani wypowiedzieć, ile dobrego sprawiały mi te dziwaczne częstokroć listy i wogóle cały ten stosunek. Niby tak na pozór mój przyjaciel Bert nie oddawał mi żadnych ważnych przysług, nie pożyczałem nawet od niego nigdy pieniędzy, ale to przeświadczenie głębokie, że mam na świecie jedno bezgranicznie oddane mi serce, ta pewność niewzruszona, że gdybym zażądał, ten człowiek poświęciłby mi wszystko, nie zapytawszy nawet, do czego ma służyć jego ofiara, ta myśl, mówię, w moim życiu rozproszonym, płytkim nieraz i szaleństwem pełnym, działała na mnie dziwnie krzepiąco, leczyła ogarniający mnie czasem

pesymizm, była mi puklerzem przeciw wielu zwątpieniom, a nawet przeciw wielu pokusom... Nie mogę powiedzieć, niestety! aby mnie ustrzegła od popełniania rozmaitych niedorzeczności, ale winą tego był mój zapalny, namiętny temperament i wielka wrażliwość...

Dzięki tym dwom czynnikom, zakochałem się raz szalenie w pewnej mężatce i pozyskałem jej wzajemność... Młode żony starych, zazdrosnych mężów zazwyczaj bywają wzajemne, a tu właśnie zachodziło to położenie. Wybacz pani swobodę, z jaką zapuszczam się w tę drażliwą kwestyę; ale wszak mówię z powieściopisarką; zresztą jest ona związana ściśle z moim przyjacielem Bertem.

Miłość nasza trwała już od roku blisko, co, jak na podobny stosunek, było dosyć poważnym okresem; a że oboje należeliśmy do świata, który życia zbyt głęboko nie brał, przejęliśmy się więc pewnym szacunkiem dla jej trwałości. — Wierzyliśmy oboje, a przynajmniej wmawialiśmy w siebie, że jesteśmy wyjątkowymi kochankami, i ten wysoki diapazon,

na jaki nastrojaliśmy nasze serca, przy artystycznym usposobieniu jej i mojem, rozgrzeszał nas poniekąd w naszym przekonaniu. Ach! pani, ta etyka zakochanych, błędzących po manowcach!... gdy dziś, przy moich siwych włosach, zastanowię się nad nią!... Ale dajmy temu pokój...

Przeszliśmy już przez wszystkie fazy uczucia; obcą nam była jeszcze rozłąka; ale i ta miała nas wkrótce spotkać. Okoliczności zmuszały mnie opuścić miasto na czas dłuższy, na kilka miesięcy co najmniej. Zdawało nam się, że nie potrafimy żyć bez siebie.

Naturalnie, jedyną naszą pociechą miały być listy. Listy! — Uśmiechasz się pani... Widzę, że, jako kobieta, pojmujesz cały magiczny urok tego wyrazu. Podobno miłość bez listów to kwiat bez woni dla kobiety...

Nie wiem, czy to orzeczenie do wszystkich da się zastosować, ale moja ukochana była jego żywą ilustracją... Po prostu nie rozumiała, że można kochać, nie zapisując przynajmniej jednego arkuszka dziennie na ten temat.

Zdarzało mi się spotykać z nią w miejscach umówionych, gdzie bezpiecznie mogliśmy sobie powiedzieć wszystko, co tylko do powiedzenia było, a ona na wstępie dobywała z za gorsu wonne koperty i wciskała mi je w rękę, szepcząc: "Przeczytasz to sobie, gdy się rozstaniemy" i była bardzo zasmuconą, jeżeli ja podobnych piśmiennych wynurzeń dla niej nie miałem. Wtedy przy pożegnaniu mówiła mi: "Opiszesz mi, coś myślał: i czuł podczas dzisiejszego naszego spotkania, jakie wrażenie na tobie zostawia, nieprawdaż?"

Najczęściej ulegałem tym jej zachciankom... było we mnie zawsze coś z romantyka i artysty; potrafiłem suggestywnie: własną wyobraźnią i wypisywałem jej... Boże! com ja jej nie wypisywałem!... a wszystko, upewniam panią, w dobrej wierze, choć połowy tego nie czułem. Miłość jest wielką oszukanicą zarówno nas samych, jak przedmiotów naszych zapałów.

Łatwo odgadnąć, iż przy takim epistolarnym nastroju, jaki między nami panował, rzeczą pierwszej wagi było ułożyć listowne stosunki na czas zbliżającej się

mojej nieobecności. Mieliśmy pisywać do siebie dwa razy tygodniowo, ale chodziło o to, jaką drogą moje listy do niej dostawać się będą.

Pisywać poste restante nie wydawało nam się bezpiecznym. Miasto, w którym zamieszkiwaliśmy, pomimo, że jedno z większych, było na to stanowczo za małe; zwłaszcza, iż ona, ze względu na stanowisko męża, urodę swoją i światowość, należała do osobistości bardzo znanych i wyróżniających się.

Urzędnik pocztowy z łatwością mógł ją zauważyć; ktoś inny zresztą w tłumie odbiorców korespondencji; mogliśmy się stać ofiarami szantażu.

Mąż był bardzo zazdrosny i podejrzliwy, nadzwyczajna ostrożność musiała osłaniać każdy nasz krok.

Wszystkie te względy, a także ta nieokreślona żądza nowych podniet, nurtująca zawsze podobne do moich natury, nasunęła mi na myśl mego przyjaciela Berta! Wmieszanie go w ten stosunek nęciło moją wyobraźnię, dodając mu jeden więcej romantyczny urok.

Ten samotnik, który nigdy nie kochał, ta bezzmysłowa postać ascety, snująca się

jako łącznik w płomiennym łańcuchu naszej miłości... ten minorowy, zaziemski niemal ton, wpleciony w dyszące namiętnością akordy życiowej pieśni... było to coś dziwnie subtelnego i niezwykle zarazem. Powiedziałem jej moją myśl. Z początku przyjęła ją trwożnie, ale ujęta sama i oczarowana wyjątkowością sytuacji, zgodziła się.

Wtedy rzekłem Bertowi:

— Mój drogi! będę dwa razy na tydzień przysyłał pod twoim adresem listy... Listy te będą jeszcze opatrzone na kopertach dodatkiem: Dla Złotej Niezabudki.

— Dla Złotej Niezabudki? — powtórzył mój przyjaciel, nic nie rozumiejąc. — Dobrze. Co mam z nimi robić?

— Zaraz ci powiem. We wtorki i soboty będzie się po nie zgłaszała młoda dama o złotych włosach i niebieskich oczach. Największa dyskrecja jest tu potrzebna. Ona ma męża i kocha mnie. Rozumiesz, drogi przyjacielu?

— Ma męża i kocha ciebie! — powtórzył znowu Bert. — Jakże musi być nieszczęśliwą!

Powiedzenie to zaskoczyło mnie tak niespodzianie, że w pierwszej chwili zmieszałem się.

Wyznaję, iż z tego punktu nie zapatrywałem się nigdy na tę sprawę. Myślałem o mojej kochance, że jest piękną, porywającą, że życie nie ma większej słodyczy nad tę, jaką dają mi jej usta; uwielbiałem jej odwagę, z jaką narażała się dla mnie; byłem dumny zdobyczą jej serca, o które tylu przede mną ubiegało się napróżno; myślałem o walkach, jakie musiała staczać ze sobą, nim się w moich znalazła objęciach, — jak o nadzwyczaj zajmującym psychologicznym procesie; nie przyszło mi jednak nigdy do głowy, żeby mogła być nieszczęśliwą!

Nieszczęśliwą? Będąc tak kochaną? Cóż znowu! Nie! ten nieoszacowany Bert stanowczo nie miał wyobrażenia o życiu i o kobietach. Zanim zdobyłem się na jakąś odpowiedź, mój przyjaciel rzekł znowu z wielką powagą i przejęciem:

— A ty? Czy kochasz ją także?

— Ależ naturalnie! — zawołałem. — Ubóstwiam ją!

— Ach! Jakże mi cię żal!

Żałował mnie, że kochałem jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie i byłem przez nią kochany!... Nie! to było szczytem... Mimowoli, pomimo poważnego nastroju chwili, musiałem przygryźć ust, żeby się nie uśmiechnąć. Odpowiedziałem mu wymijająco:

— Widzisz więc, mój drogi, że musisz nam dopomóc. Listy będą jedyną osłodą naszej rozłąki... Liczę na twój takt i delikatność, że Złota Niezabudka otrzymywać je będzie w sposób najogłędniejszy.

— Bądź spokojny — rzekł Bert. Zamyślił się głęboko i spostrzegłem, że jego papierowo blada twarz powleka się jakby odbłaskiem rumieńca. Po chwili przemówił bardzo cicho i powoli, raczej do siebie, niż do mnie:

— Nie widziałem nigdy zakochanej kobiety... Nigdy!

W tydzień po tej rozmowie wyjechałem. Mój przyjaciel, żegnając się ze mną, miał łzy w oczach i mnie było ciężiej rozstawać się z nim, niż kiedykolwiek.

W odpowiedzi na mój pierwszy list Złota Niezabudka — bo ją tak nazywać

będę, napisała mi między innymi co następuje:

"Jestem cała pod wrażeniem poetycznej subtelności twego przyjaciela Berta. Po tem wszystkim, coś mi o nim opowiedział, szłam do jego domu o umówionej godzinie, z takim uczuciem, jak gdybym miała wstąpić do wnętrza grobowca, zamieszkałego przez duchy i żywą istotę... Chciałam zadzwonić, ale drzwi wchodowe były uchylone... Z bijącym sercem weszłam do sieni i na schody. Wszędzie najgłębsze milczenie. Światło stłumione, padające przez kolorowe szyby, podnosiło tajemniczość tej pustki. Wydało mi się, że jestem bohaterką jakiejś sensacyjnej powieści... Przez otwarte na rozcież drzwi na pierwszym piętrze weszłam do przedpokoju i do następnego pokoju. Nigdzie żywego ducha. Przeciwnie drzwi widocznie włąb mieszkania prowadzące, były zamknięte... Tam zapewne musiał się znajdować twój przyjaciel. Zatrzymałam się niepewna, czekając, aż wejdzie. Wtem zaleciał mnie zapach róż... Obejrzałam się. Na stoliku wprost okna stał ogromny bukiet ponsowych róż. — Skąd on mógł wiedzieć, że ja najlepiej

lubię ponsowe róże?... Czy ty mu to powiedziałaś? — a w bukiecie tkwiący... twój list! Porwałam go, okrywając pocałunkami... Poczekaliśmy jeszcze chwilę. Nikt się nie pokazywał. Wtedy zawróciłam i wyszłam powoli, uszczęśliwiona..."

Powtarzało się to niezmiennie przez parę miesięcy.

Złota Niezabudka dwa razy tygodniowo pod różnymi pozorami wymykała się z domu i dążyła na odludną ulicę, gdzie zawsze czekały ją jednakowo uchylone drzwi wchodowe, jednakowa pustka i milczenie na schodach i jednakowo świeże, piękne kwiaty na stoliku, a na nich spoczywające listy moje.

Bert pisywał do mnie, według zwyczaju, codziennie, krótko, nie wspominając nigdy o Złotej Niezabudce. Pomiął nawet milczeniem moją gorącą podziękę za tak pełne wyszukanej galanterii pośrednictwo w naszej korespondencji. Dopiero w początkach trzeciego miesiąca otrzymałem od niego list dłuższy, tej treści:

"Dziś wtorek, dzień Złotej Niezabudki. Nie przyszła i list twój leży smutnie na

kwiatach, które zaczynają więdnąć... Musiała jej coś nadzwyczajnego przeszkodzić — ale co? Chcę wierzyć — dla ciebie — że nic złego. Przyjdzie zapewne w piątek. Nie widziałem jej dotąd nigdy; nie pragnę tego nawet — bo i po co? A przecież odczułem dziś dotkliwie, że jej nie było. Ile razy przychodzi, zostawia po sobie jakby cząstkę swej obecności, którą nauczyłem się poznawać, która zmienia na krótką chwilę atmosferę mego domu. Jest to coś nieujętego... jakby echo szelestów jedwabi i lekkich kroków, zmieszane z nikłym a drażniącym zapachem białego bzu. "Zwykle po jej odejściu wchodzę natychmiast do pokoju, z którego wyszła, stamtąd na schody, do sieni i zamykam na klucz drzwi od ulicy. Idę więc jej śladami, jakby szlakiem, usłanym z tych szelestów i tego zapachu. Dziś, gdy odbywałem tę samą drogę, wydała mi się nieopisanie pustą, martwą — wyraźnie brak było czegoś w powietrzu. Jest mi w tej chwili podwójnie tęskno za tobą, drogi przyjacielu... Lękam się, aby ta nieobecność Złotej Niezabudki nie sprowadziła ci jakiego zmartwienia."

Obawy mego nieocenionego Berta były płonne. Nie przyszła, zaskoczona drobną towarzyską przeszkodą — wizytą, której nie mogła nie przyjąć. Powiadomiła mnie o tem zaraz, a ja w odpowiedzi doniosłem jej o niepokoju mego przyjaciela z tej przyczyny i o wrażeniu, jakie na nim niewidzialnie wywiera.

Nadzwyczaj jej się to podobało i obudziło tem większą wdzięczność i ciekawość w jej egzaltowanej wyobraźni. Odtąd coraz częściej zaczynała wspominać o chęci zobaczenia Berta, podrażniona dziwactwem, z jakim unikał jej widoku. W końcu, potrosze dla dogodzenia jej fantazyi, a potrosze przez tę samą wyrafinowaną żądzę nowych podniet, która mi myśl wtajemniczenia Berta w nasz stosunek podsunęła, postanowiłem zapoznać ze sobą tych dwoje... Nie przyszło mi ani na chwilę do głowy być zazdrosnym o mego przyjaciela; z równą gotowością byłbym ułatwił mojej kochance możliwość poznania jakiegoś rzadkiego a osobliwego portretu czy posągu. O spokój jego serca nie lękałem się także; byłem aż nadto pewnym, że jeżeli wogóle kobiety nie istniały dla tego człowieka,

to kobieta kochana przeze mnie będzie dla niego tem bardziej jakąś bezcielesną a drogą marą, niby cząstką mnie samego, zjawiająca mu się w pięknych niewieścich kształtach.

Napisałem Złotej Niezabudce, aby którego dnia w tygodniu, poza wtorkiem i piątkiem w porze, obiadowej Berta, znalazła się u drzwi jego domu i zadzwoniła trzykrotnie: naprzód raz za razem, a po chwilowej pauzie jeszcze raz jeden. Był to mój sposób dzwonienia, który stara piastunka, najczęściej na dole przebywająca, znała doskonale. Objąśniłem ją dalej, aby, gdy jej otworzą, powiedziała, że przychodzi ode mnie w ważnym interesie, a wtedy puszcza ją na górę, nie oznajmując, do pokoju, gdzie Bert znajdował się przy swym samotnym posiłku. Pragnąłem koniecznie, aby go zesłała niespodzianie, i z niecierpliwością oczekiwałem chwili, kiedy się dowiem, jak się odbyło. Nie wątpiłem, iż oboje mi to opiszą, każde na swój sposób. Jakoż, wprawdzie jeszcze nim od Złotej Niezabudki, doszedł mnie od Berta list następujący:

"Dziwny miałem dziś dzień, drogi przyjacielu. Kończyłem obiad. Obierałem pomarańczę i myślałem o tobie. Jak to już dawno nie obiadowaliśmy razem! Nie było mi smutno, bo nie może być smutno temu, któremu nigdy nie jest wesoło; miałem tylko głębsze poczucie mojej samotności. Nagle pokój mój napęłnił się delikatnym chrzęstem jedwabiów, odgłosem lekkich, szybkich kroków i tym zapachem białego bzu, tak miłym dla mnie. Wprawdzie nim podniosłem oczy, nim ją zobaczyłem, poznałem, że to Złota Niezabudka się zbliża. Ta świadomość przykuła mnie do krzesła. Nie byłem w stanie się ruszyć. Siedziałem jak skamieniały z pomarańczą w rękę. Ona tymczasem podeszła tuż do stołu i wydało mi się, że mnie ogarnia jakiś krąg jasności i woni. Spojrzałem.

"Mówiłeś mi, że jest piękną. Nie wiem tego, ale zapewne tak być musi. Na mnie zrobiła wrażenie jednej z tych przejrzystych liliowych chmur złotem migocących, w które o zachodzie słońca tak lubię się wpatrywać. Uśmiechała się, a uśmiech ten padł na mnie jak purpurowa strzałka. Inaczej tego określić nie

umiem. Widocznie usta jej muszą być tak świeże i tak żywą powleczone barwą. W rękę trzymała duży pęk białego bzu...

"Te kwiaty były dla mnie! Jakaż ona dobra! Czy wiesz, że nikt nigdy dotąd nic pomyślał o daniu mi kwiatów? Wzruszyła mnie do głębi. Powiedziałem sobie: "Jeżeli taką być umie dla obojętnych i nieznanych, jakaż być musi dla tych, których kocha!" i dopiero w tej chwili zrozumiałem, jak bardzo musisz być szczęśliwym, i uczułem ku niej wielką wdzięczność za siebie, a więcej jeszcze za ciebie.

"Prosiłem ją siedzieć. Przystąpiła na to. Gdy przemówiła, dźwięk jej głosu wydał mi się znajomym; wogóle doznawałem wciąż tego wrażenia, że ją nie po raz pierwszy widzę. Przekonałem się, że mimowiednie odgadywałem ją, kształtowałem ją w duszy z tych szelestów, tej woni, tych nieuchwytnych śladów, jakie przez dwa miesiące zostawiała po sobie... Więc to wszystko, co ona jest, nazywa się być piękną kobietą? Muszę nad tem pomyśleć... Rozmawialiśmy ciągle o tobie."

Nazajutrz miałem list od Złotej Niezabudki. Pisała:

"Ach, jakaż to nadzwyczaj interesująca postać ten twój przyjaciel Bert! Przeszedł moje oczekiwania. Jestem nim zachwycona. Wyobraź sobie całą tę scenę. Zastosowałam się ściśle do twoich wskazówek i, jak przewidziałeś, wpuszczono mnie na górę bez żadnej trudności. Trzeba ci wiedzieć, że ubrałam się w tę suknię fularową lila, którą miałam przeszłego roku na tym zamiejskim pikniku, kiedy pierwszy raz powiedziałeś mi, że mnie kochasz, pamiętasz? Chowałam ją odtąd na chwile ważne... Jest mi w niej bardzo do twarzy, jak również w tym kapelusiku krepowym z bzem, nieprawdaż? Włożyłam na to wszystko rotundę z kapturkiem, którą potem zdjęłam w przedpokoju. Chciałam na nim sprawić wrażenie. Trzeba trafu, że L\* (pod tą literą rozumiało się jej męża) ofiarował mi tego dnia duży bubiet białego bzu. Nie wiem, skąd mu się wzięło na taką galanterię. Obawiam się, aby mnie znów nie chciał nudzić. Ale odbiegam od przedmiotu.

"Otóż w tej jasnej sukni, w tym kapeluszu, który mi bardzo mało zakrywa

włosy i z tymi kwiatami w ręku, zjawiłam się przed twoim przyjacielem. — Jeżeli on był zdumiony, to ja jeszcze bardziej. Myślałam, że przesadzasz, gdyś mi opowiadał, że jada obiad we fraku. Tymczasem tak jest rzeczywiście! Siedział ubrany jak na bal i obierał delikatnie pomarańczę. Ma bardzo piękne ręce i wyjątkowo kształtne paznokcie. Zauważyłam to. Szkoda, że nie jest trochę przystojniejszym, a raczej, że się tak szpeci tem dziwaczne uczesaniem. Oryginał to wielki, ale w bardzo dobrym guście. We wszystkim, co mówi, w każdym jego ruchu przebija się jakaś odrębność, jakaś pierwotność, ale zarazem nader staranne domowe wychowanie. Jest to zupełnie ucywilizowany syn puszczy. Przesiedziałam z nim przeszło pół godziny. Wypiłam kieliszek wina i zjadłam ćwiartkę pomarańczy. Co powiesz na to? Czułam się zupełnie jak u siebie. Gdym dziękując za twoje listy, oddawała mu kwiaty, spojrzał na mnie dziwnie... Ciekawa jestem niezmiernie, co ci też o mnie napisze? Musisz mi to słowo w słowo powtórzyć. Przyszła mi dziwaczna myśl... A gdyby on się tak we mnie zakochał?...

"O! to żart tylko. Wiesz przecież, że jeżeli dawniej byłam trochę, trochę zalotną, to od czasu, kiedy pokochałam ciebie, przeobraziłam się zupełnie... Nie dziw — musiałam przeleż czymś zapełnić pustkę mego życia, mego serca w tej smutnej komedii świetnej partyi, jaką mi zrobić kazano... Ale dziś — ty wiesz, że każda myśl moja do ciebie należy. — Rozmawialiśmy ciągle o tobie."



Dziwnym zbiegiem okoliczności jedno i to samo zdanie kończyło te dwa tak odmienne listy. Odczytałem oba raz jeszcze, porównyując. Jakże wyraźnie i jaskrawo odzwierciedlały się w nich ze wszystkimi swymi właściwościami te dwie najbliższe mi w danej chwili na świecie istoty!... Wtedy, gdy on odniósł z tego spotkania wrażenie jakiegoś przejrzystego obłoku, zjawiska, które mu dało estetyczne odczucie światła i woni, — ona zauważyła nawet sposób jego noszenia włosów i kształt jego paznogi... On widział tylko jej uśmiech, a nie dostrzegł ust; ona zanalizowała jego spojrzenie, w którym jej kobieca próżność odgaśla już rodzący się dla niej zachwyt. Ona

jemu wydała się dobrą, on jej — starannie wychowanym.

Uśmiechałem się, czyniąc w duszy te zestawienia. Nie mogę powiedzieć inaczej, jak tylko, że kochałem Złotą Niezabudkę; nie znajduję innego odpowiedniego wyrazu na określenie tego, co dla niej czułem, co mnie do niej przykuwało. Daleki jednak byłem od zaślepienia co do jej duchowej istoty. Nie zgłębiałem jej nawet nigdy. Bezwiednie niemal odczuwałem płytkość umysłu i serca, przyrodziane w cudownie piękne ciało, przed którym biłem pokłony.

Tego rodzaju związki, jakim był nasz, same w sobie noszą świadomość swej przejściowości... i to jest jedną z najbardziej poniżających je cech. W uniesieniach miłosnych, jakie je, niby jaskrawe błyskawice, oświetlają, w szaleństwach, jakie się w imię ich popełnia, w przysięgach nawet, jakie się na ich ołtarzu składa, tkwi mimowolnie, tłumione, częstokroć przed sobą samym niewyznawane poczucie, że przecież... kiedyś skończyć się to musi. Stąd wynika, że bierze się to, co jest, nie dbając, nie pragnąc nawet wiedzieć,

czem się to okazać może. Rozkosz teraźniejszości wypowiada zwycięską walkę wszelkim etycznym dociekaniom... Ale dajmy temu pokój.

W taki więc sposób zawiązała się znajomość pomiędzy Złotą Niezabudką a moim przyjacielem Bertem. Odtąd widywali się bardzo często. Kwiaty bywały w dalszym ciągu doręczycielami moich listów, ale on zawsze pojawiał się na tę chwilę w pokoju. Ze wzmianek, jakie mi oboje o tem czynili, odtwarzałem sobie w wyobraźni te sceny, cieniując ją najsztubtelniejszymi szczegółami, i sprawiało mi to dziwnego rodzaju przyjemność.

Widziałem posępną, smutną komnatę, o surowym staroświeckim umeblowaniu, o spuszczonej przy oknach firankach; widziałem ascetyczną postać odludka, spoglądającą w milczeniu z pod nieprawdopodobnie długich rzęs na piękną, jasno ubraną kobietę, której karminowe usta rozchyłały się w namiętym uśmiechu, a delikatne paluszki drżały miłosnym dreszczem, gdy zdejmowała z wonne o posłania bukietu kwadratowe ćwiartki papieru, będące jedną erotyczną pieśnią. Odczuwałem tę atmosferę obcą,

dyszącą, magnetyczną, nieznaną pierwiastków pełną, którą ona, kochana i kochająca, wносиła ze sobą w to mauzoleum zwicniętych, oderwanych od rzeczywistości doli, i w której na chwilę zanurzała się zdumiona, niczym pokrewnie nie zlewająca się z nią dusza mego przyjaciela. I zawsze wtedy stał mi przed oczyma wielki alpejski lodowiec, którego przezroczystą pierś musnąłby nagle upalny wiatr południa, niosący w sobie wonie magnolii i pomarańczowego kwiecia i grzechocący podobną do kastanietów muzyką suchych chrząstów podzwrotnikowych palm. O tem, że lodowiec mógłby roztajać i rozplynać się w łzach kryształowych, nie pomyślałem nigdy.

Wierzyłem zarówno silnie w opokową niewzruszoność jego łona, jak w przelotność muśnięcia tego prądu z innych stref.

Przedstawiałem ich sobie dalej, zamieniających ze sobą kilka krótkich zdań; byłem pewny, że przedmiotem ich rozmów nie mogło być nic innego, tylko ja, i sprawiało mi to znowu wielką przyjemność... Potem odprowadzał ją na dół;

światło kolorowych szyb na schodach obejmowało tą samą smugą jej złotą głowę i jego papierowa twarz, nadając im kapliczny wdzięk bizantyjskiego obrazu... żegnali się; jej drobna, obciśnięta duńska rękawiczka dłoń dotykała jego chudych, długich, artystycznych palców; potem on zamykał za nią drzwi na klucz i stał na chwilę w ich cieniu z pochylonem czołem, wsłuchany w stuk jej obcasów, uderzających o kamienie pustej ulicy...

Widziałem go jeszcze, jak, według swego wyrażenia, wracał z wolna na górę "jej śladami, jakby szlakiem, usłanym z pozostawionych przez nią szelestów i woni" — i zdejmował mnie nad nim nagły, niewytlómaczony żal.

"Mój biedny Bert! — powtarzałem w duszy — mój biedny, drogi Bert!"

I zwykle wtedy chwyciłem za pióro, aby mu napisać coś bardziej serdecznego.

Nieobecność moja przedłużała się nad zamiar. Minęło już pół roku, a ja jeszcze na coraz natarczywsze zapytania Złotej Niezabudki: "Kiedy wracasz?" nie mogłem dać żadnej, przybliżonej bodaj odpowiedzi. Zmieniłem przez ten czas kil

kakrotnie miejsce pobytu, oddalając się za każdym razem bardziej od miasta X\*.

Naturalnie listy moje ulegały opóźnieniu i stopniowo początkowa ich punktualność popsuta się zupełnie. Nieprędko jednak zdałem sobie jasno sprawę z tego, że nie było to wyłącznie winą pocztowych urządzeń. Wstyd mi było przyznać się, ale ta obowiązkowa zamiana myśli i uczuć zaczynała mnie nużyć.

Systematyczność Złotej Niezabudki, z razu takim przejmująca mnie uszczęśliwieniem, oddziaływała fatalnie na moją wyobraźnię, że nie powiem: na moje serce. Jak ta kobieta, przy całym swoim sprycie, nie pojmowała męskiej natury — mojej w szczególności!

Gdybyż choć raz sprawiła mi niespodziankę zawiedzionego oczekiwania!... Gdybyż choć raz dała mi piękną rozkosz przedłużającej się niepewności — to nurtujące, namiętne pragnienie wyrwania się z niej, które bardziej, niż każde inne uczucie, posiada bolesną moc zawładnięcia całą naszą istotą, skupienia wszystkich naszych myśli na jeden punkt!... Ale nie! Pisanie stanowiło chorobliwą potrzebę jej organizmu — i jeżeli było

jakieś urozmaicenie w jej korespondencyjnym systemie, to chyba to, że zamiast dwóch listów otrzymywałem czasem trzy, a nawet cztery w ciągu jednego tygodnia. Nie mając dzieci, ani żadnych obowiązkowych zajęć, prócz tych, jakie życie światowe nastęrcza, przy boku niekochanego męża, nudziła się szalenie, łaknęła wrażeń, podnieć, celu jakiegoś dla swych rozbujających nerwów, a była zbyt wykwinną naturą, aby na pierwszych lepszych poprzestać.

A listy owe! Ileż jej one dostarczały wyrafinowanych wzruszeń! Czy uwierz}' pani? Czasem odbierałem arkusik zapisany w połowie atramentem, w połowie ołówkiem, pomięty, nieczytelny... Dlaczego? Oto... ponieważ przyszła jej fantazyja pisać do mnie w obecności męża, siedzącego naprzeciwko.

Miała przedtem kilka godzin czasu zupełnej samotności — mogła z całą swobodą zasiąść przy swoim biurku, dyktować sobie nawet głośno własne myśli! Nie! Ona wolała, ukrywszy papier między stronice najświeższej powieści, kreślić ukradkowe wyrazy, udając, że czyta, drząc, iż

lada chwila podejrzliwy argus zajrzy jej w książkę i — coby się stało wtedy?

Ach, to właśnie, ta igraszka z niebezpieczeństwem czarowała ją, dawała jej wążek do snucia najdziwniejszych zamiarów na wypadek katastrofy. Pamiętam dosłownie jeden z takich jej listów:

"Deszcz dziś pada od rana... L\* nie wyszedł nigdzie po obiedzie. Obawia się o swój reumatyzm. Od godziny siedzi w fotelu po drugiej stronie stoliczka, przy którym podają nam zawsze czarną kawę. Pamiętasz tę czarną kawę, kiedy pierwszy raz byłeś u nas?... Od godziny? Może dopiero od kwadransa, ale mnie się to wydaje wiekiem... Ach! co za męka sam na sam z tym człowiekiem!... Jakże to okropnie nie być panią swoich czynności, nie móżdż robić czego się pragnie, wtedy, kiedy się pragnie!... Ja czuję, że w tej chwili muszę pisać do ciebie — muszę! Jeden ruch nieostrożny... drętwieję cała! Ach, mniejsza z tem!

"Dziś tak wiele o tobie myślałam! Wiesz... to dziwne. Bywają dni, w których prześladowuje mnie coś z ciebie — nie ty cały, ale coś z ciebie... Czy mnie ro

zumiesz? Dziś na przykład opanowaną jestem wyłącznie twoim sposobem chodzenia... Zdaje mi się wciąż, że słyszę twoje kroki, szybkie, równe; widzę ten ruch, jaki robisz, wstając, i to lekkie przegięcie głowy ku lewemu ramieniu, jakie przybierasz, idąc... Widzę cię wsiadającego do powozu, wchodzącego do salonu, kłaniającego się... Boże mój! L\* wstaje... zaczyna spacerować po pokoju... Gdyby mi zajrzał przez ramię! Byłabym zgubioną! Wypędziłby mnie. Ja go znam... To i cóż? Połączylibyśmy się wtedy na wieki! Ale ty? Może ty mnie zdradzasz w tej chwili?..."

Taką była Złota Niezabudka. — Z początku te jej wybryki zachwycały mnie. Widziałem w nich coś bardzo wyjątkowego, heroicznego niemal. Lecz po pewnym czasie oswoiłem się z nimi, a nawet zaczynały mnie męczyć... Czyż nie można było kochać bez tych wszystkich dodatków? Zresztą dźwięczała w nich jakaś nuta przeciągnięta, prawie nieszczerza, na którą, w miarę jak stygłem, coraz wrażliwszem stawało się moje ucho. Przypominałem też sobie przy owych wykrzyknikach o połączeniu się naszym

na wieki, że kiedyś, w początkach naszego stosunku, zaślepiiony namiętnością, pragnąłem ją nawet rozwodzić, i że ona to wtedy lała zimną wodę rozwagi, zaczerpniętą z wysokich bardzo źródeł, na moje ssały.

Mówiła o rozpaczach męża, o jego złamanem życiu, które miałyby na sumieniu, o grożącej stąd mnie katastrofie pojedynku, lub po prostu morderczej kuli, posłanej mi, ot tak, z rogu ulicy, przez opuszczonego, — o skandalu, wreszcie o tem, że nie chce mnie wiązać, że mógłbym kiedyś, kiedyś pożałować chwili uniesienia, co dożgonne nałożyła kajdany.

Wszystko to brzmiało bardzo pięknie i wielbiłem ją za jej wspaniałomyślność i zaparcie się siebie, niepomny na to, że, aczkolwiek zamożny, nie posiadałem ani wysokiego stanowiska, ani magnackiej fortuny jej męża... Teraz, gdy się nad tem zastanawiam, myślę, że w duszy musiała się litować nad moją naiwnością, z jaką gwałtem chciałem ją doprowadzić do wyboru pomiędzy mną a tem wszystkim, co jej dawało małżeństwo z tamtym, skoro mogła wybornie zatrzymać jedno i drugie...

Nazwiesz mnie pani może niesprawiedliwym i niewdzięcznym względem biednej Złotej Niezabudki, lub, co gorsza, zarzucisz mi, że chcę się w ten sposób z własnej zmienności uniewinnić.

Nie będę się bronił; powiem tylko, że wówczas instynktem nie wierzyłem, a dziś z głębokiego przekonania nie wierzę i jeszcze raz nie wierzę w prawdziwość grzesznej miłości... Jest to wszystko, tylko nie miłość, ta godna tej nazwy, wielka i jasna królowa uczuć! Gdzie musi być fałsz i zdrada, tam nie może istnieć miłość, na tej samej zasadzie, na jakiej światło gaśnie w zatrutem kwasem węglowym powietrzu.

Z drugiej strony, aby pani dać dowód, jak dalece nie chcę siebie oszczędzać, dodam, że wszystkie te niewczesne trochę refleksje zaczęły powstawać we mnie pod wpływem pewnych płomiennych, czarnych oczu — istnego przeciwieństwa z lazurówką, lekko zamglonym wejrzeniem Złotej Niezabudki — oczu, które ujrzałem owego czasu na sali Wielkiej Opery stołecznej, patrzące na mnie z poza ognistego sznura kinkietów, podczas gdy ich właścicielka śpiewała słynną arię Ro

zyny w "Cyruliku." Wabiły mnie one otwarcie, z całą bezzwzględnością kaprysu wielkiej śpiewaczki, która nie uważa za potrzebne liczyć się z niczym i z nikim, prócz ze swoim głosem i oklaskującymi go tłumami.

Tkwiał w tem jeden więcej powab dla mnie, przesyconego już tajemnicami, niebezpieczeństw) i całym skomplikowanym aparatem stosunku z mężatką "z towarzystwa," przypominającym nieraz bardziej ponure spiski polityczne, niż pogodne sprawy Amora.

Jednym słowem — zacząłem się zaniedbywać. Pisywałem coraz krócej i rzadziej, czego wynikiem ze strony Złotej Niezabudki były coraz dłuższe i częstsze listy. Zrazu dźwięczała w nich tylko melancholia, obawa, ciągle cofanie się w przeszłość, budzenie milknących wspomnień; stopniowo jednak ton ich stawał się gwałtownym, niemal brutalnym. Doszło do tego, że obrażona i zazdrosna, zasypywała mnie gradem najostrzejszych wyrzutów, groziła zemstą, skandalem; z wytwornej, marzącej delikatnej damy, którą znałem i wielbiłem jako ta

ką, przekształcała się na tych jaskrawych ćwiartkach w pospolitą jędzę, lub rozjuszoną bachantkę, napęliającą mnie zdumieniem i niesmakiem.

Nie był to naturalnie szczęśliwy sposób spajania pryskającego uroku. Pomimo to, nie zrywałem z nią; nie byłbym sam zerwał nigdy. Postawiłem sobie za punkt honoru zostawić jej w tym względzie pierwszeństwo, nie zaniedbując zresztą niczego, coby to rozwiązanie przyśpieszyć mogło. Choć... Wśród tego wszystkiego miewałem chwile dziwnych powrotów, w których zdawało mi się, że kocham ją jeszcze, silniej nawet niż kiedykolwiek. Jedną z nich, pamiętam, sprowadził mi list Berta. Była to pierwsza z jego strony wzmianka o moich listownych zboczeniach, które przecież musiały go bardzo dziwić.

"Dzisiaj — pisał — Złota Niezabudka nie zastała znów listu od ciebie... Muszę ci się przyznać, że gdy po raz drugi — zdaje mi się, trzy tygodnie temu, we wtorek — musiałem postawić tylko bukiet na stoliczku, przy którym nawykłem ją widywać tak promienną, uszczęśliwioną twymi listami, zabrakło mi odwagi być świad

kiem jej rozczarowania. Za pierwszym razem, pamiętam, byliśmy oboje strwożeni... przypuszczaliśmy, że się coś stało... Rozmawialiśmy długo, pocieszając się wzajemnie. Gdyby nie obawa o ciebie, zaliczyłbym ten dzień do najmiłszych w mem życiu. Przekonałem się, że jestem w stanie zrobić coś dla jej dobra.

"Pod koniec naszej rozmowy była prawie uspokojona, uśmiechnęła się nawet kilka razy. Powiedziała mi, że to moje współczucie tak na nią oddziało... Moje współczucie! A przytem głos jej jest dziwnie pięknym; zwłaszcza, gdy mówi z cicha i smutno. Słucha się go wtedy jak najpiękniejszego nocturna...

"Nazajutrz odebrałem list od ciebie. Pisałeś w doskonałym humorze, i nie wiem dlaczego, po raz pierwszy, odkąd się znamy i przyjaźnimy, nie ucieszyłem się twoją wesołością; nie znalazła ona oddźwięku w mojej duszy. Byłem rad, że ci się nic nic stało; a jednak, wybierając, byłbym wolał — tak! byłbym wolał usłyszeć, że skaleczyłeś się w rękę i dlatego nie mogłeś do niej napisać.

"Dzisiaj znowu — to już poraz trzeci w tak krótkim przeciągu czasu się zda

rza — dzisiaj znowu odeszła zawiedziona. To najgorsza, że nie umiałem już nic znaleźć na jej pociechę i myślę, że gdybym nawet znalazł, usiłowania moje byłyby zupełnie bezskuteczne. Wyszedłem jednak do niej; nie mogłem nie wyjść; zaczynam już nie pojmować wtorków i piątków bez jej widoku, ale zdaje mi się, że źle zrobiłem.

"Zastałem ją przy stoliku, wpatrzoną w pusty bukiet, z dwiema wielkimi łzami, wiszącymi na jej ciemnych rzęsach. Łzy te spadły na biały gwóźdźik pośrodku, tam, gdzie powinno było znajdować się to, czego nie było... Zdaje mi się, że zawstydziła się łez swoich przede mną, bo gdy spostrzegła wreszcie moją obecność, odwróciła się szybko i poszła, nie przemówiwszy do mnie ani słowa.

"Gdym wrócił na górę, niepożegnany, wyjąłem ów gwóźdźik z bukietu i teraz leży on przede mną, kiedy to piszę. W tych miejscach, gdzie padły jej łzy, zrobiły się dwie rdzawe plamy i wygląda to tak, jak gdyby kwiat przez nie patrzył pełnym smutku i niemego wyrzutu wzrokiem. Nic mogę znieść tego urojonego spojrze

nia, a zarazem nie mogę oderwać odeń oczu.

"Poznawszy Złotą Niezabudkę, przekonałem się, że niema na świecie nic piękniejszego nad kobietę, która kocha; teraz widzę, że niema nic bardziej wzruszającego nad kobietę, która cierpi z miłości. Proszę cię, drogi przyjacielu, napisz do niej niezwłocznie, jeżeliś tego jeszcze nie uczynił. Proszę cię o to koniecznie."

List ten wywarł na mnie wielkie wrażenie. Te dwie milczące łzy mojej kochanki, o których wspominał Bert, powiedziały mi więcej o jej cierpieniach i były mi dotkliwszą wymówką, niż całe arkusze, jakiby ona sama na ten temat wypisać mogła. A przytem proste słowa mego przyjaciela oblokły ją nowym, rzewnym wdziękiem w moich oczach, złagodziły ostre kany, jakimi bezwzględna gwałtowność jej ostatnich listów oszpeciła jej postać w mej wyobraźni, sięgnęły do najtajniejszych zakątków mojej pamięci.

Przypomniałem ją sobie, jaką była, kiedym ją poznał: chłodną, wyniosłą, na

wykłą do holdów i przyjmującą je pogardliwie; jaką była w pierwszych czasach naszej miłości: dziewczęcowsydliwą i jak sarna łatwo spłoszoną w swych namiętnych wybuchach, po dziecięcemu naiwną w swej brawurze wiarołomnej po raz pierwszy mężatki; a tak promienną szczęściem, tak ufna! Jakże niepodobnym do tych dwóch obrazów wydało mi się jej widmo, przez Berta wywołane, widmo znękaney kobiety, z uległością wiernej niewolnicy, przychodzącej po okruchy mojej miłości i płaczącej cicho nad ich brakiem z bólu i upokorzenia wobec obcego mężczyzny...

Wezbrało mi serce i postawiło mnie pod pręgierzem mego własnego sumienia. Ujrzałem jasno, że w tej całej sprawie, wobec jej stałości i potęgi jej uczuć, ja z moją pospolitą zmiennością trochę po tchórzowsku dążącą do zerwania, odgrywam bardzo marną rolę. Miałem przecież względem niej pewne obowiązki i tem łatwiej przyszło mi je uznać w tej chwili, kiedy powracająca fala uczucia zabrała ze sobą całą ich uciążliwość, czyniąc je lekkimi i drogimi memu rozkołysanemu sercu.

Pod wpływem tych różnorodnych wrażeń napisałem do niej list — może najszczerzy ze wszystkich, jakie ode mnie odebrała. Nie przyznawałem się wyraźnie do winy, nie błagałem utartemi słowy o przebaczenie, nie obiecywałem poprawy; ale każde moje słowo tchnęło wskrzeszoną, wyidealizowaną namiętnością. Jestem głęboko przekonany, że nigdy, nawet w zaraniu naszego związku, to, co mnie do niej przykuwało, nie było bardziej warte miana miłości, niż w owej chwili, kiedy ten pamiętny mi list pisałem.

I nie wiem, co byłoby się dalej stało, jakie nowe, może nierozzerwalne ogniwo zadzierzgnęłoby się wówczas pomiędzy nami, gdyby Złota Niezabudka była umiała wnikać głęboko w moje poczucie, gdyby moja skrucha, cały mój stan dachowy, jaki zdawało mi się, żem odsłonił przed nią bez żadnych omówień, przemówiły były bardziej do jej serca, niż do jej próżności.

Ale ona była przedewszystkiem próżną, a potem miała tę zwichniętą intuicję uczucia, jaka po największej części

charakteryzuje tak zwane "uczciwe kobiety," zaplątane w występny stosunek.

Ciągła potrzeba udawania, ciągła domieszka zdrady, nieodzowna w każdym ich postępkach, stan podniecenia i obawy, w jakim żyć muszą, wykrzywiają naturalne instynkta ich serca i każą im popełniać takie psychologiczne błędy odnośnie

do samegoż przedmiotu ich miłości, jakich nie dopuściłyby się nigdy, gdyby ta miłość płynęła jawnym i prawidłowym korytem.

I w tem, według mnie, leży jedna z przyczyn przejściowości podobnych stosunków, tajemnica tej pozornej przewrotności naszej natury, która sprawia, że pierwsza lepsza kurtyzana, niepotrzebująca się na nic oglądać, łatwiej częstokroć uwięzi przy sobie mężczyznę na lata całe, niż taka skłócona ze sobą samą i swem otoczeniem, nurtowana wewnętrzną walką tajemna grzesznica.

Pani raczy słuchać mnie jeszcze? — To dowód niezasłużonej pobłażliwości za te ciągle odskoki, jakimi panią męczę. Cóż robić? Analiza jest moim ulubionym konikiem — i skoro się go tylko dorwę...

A tymczasem trzeba mi wracać do Złotej Niezabudki.

Nie pojęła zatem mego listu; zatraktowała go jak najfałszywiej. Spostrzegła, że odzyskuje nade mną władzę, i nadużyła jej. Zamiast, żeby to, co w nim było serdecznego, szczerego, znalazło takż sam oddźwięk w jej duszy, — ona posłużyła się tem jako narzędziem do pomszczenia zadanych Jej przeze mnie cierpień. Wracałem do niej — ale ona chciała innego powrotu. Nie chodziło jej widocznie na razie tyle o sam fakt, ile o jego formę. Chciała mnie widzieć upokorzonym, zdeptanym, czołgającym się u jej stóp, przyjmującym z poddaniem nawet kopnięcie jako zasłużoną karę.

W jej pojęciu poświęciła dla mnie tyle, że miała prawo do wszystkiego względem mnie. I był jeden sposób, w jaki mogła objawić swój żal najdotkliwiej, a przecież nie zrazić mnie: Oto pozostawić mnie dłuższy czas bez odpowiedzi. Prawdopodobnie byłbym wtedy napisał po raz drugi i trzeci, prawdopodobnie byłbym bezwiednie uczynił zadość wszystkim wymaganiom jej obrażonej dumy!

Ale to było coś zgoła przeciwnego jej naturze. Nie pisać? Ona miałaby nie pisać! Gdzież zaś! Odpisała zaraz i to na kilku stronicach; odpisała, już nie gwałtownie, lecz zjadliwie, chwytając się tej najbardziej zabójczej broni w miłości, jaką jest szyderstwo.

Nie wiem, jaką drogą wywiedziała się o tem, że należałem do grona wielbicieli słynnej śpiewaczki, i zaczęła od sarkastycznego zapytania, czy "diva" była tak bardzo niełaskawą na mnie w ostatnich czasach, że nie mając nic lepszego do roboty, raczyłem sobie o niej przypomnieć?

W dalszym ciągu przytoczyła kilka ustępów z mego listu — te właśnie, w które najwięcej serca włożyłem, — po to, aby je z ironią przeniecować i niewiarą obryzgać.

Nie jestem w stanie wypowiedzieć pani, jaki przewrót dokonywał się we mnie, kiedym czytał to wszystko. Nie wierzyłem własnym oczom. Tyle jadu, tyle goryczy w istocie niegdyś tak słodkiej! Gdyby była maszyną do wyrabiania lodu, nie byłaby mnie mogła skuteczniej zamrozić.



Otwierając kopertę, drżałem jak student, który pierwszy miłosny bilecik odbiera; skończywszy czytać, odrzuciłem list z niesmakiem przeżytego światowca, który trafił znów na prześladowające go wszędzie widmo banalności tam, gdzie spodziewał się świeżych, czystych wrażeń.

— Więc i w tem jest taka, jak inne — pomyślałem: — samolubną, próżną, kochającą nie mnie, lecz swoje nade mną królowanie? Jestże na świecie kobieta, która umiałaby przebaczyć prosto, szczerze, nie uczyniwszy tego przebaczenia gorszem od swego gniewu? Od dzisiaj przestaję już wierzyć w ciebie, w lży ronione na białe gwoźdźniki. Niech się nad niemi roztkliwia Bert, w swej gołębiej prostocie odludka i ascety, ale ja...

Byłem wściekły na siebie, oburzony na Złotą Niezabudkę, a nawet po raz pierwszy w życiu zły na Bertę, że mnie niejako natchnął do napisania owego idiotycznego listu, za który byłbym się teraz bił. A on, biedak, właśnie wybrał się dziękować mi, że spełnił jego prośbę.

"Złota Niezabudka — donosił — była tak uszczęśliwioną... Rozerwała kopertę

w mojej obecności, czego nigdy nie czyniła dotąd, ale przebiegła tylko pismo twoje oczami i schowała je uśmiechnięta, cała różowa i taka jakaś świetlana, że przypomniała mi żywo kwiat jabłoni, kiedy przez jego delikatne płatki przecieka promień wiosennego słońca. Usiadła potem chwilę, aby porozmawiać ze mną, a rozmawiając, trzymała wciąż rękę na piersiach (jakąż ona ma małą, delikatną rączkę!) w tem miejscu, gdzie był ukryty twój list. Nie widziałem jej nigdy tak rozradowaną. Jakże jesteś szczęśliwy, mogąc dać tyle szczęścia!"

— Rozradowaną! — pomyślałem, mnąc list i chowając go do kieszeni. — Spodziewam się! Tryumfowała nad moją głupotą. A to szczęście, które ja jej daję, mógłby jej dać pierwszy lepszy idyota, któryby się pozwolił bezgranicznie poniewierać.

Tego wieczora dawano "Aidę" z czarnooką divą w roli tytułowej. Poszedłem do teatru; posiałem jej w międzyakcie wspaniały kosz kwiatów — z rodzajem mściwej przyjemności kazałem włożyć jak najwięcej białych bżów, ulubionych przez Złotą Niezabudkę, biłem brawa

tak ostentacyjnie, że cały parter zwrócił na mnie uwagę, a po przedstawieniu odwiozłem ją do domu... Żałowałem tylko, że "tamta" widzieć tego nie może — i byłbym chętnie opłacił suto jakiegoś usłużnego korespondenta, któryby jej o tem doniósł.

Widocznie jednak znalazł się ktoś taki, co się tego bezinteresownie podjął. Rzecz osobliwsza doprawdy, jak kobiety umieją wszędzie znaleźć sobie swoją tajną policję! Nie minęło dwa tygodnie — a nadmienić tu muszę, że w trakcie tego czasu raz tylko pisałem do Złotej Niezabudki i to bardzo chłodno; chociaż ona, stropiona znów mojem milczeniem, zaczynała wracać do dawnego tonu — otóż nie minęło dwa tygodnie, gdy otrzymałem od niej krótki, lecz wymowny liścik.

"Wiem o wszystkim — pisała: — o pana (po raz pierwszy nazwała mnie panem) skandalicznym awanturowaniu się z kinkietowem bożyszczem wielkomijskich brukowców. (Widywano mnie istotnie teraz bardzo często w towarzystwie pięknej śpiewaczki). Kobieta, która tyle poświęciła, co ja (nawet w tych kilku zdaniach, w tem finis naszego stosunku

nie mogła się powstrzymać, aby mi tego nie wytknąć ), kobieta taka ma prawo domagać się już jeżeli nie stałości i dotrzymania przysiąg, bo byłoby to za wiele żądać od męskiego serca i honoru, to przynajmniej oszczędzenia jej hańbiącej rywalizacji. Postąpiłeś pan ze mną tak niegodnie, tak niegodnie, jak tylko mógł postąpić człowiek, niemający najmniejszego pojęcia o wyższych i szlachetniejszych uczuciach. Atmosfera kulis i półświatka jest widocznie właściwym panu żywiołem i tam zapewne jego czyny nie będą nikogo ani dziwić, ani boleć. Co do mnie, ubliżyłabym sobie, tolerując je dłużej.

"Prosiłabym uprzejmie o wymazanie mnie ze swojej pamięci, gdyby to nie było już faktem dokonany. Pozostaje mi więc tylko upomnieć się o zwrot wszystkich moich listów, nie wyłączając niniejszego, i pamiątek pod załączonym adresem."

W post scriptum — bo gdzieżby się bez tego obejść mogło! — dodane były jeszcze te słowa:

"Zechce pan może dla niepoznaki nadać przesyłce formę sklepowego pakunku."

Adres był jakiejś Mme Elise, dla wręczenia jej, to jest Złotej Niezabudce, ale pod nazwiskiem, jakie jej nadały nie moja miłość, lecz księgi stanu cywilnego.

Domyśliłem się, iż ta Mme Elise była jej modniarką, i nawet w tej chwili musiałem oddać hołd jej kobiecemu sprytowi, z jakim obmyśliła ten mały planik, zapewniający tak zupełne bezpieczeństwo. Cóż prostszego nad to, że pani, zrobiwszy jakiś kosztowny sprawunek, nie życzyła sobie mieć go przysłanym wprost do domu, gdzieby może trafił na kontrolę męża i wywołał kazańko o dwóch przeciwległych biegunach szczęścia małżeńskiego: zbytku i oszczędności? Zrozumiałem także, iż chciała uniknąć pośrednictwa Berta w tej restytucji, i na myśl o nim coś jakby nieokreślone przecucie czegoś złego ścisnęło mi serce.

Kłamałbym, a i pani nie uwierzyłaby mi zapewne, gdybym twierdził, że nie przeboleiałem tego zerwania, pomimo, że był w znacznej mierze jego sprawcą. Jest coś nieopisanie melancholicznego w tych dwóch wyrazach: "nigdy więcej!" coś, co rzuca mistyczny, cmentarny urok na naj

pospolitsze nawet miejsca lub sceny, gdy się na nie patrzy z tą świadomością, że to — po raz ostatni!  
Cóż dopiero, gdy ta myśl, gdy to "nigdy więcej" stosuje się do całego okresu życia, całej młodości, całej sumy pewnych niepowrotnych w tych samych warunkach uczuć i wrażeń.

Jest to, jak gdyby się cząstkę samego siebie kładło w grób otwarty i przysypywało go ziemią, której każda grudka niewidzialnym ciężarem pada nam na duszę.

— Skończyło się! — powtarzałem sobie przez zaciśnięte zęby. — Skończyło się!

Ale przez myśl mi nawet nie przeszło spróbować, czy stargana nic nie nawiązałaby się na nowo, której to próby może spodziewano się po mnie, może nie pozostawionoby jej bezskuteczną... Nie! To, czego mi było żal — czułem to dobrze, — było nie do odzyskania, bo spoczywało we mnie samym. Byłbym mógł jeszcze, ujrawszy Złotą Niezabudkę, szaleć za nią, a raczej za jej pięknnością, ale nie byłbym już potrafił marzyć o niej; do zmysłów mogła mi jeszcze przemówić, do

wyobraźni już nie — a ja przede wszystkim szukałem rozkoszy wyobraźni.

Nie pozostawało mi więc nic innego, jak zostawić rzeczy ich naturalnemu biegowi. Spakowałem wszystko, do ostatniej drobnostki, co tylko pochodziło od niej... nie zostawiłem nawet jednej małej fotografii, jednego promienia włosów, nie tyle przez poszanowanie jej żądania, ile przez dumę, aby nie odgadła, jak w istocie ciężko mi było rozstawać się z temi pamiątkami chwil, w których, bądźco bądź, czułem się szczęśliwym; powodowany tą samą dumą, przypiąłem na wierzchu ogromnego pakietu ćwiartkę papieru z następującymi słowami: "Stosowanie się do rozkazów pani było dla mnie zawsze najwyższą przyjemnością" i w pocztowym pudle pierwszorzędного magazynu strojów damskich wyprawiłem pod adresem pani Elizy.

I to były do pewnego stopnia stroje: błyskotliwe, często zmienne fatalaszki uczucia; fałszywe klejnoty niedotrzymywanych przysiąg, pajęczce gazy tęsknot; cała wytworna gotownia przyborów i dodatków, jakimi nasza nerwowa cywilizacja osłania nagość kryjących się

na dnie tego wszystkiego brutalnych pożądań.  
Tegoż samego dnia napisałem do Berta:

"Kochany przyjacielu! Nie stawiaj już we wtorki i piątki bukietów na twoim stoliku. Wiadoma ci korespondencja skończona. Wytlómaczę ci to kiedyś ustnie jaśniej. Tymczasem dziękuję ci z całego serca za wszystko, coś dla mnie w tej sprawie uczynił. Nie wyobrażaj sobie przypadkiem, że jestem nieszczęśliwym. Co się stało, stać się zawsze kiedyś musiało. Struna była fałszywą. Lepiej, że pękła wcześniej."

Wkrótce po wysłaniu tej lakonicznej wiadomości, to jest w czasie, kiedy mogłem już mieć na nią odpowiedź, zaszedł fart niebywały w moich stosunkach z Bertem. Codzienne jego listy ustały raptem; przez sześć dni z rzędu nie odebrałem ani słowa. Zaniepokojony bardzo, wysłałem depezę z zapytaniem, co się stało, i tą samą drogą przyszła odpowiedź:

"Nic ważnego.. Listownie za parę dni więcej."

Ale owo "więcej" było także bardzo skąpe. Składało się z następujących słów,

skreślonych drzącem i zmienionem pismem:

"Byłem trochę chory, drogi przyjacielu, i jeszcze czuję się niedobrze. Moja pocziwa nianka wezwała bez mojej wiedzy doktora. Kazał mi leżeć i dlatego nie mogłem pisać, a i dziś trzymanie pióra męczy mnie. Nie nawykłem chorować i zapewne wskutek tego przepuszczam się zbyt cieżko. Proszę cię, nie niepokój się, jeżeli znów przez kilka dni nie odbierzesz ode mnie wiadomości. Żadne niebezpieczeństwo mi nie grozi. Po prostu osłabienie, które wkrótce minie.

"Twój zawsze ci wierny Bert."

Anim przypuszczał, że mój przyjaciel po raz pierwszy w życiu skłamał przede mną. Zastanowiła mnie wprawdzie wielka zmiana pisma; ale wytlómaczyłem ją sobie tem, że człowiek zupełnie nawet zdrow inaczej pisze na stole, a inaczej na kołdrze.

Dopiero w wiele miesięcy potem przypadkowo dowiedziałem się od doktora, który go leczył, że był to gwałtowny atak mózgowy, omal nie zakończony śmiercią. Mój biedny Bert! —

Tu cudzoziemiec urwał znowu; jak za pierwszym razem, przeciągnął ręką po czole i matowym, przyciszonym głosem, którego już do końca opowiadania nie zmienił, trzymając w ten sposób na wodzy ogarniające go coraz silniej wzruszenie, mówił dalej:

— Tymczasem nieobecność moja zbliżała się ku końcowi. Sprawy, jakie mnie odwołały z rodzinnego miasta, pozalać miały nadspodziewanie świetnie, a ostatnich kilka tygodni, podczas których, wyzwolony z krępujących pęt stosunku ze Złotą Niezabudką, piłem bez skrupułu z czary wszelkich uciech, spływały mi jak odurzający sen, z jaskrawych widzeń raju Mahometa wyrwany. Ognistooka śpiewaczka o płomiennych ustach była panującą snu tego wróżką. Nigdy w życiu nie szalałem tak, ani przedtem, ani potem... Ach! zwłaszcza potem.

Wracałem do siebie znużony trochę, ale w jak najlepszym usposobieniu, ciesząc się na ciche, spokojne wieczory z Bertem. Ich mi tylko brakowało do pełnego akordu mego zadowolenia z życia. Była znów wiosna... bzy zaczynały kwitnąć, świat śmiał się do mnie przez

okna wagonu, młodzieńczy, rozspiewany, w woniach i blaskach tonący. I jam się do niego uśmiechał, cały przejęty błogością tego powrotu.

Czułem, jak będzie dobrze mojej rozpalonej wrażeniami głowie w tej jakby klasztornej atmosferze domu mego przyjaciela; jak się ukoją moje rozigrane nerwy w obcowaniu z jego zadumą i smutkiem. A wśród tego wszystkiego nieuchwytna, jak rwąca się wciąż nitka, plątała się myśl o Złotej Niezabudce.

Nie pragnąłem bynajmniej jej widzieć, lecz sprawiało mi to pewną, subtelną przyjemność, że zbliżam się do miejsc, które mi ją tak żywo przypominają. I rzecz dziwna: zdawało mi się, że nigdzie, nawet tam, kędy ją najczęściej spotykał, nie odnajdę jej tak wyraźnie, jak tam, gdzie w rzeczywistości nie widziałem jej nigdy — jak na owych milczących schodach domu Berta, wstępującą w jasnej, lekkiej sukni po ich szerokich stopniach i mającą ów tajemniczy, kapliczny wdzięk w oświetleniu gotyckiego okna o różnokolorowych szybach.

Co się tyczy Berta, to ten, wyzdrowiawszy, pisywał znów do mnie po dawnemu

codziennie, ale bardzo krótko. O niej nie wspomniał ani razu — czemu zresztą, znając jego delikatność, nie dziwiłem się. Zrobiłem mu niespodziankę moim przyjazdem. Oczekiwał mnie za kilka dni dopiero.

Ale cała radość powitania zatruło mi wstrząśnienie, jakiego na jego widok doznałem. Był tak straszliwie zmieniony, tak blady, a pod nieprawdopodobnie długimi rzęsami kładły mu się tak głębokie cienie, że zamiast wywzajemniać się uściskami za uściski, chwyciłem go za ręce, i wstrząsając nimi silnie, zawołałem z całą nieogłędnością mego przerażenia:

— Bercie! drogi mój Bercie! Co tobie jest?

— Mnie? — odpowiedział z nieudanym zdziwieniem. — Mnie? Nic! Dlaczego pytasz o to?

Opamiętałem się trochę.

— Nic wiem sam — rzekłem wymijająco. — Jakieś pierwsze niedobre wrażenie. Wydałeś mi się bardzo mizernym.

Zląkłem się, czyś nie chory znówu. Powiedz. Naprawdę nie jesteś chory?

Uśmiechnął się.

— O, nie. Czuję się jak zawsze. Po prostu odzwyczaiłeś się od mego szpitalnego wyglądu. To wszystko. Ale ty za to — mówił dalej, wpatrując się we mnie tem swoim badawczym, jakby z jakichś dalekich wyżyn padającym spojrzeniem, które od razu cofnęło mnie wstecz o całą, długą z nim rozłąkę, — ty za to promieniejesz zdrowiem i życiem. Wiosna weszła tu z tobą. W tej chwili dopiero ją czuję, choć na świecie podobno jest już od miesiąca.

Lekki cień przemknął mu po twarzy.

— Wydajesz mi się zupełnie szczęśliwym — dodał po krótkim milczeniu.

Dźwięk jego głosu uderzył mnie. Było w nim coś jakby żal, jakby podziw, jakby uraza prawie.

— Czy cię to spostrzeżenie zmartwiło? — zagadnąłem, śmiejąc się. — Czy chciałbyś, żeby było inaczej?

Przeszliśmy w trakcie tego do jego pokoju i usiedli na naszych zwykłych miejscach. Drzwi na obity kirem balkon stały otworem; posągi aniołów bielily się w zapadającym liliowym mroku; zapach bzów szedł z pobliskich ogrodów i nikły

krążek księżycy wisiał już nad majaczącym w głębi, wśród wieczornych oparów, miastem. Wydało mi się, że wcale nie wyjeżdżał — tak to wszystko było mi znane, tak niezmienione na pozór... I znowu wielka błogość ducha, związającego skrzydła, aby odpocząć, przeniknęła mnie na wskrós.

— Czy chciałbyś, żeby było inaczej? — powtórzyłem.

Odwrócił głowę; delikatny, jakby dziewiczy rumieniec, jakiego na żadnej innej męskiej twarzy nie zdarzyło mi się widzieć, a jaki pojawiał się u niego zwykle w chwilach wyjątkowego wzruszenia, powlókł mu policzki.

— Nie... nie wiem — odrzekł zmieszany. — Myślałem... wyobrażałem sobie...

Zamilkł; ale w tej samej chwili uczułem wyraźnie, iż wspomnienie Złotej Niezabudki zaczyna krążyć pomiędzy nami, że mnie ogarnia jakiś ból, jakaś tęsknota, jakiś wstyd, i że cała rozcierająca się już na proch niepamięci przeszłość mojej miłości staje przede mną, przyoblekając pełne dawnych uroków kształty. Co było takiego w tych niedomówionych, ury

wanych słowach Berta? Co było takiego w nim samym, co wskrzeszało tak potężnie miniony czar tej kobiety nade mną?

Nie umiałem sobie zdać z tego sprawy; ale działo się ze mną, jak z kimś, coby się znalazł w świątyni, poświęconej czci bóstwa, któremu sam przestał już bić pokłony, lecz gdzie wszystko kazałoby mu o niem myśleć. Wszędzie indziej mogłem o niej nie pamiętać, lub pamiętać z niechęcią, z lekceważeniem nawet — lecz nie tutaj, nie tutaj!...

A tymczasem Bert, nie zmieniając postawy, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, zaczął znów mówić powolnym, prawie sennym głosem, bardziej do własnych myśli, niż do mnie:

— Ja to sobie wyobrażałem inaczej... inaczej... Sądziłem, że to coś, co się kończy z życiem, lub jeżeli musi skończyć się wcześniej, to całe dalsze życie zmienia i łamie... sądziłem... i tak być powinno... a jeżeli tak nie jest... to nie jest to! Nie spytałem go, o czym mówi. Wiedziałem tak dobrze, jak gdyby mi to litera po literze powiedział, że ma na myśli miłość, a mnie zarzuca, że jej nie

znam, że Złotej Niezabudki nie kochał nigdy.

Milczałem i coraz większy smutek owładał moim jestestwem. Przejmowało mnie poczucie jakiejś czczości, jakiejś marnoty tego wszystkiego, co się składało na moją egzystencję. Bert miał słusność.

To nie było to! Dusza moja nie знаła żadnej wielkiej, wszechpotężnej namiętności... Rozmieniałem ją całą na drobną monetę wrażeń i przejściowych uniesień. Ale skąd on pojmował to tak dobrze, on, zasklepiiony w bezcielesnych kontemplacjach odludek?

Wpatrzyłem się w niego bacznie i wydał mi się zmienionym bardziej jeszcze duchowo, niż fizycznie. Jego cichy spokój pierzchnął gdzieś, i ta smutna pogoda, której dobroczynny, łagodzący wpływ tylokrotnie oddziaływał na mnie. Teraz było w nim coś udęczonego, a jednocześnie bardziej ludzkiego; jego bladość, większa jeszcze niż dawniej, miała jakiś ton cieplejszy, niby utajonego pod nią żaru, który zdawał się go strawiać.

Zauważyłem również, iż z pod spuszczonej powiek rzucał często przelotne

spojrzenia ku drzwiom, lub machinalnie przybierał postawę nadśluchującą, jak ktoś, co żyje w ciągłym, męczącym oczekiwaniu.

Wszystkie te spostrzeżenia napęliły mnie niepokojem i podziwem; a była w nich jeszcze pewna odrębna, przeciw mnie samemu zwracająca się boleść, która wołała na mnie głosem nieznośnego wyrzutu, — pewna świadomość, od której broniłem się instynktownie, i równie instynktownie sprawdzić i potwierdzić ją pragnąłem.

— Bercie! — zacząłem.

Ale on, jakby odgadując miotające mną myśli i uczucia, zwrócił się ku mnie żywo, z powstrzymującym ruchem swej pięknej, przezroczyście delikatnej ręki.

— Nie! nie! — zawołał. — Nie pytaj mnie o nic... Proszę cię... Mów mi raczej o sobie, o twojem powodzeniu, zamiarach dalszych... To mi zrobi dobrze. Wiesz, iż zawsze jednym z największych dobrodziejstw naszej przyjaźni była dla mnie możność zapomnienia o własnym ja.

— Więc nic się w twojem sercu nie zmieniło dla mnie? — rzekłem z mimo

wolnem drzeniem w głosie. — Nic nie osłabiło twojej przyjaźni?

— Zmieniło? Osłabiło? — powtórzył zdumiony. — A! gdybym mógł pojąć, jak się do tego dochodzi... W mojem życiu tak mało zaznałem uczuć, ale wszystkie pozostały takimi, jakimi były od pierwszej chwili.

— Jesteś wyjątkowym człowiekiem, Bercie.

— Tak mówisz?... Ja sądzę, że jest więcej, daleko więcej, niż ci się zdaje, takich serc niezmiennych; zwłaszcza pomiędzy kobietami — dokończył ciszej.

Spojrzałem na niego bystro; ale on, znów odwrócony, patrzył ku drzwiom z tym samym świeżym, czystym rumieńcem na swej zawiędłej twarzy... Musiał jednak odczuć mój wzrok badawczy, bo uściśnął mnie za rękę z rodzajem niemej prośby i szepnął:

— Opowiadaj o wszystkim, co się tam z tobą działo. Opowiadaj!

Usłuchałem go i wnet z całym egoizmem natury ludzkiej straciłem z myśli dręczące mnie co do niego wątpliwości, porwany moim przedmiotem, podsypany

tą milczącą podniętą, jaka się nam od spótczującego słuchacza udziela. Byliśmy znowu na zwykłych naszych miejscach i w zwykłych naszych rolach: ja — zajęty sobą, on — zapominający o sobie, i obu nam było z tem dobrze.

Zostało mi przecież tyle pamięci o nim, że za zbliżeniem się godziny jedenastej umilkłem i chciałem go pożegnać. Ale Bert zatrzymał mnie tak samo, jak niegdyś w podobnej chwili, tylko słowa, jakimi teraz do mnie przemówił, były inne.

— Nie odchodź — rzekł. — Nie będę grał dzisiaj.

A widząc, moje nadzwyczajne zdziwienie, dodał:

— Nie grywam od pewnego czasu... Nie mogę! Ona (tak zawsze nazywał matkę) nie przychodzi już... A może przychodzi, ale ja jej nie widzę.

Utkwił we mnie wzrok pełen nieopisanego, tragicznego grozy i powtórzył rozpacznie:

— Nie widzę jej... Coś mi ją zasłania... A ja łaknę... rozumiesz ty to?... ja łaknę jej widoku! Ona zawsze była ze mną o tej

porze... A gdy noc minie i dzień nadejdzie, a z nim...

Urwał nagle; zaplótł gwałtownie swoje długie palce, przerzucając je za głowę, i pozostał tak czas jakiś ze ściągniętymi dojmującym, wewnętrznym bólem brwiami, powtarzając z cicha kilkakrotnie:

— Łaknę... Łaknę!

Dotąd dźwięczy mi w uszach ten wyraz i głos, jakim go wypowiadał, i myślę, że ludzie konający z pragnienia na pustyni w taki właśnie sposób jęczyć muszą...

Gdy się wreszcie uspokoił, wstał i takim samym automatycznym, sennym krokiem, jakim wtedy zbliżył się do fortepianu, wyszedł na balkon!... Poskoczyłem za nim.



Ostrze strasznego przypuszczenia prześwidrowało mi mózg. Lecz on położył tylko rękę na fatalnej balustradzie, po drugiej stronie której była śmierć, i patrzył w majową, cichą noc, rozdętymi nozdrzami chwytaiąc podnoszący się z ogrodów zapach bzów, który zdawał się go odurzać i koić zarazem. Księżyc świecił jasno; w blaskach jego posągi wyglądały jakby ulane ze srebra, i takim samym posągami wydał mi się mój przyjaciel ze

swą twarzą opłatkowo bladą i z zastygłym na niej tajemnczem, wyższem nad pospolite bole cierpieniem. Upewniwszy się, że go mogę bezpiecznie zostawić, wymknąłem się bez pożegnania, czego on nie spostrzegł nawet. Byłem już daleko w ulicy, gdy obejrzawszy się, zobaczyłem jego szczupłą sylwetkę, wynurzającą się jak cień żałobny z pośród kirów balkonu, nieruchomą, pomiędzy dwiema uskrzydłonymi postaciami z kamienia. Powlokłem się do domu smutny nad wyraz, ścigany poczuciem jakiejś nieznośnej odpowiedzialności, z której jeszcze sobie sprawy dokładnie nie zdawałem, ale której szpony zahaczały mi już duszę. Minął tydzień. Wrażenie, jakie mi ten pierwszy po powrocie wieczór zastawił, osłabło trochę, biegiem codziennych wypadków przytarte; zacząłem się oswajać ze zmianą, jaka zaszła w Bercie, on zaś unikał starannie wszystkiego, co by ją uwydatnić mogło. Pewnego dnia zaszedłem do niego nie jak zwykle, o zmierzchu, lecz około czwartej po południu.

Już wstępując na schody, przypomniałem sobie, że był to wtorek i ta godzina, o której Złota Niezabudka przychodziła po moje listy. Stało się ze mną coś dziwnego. W jednej chwili uczułem się jakby na wskrós przeniknięty jej obecnością, która, zacajona w załamach tych milczących stopni, wychodziła na moje spotkanie i wstrząsała w mej duszy kalejdoskopem wspomnień, na podobieństwo tego słonecznego promienia, co płynąc przez gotyckie okno, rozsypywał po spłowiałym dywanie migotliwą tęczę świetlanych tafelek. Zdawało mi się, że potrzebuje tylko obejrzeć się poza siebie, żeby ją ujrzeć w tych kameleonowych blaskach, dążącą w moje objęcia, z wyrazem rozmarzonego oczekiwania w błękitnych oczach i miłosną ekstazą na rozchylonych ustach. Serce biło mi jak młotem; musiałem silnie uchwycić się poręczy, musiałem niejako fizycznie mocować się z tym urokiem, który mnie tak niespodzianie na tych zaklętych schodach osaczył i ciągnął wstecz tam, gdzie ta kobieta w tej chwili prawdopodobnie znajdowała się, a więc w nieprzestąpione od tak dawna

progi jej mieszkania, do jej stóp, bym czołgając się u nich, zaprzedał znów zmysły i wolę w jassyr jej pieszczot i kapryśnych wymagań.

Potrzebowałem pewnego czasu, aby przezwyciężyć tę dziwną pokusę; aż wreszcie, cały jeszcze pod jej wrażeniem, poszedłem dalej, na górę.

Pierwszy pokój był pusty. Pchnąłem z lekka uchylone drzwi i jak przykuty zatrzymałem się na progu.

Nawprost mnie na stolyczku stał wielki bukiet białych bzów, a przed bukietem, z podniesionymi nieco w górę ramionami i silnie zaciśniętymi jedna w drugiej dłońmi, z głową pochyloną, w tej postawie, w nieopisany sposób mówiącej o nadmiarze bólu, czy pożądania, zapatrzonej w delikatne, więdnące pod jego oddechem kwiaty, stał mój przyjaciel.

Nie spostrzegł mnie, nie usłyszał mego wejścia.

Dla mnie widok jego był jednocześnie błyskawicą i pchnięciem sztyletu. Może w innej chwili, gdybym sam nie był tak zdenerwowany i owładnięty potęgą wspomnień, nie zdałbym sobie do tego stopnia sprawy ze stanu duszy Berta; ale

w tych warunkach cały dramat wielkiej, pochłaniającej namiętności, która z drzemiących długo skarbów uczuć tego serca uczyniła jedno straszliwe pogorzelisko, cały ten dramat odtworzył się w mojej wyobraźni tak wyraziście, jak gdybym scena po scenie na jego rozgrywanie się patrzył.

Zrozumiałem, czem dla tej wyjątkowo przywykającej natury stało się systematyczne pojawianie się dwa razy na tydzień pięknej i młodej kobiety; zrozumiałem fatalny wpływ tej atmosfery tajemniczości, drażniącozmysłowej, jaką wносиła ze sobą, na jego przeegzaltowaną psychę; zrozumiałem w mgnieniu oka to, na co dotychczas byłem tak idyotycznie ślepy: możność bałwochwalczego ukochania takiej właśnie jak Złota Niezabudka kobiety przez takiego właśnie jak Bert człowieka; zrozumiałem moją bezgraniczną lekkomyślność, mój potworny egoizm; zrozumiałem nade wszystko niezwalczoną, okropną tęsknotę, jaka go żarła, a to ostatnie odczucie przyszło na mnie tak silnie, że na krótką chwilę przyprawiło mnie o rodzaj halucynacji.

Ujrzałem wyraźnie jakby olbrzymiego, ciemnego ptaka, którego rozpostarte skrzydła rzucały ponury cień na postać mego przyjaciela, podczas gdy zakrzywiony dziób świdrował mu mózg, a silne szpony głęboko rozrywały jego piersi. Ujrzałem krew, ciekącą z pod tych szponów; ogarnął mnie przestach i mimowolnie krzyknąłem.

Wszystko to trwało sekundę, może dwie — w każdym razie daleko krócej, niż się da opowiedzieć, a było tak dziwne, tak jedyne w swoim rodzaju, że dziś, po tylu latach, ani pojąc, ani zapomnieć tej okropnej wizji nie mogę.

Na mój krzyk Bert podniósł głowę i wzrok jego napół przytomny, jakby jeszcze zahypnotyzowany tymi kwiatami, w które się tak uporczywie wpatrywał, spoczął na mnie. Obecność moja nie zmieszała go: niezwyklej sposob, w jaki ją zmanifestowałem, nie sprawił na nim żadnego wrażenia.

Był tak dalece pod wpływem jednej jakiejś myśli, jednego tylko uczucia, że wszystko inne zdawało się uchodzić jego uwagi. Co do mnie, oprzytomniałem natychmiast, i zawstydzony tym nie do da

rowania wybrykiem rozigranych nerwów, zbliżyłem się do stolika, bełkocąc jakieś tłómaczenie.

Lecz Bert, nie słuchając go, wziął mnie za rękę.

— Patrz — rzekł swoim cichym, a tak dziwnie metalicznym głosem, — tu stawała zawsze... a przez to miejsce (wskazał pustą przestrzeń) wyciągała się jej rączka po twoje listy... O!... tędy... tędy...

Powolnym, miękkim ruchem przesuwał dłonią w powietrzu, jakby pieszcząc dla niego tylko uchwytny ślad.

— Gdy listu nie było — mówił dalej, — gdy rączka nie miała się po co wyciągnąć... tutaj (wskazał na kwiaty) padały jej łzy. Teraz, w tej chwili, czuję, że tam, gdzieś, ona myśli o tem wszystkim, wszystko to widzi i cierpi... Ach! cierpi! a ja nic zrobić nie mogę, żeby nie cierpiała... Pojmujesz teraz?

Cienkie jego palce ścisnęły moją rękę aż do sprawienia mi bólu, a zapadłe oczy wpatrywały się we mnie z fantastycznym niemal wyrazem przeegzaltowanej męki. Pojmowałem aż nadto dobrze; i nagle ogarnęła mnie złość na samego siebie, jako na sprawcę tej nieszczęsnej historii,

i na zaślepienie Berta, które trawiący go żar tak skutecznie rozdmuchiwało.

Byłem aż nadto pewny, znając Złotą Niezabudkę, że nie cierpiała w tej chwili, i byłbym chętnie zrobił poświęcenie z miłości własnej, aby mózdz pokazać mu ją flirtującą wesoło z kim innym i tym sposobem wyleczyć mego przyjaciela, odzierając jego bóstwo z fatalnego uroku ofiary uczucia, w jaki je oblókł!...

— Drogi Bercie — rzekłem na pozór spokojnie, — odczuwam zarzut, jaki mi czynisz, i nie odpieram go. Owszem, gotów jestem nawet przyznać, że postąpiłem z nią niegodnie. Ale im niegodniejszym jest kochanek, tem łatwiej o nim zapomnieć. Wierzaj mi, bierzesz rzeczy za tragicznie, a raczej uważasz ludzkie serca za ulepione ze szlachetniejszego i trwalszego materiału, niż są w istocie. Tymczasem... tak w męskiej, jak w kobiecej piersi, jest to tylko krucha, znikoma glina, na której życie coraz nowe ślady odciska, zacierając dawne... Wszystko przemija. Tout passe, tout casse, tout lasse!

— Nie, nie! — przerwał mi prawie namiętnie. — Ty tego nie wiesz... nie rozu

miesz... sądzisz po sobie... Szczęście może przeminąć, wiara może się złamać, rozkosz może znużyć... ale tęsknota... ale pamięć... te są wieczne... U ciebie był kaprys... Ona... kochała i kocha. Ach! Było coś dziwnego w uporze, z jakim człowiek ten, pożerany miłością do tej kobiety, czepiał się myśli, że ona serce swe oddała innemu na zawsze, i zdawał się znajdować jakąś ulgę w tem mniemaniu. Wobec tego zaniechałem dalszych przełożeń; westchnąłem tylko do losu, aby mi przyszedł w pomoc i w jakibądź sposób dotykającym dowodem przekonał mego nieszczęsnego ideologa, jak dalece się mylił w swej znajomości natury mej byłej kochanki. Teraz zacząłem ją prawie nienawidzić. Czując się winnym względem Berta, rad byłem zrzucić na nią część odpowiedzialności za jego zburzony spokój; mówiłem sobie, że co zaczęła moja samolubna lekkomyślność, tego dokonała jej bezduszna kokieterya, że przeceniłem wartość tej kobiety, nie przypuszczając, aby była zdolną próbować swych podobnych talentów na tym człowieku, któ

rego sam charakter pośrednika, w jakim wobec niej występował, powinien był uczynić nietykalnym. Ten i ów szczegół z jej listownych wzmianek o Bercie i jego o niej, który w swoim czasie bratem lekko, przypomniał mi się teraz i nabierał innego znaczenia. Musiała go kokietować; musiała, dostrzegłszy iskrę, dmuchać na nią, dopóki jej w pożar nie rozplomieniała; to nie ulegało wątpliwości. Nie byłyby sobą, nie byłyby wogóle kobietą, gdyby nie odgadła, czem stawała się dla tego człowieka, — a przecież nic ustraszyła się swego dzieła; chociaż z moich opowiadań wiedziała dobrze, iż ma do czynienia z naturą, z którą się nie igra, z naturą wyjątkową, jakiej drugiej nie znaleźć, z okazem próbnym, wydanym na świadectwo, do jakich wyżyn abstrakcyi podnieść się może dusza ludzka, jak czystą, jak wierną, jak bezinteresowną być potrafi w swych niesfałszowanych przez świat i życie pierwiastkach. A może to właśnie podniecało ją... I może, tak jak z początku wywabiła go z jego chłodnych, mistycznych cieniów w atmosferę miłości, szczęścia, namię

tnych drzeń, co z niej promieniały, — tak potem, gdy atmosfera ta przygasła, ona mściła się za mnie na nim, uwikłując go do reszty w melancholijne pęta swych łez, westchnień i krzywd; wynagradzała sobie częściowo doznawane przeze mnie cierpienia haraczem jego bezgranicznego współczucia, jego bałwochwalczej czci. A potem — gdy jej się zemsta sprzykrzyła i cierpienia zubożniały, cisnęła go, nie odwróciwszy nawet głowy w jego stronę, nie powiedziawszy mu nawet "Bóg zapłać," nie zostawiwszy nic, nic, tej zgłodniałej duszy na karmę w okrutnej pustce, jaką mu po sobie stworzyła! — Odebrała mu nawet jedyną tajemniczą rozkosz, jaka dawniej była jego udziałem: tchnieniem ziemskiej namiętności spłoszyła zaświatowe widziadła, zaludniające samotność jego bezsennych nocy...

Teraz dopiero w całej pełni zrozumiałem rozdzierający wykrzyknik Berta owego wieczoru: "Łaknę! Łaknę!" i przyszła mi dzika myśl do głowy: Skoro łaknął jej widoku, będzie go miał! Pójdę do niej; nic będę prosił, bo tu nie o żadną

łaskę, lecz o proste zadosyćuczynienie chodzi; a jeżeli odmówi, groźbą skandalu, groźbą wyjawienia naszego stosunku mężowi przywlokę ją tu! Będę brutalem; sam sobie zozydę wspomnienie tej karty mej przeszłości, która jeszcze przed półgodziną takim czarem napelniała mi duszę...

Jest to mój święty obowiązek względem nieszczęśliwego przyjaciela. Nie mogąc wyleczyć go z okropnej choroby duszy, w jaką go wpędziłem, powinienem, bądźco bądź, nieść mu w niej ulgę, ja i współniczka mojej zbrodni.

Wziąłem go za rękę i odprowadziłem od tych nieszczęsnych kwiatów.

— Bercie — rzekłem łagodnie, jak się mówi do cierpiącego dziecka, — bądź szczerym ze mną, błagam... Nie zasłużyłem na to... wiem; nie zasłużyłem na nic innego, jak na złorzeczenia; ale ty nie jesteś do nich zdolnym. Powiedz mi, mój szlachetny, wspaniałomyślny, biedny Bercie, czy ty chciałbyś ją zobaczyć?

Drgnął i popatrzył na mnie suchym, gorączkowo błyszczącym wzrokiem.

— Zobaczyć ją! — powtórzył — zobaczyć? Gdzie? Jej świat, w którym ona

żyje, nie jest moim światem... Jaby tam szukać nie poszedł...

Zawahał się.

— Jaby tam może nie poznał — dodał ciszej. — Ona tam inną być musi; choćby nie chciała, musi! Wasz świat nie lubi smutnych; jego liberya nie zna żalobnej krepy... Tu... mogła być sobą.

— Więc zobaczysz ją tutaj!

Fala krwi, z pod samego serca wypchniętej, zalała bladą, chudą twarz Berta. Mimowolnie wyciągnął przed siebie ręce i pochylił się na przód, jak gdyby te moje słowa "zobaczysz ją tutaj" były potężnym magnesem, porywającym ku sobie całe jego jestestwo. Ale wnet płomień namiętności, który w nim buchnął, zgasł, ramiona opadły. Potrząsnął smutnie głową.

— To niepodobna! — wyszeptał. — Po cóżby ona tutaj przyszła?

Pani! jam nigdy nic myślał, aby kilka prostych słów mogło tak streścić całego człowieka w tem, co jego natura miała w sobie najwznioślejszego, a odnośnie do reszty świata najrzadszego zarazem!

Oto on cierpiał, tęsknił, łaknął — i pytał: po coby przyjść miała ta, która była źródłem jego cierpień i celem jego pożądań; dusza jego, unosząc się na pajęczych skrzydłach bezinteresowności, tak pajęczych, że je lada pyłek samolubstwa obezwładnia, nie dostrzegała nawet własnego ja, nie potrafiła nawet o przypuszczenie, że dałoby się coś dla tego "ja" kosztem drugich zrobić.

Jakimże małym, jakim płaskim uczułem się wobec niego!

A Bert mówił dalej:

— Ona tu przychodziła dla ciebie... tylko dla ciebie! Wiodła ją tu miłość, nadzieja, tęsknota, oczekiwanie... Dziś nic z tego wszystkiego niema. Wspomnieniaby tu tylko zastała... wspomnienia, któreby jej rozdarły duszę... O, nie! Jabym za nic, za nic nie chciał, żeby ona tu przyszła!

Umilkł; odetchnął głęboko i dodał jeszcze, bardzo cicho:

— Tak... pragnąłbym ją zobaczyć, ale gdzieś z daleka... samą!

Była to ostatnia nasza rozmowa w tym przedmiocie.

Ale głębokie poczucie winy i potrzeby zadosyćuczynienia zostało we mnie; i jeżeli dziś mogę jeszcze myśleć o tem wszystkim bez ostatecznej dla siebie pogardy, a widmo mego nieszczęsnego przyjaciela nie stało się dla mnie upiorem, wysysającym mi sumienie do ostatka, to jedynie dzięki temu poczuciu i tym paru miesiącom, jakie po tem nastąpiły.

Z ręką na sercu powiedzieć mogę, że wziąłem się za bary z pożerającą go namiętnością; i że niezdolny ją zwalczyć, czyniłem przynajmniej wszystko, co było w mojej mocy, aby niszczącemu jej działaniu przeciwstawić inne, odżywcze wpływy.

Wszystek mój wolny czas oddałem wyłącznie na usługi Berta; nie bywałem prawie nigdzie; natomiast, idąc za radą doktora, wyciągałem mego przyjaciela na zamiejskie wycieczki, na koncerty; siliłem się na tysiączne pomysły, zawsze niby moją własną przyjemność lub interes na celu mające, byle tylko najczęściej mieć go poza domem, tym ponurym domem, który teraz podwójnie był dla niego grobowcem.

Doktor, z którym się otwarcie rozmówiłem, powiedział mi, że uważa stan Berta za bardzo poważny; że jest to rozstrój nerwowy, grożący zupełnem wyczerpaniem zniszczonego już i tak przez anormalne życie organizmu; że na tle tych nerwowych zaburzeń zaczęła się w nim rozwijać wada serca i że paromiesięczny chociaż pobyt w górach, wśród pięknej natury i wogóle zmiana miejsca byłoby tu najlepszem lekarstwem.

Ale Bert ani dał sobie mówić o wyjeździe.

— Jam tu wrósł — rzekł mi na pierwszą wzmiankę o tem — przez długie, długie lata, jak pajak siecią, otoczyłem się moją przeszłością; a od każdego sprzętu tego pokoju, od każdej cegły tych starych murów biegnie jakaś nitka tej

przeszłości i na kłębek mego serca się nawija. Pomyśl, coby się z tem sercem stało, gdybym tak szarpnął się nagle i wszystkie te nici pozrywał.

A jam wiedział, że najtrudniejszą do zerwania była ta ostatnia nitka, wysnuta białymi rękami mojej kochanki z podanego jej przez moją nieopatrzność wątką —

i milczałem, nie znajdując żadnej odpowiedzi.

Próbowałem przynajmniej w owe nieszczęsne wtorki i piątki rozluźnić fatalną przędę wspomnień, ale i to mi się nie udawało. Bert, zawsze chętny zadość uczynić moim życzeniom, w te dnię przecież tak się umiał urządzać, aby pokrzyżować moje plany i zostać w domu sam jeden.

Raz wreszcie chwyciłem się wybiegu. Był to piątek i jeden z najpiękniejszych dni kończącego się już lata.

Napisałem do niego, że jestem chory i pragnę go widzieć, sam z domu ruszyć się nie mogąc.

Przyszedł natychmiast; ale czy to że niedość zręcznie grałem swoją rolę, czy że po prostu domyślił się, jaki miałem cel ukryty, sposepniał bardzo; zamyślał się często; chwilami nawet nie słyszał wcale, co do niego mówiłem. Wreszcie wziął mnie za rękę.

— Nie rób mi tego nigdy — rzekł smutnie i stanowczo. — Pamiętasz... dawniej szanowałeś moją jedenastą godzinę!...

Głos mu zadrzał; odwrócił się szybko i zaczął wyglądać przez okno.

Widząc się odkrytym, uznałem za właściwe ozdrowieć nagle.

— Przejdźmy się, Bercie — rzekłem; — głowa mnie jeszcze trochę boli. Świeże powietrze obu nam zrobi dobrze.

Wyszliśmy tedy. Wieczór już był niedaleki; tłumy spacerujących snuły się wszędzie. Dla uniknięcia tłoku, skierowaliśmy się na jedną z mniej uczęszczanych dróg zamiejskich.

Szeroka, wysadzana drzewami droga wiodła do słynnej z wykwintu i słonych cen letniej restauracyi, położonej w uroczym parku, pełnym eleganckich pawiloników i romantycznych ustroni.

Nasz highlife chętnie ją nawiedzał, zwłaszcza gdy miał do tego powody, aby się zbytnio gawiedzi na oczy nie nasuwać.

Ja sam byłem tam parę razy ze Złotą Niezabudką i jej przyjaciółką, młodą wdową, która nie chciała iść po raz drugi za mąż, ale nie miała nic przeciwko temu, aby być jeszcze wiele razy kochaną. Asystował jej wówczas piękny porucznik

od huzarów, posiadający o tyle szerokie ramiona, o ile wąską inteligencję.

Siadaliśmy zwykle we czworo do jednego powozu, a w drugim, dla przyzwoitości, jechała ciocia młodej wdowy z córeczką, podlotkiem i stary generał X., daleki krewny Złotej Niezabudki, który namiętnie lubił szampana, a po szampanie natychmiast drzemał. Było to nader dobrane kółeczko.

Po podwieczorku ciocia zabierała się do książki i drzemała nad nią skrycie; generał drzemał jawnie; podłotek bawił się karmieniem łabędzi, a nasza czwórka udawała się na spacer; i zwykle ja ze Złotą Niezabudką szedłem na prawo, młoda wdowa z pięknym porucznikiem na lewo, lub odwrotnie, i ginęliśmy sobie z oczu na parę godzin.

Rozkoszne to były wycieczki, ale nie często mogły się powtarzać — wtedy tylko, gdy mąż Złotej Niezabudki cierpiał na reumatyzm, lub gdzie na parę dni pojechał; inaczej bowiem stary nudziarz zabierał się z nami i psuł nam całą przyjemność. Zresztą to było dobre na początek, kiedy stosunek nasz znajdował się w fazie wrzekomo idealnej; później

już nam takie połowiczne samnasam nie wystarczało...

Stańło mi to żywo w pamięci teraz, gdym szedł z Bertem, który, smutniejszy niż zwykle, milczał, zostawując mi swobodne pole do rozmyślań...

Droga była pusta zupełnie; wprost przed nami, jak wielka strzępiasta plama, czernił się park owego zakładu i płonęła za nim wspaniała luna zachodzącego już słońca.

Nagle zaturkotało i z tej ognistej dali, jak z płomiennych bram, wytoczyły się dwa powozy na biały szlak gościńca. Jechały wolno, widocznie nie śpiesząc z powrotem.

Machinalnie spojrzałem i stanąłem jak wryty. W pierwszym powozie, który już dostatecznie się zbliżył, aby wszystkie jego szczegóły można było rozróżnić, siedziały cztery osoby: dwie kobiety i dwóch mężczyzn... Jedną z kobiet była... Złota Niezabudka!

Postać jej, jasna i strojna, wynurzała się wdzięcznie z ciemnych poduszek otwartego landa. Siedzący naprzeciwko mężczyzna pochylał się ku niej, mówiąc coś z wielkiem ozywieniem, a ona słuchała

uśmiechnięta, spoglądając na niego z pod wpół przymkniętych powiek z rodzajem rozmarzenia... Jedną rączkę — tę maleńką, miękką rączkę, w której usta tak rozkosznie tonęły — zwieszoną miała niedbale na drzwiczkach powozu; drugą podnosiła ku twarzy pęk mocno czerwonych róż.

Była to ta sama postawa, ten sam uśmiech, to samo rozmarzenie, obiecujące tak wiele, te same kwiaty z naszych wspólnych wycieczek!

Gdybym był miał oczy dla czegoś więcej, niż dla niej, byłbym zapewne zobaczył tę samą młodą wdowę i jej porucznika lub jego następcę (najprawdopodobniej jego następcę), a w drugim powozie ciocię, podlotka i starego generała, który tak lubił szampana...



Wszystko było to samo; zmienił się tylko jeden pionek, może dwa, na tej eleganckiej szachownicy rozpusty ducha, jeden klawisz w tem preludium do rozpusty ciała...

Byłem zupełnie przygotowany na to; nie byłbym się wcale zdziwił, a nawet oburzył, gdyby mi to kto opowiedział; ale kiedym to zobaczył... pani! com uczył,

a raczej czegom ja nie uczył, kiedy to zobaczyłem!

I ból, i wściekłość, i piekielne szyderstwo, i wewnętrzne rozdarcie jakichś utajonych na dnie duszy a zdeptanych ostatnich złudzeń, a nadewszystko zazdrość, ślepa, szalona, dziwnie pogardliwa, nieopisanie upokarzająca zazdrość zakotłowały całem mojem jestestwem.

A tymczasem powóz zbliżał się... zbliżał, aż zrównał się z nami. Wtedy dopiero Złota Niezabudka spostrzegła, kto stał na drodze i patrzył na nią.

Zbladła bardzo; ale w tej samej chwili szczególny uśmiech, jakby mściwego tryumfu, jakby zapamiętałego odwetu, zaigrał na jej ustach. Błękitne jej oczy, zmacone na jedną sekundę, strzeliły ku mnie wyzywająco, nienawistnie i wnet przykryły się rzęsami.

Bezwiednie zdjąłem kapelusz, czyli, ściślej mówiąc, zdjął go ze mnie salonowy automat, regulujący ruchy każdego dobrze wychowanego człowieka w najdramatyczniejszych nawet chwilach jego życia; a ona odkloniła mi się lekko, uprzejmie, jak się kłania dystyngowana kobie

ta obcemu mężczyźnie, z którym kiedyś na sali balowej przetańczyła walca. Na Berta nie spojrzała nawet.

Powozy minęły nas i turkot ich już ucichł — a my staliśmy wciąż jeszcze, a raczej jam stał, bo że był ktoś jeszcze obok mnie, o tem zapomniałem zupełnie na tę chwilę, jak zapomniałem o wszystkim na świecie, co nie było Złotą Niezabudką i mną, co nie było krwawem, ohydny urągowskiem widma naszej miłości...

Jak to długo trwało, nie wiem... Do rzeczywistości przywołał mnie szept jakiś, do jęku podobny. Obejrzałem się. O parę kroków za mną, oparty o przydrożne drzewo, bez jednej kropli krwi w twarz), z oczyma w pusty gościniec utkwionemi, stał, słaniając się, mój przyjaciel.

Zdawał się być zupełnie nieprzytomnym. Usta jego poruszały się, i wychodziły z nich urywane jedne i te same słowa: — Więc i ona także!... Więc i ona także!...

Poskoczyłem ku niemu, przestraszony okropną zmianą, jaka zaszła w jego twarzy.

— Bercie! — zawołałem, obejmując go. — Ulituj się!... Ja znieść tego nie mogę!

Nie słyszał mnie. Patrzył wciąż w ten sam punkt, powtarzając coraz ciszej, coraz jękliej:

— Więc i ona także!... Więc i ona także!

Rozpacz mnie ogarniała. Wyglądał tak okropnie, bladość jego była tak przerażającą, iż myślałem, że skończy mi tam na rękach, wśród szczerzego pola.

Na szczęście, od strony restauracji nadjechała pusta doróżka. Wraz z woźnicą wniosłem Berta do powozu i Bóg jeden tylko wie, co się w mojej duszy działo, gdym jechał po śladach tej kobiety, przez to powietrze, w którym jeszcze błąkały się atomy jej oddechu i woń jej róż...

Po drodze kazałem stanąć przed pierwszym lepszym handlem i wlałem Bertowi w gardło kieliszek bardzo starego wina. To go orzeźwiło. Z moją pomocą tylko wszedł na schody i położył się na łóżku, ale nie dał się rozebrać, ani na wezwanie doktora nie zezwolił.

— Zostaw mnie tak — szepnął — i usiądź tu przy mnie. Tak mi dobrze!

I leżał bardzo spokojnie, z pięknym swym, ascetycznym profilem, odznaczającym się na poduszkach w liniach posągowo czystych. Chwilami otwierał oczy i wodził nimi po sprzętach i po ścianach, z takim wyrazem, jak gdyby wszystko to było dla niego nowe, obce, lub bardzo dawno niewidziane. Nie mówił nic, ale często ścisnął mnie za rękę. Wmusiłem w niego filiżankę rosółu i kawałek biskopta; miałem zamiar przepędzić przy nim noc całą, ale, ku najwyższemu memu zdziwieniu, około godziny dziesiątej dźwignął się i usiadł na łóżku.

— Chciałbym się przebrać — wyszeptał.

Sądziłem, że ma gorączkę; lecz powtórzył swoje żądanie, patrząc na mnie z zupełną przytomnością.

— Przebrać się, Bercie... dlaczego? — odważyłem się zapytać. — Czy nie lepiej, abys spróbował zasnąć?

Wstrząsnął głową.

— Nie, nie!.. Pomóż mi się przebrać... Muszę być ubranym, jak zawsze o tej porze.

Zwolna, z wielką trudnością, bo nogi chwiały się pod nim, zmienił bieliznę,

umył się, uczesał bardzo starannie i włożył frakowe ubranie. Pomagałem mu w tych przygotowaniach, nie śmiać mu się sprzeciwiać; ale miałem wrażenie, że to nieboszczyk sam przewodniczy' ubieraniu swemu do trumny.

Gdy był już gotów, usiadł na fotelu, i oparłszy głowę o poręcz, oddychał ciężko, zmęczony i wyczerpany.

Brakowało jeszcze kilkunastu minut do jedenastej.

— Otwórz mi fortepian — poprosił; a gdym spełnił to żądanie:

— Odejdź już — rzekł, i widząc, że chcę protestować, powtórzył z nadzwyczajną mocą:

— Odejdź, drogi przyjacielu. Dziś będę grał! Dziś...

Wziął mnie za rękę i przyłożył do swego nierówno bijącego serca.

— Dziś — mówił dalej, wymawiając dobitnie każdy wyraz — wiem, że zobaczę moją matkę. Dziś przejrzałem i nic mi jej nie zasłoni... Jest mi dziwnie, bardzo dziwnie na duszy... Jak nigdy. Odejdź!

Sam jednak zatrzymał mnie jeszcze. Położył mi obie dłonie na ramionach

i wpatrywał się we mnie w milczeniu, z nieopisaną rzewnością i smutkiem.

— Jam ciebie bardzo kochał, bardzo — dodał jeszcze. — Pamiętaj o tem. Dobranoc!

Wyszedłem, ale na schodach porwał mnie taki okrutny żal i takie złowrogie przeczucie powiało ku mnie od tej słabo oświetlonej jedną lampą pustki, że oparłem się o ścianę, i ukrywszy twarz w dłoniach, rozplakałem się jak dzieciak. I byłem już na ulicy i jeszcze się oderwać od tych miejsc nie mogłem, tylko przeszedłem na drugą stronę trotuaru i patrzyłem w okna mego przyjaciela.

Noc była znów księżycowa i piękna. Kirem obity balkon wisiał w srebrzystej topieli powietrza jak szyld śmierci.

Spojrzałem na niego i krew zastygła mi w żyłach.

Posągi aniołów, stojące zwykle po rogach profilami do ulicy, były teraz zupełnie obrócone i posunięte ku wnętrzu.

Widać było tylko ich rozpostarte skrzydła i z daleka sprawiało to zupełnie takie wrażenie, jak gdyby, gotując się do odlotu, zaglądały przez otwarte drzwi

do pokoju i pragnęły kogoś stamtąd zabrać.

W tej samej chwili, niby odpowiedź na to nieme wezwanie, pierwsze takty księżycowej sonaty, mistyczne, głębokie, rozplynęły się nad moją głową w nocnej ciszy.

Widok ten i te dźwięki przejęły mnie takim zabobonnym strachem, że, nie zastanawiając się nad tem, co czynię, jednym skokiem byłem znów u drzwi domu Berta. Otworzyła mi jego stara niańka.

— Czy był kto dziś na balkonie? Czy nie ruszał kto posągów? — zapytałem, usiłując napróżno pohamować drżenie mego głosu.

— Ja byłam, proszę pana — odpowiedziała zdziwiona. — Mój pan wyszedł, więc chciałam trochę okurzyć posągi, i teraz sobie przypominam, że zapomniałam poodwracać je jak się należy.

— Ach, tak. Dobranoc. Proszę zaglądać do pana w nocy. Pan trochę niezdrów.

Wróciłem wreszcie do siebie, ale napróżno usiłowałem zasnąć. Przed oczy

ma stała mi wciąż Złota Niezabudka, z pękiem ponsowych róż przy ustach, z wyrazem zmysłowego rozmarzenia w przymkniętych nawpół oczach, i trupio blada postać Berta we frakowym ubraniu, i osrebrzone księżycem anioły, zagląające przez otwarte drzwi do jego pokoju.

Świtało już, gdy u bramy zadzwoniono gwałtownie.

Zerwałem się. Nikt mi nie potrzebował nic mówić; stara niańka nie potrzebowała wpadać z płaczem i krzykiem do mojej sypialni. Wiedziałem, że mój Bert, mój drogi Bert nie żyje...

Poszedłem z rozsłochaną kobietą, słuchając i nie słysząc, co mi mówiła; poszedłem o tej samej prawie porze i przez tak samo puste i uśpione ulice, jak wówczas, kiedy po raz pierwszy szedłem do niego na śniadanie. Tylko wtedy zima była na dworze, a teraz w mojej duszy.

Znalazłem Berta przy fortepianie, tak jak go niańka, zagląająca tam wskutek mego polecenia, zastała. Był już zupełnie zimny.

Ręce jego, sztywne i wyprężone, trzymały na klawiszach ostatni akord księ

życowej sonaty. Oczy miał otwarte, z zastygłym w nich wyrazem nieziemskiego zachwyty i ukojenia. Do zimnych, skrzepłych warg przyległ mu łagodny uśmiech...

Wezwany doktor stwierdził paraliż serca; ale ja wiedziałem, że serce to wielkie i szlachetne pękło, rozsadzone gruzami staczającego się w niem z piedestału bożyszczka — żeśmy je zabili, ja i moja kochanka, wywiódłszy je bezmyślnie z krain abstrakcyi i złudzeń, gdzie mu szeroko i swobodnie było oddychać, i wtłoczywszy je między nasze dwie marne fantazyje, nasze dwa nikczemne egoizmy...

Nie znał miłości, więc pokazaliśmy mu, jak ona wygląda, a on tego widoku przeżyć nie mógł — bo sam kochał.

\* \* \*

Cudzoziemiec podniósł się z krzesła, i stojąc już przede mną, z twarzą bladą i posepną, dodał jeszcze:

— I dlatego, pani, dlatego dziś, gdy widzę dwoje takich ludzi, jak byłem ja i Złota Niezabudka... a jest ich pełno...

jestem o nich spokojny; ale myślę, że zgrozą, czy niema tam obok jakiego trzeciego serca, któreby padło ich ofiarą, tak jak naszą ofiarą padł mój przyjaciel Bert.

Uklonił się i odszedł — i odtąd nie widziałam go już więcej!

PORTRET.  
NOWELLA.

Osobliwa to rzecz, doprawdy, z jakim uporem nędza czepia się geniuszów i wielkich talentów. Cervantes żebrał po ulicach; Chatterton odebrał sobie życie z głodu; Camoens umarł w szpitalu i nie było go za co pochować. Z każdej litery alfabetu dałoby się po parę podobnych przykładów zestawić, tak dalece, iż możnaby dojść do przekonania, że istnieje jakieś tajemnicze przyciąganie między temi dwoma pojęciami, i kto wie, czy jaki Lombroso XXgo wieku, wzięwszy talent i geniusz pod mikroskop nauki, nie doszuka się w nich jakich specjalnych pierwiastków, dziwnie sprzyjających rozwojowi mikrobów nędzy.

Malarz Eugeniusz Krzecki posiadał ogromny talent i borykał się z proporcjonalnym do tego talentu niedostatkiem. Był przytem nadzwyczaj ambitnym, czuł,

coby mógł, i porywała go niekiedy dzika rozpacz na myśl, że to wszystko musi pójść na marne.

Gdy widział przyzwoitych filistrów, wyjeżdżających do Włoch lub Paryża, najczęściej tak sobie, przez towarzyską pańszczyznę, aby móżdżek przecież powiedzieć, że się tam było; gdy ich widział potem wracających takimi samymi, jakimi wyjechali, tylko bardziej jeszcze znudzonych, z tęsknotą do winta i bruku kochanej Warszawy, wygłaszających o muzeach i dziełach sztuki zdania z Baedekera, ziewających na wspomnienie męczącej powinności "zwiedzania;" gdy myślał o sumach, jakie na to wydali — zaczynał bluźnić.

Życie wydawało mu się najwstrętniejszą, najplugawszą karykaturą prawdy i sprawiedliwości, a ci spokojni, porządni obywatele bezmyślnymi zbrodniarzami, którzy przywłaszczyli sobie i sponiewierali to, co kiedyś w świetlanej krainie pierwotnych przeznaczeń ludzkich było jemu przeznaczone, co powinno było do niego należeć i za co on oddałby światu takie wielkie, nieśmiertelne arcydzieła.

Rok tylko jeden przeżył w Paryżu, rok jeden, spędzony gdzieś pod strychem na

Vaugirard, o głodzie i chłodzie, a mimo to z dniem każdym niemal czuł wyraźniej, jak mu tam coś rozwijało się u ramion, niby skrzydła orle. Rok jeden — a wszystko, czem był dzisiaj, i pełną świadomość tego, czemby mógł być kiedyś, temu jednemu rokowi zawdzięczał...

Ale jego matka staruszka zachorowała i nie było komu się nią zaopiekować, choć w tej samej Warszawie, gdzie biedowała "kątem" u ubogich jak ona ludzi, mieszkał blizki krewny jej męża, wzięty i zamożny adwokat, — trzeba więc było wracać i ostatnie chwile choć swoją obecnością osłodzić.

A potem tak się jakoś powlokło. Od czasu do czasu sprzedawał się jakiś obrazek za marne pieniądze, dało się jakąś ilustrację do tygodników — choć Krzecki, będąc kolorystą z Bożej łaski, i tylko tam, gdzie mógł rozporządzać barwą, czując się w swoim żywiole, miał prawie odrazę do ołówka — i życie szło.

Pojawiające się niekiedy na wystawie portrety Krzeckiego, przeważnie twarze niemłode, cierpiące, nieładne, niesympatyczne nawet, zwracały uwagę znawców, ale nie potrafiły ściągnąć mu zamówień.

Dla gustu publiczności były one za mało szablonowe, a przytem Krzecki miał właściwą, niektórym wielkim portrecistom skłonność odtwarzania przedewszystkiem duszy, a nie rysów swoich modeli, wyprowadzania na jaw tego "szkieletu własnego domu," jaki pono każdy człowiek w sobie nosi, co na pierwszy powierzchowny rzut oka czyniło jego portrety mało podobnymi.

Było w nich "coś," artyści powtarzali jednoznacznie, że jest w nich "coś," dając do zrozumienia, że w tem określeniu mieszczą się całe oceany uznania, — ale publiczność była na owo "coś" zupełnie obojętną.

Jeden wszelako portret ulubionej w Warszawie konnojezdki narobił dużo wrzawy.

Ta konnojezdka ściągała tłumy do cyrku swą wyzywającą a jakby nawpół dziecięcą jeszcze urodą, swymi przepyszными kształtami i figlarnym wdziękiem swych uśmiechów, jakimi na wszystkie strony darzyła oklaskującą ją publiczność.

Krzecki był raz na przedstawieniu i obserwował ją, gdy przez krótką chwilę,

odpoczywając po forsownym skoku, siedziała na koniu z głową lekko pochyloną, z postawą obwisłą, z twarzą nagle postarzałą i bezbrzeżnie zdumioną, niby wsłuchującą się w coś, co się w niej raptem odezwało: może dalekie wspomnienie przeszłości, może dalsze jeszcze przeczucie przyszłości.

Korzeckiego uderzył ten wyraz, ta cała tak pospolita a zawsze wstrząsająca tragedia dwoistej istoty: tej płatnej, sztucznej, wynajmowanej na zabawę obojętnego tłumu — i tamtej prawdziwej, o którą nikt się nie troszczył; i nie miał już spokoju, dopóki nie wyprosił sobie kilku posiedzeń u głośnej miss Nelly.

Wprawdzie na tych posiedzeniach ona już nie była nigdy taką; owszem okazywała się albo pospolicie zalotną, albo pospoliciej jeszcze znudzoną, ale genialne oko artysty zapamiętało podpatrzony dramat tej egzystencji, z którego pewno ona sama nie zdawała sobie dobrze sprawy, i przepoiło nim całe płótno.

Na szarem tle stajni cyrkowej, gdzie na podłodze wałały się pstre strzepy z podartego kłownowskiego ubioru, oparta o przegrodę, w szarej, podniszczonej

amazonce, jakiej zwykle używała na próby, stała piękna woltyżerka, trzymając w lekko rozchylonych ustach ździebełko słomy. Z drugiej strony przegrody wychylał się przepyszny łeb konia, o ściśniętych chrapach i nawpół przymkniętym, pięknym, rozumnym oku.

I kobieta i koń patrzyli gdzieś przed siebie, w dal — i z obu tych głów, ludzkiej i zwierzęcej, wiał taki bezdenny smutek, takie znużenie, taka dziwna wspólność chwilowego rozbratu z tem wszystkim, co było ich codziennym chlebem, — tak oboje zdawali się tęsknić i marzyć o jakichś wielkich a upragnionych niedostępnościach: kobieta o cichem, domowym ognisku, koń o wolnym stepie, — że niepodobna było patrzeć na to bez wzruszenia.

I była w nich jeszcze, wbrew fizycznej bujności i zdrowiu młodzieńczych kształtów, nieujęta a żalonna kruchość istot, w każdej chwili igrających ze śmiercią, kruchość, przywodząca mimowoli na myśl porównanie ich do tego źdźbła słomy, co tkwiło w wiśniowych, nieco ku dołowi opuszczonych usteczkach woltyżerki.

To już nie był portret, to był dramat.

Wprawdzie miss Nelly powiedziała wręcz artyście, że ją zeszpecił — wprawdzie powtarzali to z wielkim oburzeniem jej wielbiciel z pierwszych rzędów krzesel, — ale obraz robił swoje — imponował tem "czemś," co stanowiło wyłączną własność talentu Krzeckiego: przykuwał oko, pobudzał myśl.

Krytyka, zwłaszcza ta mniej oficjalna a bardziej artystyczna, powitała go prawie z zapalem; unoszono się nad potężną indywidualnością młodego malarza, wytykając mu jednak przy tej sposobności różne techniczne usterki, z braku odpowiednich studyów i wzorów wypływające.

Ale mimo tego gorącego przyjęcia, portret, a raczej obraz, bo sam twórca nadał mu trochę dziwaczny tytuł: "Na chwilę przed..." — nie znajdował nabywcy. Krzecki położył bardzo wysoką cenę i, zbyt dumny, by go krakowskim targiem odstąpić komu z przygodnych amatorów, co się jakby od niechcenia zgłaszali, wycofał go dosyć prędko z wystawy. Odtąd większa jeszcze gorycz i większe zważenie zalały mu serce. Twórczość jego uległa chwilowemu zastojowi, li

chwiarskie długi, w jakie go robota tego portretu i kosztowne ramy wpędziły, żarły go jak rdza, a byłby wolał umrzeć, niż odwołać się do uczynności kolegów.

Zdziczał, sposepniał i żył jak odludek w swojej lichej, chłodnej pracowni, w której, jakby na urągowisko wyglądającej zewsząd nędzy i pustce, połyskiwały wspaniałe ramy i odrzynał się w nich ten kawał płótna, co wart był tysiące.

Tak rzeczy stały, gdy pewnego dnia, w początkach listopada, zastukano do drzwi, a na chmurne "proszę wejść"

Korzeckiego wysoki, wytwornie ubrany mężczyzna ukazał się na progu.

Krzecki krok ku niemu postąpił.

— Wszak pan Krzecki? — zapytał nowoprzybyły, obrzucając bystrem spojrzeniem szczupłą, pochyloną trochę postać i ponurą, energiczną głowę młodego malarza.

Ten uklonił się milcząco.

Gość wymienił swoje nazwisko, a było ono dobrze znane w Warszawie, jako należące do człowieka bardzo bogatego, co wynagradzało świeżą dosyć starożytność jego hrabiowskiego tytułu, bardzo ekscentrycznego i wywiązującego się ze swej

roli wielkiego pana i fantasty o artystycznym zacięciu z prawdziwym talentem.

Jako miody jeszcze i nieżonaty, był on bożyszczem matek, mających córki na wydaniu; jako hojny i wielce dystyngowany libertyn — królem półświatka.

Ale Krzecki nie miał nic wspólnego z temi dwiema warstwami społeczeństwa, więc dosyć obojętnie podsunął mu krzesło i czekał.

— Widziałem na wystawie — zaczął gość; wtem przerwał i wpatrzył się w stojący naprzeciwko portret konnojezdki.

Dziwny, wpół cyniczny, wpół smutny uśmiech pojawił mu się na ustach; poruszył z lekka głową i ciągnął dalej:

— ...A widzę i teraz, co pan zrobiłeś z tej małej Nelly... Pochlebiłeś jej pan szalenie: Dałeś jej duszę, której nigdy nie miała. Ta mała Nelly i ten wyraz w oczach... to nadzwyczajne. bądźcobądź, jesteś pan wielkim artystą, ale i utopistą zarazem. Bo, uważasz pan, ta dusza w tem ciele... to utopia... Zresztą, może pan wiesz lepiej... Jesteś doprawdy wielkim artystą.

Krzecki znowu się uklonił. Pod wytartą, welwetową marynarką serce zaczy



nało mu bić jak młotem. Może ten bogacz, ten hrabia, podszyty ekscentrykiem, przyszedł tu, aby co kupić, co obstałować? Może właśnie ten obraz...

A hrabia, jakby odpowiadając jego myślom, ponowił:

— Pragnąłbym bardzo posiadać jaką pana prace. Ach!... nie tę, nie tę małą Nelly. Miałem jej dosyć. Nie; ja chcę także portret, także kobiety... tylko... to zupełnie co innego.

Umilkł i zamyślił się na chwilę. I znów ten sam uśmiech, trochę smutnawy a bardzo cyniczny, mignął mu pod ciemnym wąsem.

— Wszak adwokat Krzecki to pana krewny? — zapytał nagle.

Artysta spojrział na niego zdziwiony. — Tak, mój krewny — odpowiedział machinalnie.

— I pan tam bywasz?

— Bywałem dawniej. Teraz przestałem...

— Ale możesz pan zacząć na nowo. Pan znasz pannę Mumę?

— Pannę Mumę? — powtórzył Krzecki, jak przez sen, w żaden sposób nie

mogąc zrozumieć, do czego to wszystko zmierzało.

— No, tak — odparł hrabia z lekkim zniecierpliwieniem w głosie. — Przecież to pańska kuzynka.

Teraz dopiero Krzecki przypomniał sobie, że ci jego krewni mieli córkę jedynaczkę, którą przed wyjazdem do Paryża widział podlotkiem, a potem już nie widział wcale.

— Znałem ją dzieckiem — odpowiedział sztywno. — Dziś...

— Dziś — przerwał gość — to jest najpiękniejsza panna w Warszawie, a właściwie to najpiękniejsza w Warszawie zjawisko, bo wygląda tak, jakby się rozwiać miała. To nie ciało, to mgła, tylko w posagowe linie ujęta... W tem właśnie tkwi wyjątkowy czar jej piękności. Pragnę posiadać jej portret. Czy wymalujesz go pan dla mnie?

— Dla pana?

— Ależ tak. Pan, jako krewny, możesz każdej chwili poprosić swoją kuzynkę o kilka posiedzeń. Nie odmówią panu tego. Piękne kobiety lubią być portretowane. Portret pójdzie na wystawę... tego się także nie odmawia, a ja

go kupię od pana, jako dzieło sztuki. To przecież bardzo proste.

Ale Krzeckiemu wydało się to przeciwnie bardzo krzywym. Towarzyskie stosunki były mu obce; nie wiedział, co w tak zwanym świecie uchodzi lub nie uchodzi; jednak ten obcy pan, chcący mieć u siebie portret obcej, młodej panienki, nie trafiał mu do przekonania... A może... był jej narzeczonym, może tylko kochał się w niej potajemnie?

— Przepraszam pana — zaczął, — ale ja... niedobrze jeszcze rozumiem. Czy tam... czy rodzice tej panny... czy ta panna, to jest, czy oni wogóle wiedzą, że pan życzy sobie zrobić u mnie ten obstalunek?

Gość z lekka ruszył ramionami i znowu nieznacznie się uśmiechnął.

— Ach! mój Boże! nie wiedzą i, co więcej, nie potrzebują wiedzieć! Wprost przeciwnie.

Krzecki wstał.

— Sądzę — rzekł bardzo sztywno, — iż pan nie żądasz ode mnie, abym wmawiał w nich, że chcę zrobić ten portret dla siebie?

— A któryż artysta maluje dla siebie? — zaśmiał się tamten. — W każdym razie... zawsze dla potomności. Ale widzę, że pan mnie istotnie jeszcze niedobrze rozumiesz. Mnie chodzi o dzieło sztuki, powtarzam, bez żadnej wstecznej myśli. Ja tej młodej osoby prawie że nie znam, widziałem ją kilkakrotnie... to wszystko. Podoba mi się ogromnie ten typ urody... podoba mi się ogromnie pendzel pana... Pan masz takie nadzwyczajne poczucie kolorytu... o! ja się na tem znam... a tam jest nadzwyczajna karnacja... Jedno z drugim może wytworzyć arcydzieło. Ja to chcę mieć... Nawzajem ofiaruję panu trzy tysiące rubli, a jeżeli pan się zgadzasz, mogę panu zostawić zaraz tysiąc rubli tytułem zaliczki. Co się zaś tyczy tego szkopułu, o jaki się drażliwość pana rozbija, to jestem przekonany, że się tam pana o nic pytać nie będą i pan nie jesteś obowiązany z niczego się legitymować.

Krzecki doznał olśnienia. Trzy tysiące rubli! To znaczyło: popłacone długi, swoboda, wyjazd za granicę, przyszłość, sława, wszystko!... Krew uderzyła mu do głowy; musiał oprzeć się o stół, żeby nie

upaść. Gość przypatrywał mu się uważnie, ze swym dziwnym uśmiechem.

Trzy tysiące rubli — to była taka straszliwa pokusa dla biednego artysty — i trzebaż, żeby go zaszła w jeden z najgorszych jego dni, w jeden z takich, w których Krzecki czuł się tak okropnie pokrzywdzonym, że nawet zbrodnia nabierała w jego oczach znaczenia prostego tylko odwetu względem społeczeństwa i kraju za dziejącą mu się niesprawiedliwość.

A tu — o cóż chodziło? O portret jakiejś nieznannej dziewczyny, córki ludzi, którzy pozwolili cierpieć nędzę jego matce, choć ich obowiązkiem było ratować ją. A dla niego — cóż mieli kiedy prócz obojętności i lekceważenia? Nie! nie! onby się tem kępować nie potrzebował... Ale co było gorsze, to to, iż tam przy trupie matki poprzysiągł sobie nigdy progu ich domu nie przestąpić... A dziś przestąpiłby go... i to jak jeszcze... żywiąc kryjome zamiary — i dla czego?... dla pieniędzy! dla tych podłych, tych marnych, tych wszechpotężnych pieniędzy!

Wszystkie te myśli i wiele innych jeszcze zawirowały mu w mózgu, potracając się i zbijając nawzajem.

Gość odgadł walkę, jaką biedny malarz staczał ze sobą.

— Zostawiam panu trzy dni czasu do namysłu — rzekł, wstając, — choć prawdziwie... prawdziwie... nie widzę, nad czym się tu jest namyślać... Ale wy, artyści, jesteście wszyscy dziwakami i zresztą tak być powinno. Człowiek bez dziwactw to szablon. Za trzy dni proszę mi dać odpowiedź. Oto mój adres.

Ach! te trzy dni — te okrutne trzy dni! Była to walka, o jakiej Krzecki nie miał dotąd pojęcia. Wydawało mu się rzeczą zarówno niemożliwą przyjąć ten niespodziewany uśmiech fortuny za taką cenę, jak odrzucić go i wieść dalej ten żywot nędzy i dławiącej wegetacji.

Tymczasem, ostatniej nocy, w chwili największej rozterki zabłysnął mu nagle pod czaszką pomysł do obrazu tak plastyczny, tak we wszystkich szczegółach kompozycji skończony i tak od razu całym jego jestestwem owładnął, że wyglądało to jakby na wskazówkę przeznaczenia.

Krzecki uczył wyraźnie, że gdy go wykona tak, jak go pomyślał, stworzy arcydzieło wielkie, i czuł jednocześnie, że go

wykonać potrafi, jeżeli tylko będzie miał rozwiązane ręce: zagranica, studia, modele, czyli... pieniądze! pieniądze! pieniądze!

To rozstrzygnęło.

Błady, zdenerwowany, ale już niewahający się, poszedł odwiedzić swoich krewnych.

Lecz gdy miał zadzwonić do drzwi ich mieszkania, tchu mu w piersiach zabrakło. A jeżeli nie zgodzą się? jeżeli panna zgrymasi i nie zechce pozować, albo mama jej nie pozwoli?

I na tę myśl, że cała ta jego okrutna walka, całe to straszliwe przełamanie samego siebie byłoby daremne, że w ręku tych ludzi, prawie mu nienawistnych, spoczywały wszystkie jego nadzieje, że mogli je zniweczyć, nie domyślając się nawet tego — ogarniało go niemal szaleństwo.

Zaciskając zęby, z paznogciami wpijającymi się w dłonie, mówił sobie, że już teraz nie cofnąłby się przed żadnym podstępem, przed podłością prawie, aby dopiąć swego. Kość była rzucona.

Tymczasem poszło mu nadspodziewanie łatwo. Pan mecenas i jego małżon

ka, ujrawszy zjawiającego się ni stąd ni zowąd ubogiego kuzynka artystę, tak byli przygotowani na prośbę o zapomogę lub przynajmniej pożyczkę, że przez samą reakcję tego niemiłego przypuszczenia, każdy inny powód jego odwiedzin już byłby znalazł łaskę w ich oczach.

A cóż dopiero, gdy chodziło o portret córki, mający pójść na wystawę! Państwo Krzeccy czytali przecież gazety, i niejedna z owych ostatnich entuzjastycznych krytyk z powodu portretu konnojezdki pozostała im w pamięci.

— Tylko — zauważyła pani — pan podobno oszpeca i melancholizuje swoje portrety. I po cóż to? Portret powinien być zawsze pochlebiony i wesoły, zwłaszcza młodej panienci. Owszem, zgadzamy się, ale pod warunkiem, że pan Mumy, broń Boże, nie oszpeci i nie postarzy, i zrobi ją wesołą.

Wezwana w tym miejscu panna Muma jeszcze łatwiej niż rodzice, bo wprost z radością, przyjęła propozycję malarza. Nudziła się szalenie pod owe czasy i nie pozowała jeszcze nigdy do portretu. Wydało się to jej od razu bardzo ponętą rozrywką.

A przytem ten kuzynek malarz, o chmurnem obliczu, ciemnych, posepnie patrzących oczach i czarnych, zwichrzonych włosach, zaintrygował ją, trochę. Był jakiś inny, niż otaczająca ją dotychczas młodzież. Wiało od niego to samo "coś," jakim były przepojone jego płótna, a co subtelna obserwacya młodej panny odczuła natychmiast. Krzecki nawzajem przypatrywał jej się, oczarowany od pierwszego wejrzenia. Hrabia nie przesadził bynajmniej. Była to istotnie powierzchowność niepospolita. Bardzo bujne i bardzo jasne włosy, matowe i jakby popielatym pyłem przysypane, byty tak nadzwyczajnie puszyste i rozwiewające się, że tworzyły dokoła jej cudownie kształtnej głowy raczej rodzaj obłoku, niż uczesania. Ta sama obłoczność malowała się w jej delikatnych rysach i czyniła je podobnymi do tych twarzy aniołów, które są bez wieku i jakby bez płci. Usta jej drobniuchne, ślicznie wykrojone, w każdej innej twarzy byłyby się wydawały blade, lecz ta nadzwyczajna płeć śnieżnego puchu, o opalowych na skroniach odbłyśkach, uwydatniała tylko ich precudną, różową

barwę. Różowo także przeświecały jej cienkie nozderka i końce maleńkich uszek. Poruszała się przytem nadzwyczaj wdzięcznie, miękko, prawie bez szelestu, a jej podłużne, niebieskie oczy, o przymkniętych nieco powiekach, patrzyły w ten sam mglisty, nieuchwytny sposób, harmonizujący doskonale z typem jej piękności.

Krzecki pomyślał z westchnieniem, że gdyby mógł namalować jej na głowie wianek jaskółek i wyłonić to puchowe ciało z przezroczystych draperyi, miałby najcudniejszą Goplanę, jaką kiedykolwiek malarz mógł wymarzyć.

Ale teraz trzeba było poprzestać na portrecie.

Jeszcze tego samego dnia przystąpiono do wyboru tualety, w jakiej panna Muma miała pozować. Że to z kuzynkiem nie trzeba było robić sobie ceremonii, pani adwokatowa zaprowadziła go zaraz do dalszych pokoiów i zaczął się przegląd sukienek panny Mummy od codziennych do balowych. Pani była stanowczo za balową.

Krzecki patrzył na te stopy eleganckich gałganków, wdychał subtelny woń

perfum i młodego ciała, jakimi były przesiąkłe, i zaczynało go to narkotyzować w jakiś dziwny, nieznanym mu dotąd sposób. Było to jakby pierwsze odczucie tej wytwornej, delikatnej, drażniącej kobiecości, z którą on, biedny parys towarzyski, nigdy się dotąd nie spotkał. Wogóle kobiety były w jego życiu czemś prawie mu obcem. Po ukazaniu się portretu miss Nelly, chodziła legenda, że pomiędzy nim a piękną konnojezdą istniał stosunek miłosny — ale to było nieprawdą. Krzecki widział w niej jedynie interesujący model, tak jak ona widziała w nim przeciwnie wcale dla niej nieinteresujący okaz ubogiego artysty. Raz tylko, tam, w Paryżu, na Vaugirard, jedna z modelek, jak on uboga i wiecznie zziębnięta, napisała mu na ścianie pod swoim adresem nieortograficzne: "J'ai t'aime," a potem przez parę miesięcy dzieliła z nim chłód i głód tego poddasza; ale to było wszystko. A teraz, raptem znalazł się wobec tej z piany utkanej dziewczyny, która patrzyła na niego swymi zaświatowemi oczyma i pytała swym sennym głosem, mu

skając go prawie gazami i atlasami swych sukien:

— A może ta? Jak pan tę uważa?

I Krzecki patrzył na nią ciągle, i parę razy dotknął ręką miękkich draperyi, układających się miejscami tak, jakby kryły jeszcze pod sobą przecudne kształty swej właścicielki, i popadał w coraz słodszy, coraz dziwniejszy stan. Po prostu zapominał, iż poza czterema ścianami tego pokoju, zarzuconego stosem materyi i koronek, wśród których, rozgarniając je, niby tęczowe fale, migą cicho i lekko ta salonowa Goplana, istnieje jeszcze coś, o czym pomyśleć warto. Ale zniecierpliwiony trochę głos mamy Krzeckiej, stręczący mu koniecznie jakąś bardzo strojną i efektowną toaletę, oprzytomnił go wreszcie.

Okazał się o tyle niegrzecznym, że, odrzucając stanowczo gust pani adwokatowej, wybrał natomiast bladopopielatą sukienkę z lekkiej, przezroczystej tkaniny na różowej, jedwabnej podszewce, nadającej jej piękny, ciepły a delikatny ton. Fałdy sukienki i suto namarszczonego stanika przyciśnięte były w pasie sznurem bladoloróżowych, sztucznych ko

rali; zresztą żadnej innej ozdoby. Całość miała odrębny wdzięk — i Krzecki swem okiem kolorysty odgadł zaraz, że panna Muma w żadnej innej piękniejszą być nie może.

I rzecz dziwna — on, który tak hołdował poezji nagiego ciała, że w każdym innym wypadku byłby przede wszystkim starał się wyszukać strój najwięcej odsłaniający ramiona i plecy, teraz był prawie wdzięczny tej popielatej sukience, że miała tylko małe, kwadratowe u szyi wycięcie i rękawy do łokcia. A to uczucie, z którego sobie sprawy zdać nie umiał, powstało w nim jednocześnie ze wspomnieniem tego zagadkowego, smutnie cynicznego uśmiechu człowieka, który chciał być posiadaczem portretu panny Mummy.

Nazajutrz Krzecki w kilku słowach zawiadomił hrabiego, że przyjmuje jego obstalunek, i w odpowiedzi otrzymał natychmiast czek na tysiąc rubli. Pierwszą jego czynnością było pospłacać wszystkie długi, uiścić zaległe od dawna

komorne i wykupić zastawione w lombardzie kilka pamiątkowych drobiazgów po matce. Podratował też swoją garderobę,

w oplakany stan będącą, i zaopatrzył się w różne farby i pendzle.

Gdy wreszcie, ułatwiwszy się z tem wszystkim, naciągał na wielki blejtram płótno, mające uwięzić obłoczną postać panny Mumy, zdawało mu się, iż czyni to także w obłokach, nie na tej ziemi, gdzie dotychczas znał tylko gorycz, zwątpienie i piekący ból namiętnych pożądań, których urzeczywistnienia nic mu nie obiecywało. A dziś! dziś! byt niezależny, miał środki, mógł działać!...

Chwilami budził się z tej ekstazy, ażeby myśleć nad tem, jak upozuje swój piękny model, któremu pośrednio wszystko to miał zawdzięczać.

Gdyby nie ta mglista dziewczyna, hrabia prawdopodobnie nie byłby sobie nigdy o nim przypomniał. To też Krzecki obiecywał sobie uroczyście, że wyteży wszystkie siły, aby stworzyć z tego portretu arcydzieło. Postanowił nie zaniedbać najdrobniejszego szczegółu, któryby się mógł do tego przyczynić. To też i ten wybór pozy, tak ważny, zmęczył go ogromnie, bo z żadnej, o jakiej pomyślał, nie był zadowolony.

Ale gdy zobaczył pannę Mumę bardziej jeszcze rozwiewną, niż za pierwszym razem, dzięki tej mglistej sukni, zrozumiał od razu, przez jedno z tych artystycznych objawień, jakich doświadczają jedynie wielkie talenty, że, aby być w zgodzie z charakterem tego zjawiskowego typu, nie można go przedstawić ani siedzącym, ani stojącym, ani leżącym, że trzeba go uchwycić w jakiejś chwili przejściowej, nieokreślonej.

Umieścił więc pannę Mumę nieco bokiem, twarzą jednak wprost ku widzowi zwróconą, i nadal giętkim liniom jej postaci taki ruch, jak gdyby już nie stała, ale jeszcze nie szła. Ręce miały również ten sam niezdecydowany układ — mogło się zdawać, że się chcą do czegoś wyciągnąć lub przed czemś cofnąć.

Była to bardzo męcząca poza i pani Krzecka mocno się jej sprzeciwiała, ale panna Muma odrzekła swym powolnym, sennym głosem:

— Nie, nie, marno! Mnie się to bardzo podoba.

A zwracając się do malarza, dodała ze słodko zrezygnowaną minką:

— Czy to przez cały czas trzeba będzie tak stać, nie stojąc?

Ale on upewnił ją, że do głowy będzie mogła siedzieć, i jeszcze tego samego dnia naszkicował cały kontur.

Zresztą pani Krzecka tylko na tem pierwszym posiedzeniu była obecna. Znała ona swoją jedynaczkę o tyle, aby wiedzieć, że nie potrzebuje pilnować jej bardzo zrównoważonego serduszka. Bo o ile powierzchowność panny Mummy była nadzwyczajną, o tyle jej wewnętrzne ja tworzyło dosyć pospolity typ panny na wydaniu, z tego gatunku, który się nazywa interesującym, a w gruncie rzeczy jest tylko zręcznie i starannie oszlifowaną banalnością.

Bardziej sprytna niż intelligentna, za główny ideał życia postawiła sobie świetne zamażpójście. Niezależnie zaś od tego miała pewne romantyczne ambicyjki, które jednak były jej tajemnicą. Zaciekawiali ją tak zwani wielcy ludzie i w marzeniach swoich często, jako szczyt szczęścia, wyobrażała sobie taką chwilę, w której osypana brylantami wchodziłaby do balowej sali, wsparta na ramieniu męża (mniejsza z tem, czy byłby młody,

czy stary, byle dystyngowany) i słyszałaby dokoła siebie szept: "Ach! to ta piękna hrabina X, w której tak szalenie kochał się ten znakomity poeta Y lub artysta Z."

Czy i jak dalece ona dzieliłaby te uczucia, nad tem panna Muma zastanawiała się bardzo pobieżnie, sądziła jednak, że owszem, w pewnym stopniu, niezagrażającym jej osobistemu spokojowi, byłaby skłonna do wzajemności.

Ale czas płynął, panna Muma odtańczyła już kilka karnawałów, zaczynała jej już liczyć lata z przysypką, choć miała dopiero dwudziesty piąty rok, a ani bogaty hrabia czy milionowy przemysłowiec, ani znakomity artysta lub pisarz nie zjawiali się jakoś. Panna Muma zaczynała się niepokoić; kochano się w niej wprawdzie i wielbiono ją, ale żaden z tych podbojów nie odpowiadał jej wymaganiom życiowym i nie zaspokajał jej ambicyi.

W takim stanie rzeczy Krzecki musiał zwrócić na siebie jej uwagę. Nie był wprawdzie jeszcze znakomitym, ale mógł się nim stać, a że musiał ją kochać skrycie, o tem nie wątpiła wcale. Dlaczego

góżby tak koniecznie pragnął ją portretować? dlaczegożby tak całą swą duszę kładł w tę pracę?... A że ją kładł nie tylko w tę pracę, ale i u jej stóp — to było widocznem.

Więc obserwowała go i zachowywała się względem niego stosownie do wrażeń, jakie odnosiła z tych obserwacji, w których serce nie brało żadnego udziału.

Panna Muma należała do tych natur płytko estetycznych, które bardzo łatwo można podbić i bardzo łatwo zrazić jakimś zewnętrznym objawem lub szczegółem.

Krzecki jej się podobał, nawet bardzo; sama jego powierzchowność posepna i energiczna musiała na nią oddziaływać siłą kontrastu, przytem głos miał piękny i chociaż mówił mało, znać w nim było człowieka wysokiej, na wskrós oryginalnej inteligencji; panna Muma jednak, notując to wszystko, uważała jednocześnie, że nie był dość starannym w ubiorze — i to ją ochładzało.

Biedny artysta nigdy nie widział jej tak lodowatą, jak pewnego razu — a było to już po wielu, wielu posiedzeniach i stosunek pomiędzy nimi stawał się co

raz bliższym, — kiedy przez zapomnienie włożył stare, zrudziałe obuwie. Nic nie pomogło, że czarne jego oczy patrzyły wymowniej niż kiedykolwiek, że głos drżał pełnią hamowanego uczucia. Panna Muma nie mogła mu tych starych butów darować.

I trzeba trafu, że tego dnia była dla niego wyjątkowo dobrze usposobioną. Poprzedniego wieczoru, na raucie, ktoś z tych nielicznych znawców, którzy potężny talent Krzeckiego odgadnąć umieli, rozmawiał z nią o nim z entuzjazmem, wróżąc mu jak najświetniejszą przyszłość.

Panna Muma słuchała tego z wielką przyjemnością. Krzecki urastał w jej oczach, miłość jego stawała się jej prawie drogą; nazajutrz oczekiwała go po prostu z rozmarzeniem, a on — przyszedł w zniszczonych butach!

Mściła się więc na nim bezlitośnie za ten trywialny dysonans, torturowała go chłodem i szyderstwem, a on, nieszczęśliwy szaleniec, podnosił tylko na nią zdziwione, smutne oczy, nie pojmując, co zawinił, — bo doszedł już był do tego stanu, w jakim traci się wszelki krytycyzm i samopoznanie.

Kochał, jak się kocha po raz pierwszy w życiu, a miał już trzydzieści dwa lata, czyli ten wiek, w którym pierwsza miłość bywa zazwyczaj dawno wyrugowaną przez szereg swych następczyni...

Szczęściem dla niego, zupełnie przypadkowo, zjawił się nazajutrz w świeżo przyniesionym od krawca garniturze i wyglądał w nim tak dystygowanie, że panna Muma przypomniała sobie natychmiast, co jej o talencie Krzeckiego mówiono; a przytem i róże, jakie jej od pewnego czasu przynosił, były tym razem wyjątkowo piękne, — więc fatalne wrażenie nieszczęsnych butów zatarło się zupełnie.

— Wie pan — rzekła panna Muma, wachając kwiaty, — powiedziano mi, że pan jest genialnym. Ni mniej, ni więcej. A ja nie widziałam jeszcze nigdy genialnego człowieka. Muszę się panu dobrze przypatrzeć.

I wlepiła w niego swe niebieskie oczy, w sposób, który w każdym innym spojrzeniu byłby wyzywającym, ale u niej, dzięki tej mgle, co zdawała się otaczać ją całą i odgraniczać od zewnętrznego



świata, robił jedynie wrażenie zaciekawionej niewinności.

Krzeckiemu dusza topniała pod tym wzrokiem.

— Więc to tak się wygląda? — mówiła dalej panna Muma — tak, jakby się miało jakąś tajemnicę? Czy geniusze miewają zawsze tajemnicę? Bo pan musi mieć jakąś tajemnicę... nieprawdaż, panie Eugeniuszu?

Krzecki zbladł bardzo; przyszło mu bowiem na myśl, że istotnie ma tajemnicę, i to nie jedną, i że ta druga jest taką, za którą panna Muma powinna mu drzwi pokazać.

Zresztą nie po raz pierwszy mówił to sobie. Wraz z miłością przyszła na niego okropna walka wewnętrzna, zbliżona do tej, jaką już był stoczył ze sobą, tylko że teraz powody były zupełnie inne.

Im podobniejszą stawała się panna Muma na płótnie, tem piekielniej paliła Krzeckiego myśl, że to ją, taką jakby żywą, będzie musiał oddać w cudze posiadanie, że tę swoją ukochaną i świętą używa za narzędzie swych osobistych celów, że po prostu uczynił ją przedmiotem handlu.

Nieraz, gdy wpatrywał się w nią, modelując jej rysy anioła, stawały mu nagle przed oczyma kawalerskie apartamenty hrabiego i orgie, jakie tam podobno wyprawiano.

I to była świątynia, w którą on, Krzecki, własnymi rękoma wprowadzić miał swoje bóstwo i — ohańbo! — dla czego? dla zysku, dla pieniędzy!

Wtedy działo się z nim coś takiego, że chciał paść jej do nóg, wyznać wszystko i uciec gdzieś przed siebie, i uciekać tak aż do ostatecznego wyczerpania sił.

Ale zawsze brakowało mu odwagi do zniesienia jej gniewu, jej pogardy, bo rozumiał, że nie wybaczyłaby mu nigdy tego świętokradztwa, jakim jej dziewiczy majestat znieważył. W imię czego miałaby przebaczyć?...

Tego dnia panna Muma pozowała mu już do całości, i widocznem było, że ta wpół stojąca, a wpół idąca postawa męczy ją bardzo. Dostrzegł to Krzecki i znowu nieopisany żal i wstyd szarpał jego jestestwem. Ona w dodatku męczyła się dla niego — a on?

Więc zamiast odpowiedzieć na jej pytanie, wstał i, pod pozorem poprawienia

jakiejś fałdki, klęknął, ujął skraj jej popielatej sukienki i, nic nie mówiąc, ustami do niego przylgnął.

Panna Muma patrzyła przez chwilę na tę "genialną" głowę, kornie u stóp swych zgiętą — leciutki uśmiezek tryumfu i rozmarzenia zagrał na jej ustach, pochyliła się trochę i końcami paluszków dotknęła zwichrzonych włosów artysty.

— Geniuszu... mój! — szepnęła bardzo cicho.

Krzeckiemu zawirowało w głowie i serce stanęło mu w piersiach z nadmiaru szczęścia. Ten głos... to słodkie słówko "mój," to pieszczotliwe dotknięcie jej ubóstwianej ręki!...

Nie mógł już więcej dnia tego malować; ale gdy wrócił do siebie, czuł niebo w duszy. Noc całą spędził bezsennie, najpiękniejszą noc swego życia.

Nie walczył już, nie wahał się... wczoraj jeszcze nie miał odwagi, bo — kochał tylko; dziś wiedział (biedny szaleniec! tak był tego pewnym), że jest kochanym, i nic mu już nie było trudnem. Nieraz już przedtem nachodziła go myśl, żeby hrabiemu portretu nie oddać, ale zawsze wtedy przypominał sobie ten tysiąc rubli,

z którego mu już niewiele zostało, i zimny pot występował mu na czoło — i z rozpaczą w duszy mówił sobie, że położenie jest bez wyjścia...

Dziś wszystko ukazywało mu się w innym świetle. Te tysiąc rubli? on je zdobędzie, z pod ziemi wykopie — pożyczę znowu, sprzeda portret miss Nelly za pół ceny, będzie pracował po nocach nad rysunkami, będzie malował, bodaj szyldy — a zapłaci...

A potem?... ten zapal, tę energię, te prądy ożywcze, jakie mu miała dać zagranica, on je znajdzie w niebieskich oczach swego bóstwa; ten czysty źródło natchnienia, jaki bije z serca kochającej kobiety, stanie mu za wszystko... Potężne tchnienie miłości, jakim teraz przepoi swoje płótna, musi roztopić lodową zapórę, stojącą dotąd pomiędzy nim a publicznością, zbudzi się w nim nowa siła, siła, która musi zwyciężyć — i zwycięży!

Więc stanie się sławnym, wielkim, bogatym — a wtedy! wtedy!...

Jedna tylko była kropla gorczy w tym kielichu upojenia, ale i ta miała swoją

rozkosz. Wyznać prawdę ukochanej, ukorzyć się przed nią, zdać się na jej łaskę i niełaskę... To ciężkie, ale przede wszystkim to obowiązek, a przytem co za szczęście usłyszeć słowo przebaczenia!... Wina jego jest wprawdzie olbrzymią, potworną... ale miłość jest silniejszą nad wszystko, a wszak ona... kocha go!...

Tak marzył biedny artysta, naiwny jak dziecko, pomimo swoich trzydziestu dwóch lat.

Nazajutrz, gdy tylko wszedł, panna Muma zauważyła, że jest bardzo blady, choć oczy jego płonęły szczęściem.

— Co panu jest? — zapytała dosyć obojętnie.

Czuła, że wczoraj posunęła się trochę za daleko i że to trzeba zrównoważyć.

Stanęła na zwykłym miejscu, gotowa do pozowania, ale Krzecki odsunął pendzle.

— Ja muszę z panią pomówić — rzekł drżącym głosem. — Ja mam pani uczynić jedno wyznanie...

— Och! — odpowiedziała panna Muma, sztywniejac jeszcze więcej — czy to konieczne?

— Konieczne, pani. To mnie dławi... Ja... ja popełniłem względem pani wielką, nikczemność...  
Oczy panny Mummy błysnęły bardziej ciekawością, niż gniewem, poprzez mgłę, w jakiej się nurzały.  
— Oszukałem panią. Ten portret nie był przeznaczony na wystawę.  
— Jakto? nie chcesz go pan dać na wystawę? — przerwała żywo panna Muma. — Dlaczego?  
— Ach! to mniejsza. Ja go malowałem dla kogoś... Ten ktoś go u mnie zamówił... Zapłacił dużo... Jam się dla pieniędzy tego podjął... O! nie gardź mną pani! Nie karz tak srogo, jak na to zasłużyłem.  
Złożył błagalnie ręce i trząsł się cały. Ale panna Muma nie zwróciła nawet uwagi na jego nadzwyczajne wzruszenie.  
— Ależ ja tego nie rozumiem! — zawołała. — Któż to jest?... Komu mogło zależeć tak bardzo na moim portrecie?...  
Powiedz pan, kto to taki?  
— Hrabia \*\*\* — wyjąkał Krzecki, nie podnosząc oczu.  
— Hrabia \*\*\*! On chce mieć mój portret! Doprawdy?

Krzecki zdrewniał. W głosie panny Mummy brzmiało wszystko, tylko nie to, czego się obawiał i czego pragnął zarazem. Nie było w nim ani zranionej dziewiczej wstydlivosti, ani oburzenia, ani odczucia tej męki, jaką on, czyniący jej takie wyznanie, przechodzić musiał.

W tej chwili pani adwokatowa weszła do pokoju.

Panna Muma poskoczyła ku niej swym cichym rzutem Najady.

— Mamo! czego ja się dowiedziałam! Pan Eugeniusz maluje mój portret na zamówienie. Hrabia \*\*\* kupił go od niego... masę pieniędzy mu zapłacił!... Słyszała mama! Skąd mu to przyszło? Prawie nigdy ze mną nie rozmawiał.

— Co mówisz, Mumo! — zawołała pani Krzecka z radością, której ukryć nie była w stanie. — Hrabia! I jakże to było? Opowiedz nam to szczegółowo, panie Eugeniuszu! To istotnie ciekawe.

Ale Krzecki nie odpowiadał. Cos' się w nim waliło, coś rwało na strzępy... Więc to była ona! ta, przed którą korzył się w prochu, jak niegodny czciiciel przed swoim bóstwem... To była ona!

Fantazja bogatego libertyna, której się stała przedmiotem, tak ją oszołomiła, że nie odczuła nawet, ile w tem było ubliżającej jej samowoli, że, przeciwnie, ta transakcja, na jej osobie dokonana, wydała jej się czemś zgoła zaszczytnem. I w swem zadowoleniu pustej lalki salonowej nie znajdowała już jednego spojrzenia dla człowieka, któremu wczoraj w tem samym miejscu szepnęła słowo, równające się miłosnemu wyznaniu, nie czuła najlżejszej litości dla jego cierpień, nie była nawet zdolną odgadnąć ich.

— Mówże pan, jakże to było — ponowiła promieniejąca pani adwokatowa. — Więc hrabia do pana zgłosił się z tem zamówieniem, czy jak? I czem tłumaczył tę chęć posiadania portretu Mummy?

Krzecki ocknął się i potarł ręką czoło, zimne jak lód.

— Panie wybaczą — rzekł głucho. — Czuję się nieco słabym. Muszę odejść. I portret zabiorę ze sobą także.

— Dlaczego? — zawołała panna Muma, trochę zaniepokojona. — Przecież nie jest jeszcze skończony?

Krzeckiemu wydało się, że ona mówi do niego gdzieś z pod ziemi. Wszak

umarła już? Był zupełnie pod tym wrażeniem, że pogrzebał ją, że tak piekielnie cierpieć byłby mógł tylko na jej pogrzebie — a oto teraz odzywała się do niego... To było bardzo dziwne... okrutnie dziwne...

— Nie, nie jest skończony — odpowiedział, nie patrząc na nią, — ale są tam jeszcze poprawki, które tylko w pracowni skutecznie mogę. Żegnani panią.

I wyszedł, zataczając się jak pijany.

Na ulicy oprzytomniał trochę. Zawołał dwóch posłańców, kazał im pójść na górę po obraz, a gdy go znieśli, owinięty w białe płótno, jak w całun, puścił ich przodem, kołnierz od paltota wysoko postawił i szedł za nimi z pochyloną głową, jak za trumną.

Znalazłszy się w swojej pracowni, klucz w zamku przekreślił, portret na stalugach ustawił, i siadłszy naprzeciwko, pozostał tak parę godzin, bez uczucia, bez ruchu...

Dla tej przeegzaltowanej, chorobliwie pesymistycznej natury cios był za silny. Ta kropla krwi, ze zmiażdżonego serca wyciśnięta, spadająca w kielich zwątpień i rozczarowań, z jakiego pil całe życie, przepelniła go...

Ściemniać się zaczęło i mgła zmroku, przesłaniając postać panny Mumy, uczyniła ją tak nieprawdopodobnie podobną, że Krzecki aż się wzdrygnął.

Podniósł się z miejsca, chwycił mokry pendzel i jednym zamachem startł tę zwodniczą twarz anioła. A potem, spokojny jak samo Przeznaczenie, wyjął z szuflady rewolwer, i przyłożywszy go do płótna, w tym miejscu, gdzie pod popielatą gazą stanika u tamtej prawdziwej panny Mumy powinno było bić serce, przestrzelił je.

— Próżnia! — szepnął, patrząc na dymiący jeszcze otwór — próżnia! próżnia!... A więc! idźmy w próżnię...

I z tym ostatnim bluźnierstwem nieszczęśnik skierował lufę rewolweru w usta.

Nazajutrz znaleziono go już zimnym u stóp zniszczonego portretu.

Na stole leżał zaadresowany do hrabiego \*\*\* list następującej treści:

"Panie!

Nie mogę Panu oddać portretu, jak się do tego zobowiązałem; nie mogę oddać pieniędzy, jakie mi pan zawierzyłeś; nie mogę żyć shańbionym.

Obraz "Na chwilę przed..." i wszystkie szkice, jakie po mnie zostają, są Pana własnością. Zechciej je Pan przyjąć. Żyjącym nie chciałbyś zapewne rozrachować się w ten sposób, ale może zrobisz to dla umarłego, który resztę długu spłaca śmiercią.

Eugeniusz Krzecki."

Panna Muma prawie że odchorowała nie tyle śmierć kuzynka artysty, ile zniszczenie portretu i związanych z nim nadziei. Matka w zupełności dzieliła jej boleść.

— No, widzisz — mawiała często do męża, — co nam ten waryat narobił. Portret zniszczył, zastrzelił się... A gdyby hrabia go dostał, byłby się tak w Mumie rozkochaj mając ją ciągle przed oczami, że z pewnością byłby się z nią ożenił! Taka świetna partya!

— Ha, moje dziecko! — odpowiadał pan adwokat — ja ci zawsze powtarzałem, że ubodzy krewni to klęska. Ot! masz.

BLĘKITNY NASZYJNIK.  
(Z CYKLU "Z DALEKICH ŁĄDÓW".)

Piękna Yanga (co znaczy: Radość), dziewczica z murzyńskiego plemienia Tabu, rzekła dorodnemu Sokomé (co znaczy: Twarda Pięść), pragnącemu ją poślubić:

— Zostanę twoją żoną, ale musisz ze służby u białych ludzi przywieźć mi naszyjnik z trzech rzędów wielkich pereł niebieskich, przegradzanych złotymi gwiazdami. Naszyjnik taki widziałam u mojej przyjaciółki Moa, kiedy z braćmi jeździłam do Bassa na jej wesele. Odtąd tylko o nim myślę i ten zostanie moim mężem, kto mi go na szyi zawiesi.

— A więc ja nim będę — rzekł z postanowieniem Sokomé, — ale przyrzecz mi, Yango, że będziesz czekała cierpliwie, aż drugie deszcze opuszczą się na ziemię. Wtedy wrócę i przywiozę ci twój naszyjnik.

— Dobrze — odpowiedziała Yanga; — pamiętaj tylko, żeby perły w drugim rzędzie były większe niż w pierwszym, a w trzecim większe niż w drugim.

Rozmawiali tak, stojąc nad brzegiem morza, obrócenie na północ i oczekując na ukazanie się "pływającego domu" z kraju białych, który spodziewany był lada chwila.

Sokomé i kilkunastu innych dzielnych chłopców zamierzali wsiąść na niego i popłynąć dalej na południe, aby ofiarować swoje usługi rozsianym wzdłuż brzegu europejskim faktoryom i plantacyom, a po roku wrócić do rodzinnego kraju z mnóstwem najśliczniejszych rzeczy w nowiutkich blaszanych kuferkach, jak to z dawna było przyjętym zwyczajem w pracowitem a wędrownym plemieniu Tabu, stanowiącym jedną gałąź wielkiego szczepu Kru, na Liberyjskim wybrzeżu osiadłego.

Każdy z tych zuchów był w stanie stąpać lekko pod dwustufuntowym ciężarem na głowie i cały dzień kotłasem machać w gąszczu, nie zmęczony się bardziej, niż gdyby dla zabawki trzcinką trawę rozgartywał. Spodziewali się więc

dobrej służby i pięknych daszów (podarunków) i byli w jak najweselszym usposobieniu.

Jednemu tylko Sokomé mroczyły się oczy i bladły wypukłe wargi na myśl, że przez długi czas będzie pozbawiony widoku pięknej Yangi, swojej wybranej yunuby (kobiety). Był to bardzo wyjątkowy młodzieniec; miłosna tęsknota bowiem jest pojęciem, na które dźwięczne narzecze Tabu — nader gulgotanie gotującej się wody w kociołku przypominające — zgoła nie ma wyrazu, jak go nie ma na sanki, śnieg, mróz lub tym podobne obce zjawiska. Ale oto ciemna plama pojawia się i rośnie na horyzoncie; wykwita z niej kręta smuga dymu i przeraźliwy gwizd wstrząsa powietrzem. Wspaniała okręt z rozwiniętymi wszystkimi żaglami, których jeszcze po wyjściu z pasatów nie ściągnął, zatrzymuje się na pełnym morzu i rzuca umówione hasło, że miejsce jest. Więc czyja wola, niech się śpieszy. Nieopisany zamęt powstaje na cichem zwykle, sennem wybrzeżu. Z żółtego piasku zrywają się czarne postacie i pędzą do pirog, spychając je na wodę. Małe

dzieci wrzeszczą jak opętane i pływają dokoła wątych łódek, jak gdyby były rybami, przez omyłkę na lądzie urodzonemu Cała wieś wybiega, aby odprowadzić wybierających się na okręt młodzieńców.

Przygotowania tych ostatnich są, można powiedzieć, żadne. Sam Dyogenes nie potrafiłby się puścić w podróż z mniejszymi pakunkami. Ale też cała chluba w tem, aby wywieźć puste ręce i chude boki, a wrócić z pełnym boxem (skrzynką) i sytym żołądkiem. Marnotrawny syn jest tu postacią równie nieznaną, jak tkliwy Abelard.

Piękna Yanga wsiada także do pirogi, w której znajduje się Sokomé, nie tyle dlatego, aby dłużej cieszyć się jego obecnością, ile że ma nadzieję sprzedać za wzorzystą chustkę lub flakonik perfum kilka świeżych kokosów, które w dniu wczorajszym stracił dla niej Sokomé, wdrapawszy się na palmę z chyżością dzikiego kota.

— Pamiętaj, aby perły były tak mocnego koloru, jak niebo po wielkim wietrze — powiada mu na pożegnanie; a on, już z pokładu, na który dostał się, jak re

sza, po rzuconej mu sznurowej drabince, woła:

— Pamiętaj, abyś mi była wierną!

Rozstają się wreszcie. Sokomé i jego towarzysze zabrani są natychmiast pod pokład, do maszyny, gdzie zastępują europejskich palaczy, niezdolnych do podobnej pracy w tak gorącym klimacie.

Wieczorami najzręczniejsi biegają po bortach, ściągając na noc płótno olbrzymiej markizy, pod którą spacerują pasażerowie pierwszej klasy, a nieodzowny angloafrykański misjonarz w olbrzymim kapeluszu filcowym przeszkadza im w robocie, wtykając w ręce książeczki z hymnami, i gorszy się, gdy go na migi pytają: czy to jest coś do jedzenia?

Dnie schodzą im szybko przy zajęciu i nawet Sokomé nie ma wiele czasu na tęsknotę za piękną Yangą. Muszą przecież odrobić jadło i kąt na okręcie, choć i tak kapitan ściągnie po półtora funta pasażu za głowę od przyszłego ich pana.

Przybyli nareszcie do Starego Kalabaru i tam znaleźli służbę u ajenta wielkiej faktoryi, gotowej wymienić wszystko, co tylko cywilizacja dać może, na olej palmowy lub kauczuk. Gdyby tą drogą

można było zbywać przekonania polityczne lub cnoty domowe potężnego Albionu, faktorya z rozkoszą byłaby prowadziła i ten handel, — że jednak podobne towary nie znajdowałyby pokupu wśród miejscowych kacyków, znakomita firma "Bartley Brothers et Comp." musiała poprzestawać na dżynie, rumie, tytoniu, broni, perfumach, świecidlach, parasolach i t. p.

Ale służba w niej była bardzo dobrą.

Każdy boy (chłopiec, robotnik) dostawał dziennie funt ryżu i funt świeżych ryb, co okraszone olejem palmowym, podbieranym zręcznie z faktoryjnych kadzi, stanowiło przepyszną potrawę. Na niej samej można się było utuczyć, a przecież nikt im nie bronił piec plantany w popiele, gotować kokę lub bataty i zajadać się doskonałą zupą banga, ze świeżych palmowych śliwek wyciśniętą. W niedzielę zaś każdy otrzymywał po funcie solonego lub świeżego mięsa i butelkę rumu na dwóch. Skoro się więc miało takie jedzenie, to się miało niemal wszystko, czego dusza w czarnem ciele zapragnąć może. Ach! gdyby Kartezjusz urodził się był w Tabu, z pewnością

filozoficzne swoje postulaty zamknąłby w określeniu: "Jem, a więc jestem."

Nie brakło też naszym zuchom i na innych, bardziej duchowych rozkoszach. W sąsiedniej faktoryi zastali współbraci, partyę boyów z Tabu, którzy na kilka miesięcy przed nimi opuścili rodzinne wybrzeża; było więc w święta z kim się nagadać, a wieczorami przy ogniskach i tamtamach urządzać wielkie, długo w noc przeciągające się NyangaNyanga (zabawy).

Co się tyczy pracy, ta w dnie parowców z Europy i do Europy bywała piekielną, w zwykłym trybie rzeczy dostateczną, aby pobudzić to boskie uczucie, zwane apetytem; zdarzały się zaś chwile świętego próżnowania i swobody, gdy pan ajent miał gości lub sobie trochę podchmielił.

Wśród tego wszystkiego Sokomé nie zapominał o Yandzie i jej naszyjniku. Skoro tylko próg faktoryjnych składów przestąpił, bys rem spojrzeniem ogarnął nagromadzone tu europejskie cuda, ale nie dostrzegł nic podobnego do upragnionego przez kochankę klejnotu.

Zmartwiło to go bardzo, ile ze angielskiej mowy znając tylko sześć wyrazów, nie wiedział, jak się wziąć do tego, aby się w tej ważnej sprawie ze swoim panem porozumieć.

Los jednak sam przyszedł mu z czasem w pomoc.

W Kalabarze i wogóle na całym zachodnim brzegu jest taki zwyczaj, że boye dostają całkowitą zapłatę nie w pieniądzech, lecz w naturze i dopiero po ukończonym roku służby; ale wolno im w trakcie tego wziąć na tak zwany book (książkę) co zechcą towarów, byle wartość ich nie przekraczała nigdy połowy należnej im kwoty. Do książki tej zapisują się także i stracają pilnie dni robocze, opuszczone z powodu choroby lub innych przyczyn, oraz takie, które się wykreślają jako kara za niedbalstwo, lenistwo i hardość. Jest to doskonały systemat: Murzyn ćwiczy się w moralności i przestrzeganiu zasad higieny, a pan jego ma czysty zysk.

Wszyscy towarzysze Sokomego korzystali z przywileju; nie było tygodnia, żeby który z nich nie wziął "na książkę" to butelki rumu, to kawałka pachnącego

mydła, to yarda bawełnianej materyi. Tylko książka Sokomégo pozostawała czystą, jak sumienie nowonarodzonego dziecka.

Zwróciło to uwagę jego pana i zagadnął go o przyczynę tej wstrzeźliwości, a było to już w piątym miesiącu jego służby, kiedy Sokomé mógł nie tylko zrozumieć, ale i odpowiedzieć tak zwaną "gołębią angielszczyzną," to jest żargonem, z którym w Londynie można zostać sprzedanym i kupionym, nie znając swojej ceny.

— Massa — rzekł Sokomé, — mam wielki bardzo sprawunek i nie wiem, co on kosztować będzie. Muszę się więc oszczędzać, aby mi starczyło potem i na dużo innych rzeczy, bo umarłbym ze wstydu, gdybym wrócił do mego kraju z kuferkiem, w którym grzechotałoby jak w suchej kalabasie.

Samo się przez się rozumie, iż większą część tego pięknego i rozumnego zdania wypowiedział na migi, ale pan ajent, obeznany z murzyńską pantomimą, nie potrzebował więcej, aby wejść jeżeli nie w szczegóły, to przynajmniej w myśl przewodnią Sokomégo.



— Cóż to za sprawunek? — zapytał łaskawie.

Dnia tego był w świetnym humorze. Udało mu się kupić kilka worków orzechów palmowych od przybyszów z głębi za pakę fuzji skałków, które miały tylko tę jedną wadę, że nie chciały strzelać. Zresztą były to śliczne i doskonałe fuzye, a wiadomo, iż rzeczy, którymby żadnego zarzutu postawić nie można, znajduje się nadzwyczaj mało na świecie; cóż dopiero w afrykańskim handlu.

Sokomé, ośmielony dobrocią pana, zwierzył mu się jednocześnie z tajemnicy swego serca i ze swego kłopotu; opisał, jak umiał najlepiej, piękność Yangi i wymagane przez nią zalety błękitnego naszyjnika, i zapytał wreszcie: jakim sposobem mógłby się znaleźć w posiadaniu tego ostatniego?

Przedstawiciel znakomitej firmy "Bartley Brothers et Comp." zamyślił się chwilę.

— Jest to rzeczywiście bardzo kosztowny sprawunek — rzekł — i gdybym był na twoim miejscu, Sokomé, dałbym sobie pokój zmami (kobietą), mającą tak rujnująco zachcianki. Ale to już rzecz

twoja. Jeżeli chcesz, napiszę do Anglii pierwszym parowcem, a za dwa miesiące będziesz miał naszyjnik, jakiego pragniesz.

Czarne oczy Sokomego błysnęły. W szerokim uśmiechu ukazał wszystkie swe białe zęby z wypilowanym w dwóch przednich rowkiem, wedle uświęconego tradycją zwyczaju w Tabu.

— Dziękuję, massa — rzekł, na dowód głębokiej wdzięczności dotykając kilkakrotnie dłonią swej wspaniale rozwiniętej piersi. — Obiecałem, więc dotrzymać muszę bądźcobądź. Ale zawsze chciałbym wiedzieć, ile to będzie kosztowało.

Pan agent pomyślał znowu chwilę. Był to naprawdę dzień szczęśliwy, godzien naznaczenia białym kamykiem w kalendarzu handlowym. Zazwyczaj boye nie miewają podobnych fantazyi. Biorą towary rozpowszechnione na brzegu, kubek w kubek takie same, jakie brali ojcowie i dziadkowie ich pokolenia i na które są stałe ceny. W takich warunkach zarabia się na nich sto, najwyżej sto pięćdziesiąt za sto — skromny, uczciwy procencik, niby kupon od zastawnego listu wszelkich tru

dów, niebezpieczeństw i ryzyka operacji finansowych na czarnym lądzie.

Ale w tym wypadku nadarzała się sposobność zarobienia czterysta, nawet pięćset za sto. Sokomé miał ten piękny ogień nieopatrzności w oczach, tak znany europejskim jubilerom, gdy rozkochani młodzieńcy kupują u nich zaręczynowe pierścionki. Europejscy jubilerowie! powiedzcie z ręką na sercu: Czy nie zdarza wam się upiec małej, maleńkiej pieczonki nadprogramowego zysku przy takim ogniu? Cóż dopiero, gdybyście byli agentami afrykańskiej faktoryi, a klientem waszym był murzyn z Tabu!

Więc też przedstawiciel firmy "Bartley Brothers et Comp." był zupełnie w porządku z obowiązującą w takich razach etyką, gdy po krótkim namyśle odpowiedział:

— Nie chcę nadużywać twego zaufania, Sokomé! Pragnę, abys się przekonał, iż biały człowiek zawsze tylko sprawiedliwością się rządzi i dba o cudze dobro, jak o własne. Nie tak, jak wy, buszmani, coabyście z białego skórę zdarli, gdybyście mogli. Mógłbym ci na

twój naszyjnik nałożyć taką cenę, jakąby mi się podobało, nieprawdaż?

— Prawda, massa — odparł Sokomé trochę zalęknionym głosem, gdyż ten początek obudził w nim jakieś złe przeczucia.

— Otóż widzisz. Takby postąpił każdy czarny. Ale ja jestem człowiek biały, a co najwięcej znaczy, Anglik. Nie chcę nawet jednego penny na tym interesie zarobić, bo mam do ciebie słabość, Sokomé. Jesteś dzielnym chłopcem, Sokomé. Policzę ci tylko tyle, ile naszyjnik na miejscu wraz ze sprowadzeniem kosztować będzie.

— A to będzie, massa? — zapytał jeszcze uspokojony po części Sokomé.

— To będzie... cztery miesiące twojej służby — odrzekł agent, który w istocie lubił roztropnego i zwinnego Sokomégo i skutkiem tego powziął wspaniałomyślne postanowienie, że chociaż powinno się tu zarobić pięćset, on poprzestanie tylko na czterystu dwudziestu pięciu za sto.

— Cztery miesiące! — powtórzył Sokomé i mimowoli brwi ściągnęły mu się trochę, a czarna podłużna kresa, jaką

miał wytatuowaną pośrodku czoła, lekko krwią nabiegła. Przypomniawszy sobie jednak słowa Yangi: "Ten tylko będzie moim mężem, kto mi te perły na szyi zawiesi" i uczuł się bardzo szczęśliwym.

Rozpromieniony, podziękował raz jeszcze dobremu panu i wrócił do roboty, a im bardziej nad tą sprawą rozmyślał, tem więcej w niej powodów do zadowolenia znajdował:

Cóżby to było, gdyby naszyjnik kosztował nie cztery, lecz dwadzieścia miesięcy jego służby, lub gdyby go wcale nie można było sprowadzić? W pierwszym wypadku musiałyby powrócić do kraju z temi tylko perłami za cały majątek w pustym kuferku; w drugim nie pozostawałoby mu nic innego, jak wyrzec się Yangi i chyba utopić się z rozpacz.

Wieczorem radość jego jeszcze wzrosła, podniecona postronkami okolicznościami. Bywa tak czasem, że wszystko złoży się na doskonałą harmonię szczęścia w duszy człowieka, zupełnie jak gdyby cały świat o niczem innym nie myślał, tylko o zaspokojeniu jego pragnienia.

Właśnie dnia tego w faktoryi padł z niewiadomej przyczyny piękny, tłusty

wieprz i pan oddał go boyom na ich wyłączny użytek. Natychmiast dano o tem znać "braciom" z sąsiedniej faktoryi i zaproszono ich na tak niezwykłą ucztę, a ci, jako znający się na prawie wzajemnych uprzejmości, przynieśli z sobą kilka butelek dżynu i rumu.

Noc była prześliczna. Rozpalono wielkie ognisko pod gołym niebem; chorowity, ale utalentowany Uaró, który, jako najslabszy, na kucharza partyi wyznaczony został i niczem innym się nie zajmował, przeszedł samego siebie tym razem.

Drobno pokrajane kawałki wieprzowiny wymieszał z ryżem i suszoną rybą; zalał to olejem palmowym, wsypał garść krajowego pieprzu, żeby boyom aż świece w oczach stawały, a rum płynął przez wyparzone gardło jak woda, dołożył trochę okro, bodaj nawet kilka z pańskiej kuchni cichaczem przyniesionych cebul, i gotował wszystko w ogromnym kotle, mieszając polanem, gdy z drugiej strony ogniska piekły się pyszne szynki z rozkosznym skwierczeniem słoniny i miłą wonią opalonej sierści.

Nie dziw też, że gdy Sokomé zasiadł wraz z towarzyszami na ziemi dokoła

wesoło buchającego płomienia, gdy zjadł czubatą cynową miskę ryżowego czopu, zakąsił to sporym kawałem pieczonej wieprzowiny i popłukał blaszanką, wonnego rumu, gdy nadto pomyślał o naszyjniku, który już tak jakby miał w ręku, świat przyodziął się blaskiem w jego oczach i kochanek pięknej Yangi zapragnął ulżyć pieśnią wezbranemu sercu.

Bo myliłby się, ktoby sądził, że olej palmowy i wieprzowina nie są dobrymi przewodnikami poezyi. To zależy, jak, kiedy i gdzie. A myliłby się jeszcze bardziej ten, ktoby wątpił w poetyczność młodzieńców z Tabu. Są oni nie tylko poetyczni, ale i wysoce muzykalni i wrażenia swoje chętnie w chóralne śpiewy przelewają. Chcąc jednak ocenić je należycie, trzeba koniecznie wyjść z tego założenia, iż ta muzyka jest najpiękniejszą, którą jak najdalej słyhać — inaczej najkunsztowniejsze melodye z brzegów Tabu mogłyby się łatwo melomanowi o zacieśnionem pojęciu harmonii wydać niesfornym i przerażającym wrzaskiem.

Uczuł się więc Sokomé natchnionym; powstał, i zaczerpnąwszy powietrza w piersi, wystąpił przed zgromadzeniem w po

dwójnym charakterze — improwizatora i śpiewaka. Oto pieśń jego:

— "Cieszymy się, bo mamy dobrego massę! Inny massa byłby sprzedał wieprza buszmanom z Kalabaru (), nasz massą nam go darował." "Cieszymy się i życzymy sobie, żeby jak najwięcej wieprzów zdychało u naszego massy, gdyż zabitego massaby nam nie oddał. " "Biali ludzie są to dziwni ludzie. Nie wiedzą, że tak, czy inaczej, mięso jest zawsze mięsem. Olalé, Olalé, Olalé!"

— Olalé, Olalé, Olalé! — zagrzmiał chór, a wybierając z improwizacji Sokomégo to, co mu najbardziej do przekonania trafiało, powtórzył z mocą:

— Cieszymy się i życzymy sobie, żeby jak najwięcej wieprzów zdychało u naszego massy!

Dwa tamtamy rytmicznym klekotem towarzyszyły tym potężnym recitativom, a gdy umilkły, Sokomé śpiewał dalej:

— "Rum naszego massy jest mocny. Gdy wrócimy do Tabu, każdy z nas mu

si zabrać z sobą baryłkę tego przewybornego rumu, żeby sprawić radość w swojej chacie." "Zapachy () naszego massy przyjemnie lechcą w nosie; nie giną prędko, jak inne; gdy się nimi natrzeć, żadna zła mucha nie będzie jadła naszego ciała." "Trzeba zabrać dużo tych zapachów do Tabu. Jakże je będą wachać nasze yunuby. Nasze yunuby, które są zanadto pięknymi kobietami. Olalé, Olalé, Olalé!"

Chór wybuchnął śmiechem dumy i zadowolenia i powtórzył, uderzając się po biodrach:

— Olalé, Olalé, Olalé! Nasze yunuby, które są zanadto pięknymi kobietami!

Długo w tym duchu śpiewał Sokomé z akompaniamentem tamtamów i coraz głośniejszych okrzyków rozgrzanego rumem i pieśnią chóru, aż z epickiego tłómacza ogólnych uczuć przeszedł, sam nie wiedząc jak, na skromniejsze, lecz wdzięczne pole egotyizmu.

— "O Yango! Yango! — zanucił z melancholijnym niemal oddźwiękiem w głosie — gdybyś tu była, cieszyłabyś się jeszcze bardziej, niż my wszyscy. Nie tylko dostałabyś ryżu i mięsa, tłustego, wieprzowego mięsa, ale Sokomé powiedziałby ci, że będziesz miała twój naszyjnik, naszyjnik z błękitnych pereł w trzech rzędach, przegradzanych złotymi gwiazdami. Żaden z "braci" nie przywiezie swojej yun u b i e tak pięknego podarunku. Cztery miesiące pieniędzy kosztować mnie będzie ten naszyjnik. Tak powiedział massa. Gdy zostaniesz moją żoną, odrobisz mi to, Yango, z pewnością, wytłaczając olej pilniej, niż inne żony, i będziesz mi plotła duże, mocne maty. Ach! jakże dobrą żonę mieć będzie Sokomé za ten naszyjnik. Olale, Olale Olale!"

Tu podskoczył Sokomé w górę, klaszcząc w ręce i uderzając się dłońmi po piętach, a cały chór, podniecony do najwyższego stopnia, powstał także i tańczył, i klaskał w ręce i bił się dłońmi gdzie popadło, rycząc po prostu z zapałem, przynoszącym zaszczyt jego altruistycznym uczuciom:

— Olale, Olale, Olale! Jakże dobrą żonę mieć będzie Sokomé za błękitny naszyjnik!

Znajdował się przecież ktoś, niebiorący udziału w ogólnej wrzawie i uczcie. Tym kimś był młodzian imieniem Tai, należący do owej drugiej partii, którą Sokomé i jego towarzysze zastali już w Kalabarze. Był on zazwyczaj małomówny i ponury, ale powiadano o nim, że jest "zanadto" mądry.

Z początku podśpiewywał i wyjątkowo śmiał się wraz z innymi — bo czego nie dokaże cudowny wpływ wieprzowiny i rumu! — ale gdy tylko Sokomé wymówił imię Yangi, Tai spojrział na niego "żółtym wzrokiem" i zacisnął pięści, mruknawszy przez zęby szkaradne przekleństwo.

Wiadomem było, że Tai na wyjeźdźnym oświadczał się także pięknej Yandze, lecz gdy mu postawiła warunek naszyjnika, splunął w bok i odwrócił się od niej, nie powiedziawszy ani słowa więcej.

Swoją drogą nieznośnie mu było słuchać teraz, jak Sokomé chełpi się jej wzajemnością i swym sutym podarkiem i jak wszyscy radują się jego przyszłemu szczęściu. Wycofał się więc z koła, sięgnął

po stojącą opodal butelkę z trochę nafty, i przysiadłszy obok dogasającego ogniska, zaczął nią pilnie wycierać sobie stopy i szukać w nich dzygów, aby w ten sposób całą swą pogardę nienawistnemu rywalowi okazać.

Ale upojony szczęściem Sokomé nic widział tego. Był w usposobieniu, w jakim nie zwraca się uwagi na dasy bliźnich.

Minęło dwa miesiące. Kiedy już można było spodziewać się nadejścia naszyjnika, Sokomé nie miał ani chwili spokojnej. Przerzywał najpilniejszą robotę i po kilkanaście razy na dzień wybiegał na brzeg rzeki, wysyłając po niej na zwiady swe sokołe oczy; a że w ruchliwym i wielce handlowym Kalabarze parowce z Europy są częstym zjawiskiem, zdarzało mu się wpadać z impetem do pokoju ajenta i zwiastować mu z uniesieniem: "Mass! steamer live, for come!" (Panie, parowiec żyje, żeby przyjść), a potem doznawać srogiego zawodu, bo okręt przychodził, ale bez naszyjnika. Wreszcie przyszedł taki, co go przywiózł. Gdy pan, przejrząwszy bill of leadinig (wykaz przybyłych towarów),

obwieścił mu to, Sokomé o mało nie upuścił w morze ciężkiej skrzyni z konserwami, którą właśnie na serfboat ładował, i przez resztę dnia był jak nieprzytomny.

Nazajutrz przystąpiono do otwarcia paki, w której między innymi towarami miał się znajdować cenny klejnot. Sokomé sam ją odbił i skaleczył się gwoździem w palec z wielkiego wzruszenia. Naszyjnik przyszedł w osobnym podłużnym pudełku, owiniętym bibułą i wyłożonym watą. Pan, widząc, że Sokomému latają palce, jak w febrze, otworzył je własnoręcznie.

— Patrz, Sokomé! — zawołał. — Szczęśliwy z ciebie chłopiec, Sokomé. Masz naszyjnik, który przejdzie chyba twoje oczekiwanie.

Na białem posłaniu waty, jak wielkie krople krwi, czerwieniły się cudne, ponsowe perły, a każda z nich połączona była z drugą za pomocą srebrnej, przezroczystej wyrabianej kulki. Perł tych było tylko dwa rzędy, ale zamiast trzeciego zwieszał się ku dołowi cały las srebrnych i ponsowych trzęsideł, które, gdy pan naszymyjniem przed oczyma Sokomégo

mignął, delikatny a przeciągły dźwięk wydały.

Sokomé spojrział, otworzył usta i podniósł ręce do głowy takim ruchem, jak gdyby zamierzał wydrzeć sobie ze dwie garście włosów; ale że rodzaj jego fryzury zabezpieczał go stanowczo od losu Absalona, więc ujął tylko wygoloną czaszkę w obie dłonie i zaczął nią chwiać na prawo i na lewo, z przeciągłym, żalosnym zawodzeniem.

— Co tobie, Sokomé? — zawołał pan wystraszony, myśląc, że biedny chłopiec ze zbytku radości zwaryował.

— O massa! massa! — wyjęknął nakoniec Sokomé. — To nie jest mój naszymyjniem.

— Jaktó nie twój? Przecież go dla ciebie sprowadziłem.

— Nie, massa, nie! Mój miał być błękitny ze złotymi gwiazdami. Takiego chciała Yanga. Powiedziała mi to wyraźnie...

O Yango! Yango! Jakże ja się teraz przed tobą pokażę? Jakże mi wrócić do Tabu?

I niezdolny dłużej pohamować swej boleści, z głośnym łkaniem rzucił się na ziemię, drapiąc ją paznokciami.

Przedstawiciel firmy "Bartley Brothers et Comp." ulitował się nad nieszczęsnym Sokomé, co mu tem łatwiej przyszło, iż obliczył prędko, że na litości swojej będzie mógł znowu czterysta dwadzieścia pięć za sto zarobić.

— Nie rozpaczaj tak, Sokomé — rzekł. — Niema jeszcze nic straconego. Musiałeś mi niedokładnie opisać twój naszymyjniem i zaszła pomyłka. Napiszę do Anglii i przyślą drugi, błękitny ze złotymi gwiazdami. Co się zaś tyczy tego, to aby ci dać dowód, jak cię lubię, Sokomé, przyjmę na siebie połowę straty. Wpiszę ci na książkę tylko dwa miesiące; drugie dwa ci daruję. Może znajdzie się kiedyś ktoś, co kupi ten naszymyjniem, chociaż bardzo wątpię. Ale to już nie twoja troska. Chcę, abyś się raz jeszcze przekonał, jak biały człowiek umie być wspaniałomyślnym.

Wspaniałomyślność ta tak dalece olśniła biednego Sokomégo, że nie przyszło mu nawet do głowy zastanowić się, dlaczego pan, dzieląc się z nim połową straty, nie podzielił się również naszymyjniem, lecz zatrzymuje go na swą wyłączną własność?

Nie czuł się zdolnym w tej chwili do żadnego rozumowania, zresztą ponsowy naszyjnik ze srebrnymi trzęsidłami nie miał w oczach jego żadnej wartości, a nawet widok jego był mu po prostu wstrętnym. Byłby wolał raczej dotknąć się węża, niż tych krwawych pereł.

Pocieszony trochę, podziękował panu i ze spuszczoną głową wrócił do roboty. Tai, dowiedziawszy się, co go spotkało, uśmiechnął się złośliwie, ale według swego zwyczaju spluwał tylko i nic nie rzekł.

Tymczasem skończył się rok partyi Tabuczyków z sąsiedniej faktoryi i nastąpiła ich wypłata. Zdarza się często, że boye, nie znajdując wszystkiego, co im się podoba u swego pana, chcą poczynić niektóre zakupy gdzie indziej. Wtedy pan wydaje im kartki na pewną oznaczoną sumę towarów, a rachunki za nie załatwia z kolegą, naturalnie po cenach fabrycznych.

Wypadek taki zaszedł i tutaj, i kilku z nich, pomiędzy nimi Tai, przyszło w charakterze kundmanów do faktoryi, w której służył Sokomé.

Ajent przeprowadził ich do tej części składów, gdzie znajdowały się wyłącznie

przedmioty, na handel z Krumanami przeznaczone. Więc najróżniejsze wyroby bawełniane i tak zwane madrasy, więc koszule flanelowe, więc kolczyki, pachnidła, fuzye, brzytwy, siekiery, nożyczki, parasole, kapelusze, kłódki, blaszane kuferki, baryłki z prochem i ze śrutem, nie mówiąc naturalnie o zielonych skrzynkach z dżynem i oplatanych butlach z rumem, bo te są drogie każdemu murzyńskiemu sercu bez wyjątku.

Na wielkim stole pośrodku leżał w otwartym pudełku ponsowy naszyjnik, położony tu ot tak, na traf, przezorną ręką. Zakupy szły żwawo. Tai, zasępiony, stał z boku, czekając, aż się jego towarzysze załatwią; tylko od czasu do czasu z ważkich jego oczu strzelał przelotny błysk i nozdrza rozdymały się lekko, gdy ajent niby od niechcienia temu lub owemu proponował nabycie naszyjnika, ale żaden nawet na niego nie spojrzał.

Tai przystąpił do stołu ostatni. Wybrał sobie pół tuzina koszul, parę dobrych kłódek i popielaty filcowy kapelusz.

— Massa — rzekł, wyciągając rękę, — jabym kupił także ten naszyjnik.

Ajent żywo zwrócił się ku niemu. Przynajmniej jeden, który miał dobry gust.

— Ten naszyjnik? — powtórzył — owszem, mój chłopcze. To prześliczna rzecz.

— Żaden z moich braci go nie chciał — ciągnął dalej Tai ospałym, stłumionym głosem, — ale jabym go wziął. Ile on kosztuje, massa?

Ajent pomyślał, że jeśli na Sokomem, którego lubił, chciał mieć zysku czterysta dwadzieścia pięć, to na Taim, który mu był obojętnym, nie tylko może, ale powinien zarobić pięćset trzydzieści. Inaczej, jakażby to była sprawiedliwość? Zważywszy zatem, iż wartość naszyjnika była już w trójnasób przeszło pokrytą dwumiesięczną pensją Sokomégo, rzekł:

— Ten naszyjnik jest bardzo drogi. Wyjątkowo tylko mogę ci go odstąpić za trzy miesiące twojej pensyi. Upewniam cię, Tai, że robisz doskonały interes. Gdybym go dla ciebie z umysłu sprowadzał, kosztowałby cię sześć miesięcy pensyi. Rozumiesz?

— Rozumiem, massa — odrzekł Tai apatycznie. — Ale ja go za te pieniądze

nie wezmę. Mogę dać tylko miesiąc pensyi.

Ajent osłupiał. Krumani nigdy się prawie nie targują. Wiedzą, że ceny są stale, i po takich biorą. Tajemnica tak zwanych articles d'occasion jest im całkowicie nieznaną.

— Jesteś wielki głupiec, Tai — rzekł, powściągając z trudem oburzenie. — Cóż ty sobie myślisz, że błądy człowiek będzie zmieniał swoje słowo, jak lada buszman?

— Ja nic nie myślę, massa — odparł Tai, kierując się ku drzwiom, — tylko nie mogę dać więcej, jak jeden miesiąc pensyi, bo za wszystkie inne już wybrałem towarów.

Ajent cisnął mu pudełko.

— Masz! To po prostu darowane. Gdybyś nie był tak zuchwały, nie zapłaciłbyś ani jednego penny, chociaż i tak masz go tak dobrze jak darmo. Daję ci go za ten jeden głupi miesiąc, żebyście wy, buszmani z Tabu, wiedzieli, jak biali ludzie są hojni!

— O! tak, massa! ja im to powiem — upewnił go Tai z taką miną, iż agent był blizkim wymierzenia mu policzka.

Wstrzymał się wszelako, ale po wyjściu boyów rzekł do starszego clarka:

— To sprytne bydlę! Gdyby takich więcej było, musielibyśmy chyba zamknąć budę.

— Oh, yes! — potwierdził clark, tak błądy, że nawet jego piegi, jakimi miał twarz obsypaną, zdawały się chorować na brak barwnika. — Na szczęście, wielu takich niema!

Spełniły się nakoniec pragnienia Sokomégo. Naszyjnik przyszedł kropla w kroplę taki, jak go opisała Yanga. Sokomé długo mu się przypatrywał i ustawiał pudełko z nabożeństwem na dnie pustego jeszcze rozpaczliwie kuferka. Ale stracił jakoś serce do wieczornych improwizacji przy ognisku, bo też, co prawda, żaden wieprz nie padł w faktoryi i nie było czem podnieść boskiej iskry natchnienia.

Gdy nadszedł czas ostatecznej wypłaty, Sokomé starał się wybierać takie przedmioty, któreby przedewszystkiem imponowały objętością lub liczbą, i dzięki temu systemowi było mu prawie tak samo trudno domknąć wieko kuferka nad



spiętrzonymi w nim skarbami, jak jego towarzyszom. Z bólem serca jednak musiał się wyrzec kupna fuzyi, która była jego marzeniem na własną rękę, i za ledwo na spółkę z chorowitym Uaró mógł nabyć niewielką damzanę (oplataną butlę) rumu. Ale, jakby w nagrodę za te dwa ciernie upokorzenia, spotkało go wielkie szczęście. Pan, który po tak pomyślnych transakcjach z dwoma naszyjnikami jeszcze bardziej go polubił, podarował mu śliczny flanelowy garnitur, swoje własne paydzames (nocne ubranie) prawie nowe, w którym lekał się sypiać z tej przyczyny, że będąc zielonego koloru, bardzo podejrzanie farbowało. Ale Sokomé drwił sobie z nieznanego mu zresztą niebezpieczeństwa zewnętrznego zatrucia arsenikiem i nie wątpił, że gdy się ubierze w te bufiaste spodnie w białe i zielone paski i takież kaftan, suto zieloną tasiemką naszywany, wszystkie yunuby oglądać się za nim będą, a Yanga będzie się pyszniła wspaniałe ustrojonym mężem, bardziej nawet niż naszyjnikiem. Czas podróży dłużyl się mu niezmiernie; ale że wszystko kończyć się musi,

więc i Sokomé doczekał tego błogosławionego dnia, kiedy wiozący ich okręt stanął znowu na pełnym morzu wprost żółtego wybrzeża Tabu i zapiszczał całą siłą pary. I oto znowu na łądzie robi się zamęt nieopisany, a młodzieńcy nasi, pięknie przybrani we flanelowe koszule, w jaskrawe madrasy i cloth'y dokoła bioder, w kapeluszach i w fezkach na głowach, żeby sprawić wrażenie, stoją u burtu i zaczynają wrzeszczeć i machać rękami na widok odbijających łodzi, na których także machają rękami i także wrzeszczą, jak można wywnioskować z szeroko pootwieranych ust, bo zbyt wielka przestrzeń dzieli jeszcze witających i witanych, żeby się wzajem słyszeć mogli. Ale co to szkodzi? W końcu się usłyszą. Usłyszeli się. Wrzaski zmieniają się w huragan; rój piróg otacza okręt. Niecierpliwi, gardząc sznurową drabinką, skaczą z wysokiego burtu wprost w wyciągające się ku nim ramiona rodziny i przyjaciół, a za nimi, jak grad, lecą ich kufarki, i fuzye, i beczułki i skrzynki i cały ich dobytek, i padają gdzie co trafi:

w pirogę — to w pirogę, w morze — to w morze, na głowę komu — to na głowę. Kapitan jest niecierpliwy człowiek i nie może sobie robić z lądowaniem Krumanów wielkich ceregieli. Że tam sobie jaka baryłka prochu zamoknie, lub w ogólnym rozgardyaszu i pośpiechu ten lub ów przedmiot pójdzie na dno, albo potrącona piroga wyróci się ze swoją załogą, że się przytem ci i owi poczubią i guza oberwą — to już są drobnostki, jakimi zaprzatając się, tak dostojny mąż ubliżyłby swojej godności. On co najwyżej może z cygarem w ustach stanąć na pokładzie i dla dodania im animuszu krzyknąć: — No! żwawo, bydło, żwawo! Clear out! (Precz stąd!).

Sokomé w swoim paydzamas skacze także do pierwszej lepszej pirogi. Ta, czy druga wszystko mu jedno, bo w żadnej nie widzi Yanga.

— Gdzie Yanga? — pyta zaniepokojonym głosem; ale wśród zgiełku i wrzawy nikt mu nie odpowiada.

Dobili do brzegu. Sokomé pozostawił towarzyszy, witających się z tymi, którzy

na okręt nie zdążyli, i porwawszy naszyjnik z kufierka, pędem ku wsi pobiegł.

Droga wiodła koło chaty Taiego. Sokomé nie poznał jej — tak wyglądała czysto, a jej plecione bambusowe ściany błyszcząły jak wypolerowane. Ale gdzie mu tam było patrzeć na ściany!

Przed chatą stała Yanga, tak piękna, że Sokomé doznał jakby olśnienia na jej widok... Czy tak wypiękniała przez ten rok, czy też wdzięki jej podnosił do tego stopnia... ponsowy naszyjnik, okalający jej szyję?

Sokomé stanął jak wryty... W jednej chwili zrozumiał straszną prawdę. Yanga była żoną innego.

— O Yango! — wykrzyknął — cóżeś uczyniła? Wszak przyrzekłaś czekać cierpliwie, aż ci przywiozę błękitny naszyjnik!

— Przyrzekłam — odpowiedziała Yanga spokojnie, — ale nie wiedziałam, że przez ten czas zobaczę inny, który mi się bardziej podobać będzie.

— Ależ, Yango! — zawołał Sokomé, czując, że mu się w głowie miesza. — Ten naszyjnik był moim. Massa go dla mnie

sprowadził. Zapłaciłem za niego dwa miesiące służby. Nie chciałem go wziąć, boś mi powiedziała, że musi być koniecznie błękitny i przegradzany złotymi gwiazdami. Widzisz, trzymam go w ręku. Cztery miesiące służby mnie kosztował... A ty...

Yanga wzruszyła ramionami.

— Jesteś zanadto głupi, Sokomé — odparła. — Przypatrzże się sam. Czy podobna przy tym naszyjniku spojrzeć nawet na tamten?

I mówiąc to, zadzwoniła zalotnie trzęsidłami, opadającymi na jej krągłe piersi, i wżgardliwie wydeła usta, wskazując na niepotrzebny już dar, jaki Sokomé trzymał wciąż w ręku.

Jemu twarz zrobiła się prawie popielatą z czarnej, a w skroniach waliło jak młotem.

— I któż? — zaczął po chwili, ale nie dokończył.

W otworze wejściowym chaty ukazał się Tai. Położył rękę na głowie Yangi i patrzył na swego rywala, uśmiechając się z tryumfem.

— Witam cię, Sokomé — rzekł szydersko. — Może wnijdiesz do środka i zobaczysz, jak piękne i mocne maty wyściełają moją chatę i ile oleju stoi w plecionych koszach? Yanga jest nadto dobrą żoną; miałeś słuszną ochotę wychwalać ją tak bardzo. Szkoda tylko, żeś się zawczasie jej dobrocią cieszył. Widzisz, ja za ten naszyjnik zapłaciłem tylko miesiąc pensji i mam Yangę, a ty straciłeś sześć miesięcy pensji i możesz się na twoim naszyjniku powiesić, bo ci się na nic innego nie przyda.

Nigdy jeszcze Tai nie był tak wymownym, ale też mściwa radość dziwnie rozwiązuje usta.

— Powieś się, Sokomé — dodał po chwili, — to jedyna mądra rzecz, jaką możesz uczynić. Spotkały cię trzy hańby, za które całe Tabu palcami wytykać cię będzie: Biały cię oszukał, Yunuba cię zdradziła i twój współzawodnik natrzęsa się z ciebie.

Po tych słowach Tai rozśmiał się głośno i wszedł do chaty, a za nim, śmiejąc się także, weszła Yanga, nie spojrzawszy nawet na nieszczęsnego Sokomégo, który

pozostał na miejscu jak martwy, z opuszczonymi rękoma, z których sączyła się krew...  
To perły szklane, konwulsyjnie ściśnięte w dłoni, pogmiotły się i pokaleczyły mu palce...

KWIATY NIEWIernoŚCI.  
LEGENDA AFRYKAŃSKA.

Daleko, bardzo daleko od brzegu morza, za górami, których nigdy stopa białego człowieka nie przebyła, leży kraj piękny i szczęśliwy, z nazwania nawet białym ludziom obcy. Palmy tego kraju wydają najmocniejsze wino i najsmaczniejszy olej, na dnie błękitnych rzek jego więcej jest złota niż piasku, a błogosławione owoce kuli rosną tam obficie, wbrew temu, co powiadają mędrcy, że kula koniecznie bliskości morza potrzebuje. Władcą tej szczęśliwej krainy był owego czasu potężny kacyk Itoki, co znaczy — słońce. Miał on pałac o czterdziestu krużgankach i czternastu podwórzach. Dokoła tego pałacu żyło i pracowało na swego pana czternaście tysięcy niewolników, a po krużgankach podwórców nie

wiaś przechadzało się sto czterdzieści żon jego, jedna piękniejsza od drugiej.

Itoki miał już dziewięćdziesiąt lat, a niektóre z żon jego liczyły zaledwie po piętnaście, ale pomimo to wszystko okazywały mu najżywszą miłość. Gdy się znalazł pośród nich, nie było na świecie bardziej upieczzonego człowieka. A jednak Itoki nie wyglądał na szczęśliwego. Dopóki młodość krasila jego oblicze, smutek nigdy na niem nie zagościł, ale w miarę, jak się starzał, przychodziły na niego dziwne myśli, które go napelniały goryczą i zwątpieniem. Opuszczając komnaty żon swoich, mawiał do siebie:

— Czy podobna, aby mnie one tak gorąco kochały, bez względu na moje siwe włosy i pomarszczone lice? Oto są pomiędzy nimi takie, których mógłbym być pradiadkiem, a te mi się wydają najczulsze. Ja przecież mam ich tyle i starczy mi serca dla każdej, a one mają tylko mnie jednego. Czyżby ich serca były tak małe uczuciem, lub tak wielkie uczuciowością? Mówię: mam ich tyle... a ileż już ich miałem! Imion ich nawet

nie pamiętam... Pomarły młodo, dając życie dzieciom, lub z woli Wielkich Duchów. Tamte wszelako mogli mnie kochać sercem, bo byłem młody i urodziwy...

Jak z tych rozmyślań kacyka Itoki pokazuje się, acz mąż wszelkiej cywilizacji obcy, miał on wysoce jasny pogląd na rzeczy, może właśnie dlatego, że mu go cywilizacja przyćmić nie zdołała.

Bądźcobądź, niewesoło mu było z tym poglądem; zaczął tracić sen i apetyt, co widząc troskliwi dworzanie, wezwali do niego słynnego mędrca, który mieszkał odludnie w górskiej puszczy i o którym mówiono, że z samym Najwyższym Duchem obcował.

Itoki, skryty z natury, wzdragał się z początku powierzyć mędrcewi tajemnicę swych trosk, ale w końcu, pomyślawszy, że, jako mędrzec, musi go na wskroś przenikać, rzekł:

— Nie jestem zazdrosnym, ani mściwym, nie lubię jednak być oszukiwanym. Powiedz mi, starcze, co mam sądzić o kochaniu żon moich? Azali jest ono szczerze i czy niema w ich sercach zdrady?

— Potężny kacyku — odpowiedział tamten, — pytaj raczej o wszystko, niżli o to. Niema takiego mędrca, któregoby najgłupsza kobieta nie wyprowadziła w pole. Czegoś pewnego można się o nich dopiero po ich śmierci dowiedzieć. I tego nie każdy dokaże. Ale ja mam na to sposób...

— Ach! — rzekł Itoki — cóż mi z tego przyjdzie? Nie wskrzeszę ich, aby je ukarać przykładnie, jeżeli zawiniły.

— Zapewne — przytaknął mędrzec. — Ale po tych, które umarły, będziesz mógł sądzić o tych, które żyją. Wszystkie kobiety, gdy chodzi o wierność lub zdradę, o miłość lub ciekawość, są do siebie podobne.

Itoki nie był jeszcze przekonany.

— Nie! nie! — rzekł, potrząsając siwą głową. — O moje umarłe żony jestem spokojny.

I powtórzył mędrce to, co sam sobie mawiał często:

— One mnie kochały i były mi wierne, bo byłem młody i urodziwy.

Ale mędrzec uśmiechnął się tylko.

— O, wielki Itoki! — rzekł — jak to widać, że nie znasz kobiet. Mogły cię

właśnie zdradzać dla starych i brzydkich. Czy chcesz się o tem przekonać?

— Dobrze — odpowiedział po chwilowym namyśle Itoki. — Cóż mam uczynić?...

Mędrzec podniósł oczy w górę i głosem uroczystym zaczął mówić:

— Dwa razy na rok, przed porą wielkich deszczów i przed porą wielkiej suszy, idzie od gór, zamieszkałych przez Duchy Najwyższe, idzie na świat cały wicher ogromny, zwany Wichrem Prawdy. To jego nazwanie wiadome jest tylko mędrcom i sprawiedliwym, obcującym z Duchami, ale poznać go można po tem, że niema prawie takiego człowieka, któregoby nie kłw w oczy. Pod tchnieniem tego wichru, na pełni księżyca, wyrastają na grobach zmarłych dziwne kwiaty, które kwitną tylko noc jedną. Za kilka dni wicher taki nadlecieć ma właśnie. Skoro tylko dąć zacznie, a noc się uczyni i księżyc wnijdzie, udaj się, potężny kacyku, na to wzgórze za miastem, aloesami ogrodzone, gdzie w cieniu palm spoczywają ciała żon twoich. Ileż ich tam już pochowałeś?

— Myślę, że chyba z ośm tally () — odpowiedział kacyk, — ale dobrze nie pamiętam. Ostatni pogrzeb sprawiałem przed rokiem. Ta żona była mi najmniej miłą, bo we wczesnej młodości przyszła na nią choroba, która strasznie zjadła jej oblicze. Trzymałem ją przez miłosierdzie. Opowieści jej grobu nie jestem nawet ciekawy.

— Rozumny człowiek na nic oczu nie zamyka, bo zewsząd nauka nań spływać może — zauważył mędrzec i mówił dalej: — Idź zatem, wielki Itoki, pomiędzy mogiły i patrz pilnie. Która z żon niewierną ci była myślą, na tej grobie ujrzysz kwiatek biały, drobno centkowany, jakby kto rozstartą rdzą na niego dmuchnął. Zdrajczynię słowem będą miały mogiły upstrzone kwiatami czerwonymi jak krew; nad prochami zaś tych, które cię zdradzały czynem, wystrzelą kwiaty gorejące, jak płomień smolnego łuczywa. A ile razy która jakim z tych trzech spo-

sobów przeniewierzyła się tobie, tyle kwiatów trójbarwnych na każdej mogile będzie. Idź więc, patrz i rachuj, a będziesz wiedział prawdę.

— A groby tych, które mi były niezłomnie wierne myślą, słowem i czynem? — zapytał kacyk.

— Na tych nie będzie żadnych kwiatów, bo cnota nawet po śmierci sama o sobie nie głosi.

— W takim razie — zawołał Itoki, wracając myślą w przeszłość, — jestem pewny, że nie zobaczę ani jednego kwiatu...

— Oby to Najwyższy Duch sprawił! — rzekł mędrzec. — Ale wówczas, pamiętaj, potężny Itoki, abys nigdy o żadnej z żon twoich nie zwątpił, choćby ci przyszło żyć drugie tyle lat, co żyjesz, i choćbyś je nawet w objęciach drugiego mężczyzny zobaczył.

— Tego nie obiecuję — odparł Itoki, któremu na samą tę myśl aż siwe brwi najeżyły się, jak u dzikiego kota. — To, co było, swoim porządkiem, a to, co jest, swoim. Dziękuję ci, mędrcze, za radę twoją. Twój Wichur Prawdy jest zaiste

ślodnym wichrem; ale wolałbym, aby powiał na żyjące, nie na umarłe.

— Nie od razu danem jest ludziom przenikać tajemnice nadziemskie — rzekł mędrzec. — Od dziś za rok powrócę, a wtedy, jeżeli będziesz jeszcze tak żądnym prawdy, jak dzisiaj, a mnie uda się przez ten czas wymodlić u Najwyższego Ducha nowy sposób jej poznawania, chętnie ci go udzielę. Tymczasem żyj spokojnie i sprawiedliwie, o potężny Itoki! I odszedł słynny mędrzec w góry swoje, nie chcąc przyjąć żadnego ze wspaniałych darów, jakimi go chciał obsypać wdzięczny Itoki.

Zaświtał dzień oczekiwany, dzień Wichru Prawdy. Wszyscy chodzili z dłońmi poprzykładanymi do czoła w kształcie daszka. Niektórzy wprost zawiązywali sobie oczy, lub kryli się po domach, nie mogąc znieść tego nieznośnego klucza. Itoki od rana posłał niewolników na wzgórze cmentarne, z rozkazem oczyszczenia mogił tak, aby jedno źdźbło trawy nie zostało na nich. Wieczorem zaś wymknął się niepostrzeżony z pałacu i podążył za miasto.

Szedł ze spuszczoną głową, z oczyma nawpół przymkniętymi, bo i jemu, acz sprawiedliwy był i mądry, Wicher Prawdy dawał się trochę we znaki. Dopiero stanąwszy pod samym żywopłotem z aloesów, podniósł głowę i straszny okrzyk wyrwał się z jego piersi...

Całe wzgórze zdawało się płonąć, jak jedno wielkie ognisko, Itoki uczył żar w piersiach, żar w oczach i nie wiedział, co go tak pali: czy ból, czy gniew, czy obrócona w gorące popioły wiara lat tylu, czy wstyd własnej hańby, tak jaskrawem płonącej świadectwem!

W pierwszej chwili chciał uciec; opamiętał się jednak i wszedł pomiędzy mogiły, stopniowo oswajając się z tym okrutnym blaskiem, czepiając się jeszcze nadziei, że znajdzie choć jeden, jedyny grobowczyk, na którego nagiej piersi mógłby wesprzeć głowę i łzy rozpacz} i zawodu wypłakać.

Ale takiego nie było. Nawet mogiła owej ostatniej z pochowanych żon, tej, której oblicze zjadła wstrętna choroba we wczesnej młodości, nawet ona nie dała mu tej pociechy. Nie gorzał na niej wprawdzie kwiat czynu, ale za to było

tyle białych kwiatów drobno centkowanych, jak gdyby kto rozartą rdzą na nie dmuchnął, że Itoki nie miał nawet serca ich liczyć.

Co się tyczy innych grobów, z tych każdy był upstrzony skażoną białością kwiatów przeniewierczych myśli i chęci, czerwienił się krwistymi plamami takichże słów i gorzał płomienistymi kwiatami czynu, przy których tamte bładły i nikły.

Późna już noc była, gdy Itoki powrócił z cmentarza. Natychmiast zamknął się w komnatach i przez dziesięć dni nikogo przed swe oblicze nie dopuszczał, trwając w bezgranicznym smutku i zwątpieniu.

Jedenastego dnia najpoufniejszy z dworzan jego ośmielił się wejść i rzekł:

— Potężny kacyku! Oto dziesiątej nocy dwie z żon twoich umarły z tęsknoty po tobie. Mamli wydać rozporządzenia co do zwykłych pogrzebowych obrządków? Czy zechcesz uświetnić je swoją obecnością?

Itoki, który przez tych dni dziesięć postarzał się o tyleż lat, podniósł na niego oczy przygaste, lecz surowe i stanowcze.

— Nie! — rzekł — po trzykroć nie! A co się tyczy ciał, zaszyjcie je w maty palmowe, obciążcie kamieniami i rzućcie na dno rzeki. Odtąd wszystkie żony królewskie w ten sposób chowane będą.

A gdy zdziwiony dworzanin wyszedł, Itoki opuścił głowę na piersi i rzekł do siebie:

— Tam przynajmniej nie dosięgnie ich Wicher Prawdy, i żaden z moich następców, gdyby mu przyszła zdrożna chęć wydzierania grobom tajemnic, nie będzie za to ukarany takim pohańbieniem i goryczą, jakich ja doznaję w tej chwili. W rok potem, mędrzec z gór, przy zedłszy do pałacu kacyka Itoki, zastał w nim władcę najstarszego jego syna. Itoki nie żył. Mędrzec zmartwił się bardzo jego śmiercią, gdy zaś dowiedział się o ostatecznym rozporządzeniu zmarłego, jako ciała żon królewskich rzucane być mają na dno rzeki, nie pytał o nic więcej, tylko odszedł w milczeniu, wielbiąc mądrość i dobroć Wielkich Duchów, które nie dają ludziom większej świadomości prawdy nad tę, jaką oni przeżyć są w stanie.

WYGRAŁAM!  
OBRAZEK.

Dzień był wyjątkowo piękny i ciepły, jak na jesienne wyścigi. Tor mokotowski roił się od tłumów pstrych bardziej niż kiedykolwiek, wskutek nieustalonego jeszcze sezonu. Na tle mocno błękitnego nieba, tego nieba z końca września, które dlatego jest tak błękitne, że je już skwary lipcowe przestały blichować, — na tle pożółkłej murawy, centkowanej krwawymi plamami usychających liści, — był to jakby ostatni występ letnich, jasnych kolorów, gaz i kwiatów na kapeluszach, i pierwszy turniej wstrzemięźliwszych barw jesiennych, ciężkich wigoniów, pluszów i filców. Było to rzeczą zupełnie naturalną, że damy w łóżach i nie w łóżach, w przerwach pomiędzy gonitwami, przypatrywały się sobie wzajem, ze zdwojoną cie

kawością. Te, które zdążyły już zrobić z siebie odbitki ostatnich żurnalów, miały pod włochatemi rondami rembrandtów wyraz pobłażliwej wyższości, i spacerując zwolna tam i napowrót po łące, wlokły w grubych fałdach swych kostiumów tailleur czepiające się ich suche liście, z tem błogiem przeświadczeniem, iż są z nimi w nakazanej przez wszechpotężne prawo mody harmonii; tymczasem mniej szczęśliwe maruderki wyglądały jakby zawstydzone, jak gdyby im się nagle zrobiło zimno w ich lżejszych tkaninach, pomimo łagodnie przygrzewającego słońca. Niejeden siedzący obok mąż miał z tego powodu zapewniony tak zwany "zły kwadrans" w życiu, który mógł trwać i parę tygodni, stosownie do okoliczności. Ten i ów z bardziej doświadczonych podsuwał dozgonnej towarzysze program, doradzając sam, aby zaryzykowała "na współkę" na tego lub owego konia, byle tylko odwrócić jej uwagę od zabójczych "ostatnich fasonów." Zresztą zachęta okazywała się zbyt cenną.



Wszystkie te panie grały. Totalizator panował wszechwładnie nad ich nerwami, podnieconymi już domieszką zadowolonej lub upokorzonej próżności. To końskie MonteCarlo weszło tak w zwyczaj, że niepodobna już wyobrazić sobie życia wielkiego miasta bez tych dwukrotnie w ciągu roku powtarzających się kilku tygodni niezdrowych, częstokroć wprost demoralizujących wzruszeń, jakimi, począwszy od uliczników, którzy się zakładają między sobą o kradzione może dziesiątki, aż do sportsmenów, ryzykujących całe fortuny, dyszy ten zbity tłum, zawieszający oddechy swych tysięcznych piersi na kilku parach dzokiejskich ostróg.

Podczas długiej przerwy, poprzedzającej kulminacyjny punkt wyścigów dnia tego, do łoży, zajętej przez dwie młode kobiety i mocno podżyłego mężczyznę, który widocznie czynił wszystko, co mógł, aby swemu wyglądowi z jakie dziesięć lat ująć, wszedł wysoki szatyn niezmiernie ujmującej i szlachetnej powierzchowności.

Wejście jego sprawiło bardzo przyjemne wrażenie, którego nawet nie starano się pokryć.

Podżyły jegomość wstał z żywością młodzika i uściśnął mu rękę serdecznie; starsza z pań, brunetka, o bujnych kształtach mężatki w pełnym rozkwicie, uprzejmym ruchem wskazała gościowi puste krzesło; druga zaś, jasna blondynka, odpowiedziała na jego powitalny ukłon rumieńcem, który jej panięńską twarzyczkę jeszcze bardziej wiosenną uczynił.

Nieco dalej, towarzystwo w dwóch łożach siedzące zauważyło to i spojrzało po sobie znacząco. Składało się ono z pań, panów i panienek; każda z tych osób coś rzekła i zrobił się z tego bigosik, wyjaśniający w jednej chwili sytuację tamtej łoży:

— Widzi pani! Kański w łoży Moteleckich. Niema wątpliwości, że się stara o Ziunię.

— To byłaby dla niej świetna partya!

— Człowiek młody jeszcze, a już z takim stanowiskiem i majątkiem!

— A przytem jaki charakter!

— Niema o nim dwóch zdań!

— Mógłby się bez porównania lepiej ożenić!

— Ziunia ładna panienska, ale takich jest wiele. Poza tem zupełnie pospo

lita. Nie ma żadnego talentu. Nie gra, nie śpiewa...

— I posag jakby żaden.

— Powiedz pan raczej, że żaden. Gdyby się ojciec nie był po raz drugi ożenił... to jeszcze. Motelecki ma duże dochody, ale, zaślepiiony w drugiej żonie, wydaje wszystko, aby jej dogodzić. Zrujnowałby się dla niej... A żenił się nibyto dla córki!

— Właśnie. Tak się to zawsze mówi. Tymczasem Ziunia wcale nie słodkie życie musi mieć z macochą. Ona podobno gwałtowna, egoistka; a przytem już dwoje własnych dzieci.

— To też wypchnęłaby Ziunię za pierwszego lepszego. A tu niespodziewanie taka świetna partya! Niema się co dziwić, że go łapią.

— Co mu się w niej jednak tak bardzo podobać mogło?... Mając tyle panien do wyboru!

Tu jeden z mężczyzn, niemłody już, który dotychczas milczał, wtrącił się do rozmowy:

— Ja dobrze znam Kańskiego. To oryginalny człowiek. On w kobiecie

przede wszystkim szuka dobroci. Może panna Motelecka wydaje mu się dobrą.

Wszystkie panny zawołały:

— Dobrą! Dobrą! Cóż to tak nadzwyczajnego? Zwłaszcza w panience... Każda jest dobrą, bo nawet nie ma sposobności być złą. Czy ją to zniecierpliw gospodarstwo? skłopotają dzieci? zmartwi mąż? To się dopiero później pokazać może.

Niemłody mężczyzna uśmiechnął się subtelnie.

— Panie mówią o łagodności. Ja miałem na myśli dobroć. To zupełnie inna rzecz i niesłychanie rzadka. Nie wspominając o słodyczy usposobienia, która może być bardzo powierzchowną, znałem wiele dobrych żon, dobrych matek, dobrych córek, które przecież nie były dobrymi kobietami. Dobra kobieta w tem znaczeniu, jak rozumie Kański i ja, to coś tak cudownie pięknego, że nie dziwię mu się wcale, jeżeli znalazłszy taką, lub wyobrażając sobie, że ją znalazł, przeniósłby ją nad wszystkie Rotszyldówny lub księżniczki.

— No, dobrze. Ale na czemże według panów polega ta dobroć?

— Ach! łaskawe panie! Jakież to niewyścigowy przedmiot rozprawy!... Dzwonek, wzywający do startu, przerwałby mi, nimbym go w połowie rozwinął. Powiem więc tylko tyle: Dobroć jest dla charakteru tem, czem światło dla tafli szkła. Przenika go na wskroś w każdym jego atomie i sobą zabarwia. Dobroć... to panteizm wszechserca, ogarniającego świat cały...

W tej chwili wprowadzono pierwszego konia; oczy towarzystwa zwróciły się na niego i niemłody mężczyzna umilkł ze swym subtelnym uśmiechem na ustach, bo poznał, że go przestano słuchać.

Tymczasem Kański, zajmwszy krzesło za jasnowłosą panną Ziunią, mówił do niej:

— Widzę panią niezwykle ożywioną. Bardziej nawet, niż kiedy podziwialiśmy w Zakopanem piękności Morskiego Oka. Czy to zasługa wyścigów? Pierwszy raz mam przyjemność spotkać panią na widowni tych szlacheckich zapasów, więc zapytuję...

Panienka zarumieniła się znowu.

— O! ja bardzo lubię wyścigi. A nadewszystko lubię grać. Chociaż najczęściej gram nieszczęśliwie. Dziś już dwa razy przegrałam, wprowadzie tylko przystawiając się do mamy i do kuzynka. Teraz za to postanowiłam spróbować szczęścia na własną rękę.

— Ziunia jest bardzo ryzykowna. Postawiła na szali całą swą panieńską kasę — rzekła, śmiejąc się, jej młoda macocha. Był to śmiech dziwny. Widocznym było, iż rada jest konkurentowi, a pomimo to zdawać się mogło, iż nie gniewałoby ją, gdyby odkrył w jej pasierbicy jakieś małe "ale," broń Boże, nie takie, któreby go odstraszyło, tylko takie, któreby mu nie dało uwielbiać jej bezwzględnie, jak to dotychczas czynił.

Istotnie, po szlachetnej, powabnej twarzy Kańskiego mignął cień, jakby przykrego zdziwienia.

— Pani naprawdę tak lubi hazard? Czy we wszystkim? Przez czas nasze zakopiańskiej znajomości nie zdarzyło mi się nigdy tego zauważyć. Mam panią

za naturę na wskroś kobiecą, a prawdziwa kobiecość z hazardem nie licuje.

Elegancki pantofelek pani Moteleckiej odbył tajemną wędrówkę pod sukienką panny Ziuni i dokonał tam wcale nieeleganckiego czynu, który się pospolicie nazywa kopnięciem, sama zaś właścicielka jego rzekła:

— Bo też tak jest. Ziunia się tylko tak do totalizatora zapala. My tu wszyscy gramy, więc to może zaraźliwe.

Panna Ziunia zaś dodała:

— Pan nie musi być zwolennikiem wyścigów; zresztą mnie nie chodzi tyle o wygraną, jak o to przeświadczenie, że się ma szczęście.

Kański wyrzekł po namyśle:

— To mało, pani. W tej formie, w jakiej się teraz odbywają, potępiani je stanowczo. Jeżeli chodzi o uszlachetnienie rasy końskiej, to nie widzę, dlaczego ma się to odbywać kosztem demoralizowania rodzaju ludzkiego. Spójrz pani na te tłumy. Czy choć jedno szlachetniejsze uczucie ożywia je przez te kilka godzin? Chciwość, próżność, zawiść, nie mówiąc

już o prostych oszustwach, oto miazmaty, zatruwające powietrze każdego wyścigowego pola. Niezdrowo niem oddychać. Co ma być sportem, nie powin być szulernią.

Panna Ziunia spoważniała.

— Tan ma zapewne wielką słusność. Nie myślałam o tem nigdy. Ale w takim razie dlaczego pan jest na wyścigach? Powiedziała to zupełnie szczerze, bez żadnej kokieterji, cała pod wrażeniem słów jego; wyglądała w tej chwili bardzo wdzięcznie, bardzo kobieco, a jej błękitne oczy, które pytająco utkwiała w twarzy młodzieńca, miały istotnie wyraz wielkiej dobroci.

To też rysy jego, trochę chmurne dotąd, wypogodziły się nagle. Spojrzał głęboko w te błękitne, dobre oczy, i pochylając się trochę, rzekł z cicha:

— Pani pyta?

Panna Ziunia zmieszala się ogromnie. Chcąc to pokryć, wzięła żywo program, leżący na kolanach, i zaczęła mówić bardzo prędko:

— Widzi pan... ale skoro się już raz jest, to się trzeba bawić. Choćby mnie pan nazwał szkaradną i szulerką, mnie ten bieg nadzwyczaj zajmuje. To bieg z przeszkodami. Zapisanych dziesięć koni. Ja prosiłam kuzynka, żeby mi wziął bilet, cały bilet na "Lascara." Faworytkami są "Hedda" i "Précieuse." Ale ja mam jakieś przecucie na "Lascara." Przytem zamyśliłam sobie coś... że jeżeli on wygra, to...

I nie dokończyła.

— To co? — pytał Kański, nie spuszczać z niej oczu, rozbrojony jej naiwnym szczebiotem i tą szczerością, którą się upajał, jak świeżym powiewem leśnym, dolatującym w duszną, ulicę.

Ale w tej chwili wszedł do loży "kuzynek," młodzieniec chudy i blade, z miną na wskrós sportsmeńską i doskonale lekceważącą wszystko, co nie ma wstępu na trybunę sędziów i do pawilonu wagi.

Przywitawszy się z Kańskim, rzekł do Ziuni:

— Masz bilet na swego "Lascara." Wiesz, jak silnie twój protegowany ob

stawiony? Trzy bilety wszystkiego. Gdyby nadzwyczajnym trafem wygrał, totalizator płaciłby niebywałe premia. Ale to rzecz niemożliwa. "Hedda" stanowczo weźmie, a drugim będzie nie "Précieuse," jak ogólnie utrzymują, lecz "Castor." Za to ja ręczę.

Zwrócił się do pani Moteleckiej i zupełnie innym onem dodał:

— Wziąłem dla kuzynki i dla siebie po dwa bilety we francuskim totalizatorze. Możemy być pewni wygranej.

Staął za jej krzesłem i zaczęli rozmawiać trochę półgłosem, zapewne o koniach, które wyprowadzono.

Powszechną uwagę zwracała, "Hedda." Śliczna kasztanowata klacz ze złotawym odcieniem, z nadzwyczajną fantazyą w noszeniu swego krótkiego łebka na przepysznie zarysowanej szyi, szła do startu, przebierając sarniami nóżkami z

gracją baletowej koryfejki, z widocznym pod delikatną skórą dreszczykiem temperamentu, przebiegającym jej sprężyste członki.

"Castor" rzucał się i niecierpliwił, budząc wielkie nadzieje w swych niedo

świadczonych zwolennikach. "Lascaro," nowicyusz na warszawskim torze, koń z pozoru ciężki, miał pod swoim jeźdźcem, który był zarazem jego właścicielem, minę zamyślonego filozofa, który wie, że niezadługo zadziwi tłumy. Dwa konie dopadły.

Panna Ziania, ujrawszy swego wybrańca, wpadła w zupełne zniechęcenie.

— Nie! nie! On stanowczo nie wygra! Mój Boże! czemuż nie wzięłam na "Castora!" To tak zawsze z memi przeczuciami... Coś mi wyraźnie szeptało, że "Lascaro" wygra... Kuzynek miał słuszość, kiedy mi odradzał. Widzi pan...

Kański który, choć nie lubił wyścigów, znał się na koniach, popatrzwszy uważnie na wypadłego z łask faworyta panny Ziuni, odpowiedział:

— Nie można przesądzać! Koń zdaje się być wytrzymały i pewny w nogach. W tak długim biegu, i z przeszkodami w dodatku, może wziąć.

— Ach, jakżebym się cieszyła! Panna Ziunia splotła mimowoli rączki na kolanach i cała zamieniła się we

wzrok. Start był dany. Raczy "Castor" wrywał się na pierwszego, ale był to tylko słomiany ogień, który wprędce zaćmiła "Hedda," a on sam w sromotne popioły zamienił, odmówiwszy przy czwartej przeszkodzie skoku i pocwałowawszy ze swym tracącym głowę dzokiejem w pole, ku niepomiernej kontuzji swych wielbicieli z kuzynkiem sportsmenem na czele.

"Hedda" prowadzita gonitwę, mając za sobą w niewielkiej odległości niemogąca jej jednak doścignąć "Précieuse." Inne konie trzymały się prawie razem. Pstre czapki dzokiejów to zapadały się w tłum, opasujący ruchomą obręczą głów Mokotowskie pole, to płynęły nad nim, migając w słońcu, jak wielkie różnobarwne kwiaty. Bieg tracił na interesie. Szedł w przewidywanym porządku. Ale po pierwszym minięciu celownika "Lascaro," wyprzedzając tamte konie, zaczął coraz szybciej zbliżać się do "Précieuse," którą tymczasem znacznie zdystansowała "Hedda."

W tłumie zakotłowało się, jak w ulu. Ten lekceważony nowicyusz, stający rap

tem do współzawodnictwa z uznaną tryumfatorką, niósł z sobą elektryzujące rozkosze niespodzianki. Kuzynkowi spadły binokle z nosa.

— Wiesz, Ziuniu, że ty masz sportowy węch — odezwał się tonem łaskawej aprobaty. — Szkoda jednak, żeś nie wzięła na francuskim. Bo o tem, aby wziął "Hedde," niema mowy.

"Hedda" istotnie trzymała się wciąż na przedzie. Pozostawały jeszcze dwie przeszkody, dobrze z łóż widzialne.

Panna Ziunia mimowoli wstała z krzesła, i wspinając się na palce, wychylała się z łoży. Usta miała wilgotne i w pół otwarte, oczy mocno błyszczące, oddech przyśpieszony.

— O! gdyby wziął! gdyby wziął! — powtarzała sama do siebie.

Kański nie spuszczał z niej oka. Szlachetna jego twarz sposepniała znów trochę.

Wtem o łoże odbił się jakiś szum ostry, który na miejscu, skąd szedł, musiał być krzykiem.

Wszyscy się wychylili.

— Co to? co to? — pytano dokoła.

I nagle ukazał się widok okropny. "Hedda," biorąc ostatnią przeszkodę z "Lascarem" tuż za sobą, potknęła się i padła, nadziewając się wprost na wystającą żerdź płota. Dosiadający ją dzokiej spadł i leżał w poprzek przeszkody zemdlony, bo kopyta przelatującego nad nim "Lascara" zadzwoniły mu po czaszce.

Nieszczęśliwa klacz zerwała się jednak natychmiast i z rozwianą grzywą, ze złamaną żerdzią, tkwiącą w jej wspaniałej piersi, z której buchała krew, z zadartym do góry łbem, z którego wysadzone na wierzch oczy miały wyraz jakiegoś rozdzierającego, ludzkiego niemal bólu, ubiegła jeszcze kilka kroków i padła naraz w drgawkach śmiertelnych.

A "Lascaro" tymczasem przelatował jak wicher przed łożami, nie zbierając po drodze zwykłych oklasków, tak wszystkie ręce sparaliżowane były wypadkiem "Heddy."

Jedna panna Ziunia zdawała się go nie widzieć. Spojrzenie jej padło prze

lotem na zdychającą klacz; na jedno mgnienie oka wstrząsnął ją dreszcz zgrozy, niedostrzegalny dla nikogo, nieodeczuty niemal przez nią samą; ona, jak zahypuotyzowana, biegła wzrokiem za koniemzwyjęcą, a z ust jej rozchylonych wypadł kilkakrotnie powtórzony wyraz:

— Wygrałam! wygrałam!

Upojona zwróciła się całą postacią do Kańskiego:

— Widzi pan! Wygrałam!

On stał i patrzył na nią, jak człowiek, który się ze snu budzi. Jakto! były? to one, te "dobre" oczy, radujące się teraz tryumfem, okupionym okrutną męką i śmiercią szlachetnego zwierzęcia, kto wie, może i nadwerężeniem jakiegoś ludzkiego mózgu! Byłóż to owo "kobiece" serce, jakie wymarzył, owładnięte do tego stopnia gorączką marnego zysku,

próżnością zwycięstwa bez zasługi, że nie znalazło się w nim miejsca ani na odrobinę litości, ani na jeden przebłysk odrazy do podobnych wzruszeń!

Panna Ziunia była w tej chwili ładną jak nigdy, z tymi gorącymi rumieńcami

na białej twarzyczce, z fosforycznym blaskiem w źrenicach, — ale Kańskiemu wydała się prawie wstrętną. Coś go od niej odepchnęło nagle stanowczo, a jednocześnie to coś zagłębiło mu się w serce, jak ostrze sztyletu.

Odwracając od niej oczy, odpowiedział machinalnie:

— Tak, pani. Widzę!

Kuzynek wypadł z łoży. Niezadługo powrócił zadyszany.

— Wygrałaś siedemset rubli! To rzecz niesłychana! Wszyscy są zaciekawieni, kto jest ta szczęśliwa sportsmenka, co się poznała na "Lascarze!" Cha! cha! a tyś go nie widziała nawet. Musiałem cię pokazać hrabiemu G... Jakiś reporter z "Kuryera" już się dowiedział o twojem nazwisku... Jutro będziesz sławną, moja Ziuniu.

I bardzo ożywiony oddawał jej pakiet banknotów, a ona brała je uradowana, czując na sobie spojrzenia otaczających, dumna tem bohaterstwem chwili i tem poczuciem powodzenia, które tak oszołamia. O "Heddzie" nie było mowy. Nie

zwróciła nawet uwagi na wielką bledość Kańskiego.

On tymczasem wstał i zaczął się żegnać.

— Jakto! — zawołała pani Motelecka — pan nas już opuszcza? Ziunia, jako dzisiejsza tryumfatorka, mmi nam wyprawić bankiet po wyścigach. Ziuniu, zaprosze pana.

Ale Kański nie dał się jej odezwać.

— Przepraszam panie najmocniej. Nie mógłbym służyć. Czuję się trochę niezdrów.

Pannę Ziunię uderzył dźwięk jego głosu. Spojrzała na niego i zaniepokoiła się czegoś. Ale w tej samej chwili weszło kilka osób do łoży; zaczęto rozprawiać o "Lascarze," wieszować, unosić się. Kański wyszedł.

Panna Ziunia kilkakrotnie jeszcze w ciągu tego dnia, opowiadając o uśmiechu fortuny, jaki się jej dostał, powtórzyła: "Wygrałam! wygrałam!" — i żadne przecucie nie szepnęło jej, że ta wygrana była zarazem dla niej przegraną wielkiej stawki życiowej, że oddaliła od niej szła

chętne męskie serce, które chciało jej dać szczęście. W parę dni po wyścigach Kański wyjechał za granicę, gdzie go wezwał jakoby ważny, niespodziewany interes. W kółkach "dobrze poinformowanych" zapewniano, że się rozmyślił; nie dziwiono się temu wiele, boć panna Ziunia nie miała żadnego posagu, ani talentu, i była "zupełnie pospolitą." Tylko niemłody przyjaciel Kaliskiego wiedział, co o powodach tego "rozmyślenia się" ma sądzić, ale się nie odzywał, tylko słuchał, co mówiono, z właściwym mu szlachetnym uśmiechem na ustach.

Koniec.

ROSA NIEVES

Część pierwsza.

I.

Siedzieliśmy przy table d'hôte w "Quinay", pierwszorzędnym hotelu w Las Palmas, stolicy pięknej Gran Canarji. Gęsty rząd kinkietów, niby sznur świetlny, opasywał olbrzymią, wysoką salę, pełną zwierciadeł w złożonych ramach z malowanym al fresco sufitem i ścianami; kilka wielkich gazowych lamp zwieszało się nad jadalnym stołem, migocącym od sreber i kryształów.

Masywne kandelabry, w których więcej dla szyku niż z potrzeby płonęły grube świece, obciążały ten stół już i tak przeładowany wykwinną zastawą, mnóstwem kwiatów, owoców, przekąsek i potraw.

Regulamin angielski panował tutaj niepodzielnie, a trochę przechwalony ze swych pojęć o komforcie anglik lubi patrzeć jak mu pieczone na półmisku zaczyna stygnąć właśnie w chwili, gdy on z flegmą łyka ostatnią łyżkę zupy i zabiera się do delikatnego dziobania ryby grabkami.

Stygły więc gwoli temu osobliwemu upodobaniu w głębokich dziwnych kształtach salaterkach przeróżne jarzyny, obgotowane tylko w wodzie i podane także na sposób angielski bez żadnej



przyprawy; stygły małe ptaszki i duże sztuki drobiu, stygły jasne i ciemne sosy, a zapach pieczonego mięsa, parującego tłuszczem i ostrych korzeni, mieszał się z odurzającą wonią kwiatów, których nie szczędzono jak przystało na tej szczęśliwej wyspie, będącej jednym, wielkim ogrodem.

Oprócz pysznych bukietów, górujących nad półmiskami, przed każdym z biesiadników stała wysmukła, kryształowa fujarka" z tkwiącą w niej delikatną wiązką tuberoz, żonkili i gardenji; w uszkach sosjerek zwieszały się mdlejące, szkarłatne i złociste róże; kamelje wieńczyły brzegi półmisków i maczały swe połyskliwe płatki w ścinającym się tłuszczu, zaś aksamitne gloksynie i królewskie magnolje przyozdabiały owe gotyckie budowle z ciasta, we wnętrzu których mieszczą się gastronomiczne obrzydliwości, zwane pie (rodzaj pasztetu), smaczne jedynie dla angielskiego podniebienia, i strawne jedynie dla angielskich żołądków.

Bo też prawie całe towarzystwo, zgromadzone dokoła tej gastronomicznej oranżerii, należało do angielskiej kolonii, zimującej w Las Palmas. Kolonja ta składała się z ludzi bogatych, więc panie były strojne, wstrzemięźliwie wydekoltowane, z klejnotami na szyi i we włosach odczesanych gładko z czoła i według ówczesnej mody, albiońskiej mody, upiętych z tyłu głowy w rodzaj gniazdka, z cienkich jak tasiemki warkoczyków; panowie wyfraczeni, w białych krawatach, każdy z gardenją w butonierce, każdy nieopisanie correct i wedle możliwości starający się być najściślejszą kopją ówczesnego księcia Walji, który nim zasiadłszy na tronie, okazał się nadspodziewanie tak mądrym królem Edwardem VIIym, poprzestawał wtedy na dyktaturze w państwie tużurka i krawata. Działo się to bowiem bardzo dawno, w początkach r.

Tem jaskrawszem przeciwieństwem tych wytwornych ludzi, doskonale odżywionych, w miarę ze wszystkiego zadowolonych, odbijały postacie kilku mężczyzn, u końca stołu w pewnym odosobnieniu siedzących. Mężczyźni ci byli młodzi; ale oczy ich miały tak odrętwiałe i przygasłe spojrzenia, jak gdyby przynajmniej po sześćdziesiąt lat na świat patrzyły, jakieś dziwne, szarozółte cienie kładły się w ostrem oświetleniu stołu na ich zakłębionych skroniach i chudych policzkach, blade usta, gdy przypadkiem który z nich uśmiechnął się lub przemówił, poruszały się w nieopisanie zmęczony, leniwy sposób.

Wszyscy byli ubrani w białe, pikowe garnitury, źle wyprane i gorzej jeszcze uprasowane z miękkimi kołnierzykami dokoła cienkich szyi i bez mankietów u anemicznych rąk. Jeden zwłaszcza bardzo jasny blondyn i tak przy samej skórze ostrzyżony, że się prawie łysym wydawał, miał twarz, sprawiającą wrażenie trupiej głowy, w której oczodoły wprawiono porcelanowe oczy o wyblakłych niebieskich tęczęwkach.

Oczy te błędzące leniwie i martwo po otoczeniu spotykały się często z moim wzrokiem, miałam bowiem powód przypatrywać się z wyjątkową ciekawością jemu i jego towarzyszom.

Wiedziałam, że byli to ajenci faktoryjni, wracający po trzyletnim pobyciu na "czarnym brzegu" do Anglii na tak zwany changetrip, czyli na kilkumiesięczny wypoczynek w ojcystym klimacie.

Wiedziałam także, iż trzy lata wstecz wszyscy oni wyglądać musieli mniej więcej, jak ich wyfraczeni, wygardenjowani, tryskający zdrowiem, rodacy.

Wracali stamtąd, dokąd ja jechałam i był to pierwszy żywy obrazek z czarnego ładu, jaki się

moim oczom przedstawiał; dobrze więc było przypatrzeć się w jakim stanie ducha Afryka zwracała Europie jej cywilizowane dzieci. Jeżeli tak samo obchodziła się z ich inteligencją, jak z ich fizycznością, to perspektywa nie była wesoła.

Aby się co do niej upewnić wystarczyło spojrzeć na najmłodszego z tych panów, który, o ile nie jadł, drzemał wciąż z nawpół otwartymi ustami, a budzony przez swego sąsiada, uśmiechał się głupkowato i pytał go, nie zniżając zupełnie głosu:

— Czy przestaniesz nareszcie? No, a teraz: chcesz, czy nie chcesz?

Poczem drzemał dalej.

Siedzący przy mnie pan de Bretiniere, francuz, od wielu lat osiadły w Las Palmas, który posiadał tu wielki dom komisowy i z którym mój mąż miał stosunki handlowe, spostrzegł moje zajęcie się gromadką tych maruderów "wielkiej, cywilizacyjnej wyprawy", jak Europa dyplomatycznie określała chęć szybkiego z bogaceniem się kosztem ciemnoty ludów pierwotnych i uśmiechnął się zlekka.

— Widok niezachęcający. Wszak prawda, pani? — rzekł.

— Straszny — odrzekłam, wzdrygając się mimowoli. — Ci biedacy wyglądają, jak gdyby jedyne, właściwe, dla nich miejsce było już tylko w trumnie. Powiedz mi pan proszę — pan już ich tu tyłu widziałeś — czy to tak zawsze bywa? Czy to ja tylko mam to osobliwe szczęście, aby trafiać na tak odstrasające próbki działania podrównikowego klimatu? Niestety, to nie są wyjątki potwierdzające regułę, to sama reguła — odpowiedział pan de Bretiniere — zdarzają się jeszcze gorsze okazy. Wielu z nich nie dojeżdża do Europy. Pamiętam taki

wypadek, że do tego samego stołu usiadł niejaki pan Allen, główny agent jednej z najbogatszych faktori w Kalabanzie i nie wstał więcej. Biedak jechał na własny ślub. W Las Palmas spotkał się ze swoją narzeczoną, która tu z rodzicami bawiła. Pierwszy obiad, jaki razem zjedli po trzechletniej rozłące był jednocześnie ostatnim.

— Mój Boże!

Mimowoli stanęła mi w myśli możliwość mego własnego powrotu do kraju, kiedyś w podobnych warunkach zdrowia... Usiąść do obiadu i nie wstać więcej i to na progu niemal Europy, do której się całe lata tęskniło!

— Niech to panią jednak osobiście nie przeraża — rzekł mój sąsiad, jak gdyby idąc za biegiem moich myśli. — Tu głównym złem jest nie klimat, ale pijaństwo. Wszyscy europejczycy na brzegu stają się alkoholikami. Widuję ich tu już od dwudziestu lat i na palcach jednej ręki mógłbym policzyć tych wszystkich trzeźwych, których zdarzyło mi się spotkać i z tych żaden nie był Anglikiem. "Brzegowy Anglik" znaczy słowo w słowo to samo, co nałogowy pijak.

— Jakto! Przecież ci nie są pijakami? — zapytałam zdumiona.

Pan de Bretiniere uśmiechnął się znowu.

— Jak to znać, że pani ma jeszcze czysto europejskie pojęcia. Dla pani pijak to zapewne takie indywiduum, które ma nor czerwony, zatacza się idąc, robi awantury na ulicach i bywa odprowadzane na policję. Pijaństwo brzegowe ma zupełnie inne cechy. Prosto jest stanem chronicznym; stąd jego ostre objawy występują stosunkowo rzadko, a przytem — dziwna rzecz — alkohol będąc bezpośrednią przyczyną tego strasznego wyniszczenia organizmu, na jakie pani patrzy, staje się z czasem

rodzajem konserwującego środka dla tych samych organizmów. Jest on jak lijan, które stoczywszy drzewo, chronią potem w swych splotach spróchniały pień od zupełnego zapadnięcia się. Każdy z tych nieszczęśników po jakim roku pobytu na brzegu i odpowiednim zaprawieniu się do Czinczinów, gdyby raptem przestał pić, nie wytrzymałby i miesiąca. A tak, spirytus przedłuża sztucznie te zrujnowane egzystencje... do czasu. Spójrz, pani, na przykład na tego młokosa, który tak ciągle drzemie. To typ skończonego alkoholika. Ręczę, że gdziekolwiekby go dobrze pocisnąć trysnąłby z niego spirytus.

Pan de Bretiniere byłby może dalej prowadził swój niewesoły wykład, lecz zaczęto wstawać od stołu.

Mężczyźni, obyczajem angielskim pozostali jeszcze na swoich miejscach over their wine and cigars (przy winie i cygarach), ale mój towarzysz, jako grzeczny francuz podążył za mną.

Wyszliśmy na werandę, wypić tam czarną kawę.

Wieczór był przecudny.

Wielkie, różnokolorowe latarnie, pozawieszane w gęstych odstępach u sufitu, oświetlały dostatecznie werandę, szerokim pasem dokoła całego hotelu biegnącą. I tutaj mnóstwo było kwiatów, a raczej krzewów kwitnących, które poustawiane wzdłuż przezroczystych wiązań balustrady, ugrupowane w misterne kłoby na matach, kryjących podłogę, tworzyły z tej otwartej przestrzeni rodzaj wiszącego ogrodu.

Większe i mniejsze klatki z drobnym ptactwem, uśpionem w tej chwili, wyglądały z pomiędzy roślin, a dwie przepyszne aary chwiały się senne na złożonych obręczach, pod wielkimi krzewami mocno krwistych kamelji.

Z daleka, od oblaných księżycem ogrodów i winnic, płynął upajający i bardzo mocny zapach wanilji, pomieszany z jakąś odrębną, przenikliwą wonią, jakby parującej a nasiąkłej słodyczą ziemi.

Czuło się tu już zupełnie inny świat, i to nie tylko w tem egzotycznym otoczeniu, nie w tych leciuchnych, jak piórka, przewiewnych, trzcinowych mebelkach, nie w jaskrawości tkanin na drewnianych cienkich ścianach rozpiętych, nawet nie w bogactwie tej wspaniałej roślinności, na jaką w Europie chyba monarsze cieplarnie pozwolićby sobie mogły, ale przede wszystkim w powietrzu.

Było ono tak nadzwyczajnie przejrzyste i lekkie, jak gdyby je rozpylało niewidzialne a potężne tchnienie tych krain tajemniczych i wiośnianych, ku którym wiódł bezkresny, sfalowany gościniec oceanu, ciągnący się tam, gdzie w tej chwili migało naprzemian błękitne i czerwone światło morskiej latarni i gdzie, jak nakrapiana złotymi punkcikami wstążka, wydłużał się rzęście oświetlony pas portu La Luz.

Ten port to ostatni posterunek cywilizacji; to brama, otwierająca się bezpośrednio na dzikie wody Czarnego Łądu.

W miejscu, gdzie usiedliśmy z panem de Bretiniere, weranda załamywała się, dając widok na dwie strony: na majaczący w półcieniu ocean, który zlewał się z horyzontem, zacierając go zupełnie i tworzył wraz z bezgwiazdzistym niebem jedną błękitnobiałą głąb bez końca i na opasaną wiankiem kopulastych wzgórz Kampanję kanaryjską.

Wisiał nad nią ogromny księżyc w pełni, a światło jego miało już tutaj tę nieznaną w Europie olśniewającą wprost srebrzystość, która jest największym czarem podrównikowych nocy, której

pięknością nigdy dość nasycić się nie miałam, za którą tęsknota, w chwili, kiedy to piszę, budzi się we mnie po tylu, tylu latach...

Ale noc kanaryjska różni się od nocy podróznikowej swą nadzwyczajną ciszą i jakąś sobie tylko właściwą, słodką błogością, jakimś wszechukojeniem, które z tych pól przeżytych i szczęśliwych idzie na zmęczoną pierś ludzką i kładzie się na niej beznamiętną a rozkoszną pieszczotą.

Odczułam to w tej samej chwili, gdy wyszłam tej gwarnej dusznej sali, gdzie wszystko niemal było sztucznym, zaczawszy od oświetlenia, a kończąc na szczerości masła w sosach, gdzie widok zalkoholizowanych "Brzegowców" przygnębił mnie prawie w takim samym stopniu, w jakim mnie znużyła szablonowość reszty towarzystwa.

Zapominając dość niegrzecznie o obecności pana de Bretiniere i o stygnącej na niskim, bambusowym stolyczku kawie, oparłam się o balustradę, rozsunawszy delikatne, cudownie wonne gałązki japońskiego jaśminu, i patrzyłam na leżące u moich stóp białe Las Palmas i jego podmiejskie wille, których płaskie dachy błyszcząły jak tafle szkliste wśród ciemnej zieleni wieńczących je ogrodów.

Ciągnęły się te śliczne siedziby ludzkie w kilku kierunkach, niby odnogi wielkiego środowiska życia, coraz rzadszemi grupami, odrywając się od miasta, coraz głębiej zabiegając w falującą leciutko dolinę. Wszystkie były oświetlone, niektóre nawet bardzo obficie. Wyglądały tak wdzięcznie, tak pogodnie, tak jasno, na tle cichych, pachnących pól, kołysane jak dzieci do snu, ledwo dosłyszalnym szmerem niewidzialnego oceanu, objęte opiekuńczym ramieniem wzgórz, z których płynęły ku nim źródła ich bogactw: winnice i pastwiska, że nie

podobieństwem było wyobrazić sobie, aby mieszkańcy ich mogli czuć dla czego innego, niż dla wesela i zabawy. Nigdy może świadomość pełni zdrowego, ludzkiego szczęścia, szczęścia zbiorowego, które przenika z ogółu w jednostki i z jednostek w ogół nie uprzytomniła mi się tak wyraźnie, tak niemal dotykalnie, jak na tej kanaryjskiej werandzie.

Szczęście ma swoją własną atmosferę, jak róża ma swoją własną woń; można go nie widzieć, a czuje się je w powietrzu, jak się czuje gorączkę zysku i żądzę natychmiastowego użycia w wielkich handlowych portach Europy, jak się czuje nędzę, moralny upadek i zbrodnie w zaułkach Paryża i Londynu; a lenistwo i apatię na brudnych zażydzonych rynkach małopolskich miasteczek.

Ta dolina, przepojona księżycem, taka biała, taka pachnąca, oddychała samem szczęściem, a oddychała niem tak równo, tak czysto, tak głęboko, jak oddycha prawidłowo rozwinięta młodziutka pierś, której jeszcze nie poruszyła żadna namiętność.

Stokroć błogosławiona dolina!

Obca jej śniegi i skwary; obce gwałtowne burze i przewlekłe sloty; nie wstrząsają nią huragany politycznych przewrotów, nie trawi ambicja, nie wyczerpuje piekące mirażem przodowania współzawodnictwo; natura dała jej wszystko, co tylko dać mogła; cywilizacja w swym wspaniałym pochodzie, pamięta o niej, ale ją oszczędza, przysyła jej swoje najpiękniejsze dary, nie obierając jej nigdy za widownię swych walk, nadziei i rozczarowań!

A ci ludzie, co się w tym uprzywilejowanym zakątku świata rodzą, od jakichże dobrych gwiazd zaczynają snuć nie swoich przeznaczeń! Jak oni tu muszą wszystko robić w porę! W porę się ko

chać, w porą pracować, w porą umierać! Jak cudną i roześmianą musi być ich młodość; jak pogodną i zadowoloną dojrzałość; jak spokojną i pogodzoną z losem starość.

Szczęśliwi! Szczęśliwi!

Musiało coś z tych wszystkich myśli odbić się na mojej twarzy, bo nagle zbudził mnie z nich lekko ironiczny głos mego towarzysza:

— Co panią tak raptem w niebo wzięło? Boć przecież na tej nędznej ziemi niema nic, do czegooby warto uśmiechać się w taki sposób, jak to pani od kwadransa czyni.

Spojrzałam na niego zgorazona.

— Pan to mówi? Mieszkaniec tego raj!

Skąd pani wie czy mnie z niego nie wypędzono na zawsze?

I znowu spojrzałam na niego, tym razem uważniej. Jego sympatyczna, niemłoda twarz, z głęboko zarysowanemi bruzdami dokoła oczu i ust miała wyraz wielkiej goryczy.

Jakieś niejasne wspomnienie przemknęło mi przez głowę.

Przed kilku laty, kiedy jeszcze nie przypuszczałam, że kiedykolwiek ujrzę wyspy Kanaryjskie i pana de Bretiniere w jego własnej osobie, mówiono mi o nim w Paryżu. Miał on tam znacznie młodszego brata adwokatem, i ten napomknął mi coś z drwiącem lekceważeniem, jak przystało na bulwarowca w dobrym stylu, że jakaś romantyczna historia złała życie de son vieux arcadien de frere. Pomimo znacznego majątku pozostał on starym kawalerem, nie zdziwaczał jednak i nie odsunął się od ludzi; owszem, słynął w całym Las Palmas z uczynności i towarzyskich przymiotów; bystrzej

sze jednak oko mogło w wyrazie jego twarzy dostrzec to coś bezgranicznie smutnego, co mają ludzie, którzy zdruzgotani w swoich najdroższych nadziejach, zdobyli się na dość hartu i siły woli, aby pożegnać na zawsze myśl o osobistem szczęściu i żyć dalej.

Ludzie tacy mogą nawet z czasem stać się bardzo pogodni i zadowoleni, ale ta pogoda i zadowolenie są zawsze matowe, jakby odbite od zewnętrznych promieni, które nie przenikają nigdy do głębi ich dusz zgaszonych.

Pan de Bretiniere od pierwszego rzutu oka zrobił na mnie takie wrażenie; w ciągu następnych kilku dni naszej znajomości zatarło się ono pod wpływem innych wrażeń z pobytom moim na Gran Canarji związanych; ale teraz może przez porównanie z przedziwną atmosferą zbiorowego szczęścia, płynącą ku mnie z oddali, ta pojedyncza dola ludzka tuż w pobliżu wydała mi się tem posepniejszą i tem bardziej samotną.

A któż wie, czy i na niego ta noc nie podziałała drażniąco; czy nie tkwiło w niej jakieś okrutne zestawienie z inną podobną, a tak zapewne odmienną?

Prawdopodobnie odwykł już był wpatrywania się w księżyc, a dotrzymując mi przez grzeczność towarzystwa w tem poetycznem zajęciu, znalazł się nagle w zdradzieckiej sieci wspomnień i może to go tak rozgoryczyło?

Uczułam się mimowoli winną względem tego zacnego, sympatycznego człowieka, który mi tu tyle życzliwości okazał i odwróciłam się plecami do nocy kanaryjskiej i jej uroków.

— Żał mi stąd wyjeżdżać — rzekłam, usiadłszy w maderskim fotelu i maczając usta w wystygłej kawie.

— Z tego raj? — podjął pan Bretiniere z tą samą co poprzednio goryczą. — Może pani raczyłaby zostawić mi to wyobrażenie o naszej wyspie na pamiątkę! Pani ono niepotrzebne. Znajdzie je pani i w Zatoce Gwinejskiej. W pewnych epokach i warunkach życia raj staje się bardzo wędrowną krainą. Wszędzie go pełno. Tymczasem mnie mogłoby się to przydać... Ale mniejsza. Cóż panią najbardziej tutaj zachwyca? Tylko proszę pamiętać, że jako człowiek praktyczny i trzeźwy pytam o rzeczy uchwytne, a nie o księżycowe wrażenie... Więc cóż?

— Kobiety — odpowiedziałam bez namysłu. — Nigdzie, prócz w Sewilji i Kadyksie nie zdarzyło mi się widzieć tak pięknych kobiet. A tutejsze kobiety mają jeszcze bez porównania więcej słodyczy w spojrzeniu i miękkości w ruchach. To wszystko, co słyszałam o specjalnym uroku kreolek nie dorównywa rzeczywistości. Dziś spotkałam dwie takie, że wyglądały poprostu jak zjawiska w tych swoich białych namitkach na głowie. A zgodzisz się pan chyba ze mną, że niema nic cudowniejszego na świecie nad doskonale piękną kobietę?

— Byle nie była za piękną — rzekł pan de Bretiniere. — Bo chyba zgodzi się pani nawzajem ze mną, że niema na świecie nic potworniejszego nad piękną kobietę?

— Za piękną? — powtórzyłam. — Czy wogóle taki zarzut jest możliwym? To zupełnie jakgdyby powiedzieć artyście lub poecie: Jesteś zanadto natchnionym. Twórz; ale niech twoje dzieła będą mniej genialne.

— Jeżeliby ta genialność była szkodliwą lub wręcz zgubną — to dlaczego by nie? — odparł pan de Bretiniere.

— Ale gdzie tu znaleźć granicę w danym przypadku? — zawołałam, śmiejąc się. — Kiedyż kobieta, według pana staje się za piękną?

— Właśnie wtedy, kiedy osiąga tego szczytu piękności, który ją czyni nieuchronnie szkodliwą.

— Ależ historją poucza nas, że kobiety, które w świecie najwięcej hałasu i złego zrobiły, były przeważnie brzydkie. Ich wpływ demoniczny i destrukcyjny tkwił raczej w ich temperamencie, w ich sprycie, w ich osobliwym a nieujętych powabie, niż w klasyczności ich rysów i blasku cery.

— To był wpływ samowiedny, a ja mówię o tym fatalistycznym, nieuniknionym, jaki kobieta zbyt piękna wywiera wszędzie, gdzie się ukaże, o tym, który ją czyni żyjącą kłeską, żyjącem zniszczeniem...

— Zdumiewasz mnie pan — rzekłam. — Po raz pierwszy słyszę podobne zdanie.

— Doprawdy? — odparł pan de Bretiniere. — To tylko dowodzi, że nigdy nie spotkała pani podobnej kobiety, bo natychmiast odczułaby pani prawdę słów moich. O ile mogłem zauważyć mąż jest w pani szalenie rozkochany?

— Tak mi się zdaje — rzekłam skromnie.

— Nie dziwię mu się wcale — zauważył pan de Bretiniere z galanterją; a ja uznałam za stosowne spuścić oczy. — Otóż jestem głęboko przekonany, że gdyby na nieszczęście was obojga taka kobieta przeszła jutro przez waszą drogę, mąż pani bez wahania poszedłby za nią, nie obejrzawszy się nawet w stronę żony.

— Wybacz pan, ale w to nie wierzę — rzekłam z całą zarozumiałością młodej mężatki w pełni miodowych miesięcy.

Pan de Bretinière uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie będę się z panią spierał i gorąco pragnę, abym w danym razie okazał się fałszywym prorokiem. Zresztą nie jestem znów tak bardzo oryginalnym w moim poglądzie, jak to pani raczyła zauważyć. Nie pomnę już jak się nazywała ta zbyt piękna kobieta w wiekach średnich — pozatem bardzo dobre stworzenie — którą biskup jej rodzinnego miasta kazał zamknąć w samotnej celi, a to z przyczyny zgubnego wpływu, jaki wywierała na swoich współmieszkańcach. Ludzie, spotykający ją na ulicy, szaleli, istne procesje chodziły za nią, mężowie opuszczali żony, narzeczeni uciekali od ołtarza; rycerze, artyści, urzędnicy wszyscy zapominali o swoich obowiązkach, zaprzepaszczali całą przyszłość dla jednego jej spojrzenia, kobiety rozpaczały i truły się z zazdrości, słowem, ta zapiękna stwarzała istne piekło... niechcący...

— Och! to fantazja z mgły romantycznych czasów wysnuta — odparłam nieprzekonana. — Stanowczo nie wierzę, aby w rzeczywistości istnieć mogła taka kobieta.

— Ja znałam taką — rzekł pan de Bretinière krótko.

Wymawiając te słowa, odchylił nieco głowę w tył i pozostał tak nieruchomo z twarzą zwróconą ku ubielonej księżycem dolinie. Pobladł jeszcze bardziej, a pod ściągniętymi brwiami oczy jego miały wyraz dziwnego, niemal przerażonego zapatrzenia się, jak gdyby nagle ukazało mu się widmo tej "zbyt pięknej", która, jak to zresztą nie trudno było ze słów jego odgadnąć i jemu również dużo ztego wyrządzić musiała.

Milczałam.

Po długiej chwili pan de Bretinière, nie zmieniając postawy, nie patrząc na mnie, zaczął mówić powoli, ale bardzo wyraźnie, jakgdyby ważył każde słowo:

— Nie wiem skąd mi się to bierze... czy dlatego, że pani przybywa z tak daleka i tak daleko jedzie, czy, że może już się nigdy w życiu nie spotkamy, czy że pani ma dla mnie coś w swoim głosie i spojrzeniu, co sprawia, że mi się zdaje, jakgdybym panią znał zawsze... nie wiem... nie wiem... Ale czuję jakby potrzebę powiedzieć pani to, do czego słowami nie przyznałem się jeszcze przed nikim, powiedzieć pani, że byłem bardzo nieszczęśliwy, że jestem nim jeszcze chwilami, że nie przestanę nim być nigdy... Przed piętnastu laty wiedziano tu o tem powszechnie!.. niestety! nieszczęście moje było zbyt jawnem i głośnem... mogłem tylko milczeniem ból mój osłaniać; ale dziś... dziś nikt nie domyśla się nawet, że mogę cierpieć jeszcze... Jakże! Powodzi mi się tak świetnie, jestem zdrow, niezależny... zawsze uśmiechnięty.. Wiem, że są tacy, którzy mi zazdroszczą i nie wyprowadzam ich z błędu... nie ścierpiałbym, aby się nademną litowano... a jednak... cóż pani powie? Tak dziwną jest ta biedna natura ludzka, że czasem zdejmuje nieprzeparta chęć otworzyć aż do dna duszę, gdyby to było możliwem, przed temi wszystkimi, którzy mnie tak powierzchownie sądzą i zawołać: Patrzcie! jak tu głucho! jak tu czarno! jak tu pusto!... nic... nic nie ma, tylko ta jedna stara rana, i sączące się z niej od czasu do czasu krople krwi tak świeżej, jak gdyby przed chwilą wytoczonej... I oto teraz, na tej werandzie, przy tym księżycu chwyciła mnie taka chwila... a pani tu jest... i... czy zechce mnie pani posłuchać? A może to naprawdę ulgę przynosi? Może słowa mają

naprawdę własność zabierania z dusz cząstki tego, co ją przepelnia? Może dlatego szczęście zwykle mówi o sobie krótko, a boleść, gdy się raz rozgada, to i końca temu nie ma?

— Mów pan o! proszę mów! — zawołałam wzruszona.

Ale pan de Bretinière nie spieszył się. Siedział wciąż, patrząc przed siebie, tylko postać jego chyliła się zwolna ku przodowi, jak gdyby idąc na spotkanie tych wspomnień, co z taką przemożną siłą wyciągnęły ku niemu ramiona w srebrzystościach nieba i zapachach ziemi skąpane. Wyraz goryczy i bólu nikł z jego twarzy, a natomiast zstępował na nią rzewny, rozmarzony uśmiech, który ją wygładzał i odmładzał.

Nie poznawałam go; a z pewnością nie poznaliby go klienci i clarkowie firmy Bretinière & Co, z którymi ten człowiek, tak w tej chwili zatopiony cały w najniepraktyczniejszym na świecie zajęciu w wywoływaniu widm przeszłości, samymi niemal liczbami zwykł był rozmawiać.

Nagle obrócił ku mnie swą twarz przeobrażoną i piersią ku balustradzie podany, wyciągnął rękę, takim samym rozmarzenia i melancholji pełnym ruchem wskazując dolinę, która stawała się coraz srebrzystszą i coraz upojniej pachnącą.

— Widzi pani u stóp tego wzgórzka, co wygląda jak kopała białą gazą obciągnięta, tę podłużną plamę drzew i te trzy migocące wśród niej światła? Na lewo od niej ku nam ta skośna, ciemna linja, to droga wysadzona akacjami, wiodąca do miasta. Wchodzi się w nią prosto z ulicznego bruku i ma się wrażenie, jak gdyby się stąpało po dywanie, pomimo, że mocno jest ubita, ale to grunt tak dziwnie elastyczny. Kiedy te akacje zakwitną, a na

prawy i na lewo parkany sąsiednich ogrodów okryją się bukietami pnących róż i księżyc tak świeci, jak dzisiaj, to iść tą drogą z myślą co u jej kresu czeka, z młodością w duszy...

Urwał, przeciągnął ręką po czole i mówił dalej:

— Teraz nigdy już tamtędy nie chodzę, ale przed piętnastu laty chodziłem codzień i pamiętam każdy kamyczek, każdą rysę na pniach, aż do miejsca które pani wskazałem. To jest willa Mariposa. W owe czasy należała do bardzo niegdyś bogatego plantatora indyga i właściciela winnic. Don Anselma Nieves.

Kiedy tu z Francji przybyłem młody, dwudziesto kilkuletni chłopak, objąć po moim stryju firmę, nawiasem mówiąc, dosyć w interesach zaplątaną, Don Anselmo nie był już nie tylko bogatym, ale nawet zamożnym. Krach indygowy, który tyle średnich fortun na wyspie pochłonął, a największymi zachwiał i jego prawie zrujnował. Gdyby nie winnice i ta willa byłby został nędzarzem. Przytem musiał zachowywać pozory... Wcześniej owdowiał miał Don Anselmo dwie dorosłe córki, z których młodsza Carmen była już zaręczona, a obecnie mieszka tam w Mariposie z mężem i dziećmi, co już dawno dzićmi być przestały, i ojcem staruszkim, a te dwa światła na piętrze, które pani widzi, to okna ich jadalni, gdzie w tej chwili wszyscy zapewne siedzą przy wieczerzy. Widuję ich czasem zdaleka. Starsza, Rosa, to była ona...

Nie będę nawet próbował opisać pani jej piękności, bo nie znajdę takiego słowa, któreby choć w przybliżeniu określiło ten czar niezrównany a fatalny, jaki roztaczała. Zdaje mi się, że źródło jego tkwiło w jakiejś niczem niezwalczonej, wżerają



cej się odrazu w całe jestestwo tęsknocie ocznej, jaką budził jej widok.

Raz ją ujrawszy już się chciało na nią patrzeć bez końca. Wrażenie to, było tak nowe, do żadnego innego nie podobne, i tak potężne, i tak wyłączone, że dusza czepiała go się namiętnie, jak tej w marzeniach tylko przeczuwanej rozkoszy, o której nie śmie się przypuszczać, aby ją kiedy rzeczywistość ziścić mogła.

Wszyscy mężczyźni z całego Las Palmas szaleli za Rosą. Byli tacy, którzy umyślnie przyjeżdżali z głębi wyspy, a nawet z Teneryfy, aby ją tylko zobaczyć, a mimo to" choć miała już lat dziewiętnaście, to jest wiek, z którym tutejsze panny już się kryć zaczynają, żaden poważny pretendent do jej ręki nie zjawiał się dotychczas. Prostu była za piękną dla naszych filistrów; bali się tej nadzwyczajnej rewolucyjnej urody na domowy użytek.

Kreolska krew tutejszych obywateli ma w sobie dużo trzeźwości; to skutek indyga i winnic; i każdy z wielbicieli Rosy Nieves zdawał sobie jasno sprawę z tego, że podziwiać nieustannie własną żonę, może się stać po jakimś czasie zajęciem dość nużącym, a świadomość, że i inni czynić to będą w chwilach wolnych, nie przedstawiała się w tym wypadku jako okoliczność łagodząca.

A niech mi pani zechce wierzyć, mówię to bez żadnej przesady, że patrzeć na Rosę Nieves i nie podziwiać jej, było takim niepodobieństwem, jak wybiec poza brzeg przepaści i nie runąć w nią. Ta fatalna piękność miała w sobie coś rozbudzającego wszystkie władze wzruszeń w piersi i pochłaniającego je niepodzielnie. Nie wiem jak inni, ale ja byłem w stanie patrzeć na nią aż do bólu, aż do zapamiętania się

takiego, że zaczynał ogarniać mnie wstręt ku wszystkiemu, co nie było hebanem i zapachem jej włosów, przepaścistością i lazurem jej oczu, wilgotnym rubinem jej ust, mlecznym ciepłem i atłasem jej ciała, marmurową poezją jej kształtów; co nie było nią, nią jedną, jedyną na świecie... O! Roso !... Roso !.. Roso!...

Pan de Bretinière skrył twarz w dłoniach i czoło na wysrebrzonej balustradzie werandy położył, gniotąc wonną płataninę, japońskiego jaśminu, który trząśł nad nim swymi cieniuchnemi gałązkami, zupełnie jak gdyby przeszło w nie to nieme łkanie rozpaczego wspomnienia w piersi jego zamknięte.

Nagle zerwał się, odszedł prędko i widziałam, jak stanąwszy w drugim rogu werandy zapalił papierosa, gasząc jedną zapałkę po drugiej swym wzburzoną oddechem i dygotaniem ręki.

Po pewnej chwili wrócił na swoje miejsce.

— Przepraszam panią — wyrzekł, nie patrząc na mnie — bardzo przepraszam. To już się więcej nie powtórzy.

Dopił zimną kawę i mówił dalej.

— Powiedziałem, że wśród tylu wielbicieli Rosa Nieves nie miała takiego, któryby sięgnął po jej rękę. Muszę to sprostować. Na krótko przed moim przybyciem na wyspę, syn jednego z najbogatszych plantatorów, młodzieniec wielkich zdolności, poeta nawet, rokujący podobno niepośledni talent, zakochał się w Rosie bez pamięci i pomimo oporu swojej rodziny oświadczył się o nią. Czy zyskał wzajemność, czy ona wogóle zdolna była kochać, nie wiem, ale został przyjęty.

Nazajutrz po zaręczynach młodzieniec ten zastrzelił się.

Mówiono powszechnie, że nadmiar szczęścia pomieszał mu zmysły, co było tem prawdopodobniejsze, że zawsze uchodził za dziwaka i melancholika; ale ja później dopiero zrozumiałem, jak głęboko przytomnym, jak rozpaczliwie jasnowidzącym musiał być ten nieszczęśliwy, gdy u progu spełnienia najdroższych marzeń samobójczą broń przeciwko sobie skierował...

On wiedział, on czuł, że ta kobieta nie mogła, nie powinna była zostać niczyją żoną. Ona była napiętnowana fatalizmem swojej piękności, i gdyby nawet całą wewnętrzną istotą zapragnęła była zbuntować się bezwiednie przeciw ohydzie takiego przeznaczenia, gdyby ożywiona najlepszymi chęciami wstąpiła w czyjś dom, aby w nim na zawsze jak anioł cichego szczęścia pozostać, to przeznaczenie owo straszliwe i nieubłagane byłoby ją dosięgło i tam, byłoby rozsadziło cnotliwe koło obowiązków żony i matki i byłoby ją zawlokło na ołtarz ku czci nikczemnych żądź i grzesznych upojeń wzniesiony, aby święciła na nim tryumf złota i krwi dopóki nowa kapłanka nie zepchnęłaby jej w otchłań nędzy i pogardy, która bywa podwaliną takich rzeczy.

Tak... wszystko to zrozumiałem kiedyś, po latach... ale wtedy... wtedy miałem w żyłach młodość, w duszy wiarę, a w sercu pierwszą miłość. Z takimi trzema skarbami któż rozważa, kto wątpi, kto się cofa ?

Chyba bardzo pospolity zjadacz chleba, albo bardzo wyjątkowy marzyciel. Pierwszy macha ręką i żeni się z inną; drugi żegna rozwiewający się ideał i strzela sobie w łeb.

Ja nie byłem ani jednym ani drugim i dlatego od pierwszego wejrzenia na Rosę Nieves poprzy

siągnęłam sobie uroczyście, że uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, nie zrażę się żadną trudnością, żadną przeszkodą, aby zdobyć tę kobietę na zawsze i wyłącznie, bo bez niej przestałem już rozumieć życie, a żyć pragnąłem. W gruncie rzeczy okoliczności składały się dla mnie pomyślnie.

Panna byta wychowana w dostatkach i niepraktycznie; królewska jej uroda wołała poprostu o brylanty, powozy i salony; tymczasem wiedziano, że nie otrzyma żadnego posagu, a w dodatku dziwne samobójstwo jej pierwszego narzeczonego wytworzyło dokoła niej jakąś przesadną atmosferę, która, o ile mogła być podniecią dla wyobraźni i zmysłów o tyle działała chłodząco na; małżeńskie zamiary moich współzawodników.

Miałem więc pole otwarte, napozór jednak wszystko przedstawiało się inaczej.

Gdziekolwiek udało mi się spotkać Rosę, otaczano ją tak, że ja trochę nieśmiały i wstydzący się zdradzić z mojem uczuciem, jak każdy szczerze zakochany młodzieniec, nieraz zupełnie zbliżyć się do niej nie mogłem.

U nich w domu zawsze też bywało tłumnie.

Stary Anselm, skłopotany i zajęty coraz bardziej wikłającymi się interesami, nie miał ani czasu, ani chęci wglądać drobiazgowo w postępowanie córek. Pragnął conajrychlej wydać je zamaż i wszystkie drogi do tego celu wiodące wydawały mu się dobre. Dziewczęta używały też większej swobody, niż tu jest wogóle przyjęte, ale usprawiedliwiała się to brakiem macierzyńskiej opieki, a także bliskiem już małżeństwem młodszej siostry.

Mnóstwo młodych ludzi pod pozorem koleżeństwa i przyjaźni z narzeczonym Carmeny znaj

dowało wstęp do willed Mariposa () i wszyscy jak motyle krążyli dokoła tej jednej cudnej róży, która tam kwitła. Wieczorami dom rozbrzmiewał śmiechem i muzyką. Stara duegna drzemała dla przyzwoitości w najciemniejszym kącie; Carmen grała na cytrze, ten i ow brał mandolinę lub gitarę, inny wtórował śpiewem; czasem zeszło się kilka rówieśnic sióstr Nieves i zaczynało tańczyć.

Wtedy stara duegna budziła się i stękając szła dysponować kolację; zabawa przeciągała się do późna w noc, przez pootwierane na werandę okna upajające wonie wlewały się do rzęsiście oświetlonego wnętrza, wypełnionego młodością, pustotą, pulsowaniem rozgrzanej krwi i tem całym weselem życia, które trwa tak krótko.

Często drzwi salonu odchyłały się i stawał w nich stary Nieves.

Wzrok jego chmurny i jakby nasiąkły goryczą tych liczb trapiących, z którymi się w ciszy swego gabinetu bezskutecznie borykał, zatrzymywał się na Rosie i otaczającym ją roju młodzieży i zdawał się mówić:

— Weź że ją raz który, ten lub drugi i niech się to skończy nim struna pęknie.

Ale nikt nie zdawał się widzieć tego wzroku, ani go rozumieć, prócz może mnie jednego, bom rzadko brał udział w ogólnym rozbawieniu, stojąc zwykle na uboczu, zapatrzony w moje bóstwo i miotany najsprzeczniejzymi uczuciami tak delece, że nigdy nie mogłem wiedzieć, co w nich przeważało: rozkosz czy ból.

Nie miałem przecież powodu do zazdrością przynajmniej do tej zwykłej, jaką szczęśliwy współzawodnik obudza. Rosa nie wyróżniała nikogo.

Nietylko piękność, ale i usposobienie jej było wyjątkowe. Zawsze niespokojna, jakby wewnętrzną jakąś żądzą nurtowana, zawsze lekceważąco, zagadkowo uśmiechnięta, zawsze gdzieś w dal roztargnionemi, pałającymi oczyma wpatrzona, robiła takie wrażenie, jakby całą swą zewnętrzną i wewnętrzną istotą rwała się ku czemuś, co nie wspólnego z tym światem, w jakim żyła nie miało, co z głębi niezbadanych przeznaczeń szło na jej spotkanie i wołało, aby wybiegła wpół drogi, jeżeli to coś nieznanego a upragnionego nie ma jej minąć... A ona ruszyć się z miejsca nie mogła. Chwilami zdawała się wracać do rzeczywistości i wtedy spoglądała na skaczących przed nią na dwóch łapkach lwów kanaryjskich już nie z lekceważeniem, ale wręcz z nienawiścią, jakby instynktem taksując wartość i znaczenie tych hołdów i porównyując je z temi, do jakich się czuła stworzoną. Oczy jej mówiły: "Jacy wy głupi i śmieszni i jak mnie nudzicie! Jesteście tacy ostrożni, tak się lękacie wpaść w sidła małżeńskie, a nie wiecie jak mamą byłibyście dla mnie zdobyczą i Co mi po was? Przeszkadzacie mi tylko!"

I wzrok jej biegł znowu w przestrzeń, a mnie, który już wtedy mętnie, przecuciem serca wymowę tego spojrzenia odgadywałem, nim kiedyś stało mi się, niestety, aż nadto zrozumiałe, ogarniała rozpacz i szczęście; szczęście, że ci wszyscy bliscy byli jej tak obojętni; rozpacz, że tym dalekim, wyglądanym nie byłem ja.

Ale przyszła taka chwila, kiedy zacząłem się ludzić, że nim jestem.

Czy odczuwszy swą bystrą inteligencję, że na mnie jednego może w każdym razie liczyć, czy podrażniona w kobiecej próżności moją pozorną odpornością, Rosa stawała się dla mnie coraz uprzejmniejsza. Nawet pogardliwy uśmiech nikł z jej przecudnych ust, gdy z jakim słówkiem zwracała się ku mnie, a na jego miejscu jawił się uśmiech nieuchwytniej zachęty i — otwierał mi niebo.

Bywało że mną tak, że zdejmował mnie lęk, czy zdołałbym przeżyć ogrom mego szczęścia, osiągnąwszy je, skoro sama myśl o tej możliwości rozsądzała mi pierś aż do zatamowania oddechu.

A jednocześnie, jak gdyby uśmiech ubóstwianej kobiety był magnesem przyciągającym ku mnie wszelką pomyślność, interesa moje zaczęły się nadspodziewanie szybko poprawiać. Kilka szczęśliwie dokonanych obrotów nie tylko

pozwoili mi wybrnąć z uciążliwych zobowiązań, w jakie stryj mój wplątał był firmę, ale dały mi swobodę ruchów, co przy mojej wrodzonej rzutkości i energii i dość znacznym darze orientowania się w położeniu, było już prostą drogą do majątku. Nie minął rok mego pobytu na Gran Canarii, a dom handlowy " Bretinière et Co. " rozwinął w dwójnasób zakres swych stosunków z Europą, Ameryką i Zachodnim brzegiem Afryki. Nie minął ten sam rok, a całe Las Palmas wiedziało, że będę mężem najpiękniejszej z jego mieszkanek.

Przyszło do tego na weselu Carmeny.

Rosa, w różowej, gazowej sukni, z wieńcem różanych pączków na czarnych włosach, których ciężar z niewysłowionym wdziękiem odchyłał w tył jej małą główkę, z odsłoniętą, łabędzią szyją i śnieżnymi ramionami, była tak zjawiskowo, nieprawdopodobnie piękną, że nawet ksiądz, dający ślub jej siostrze, zmieszał się i doznał olśnienia,

gdy właściwym jej królewsko niedbałym ruchem podawała mu obrączki na srebrnej tacce, A i nowożeniec, choć szczerze kochający swą milutką żonę., częściej gonił oczyma za wieńcem z różyczek, niż za ślubnym welonem, który przecież powinien był przesłaniać mu świat cały.

Ach! jakie ja męki wycierpiałem w tym kościele !

Widok tyłu oczu zapatrzonych w Rosę z takim samym jak moje zachwytem i mających co tego takie sarno co ja prawo, budził we mnie tę specjalną zazdrość, która się tyczy nie osoby kochanej, ale samego uczucia. Mie wiem czy się dobrze tłumaczę: byłem zazdrosny nie o Rosę, ale o moją miłość. Ten owczy pęd uwielbienia, skierowany ku memu ideałowi, wydawał mi się obniżeniem i niemal poniewierką najtajniejszych wzruszeń mego młodzieńczego serca.

Niegdyś w chłopięcych jeszcze marzeniach o kobiecie, pragnąłem zawsze, aby nietylko ona mnie pierwszego i ostatniego kochała, ale abym ja sam był tym pierwszym i ostatnim, któryby ją kochał. Miłość znajdująca podniecie i zadowolenie w zachwytach tłumu nad jej wybranką wydawała mi się zawsze marną i płaską... Tam znaleźć szczęście, gdzie go nikt nie szukał; drzeć i płonąć ku czemuś, koło czego ogół przechodziłby obojętnie; zachować dumną odrębność swoich porywów i upojeń, oto na czym zasadzałem prawdziwą wyższość człowieka.

I trzeba mi było, jak na urągowisko, złożyć najwyższą rokosz mego jestestwa w tem, czem zdolny był napawać się lada głupiec i pospolity zmysłowiec, mający tylko tak jak ja parę oczu! Bo, pomimo całej potęgi mego uczucia tkwił we mnie jakiś szósty zmysł nieogarnięty pożarem namiętno

ści i bywały chwile, że z jego pomocą zdawałem sobie sprawę, jakiego gatunku była moja miłość. Kochałem Rosę tak zapamiętale, że gdyby nawet popełniła zbrodnię nie byłbym przestał jej kochać; lecz nie wiedziałem nigdy, a raczej wiedziałem aż nadto dobrze, co by się było stało gdyby tak ospa poorała raptem jej cudną twarz, lub jakie kelectwo wypaczyło boską harmonję jej kształtów. Panowała nademną tak wszechwładnie, że nie było we mnie jednego atomu, któryby nią nie drgał, a jednak w tem wszystkim dusza jej była mi zupełnie obcą, tak obcą, że nawet nie próbowałem zajrzeć w jej głąb, tak jak nie próbujemy dotknąć ręką księżycy.

Taka miłość, pani, to przekleństwo, to dar Helijogabala! cóż stąd, że wraz z nią wstępuje w pierś człowieka jakiś tytaniczny pierwiastek, całemu światu zda się czło stawiać mogący, kiedy ten człowiek ani wie — na dno jakiego upodlenia zawieść go ona zdoła, jeżeli jej się tak będzie podobało tej — piekielnej !

Nigdy, nigdy, nie czułem tego tak wyraźnie, nie bolałem nad tem tak okrutnie, jak podczas owego ślubu, wmieszany w tłum, który patrzył tylko na Rosę, szeptał tylko o niej.

A jednak, zamiast uciec i nie widzieć jej więcej, tego samego wieczora oświadczyłem się. Taka jest natura ludzka. Korzystając z mego przywileju drużby, wyprowadziłem Rosę do ogrodu i tam — a była to taka sama jak dzisiaj, księżycowa, pachnąca noc — powiedziałem jej, że ją kocham i błagałem na klęczkach, aby została moją żoną. Zrazu nie odpowiedziała mi wprost.

— Żoną!... Żoną!... powtórzyła tylko, a był w jej głosie taki szczególny dźwięk, że go dotychczas zapomnieć nie mogę, że przeszył mnie od stóp do głów, jak coś tajemniczego i potwornego zarazem.

— Tak; żoną — rzekłem — ujmując jej rękę, której mi nie broniła — moją jedyną, moją na zawsze.

— Na zawsze — powtórzyła jeszcze — na zawsze.

A mnie znowu przeniknął ten sam dziwny ból, czy lęk, bo mówiła to tak, jak gdyby to był cudzoziemski jakiś wyraz o niezrozumiałym dla niej znaczeniu. Zwyczajem swoim patrzyła gdzieś w przestrzeń, nawet w tej chwili zdając się tam szukać czegoś, co nie było ani mną, ani moją miłością.

Ale usta jej uśmiechały się, i nie odsuwała się odemnie choć czuła, że ramię moje opasuje ją zwolna i przyciąga do piersi, do tej piersi tak wzburzonej, jak gdyby już nie jedno słabe, śmiertelne serce, ale jak gdyby były w niej wszystkie serca, które od początku świata kochały, które do końca świata kochać będą.

I trzymałem ją tak w objęciu, nieruchomą, jak cudny posąg, a gdy oszalały szczęściem ustami do jej ust przyłgnałem, drgnęła, i jakby zwyciężona nieznana jej siłą zarzuciła mi ręce na szyję i pocałunek mi oddała.

Ach! pani! Ludzie się potem dziwili, że jej nigdy nie przeklinałem, nigdy nie zlorzeczyłem! Ale oni tego wiedzieć nie mogli, że za tę jedną chwilę jam został jej dłużnikiem na wieki, że wtedy wziął od niej wszystko, czego naprawdę pożądać warto, że gdyby mi była we wszystkich kościołach świata miłość i wierność przysięgła, że

gdybym ją lata całe posiadał, nie byłaby nigdy bardziej moją, niż przez tę krótką chwilę mistycznego małżeństwa ust naszych.

Bo wierzę — a jeśli to jest złudzeniem, to ja, którym wszystkie złudzenia stracił i przebolewał, to jedno z życiem chyba dałbym sobie odebrać — bo wierzę, że na tę jedną chwilę ona kochała mnie, że potęga mojej wielkiej miłości dokazała cudu, i raz jeden w tę istotę, która była samą doczesnością tchnęła nieśmiertelną iskrę ducha.

Boże miłosierny! dlaczego ja wtedy nie umarłem. Byłem tak bliski nieba!... tak bliski !

Ale iskra przeleciała jak błyskawica.

— A po ślubie zawieziesz mnie do Paryża? — wymówiła Rosa, odsuwając się zlekka odemnie, chociaż ramiona jej oplatały jeszcze moją szyję.

Doznałem uderzenia obuchem w głowę; runąłem z nieba na ziemię...

Tuliłem ją w objęciach po raz pierwszy, a ona marzyła o Paryżu! Pytała mnie o Paryż temi samymi ustami, na których płonęła jeszcze cała moja dusza i nie czuła tego świętokradztwa, tego rozdarcia, nie rozumiała, że byłaby mniej okrutną, gdy mnie pchnęła sztyltem w samo serce.

Nie, ona miała zrozumienie czegoś innego; ona wiedziała, że są momenty, w których kobieta wszystkiego od mężczyzny zażądać może, w których on jej wszystko z najlepszą wiarą przyrzeknie i zrobiła z tej świadomości użytek. Pani! ta niedoświadczona, niewinna dziewczyna miała już instynkt swego powołania, szła za nim i... nie myliła się. Bo oto ja, chociaż mi duszę rozdarła i sponiewierała, czułem jednocześnie ciepło jej atlasowych ramion na mojej szyi, widziałem jej zamgło

ne jeszcze upojeniem oczy, wpatrzone we mnie po raz pierwszy z wyrazem prośby i oczekiwania i zamiast ją odtrącić, ten pusty, zachwycający kształt, który bezwiednie urągał pięknu zdeptanego ideału, tem silniej przygarnąłem ją do piersi, tem namiętniej czepiałem się tego, co w niej jedynie było prawdą, jej zmysłowego czaru i całowałem znów jej usta i tonałem w rozkoszy jej biernej pieszczoty, a moja zdeptana dusza płakała we mnie jakby cudza.

I ta dwoistość uczuć stała się już moją nieodłączną towarzyszką, przez cały czas naszego narzeczeństwa. Przeciągnęło się ono dłużej, niż ja sobie tego życzyłem. W mojej niecierpliwości miłosnej byłbym chciał choćby nazajutrz stanąć u ołtarza, ale stary Nieves, pomimo, że z nietajoną radością przyjął moje oświadczenia, sprzeciwił się zbytniemu pośpiechowi.

Musiał, jak się wyraził, odsapnąć trochę po zamążpójściu młodszej córki, co znaczyło, zdobyć skądby się dało pieniędzy na wyprawę i wesele starszej.

Byłbym jaknajchętniej zwolnił go z obu tych wydatków.

— Wezmę cię w tej jednej sukience — mówiłem Rosie — i szczęśliwy będę, jeżeli wszystko, co ci potrzebnem być może, odemnie mieć będziesz.

Ale Rosa nie życzyła sobie być wziętą w jednej sukience.

Przeciwnie. Carmeną ze śmiechem opowiedziała mi przy tej sposobności, że gdy się przygotowywała jej własna wyprawa, Rosa, choć krzywiła pogardliwie usteczka na wszystko, bo wszystko dla jej gustu było niedość bogate i wykwinne, zapisy

wała skrzętnie każdy szczegół, aby, gdy przyjdzie na nią kolej nie być skrzywdzoną bodaj o jedną serwetkę lub spodeczek.

Stańto więc na tem, że pobierzemy się za dwa miesiące.

I Gran Canarja stało się wtedy naprawdę rajem dla mnie. Nie wiem, jak mi starczyło czasu na wszystko, bo dwoilem go i troilem i gdybym zawsze później wkładał był tyle zapału i przedsiębiorczości w moje interesa, to naprawdę byłbym dokonał wielkich rzeczy i dziś byłbym miliardrem.

A już z największą rozkoszą stałem gniazdko dla mego rajskiego ptaka.

Poznawszy zamiłowanie Rosy w zbytku, starałem się zaspokoić je w zakresie moich środków, skupując to, co sklepy Gran Canarji miały najwykwintniejszego, znaczną część mebli i innych przedmiotów zamawiając we Francji.

Codziennie też, po skończonej pracy siedłem nad wieczorem ową akacją aleją, wśród kwitnących róż i zawsze niosłem z sobą jakąś drobnostkę, będącą subtelnem podpatrzeniem gustów mojej ukochanej.

I tak ją do tego przyzwyczaiłem, że gdy wybiegała na moje spotkanie, pierwsze jej spojrzenie odruchowo kierowało się ku moim rękom, a ja zawsze wtedy doznawałem leciutkiego ukłucia w serce. I ukłucie to bywało podwójne, bo nigdy prawie moje małe upominki nie zadawały Rosy w zupełności. Przyjmowała je chętnie; dziękowała mi z czarującym uśmiechem, ale był w tem jakiś nieuchwytny cień rozczarowania, zdający się mówić: "Spodziewałam się czegoś więcej".

Uwydatniło się to szczególnie przy zamianie pierścionków.

Miałem po mojej ukochanej, przed kilku laty zmarłej matce jej własny, zaręczynowy pierścionek, śliczny ale skromny klejnocik: trzy niezapominajki rznięte w turkusie i związane kokardką z brylancików.

W swoim czasie narzeczony Carmeny ofiarował jej na zaręczyny wspaniałą rubin, ja jednak w nieuleczalnym mym idealizmie sądziłem, że nie potrafię godniej uczcić tej ważnej chwili, jak łącząc je z najcenniejszą dla mnie pamiątką. Kiedy w obecności starego Nievesa wsuwałem pierścionek na paluszek Rosy, podczas gdy ona kładła mi na czubek paznogcia swój paniński szafirek, byłem tak wzruszony, że nie mogłem śledzić wrażenia, jakie sprawił mój dar.

Dopiero nazajutrz zauważyłem, że Rosa go nie nosi.

— Co się stało z pierścionkiem? — spytałem zaniepokojony. — Czyżbyś go zgubiła?

— O mało — odpowiedziała wymijająco. — Jest dla mnie za duży.

— Ależ to drobnostka! Każę go ścieśnić.

— Nie, nie, nie czyn tego... Ja go i tak nosić nie będę, bo... bo... nie lubię turkusów... To smutne kamienie.

A widząc, że sposepniałem, dodała pośpiesznie:

— Nie gniewaj się Vico, (co było zdrobnieniem mego imienia Wincenty i brzmiało w jej ustach jak najcudniejsza pieszczota), ale ja... ja jestem przesadna, a Donia Augustia powiedziała mi, że turkus przynosi nieszczęście i że się go nie daje na zaręczyny.

— Donia Augustia jest niemądra — odparłem, śmiejąc się. — To przecież pierścionek zaręczynowy mojej matki, a pragnąłbym tylko, żebyś ty, najdroższa, tak była szczęśliwa ze mną, jak ona z moim ojcem.

— Ale mówiłaś, że wcześniej umarła — szepnęła Rosa.

Zadrzałem.

— O! skoro takie myśli chodzą ci po główce, to mi go oddaj — wykrzyknąłem — przyniosę ci jutro inny. I tak zamiarem moim było ofiarować ci jaki piękny klejnot, gdy przyjedziemy do Paryża, ale i tutaj znajdzie się coś godnego tej królewskiej rączki.

Jakoż nazajutrz kupiłem u pierwszego jubilera w Las Palmas cenną, brylantową markizę i Rosa była uszczęśliwiona.

Niezapominajki mojej matki wróciły do szkatułki z jej listami i leżą tam dotychczas.

Nie mogłem jednak powstrzymać się od uczynienia wymówki Duegnie mojej narzeczonej za jej niewczesne zabobony.

Zacna Donia Augustia otworzyła szeroko oczy, ale Rosa, która była temu obecna nie dała jej dojść do słowa.

— Nie wykręcaj się, Nunu — zawołała ze śmiechem — Don Vicente i tak ci nie uwierzy. Zresztą, ja to nie od ciebie jednej słyszałam i niema o czem mówić. Zajmij się lepiej kolacją.

I stara kobieta, zupełnie zawojowana przez Rosę wyszła, ruszając ramionami i mrużąc:

— Ach ta Rosita! Ach ta Rosita!

Te i podobne zgrzyty nie mąciły jednak ogólnej harmonji mego szczęścia. Byłem tak rozkochany i tak zaślepiiony, że oswoiłem się z niemi, jak z czemś nieodzownem, co nawet potęgowało czar następującej po niej melodji.

Bo Rosa z dziwną intuicją umiała zawsze odgadnąć, kiedy struna zaczynała się zbyt prężyć i nie przeciągała jej nigdy. Nie posiadając żadnego prawie wykształcenia, jak zresztą wszystkie tutejsze kreolki, była ogromnie bystrą, a wrodzony dowcip i spryt wystarczały w zupełności moim intelektualnym potrzebom w stosunku do niej. Raziło mnie w niej tylko, jeżeli wogóle coś w niej razić mnie mogło jej bałwochwalcze upodobanie w błyskotkach.

Nie mogła się napatrzeć brylantowej markizie, jaką jej dałem.

— Patrz, Vico, patrz, jak cudnie grają te kolory tęczy — mawiała, migając mi przed oczyma swą liljową rączką. — Ach ! mieć takie kolczyki ! taki naszyjnik!...

— Powiedz mi Różyczko — rzekłem raz do niej — co cię tak w tych świecidłach zachwyca?

— To właśnie, że się tak świecą — odparła bez wahania. — Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale moje oczy są głodne blasków... One się niemi pasą...

— Więc spójrz na łąkę zroszoną zrana; spójrz na gwiazdy nad nami — zawołałem. — Czyż one nie stokroć piękniejsze? Czemże jest martwy kamień wobec tych miliardów żywych brylantów?

Rosa popatrzyła na mnie z pewnem zdziwieniem i zamyśliła się.

— Nie wiem — rzekła po chwili — nie przyszło mi nigdy do głowy zachwycać się takimi rzeczami.

— Ale dlaczego, najdroższa — nalegałem. — Wszak mówisz sama, że łąkniesz tej gry kolorów, tych blasków...

— Tak — odpowiedziała, — ale ani rosy, ani gwiazdy na palec włożyć nie można.

I w tem powiedzeniu streściła się cała jej natura tak nawskroś materialistyczna, tak niesły

chaniem wrażliwa na wszelkie dotykalne piękno, zwłaszcza takie, które jej własną osobę przyozdobić mogło, a tak obojętna na idealne przejawy życia.

Ale na to nie było rady. Taką była i mogłem tylko oceniać w niej to, że się inną przedstawiać nie chciała. Zapewne, byłbym wolał, aby wraz ze mną potrafiła zachwycać się rosą i gwiazdami, lecz skoro to być nie mogło, wolałem zamiast daremnie nad tem biadać, tak całą energję wyteżać, aby zdobyć się kiedyś na ten naszyjnik brylantowy i te kolczyki, o których marzyła.

A tymczasem tygodnie mijały i już tylko dziesięć dni pozostawało do naszego ślubu, gdy pewnego ranka stanął w porcie La Luz amerykański yacht, mając na pokładzie syna i dziedzica jednego z nowojorskich królów przemysłu, Pawła Van Torpa.

Z tą firmą łączyły mnie stosunki handlowe, zawiązane niedawno, ale rokujące najświetniejsze widoki na przyszłość, to też młody Van Torp zjawił się niebawem w moim kantorze z listem od ojca, w którym ten donosił mi, że wyprawia syna w podróż do Europy i Indji Wschodnich, mającą podwójny cel: wyrobienia młodzieńca towarzysko i umysłowo i



zapoznanie go z interesami. W myśl tego prosił, abym pokazał mu nie tylko nasze księgi handlowe, ale i wyspę, jej bogactwa naturalne, jej przemysł i wprowadził go do domów wybitniejszych mieszkańców Las Palmas.

"Niewiadam nigdy na co jaka znajomość przydać się może", kończył praktyczny Yankes.

W nawale przedślubnych zajęć ta misja była mi mocno nie na rękę, lecz zbyt mi zależało na panu Van Torpie, abym się mógł od niej uchylać. Oświadczyłem więc młodemu, że jestem do jego rozporządzenia i przedewszystkiem rozpoczęliśmy rozmowę o interesach.

Nie powiem, że bym poczuł sympatię do tego zjankesowanego holendra, ale musiałem przyznać, że była to powierzchowność niezwykle oryginalna i ciekawa.

Ten dziesiętnastoletni zaledwie chłopak miał korpus atlety, a twarz rafaelowskiego aniołka. Tylko wyraz tej twarzy nie był wcale aniołkowaty. Wypukłe, białe czoło w obramowaniu złocistych kędziorków zastanawiało siłą szczególnego skupienia, które w pewnych chwilach żłobiło nad delikatnymi brwiami bruzdę w kształcie daszka; małe, dziecięce usta wśród pyzatych policzków uśmiechały się wyzywająco, śliczne, błękitne oczy patrzyły z bezwzględną stanowczością i rzucały chłodne, metaliczne odbłaski, a palce, które objęły moją dłoń, miały sprężystość tej stali, na której ojciec jego zrobił swój kolosalny majątek.

Poza tem był bardzo grzeczny, spokojny i każda jego uwaga zdradzała ruchliwą, niepoślednią inteligencję.

Po godzinie rozmowy wstał i z wielką uprzejmością zaprosił mnie na lunch, na pokład swojej "White lady", jak się nazywał yacht.

Nie jeden przepych widział przedtem moje oczy, ale to, co tam zobaczyłem, wprowadziło mnie w podziw.

Już sama konstrukcja tego pływającego pałacyku była szczytem doskonałości, jakiej sztuka budowania okrętów dosięgła w owych czasach. Załoga w umundurowaniu granatowym z zielonym pod wodzą jakiegoś starego wilka morskiego, ruszała się ze sprawnością, którejby się nie powstydzili majtkowie wojennego krążownika.

Ściany mieszkalnego wnętrza wykładane były bukszpanem i hebanem o dyskretnych złożonych listewkach; na podłogach leżały przepyszne perskie

dywany, idące w zawody z barwnością wschodnich haftów na meblach w salonie i jedwabnych zasłonach u drzwi i okien, marmurowe posągi wychylały się z kłębów palm i kwiatów po kątach; cenne płótna współczesnych europejskich malarzy w bogatych złożonych ramach, przykuwały wzrok nienawykły do podobnych widoków na okrętowych pokładach; mnóstwo artystycznych gracików zdobiło mozaikowe blaty różnych komódek i biurerek; w jadalni rozkładał się wspaniały, staroniemiecki kredens cały błyszczący od srebra i kryształów; sypialnia właściciela przedstawiała ostatni wyraz komfortu w najdrobniejszych szczegółach urządzenia, a wśród kilku gościnnych kajut trzy damskie wyglądały jak wypikowane różowym i kremowym atłasem bombonierki. W sali bilardowej nie brakło żadnej z gier mogących urozmaicić czas w podróży; fechtunek i inne sporty pokojowe miały swój oddzielny przybytek, troskliwie i umiejętnie zaopatrzone; ale to było niczem wobec palarni, istnej świątyni tytoniowego kultu, gdzie każdy czciciel mógł w upodobany sobie sposób składać swoje hołdy, czy to z długą nargilą w ręku czy z cieniutką jak słomka cygaretką w zębach.

Znajdowała się tam też duża, oszklona gablota, a w niej na aksamitnych podkładach cały zbiór fajek, każda opatrzona numerem i odnośnikiem do oprawnego w skórę i srebrne okucia skorowidza. Młody Van Torp z dziecinną dumą pokazał mi tę kolekcję, nadmieniając, że już od pięciu lat zajmuje się zbieraniem okazów i że nadzieja powiększenia ich jest jedną z podniet obecnej jego podróży.

— Mam już przygotowane dwie puste gabloty — rzekł z uśmiechem — i spodziewam się, że i na Gran Canarji uda mi się zdobyć jakiś ciekawy

egzemplarz, zwłaszcza pomiędzy wieśniakami, bo ci są najwięksi konserwatyści. Jak pan myślisz? Wyznałem mu z pokorą, że nie przyszło mi nigdy do głowy zwracać uwagę na to, co poczciwy grankanaryjczyk trzyma w ustach.

— Ale to nie dosyć — dodał pan Van Torp z powagą — mam tu jeszcze coś osobliwszego — rodzaj apendiksu do moich fajeczek... Myślę, że będzie to jedyny na świecie zbiór.

Z namaszczeniem otworzył inną gablotę, w której ujrzałem stosy również ponumerowanych i posegregowanych pudełeczek, przeważnie poodrapywanych i brudnych.

— To pudełka od zapalek! — objaśnił triumfująco, widząc, że się nie orjentuje w tych skarbach. — Mam tu kilka poprostu bezcennych egzemplarzy, niestety, przeważnie pustych, bo o zapaliki trudniej jeszcze, niż o pudełeczka... Naturalnie mówię o tych, które zaczęto wyrabiać bezpośrednio po zarzuceniu krzesiwiek... Ale i w tym kierunku los mi poszczęścił. Spójrz pan tylko!...

Wskazał na podłużną, kryształową szkatułeczkę, w której spoczywało kilka oblepionych jakąś białoczerwoną masą drewnienek.

— Wiesz pan, co to jest? To są najpierwsze zapaliki, datujące z go roku, tak zwane, maczane, które zapalały się przez zanurzenie w kwasie siarczanym stężonym. Drogą ogłoszeń doszedłem do posiadania tych unikatów... Ale też zapłaciłem za nie na wagę złota.

Pomyślałem, że te unikaty mogły być doskonale falsyfikatami, ale oczywiście nie zmaciłem tem przypuszczeniem radości ich właściciela. Ogarniało mnie tylko zdumienie, że ta świeża, bujna młodość mogła znajdować jakieś ujście dla siebie w tak suchem i bezdusznem zajęciu, dobrem dla

jakiegoś skostniałego w pedantyzmie emeryta. Było to takie samo przeciwieństwo, jak ta twarzyczka Cheruba na tych ramionach siłacza.

Niebawem przeszliśmy do sali jadalnej, gdzie nas oczekiwało śniadanie, trzymane, jak wszystko na tym yachcie w superlatywach. Burgund i claret, jakim obleliśmy je obficie, godne były królewskiego stołu. Wszystko to razem wzięte wykoleiło mnie mocno z trybu moich codziennych zajęć, i ciemno już było zupełnie, gdy wreszcie uporawszy się z nimi, znalazłem się w akacyjowej alei.

Zaledwie uszedłem część drogi, między pniami mignęła biała suknia i wnet Rosa znalazła się w moich objęciach.

— Co się stało, Vico? — wykrzyknęła zdyszczym głosem. — Ja już od dwóch godzin wybiegam na twoje spotkanie i zawsze napróżno... Dlaczego się tak spóźniłeś?

— Więc tęskniłaś za mną, najdroższa? — zapytałem w upojeniu, obsypując pocałunkami jej rozognioną twarzyczkę.

Nie odpowiedziała mi wprost.

— Tak czekałam, — rzekła załośnie. — A ja... niecierpię, nie umiem czekać! Nie umiem — powtórzyła z jakimś rozpaczliwym prawie dźwiękiem w głosie. — Choćby dlatego — dodała ciszej — że odkąd zapamiętam, wciąż na coś czekam.

Otoczyłem ramieniem jej kibić i poszliśmy ku domowi.

— Na cóż to tak moja królowa czekała odkąd zapamięta — spytałem wesoło. — Pochlebiam sobie, że na mnie i na moją miłość.

— Ach! Vico! nie żartuj — odparła niecierpliwie. — Żebyś wiedział, jakie to okropne. Budzić

się co rano z myślą, że się coś stanie... że się stać musi i czekać, aż dzień minie, taki jak każdy inny!... Ale powiedz, dlaczego się spóźniłeś?

Nie zdążyłem jej odpowiedzieć, bo doszliśmy już do willi i wszyscy otoczyli mnie, zadając to samo pytanie.

Zacząłem więc opowiadać.

Byłem szczególnie podniecony. Stary burgund nie wywietrzył mi jeszcze z głowy, a spotkanie z Rosą w akacyjnej alei, jej wpadnięcie mi w ramiona, upoiły mnie jeszcze bardziej, niż najstarsze wino. Czułem wciąż jej serduszko bijące na mojej piersi, jak ptak spłoszony, bijące niepokojem o mnie... I w tym rozkosznym zachwycie, stałem się wymownym, jak nigdy; unosiłem się nad wspaniałościami yachtu, znajdując jakieś szczęśliwe porównanie dla każdego szczegółu — proszę wierzyć, że czyniłem to trochę lepiej, niż teraz — opisywałem oryginalną urodę młodego Van Torpa, zachwycałem się przepychem stołowej zastawy i jego gościnnością; wspominałem nawet o cudach pałacu jego ojca w Nowym Yorku na Fifth Avenue, o których mi dawniej mówiono.

Rodzina mojej narzeczonej słuchała mnie z nabożną uwagą. Dla tych ludzi, którzy się nigdy poza obręb swej rodzinnej wyspy nie wychylili były to rzeczy jak z bajki.

Nagle urwałem.

Pochylona ku przodowi, z nawpół otwartymi ustami, z falującą piersią Rosa zdawała się chłonać każde moje słowo, a oczy jej wpatrywały się we mnie, jakby mnie nie widząc, lecz jak gdyby gdzieś po przez moją osobę biegły w ten zaczarowany świat potęgi złota, jaki nagle ukazał się jej wyobraźni.

Musiła w istocie wyglądać dziwnie, bo stary Nieves spojrzawszy na córkę, parsknął śmiechem.

— Co z tobą dziewczyno? — zawołał. — Pomyślałby kto, że cię coś urzekło.

Rosa drgnęła i ręką po czole powiodła.

— Ach ojczy, cóż znowu! — wymówiła marszcząc brwi. — Opowiadaj dalej Vico.

— Nic już więcej do opowiadania nie mam — rzekłem i sam zdziwiłem się brzmieniu mego głosu, tak był sztywny i jakby cudzy. Niewytłumaczony chłód zmroził mi mózg.

Stary Nieves zaśmiał się znowu.

— Bo i słusznie — rzekł. — Wiadomo, że za pieniądze wszystkiego dostać można, a kto ich nie ma, to po co mu się próżno rozłakamiać? Siadajmy lepiej do wieczerzy, bo już i tak całkiem wystygła.

Uślu­cha­li­śmy dobrej rady i weso­łość wróci­ła znowu do tych serc prostych i umy­ś­łów niesubtelnych. Tylko Rosa była milcząca i roztargniona, a ja wciąż czu­łem pod czaszką bry­łę lodu.

Dopiero przy po­że­gnaniu moja narze­czona potrafiła ją jed­nym tchnieniem swych koralowych ust roztopić.

— Przyjdź jutro wcześnie, Vico — szepnęła, odprowadzając mnie do ogrodowej furtki. — Nie daj mi znowu na siebie czekać.

— Czy na mnie, czy na nowiny z yachtu? — zapytałem żartobliwie.

— Nie; na ciebie — odpowiedziała tym samym tonem. — Nie chcę już o nim słyszeć.

Zamilkła i po chwili, patrząc znów w przestrzeń, dodała ciszej:

— Chciałabym go zobaczyć.

Dziwna rzecz! Te słowa powinny były dać mi więcej do myślenia, niż ów wy­te­żony wzrok Rosy podczas mego opowiadania. Tymczasem przyjąłem je zupełnie spokojnie, jak zgoła naturalny objaw zacie­ka­wienia młodej dziewczyny, która tak mało jeszcze w życiu widziała. Owszem, wracając do domu, zastanawiałem się, co to właściwie było ze mną w owej chwili.

Później dopiero, znacznie później przypominałem to sobie i jasnym mi się stało wtedy, że ów chłód pod czaszką był złożonym mi na czole pocałunkiem boskiego pierwiastku przecucia, którego moja gruboskórna, ziem­ska natura nie rozumiała.

Nazajutrz zrana, młody Van Torp — czy wspomniałem, że mu na imię było Leslie — stawił się na umówioną, konną przejażdżkę w głąb wyspy.

Wynająłem dwa najlepsze wierzchowce w Las Palmas, co nie znaczyło powiedzieć wiele, bo tutejsze konie­ta nie wzięłyby z pewnością nagrody na żadnych europejskich wyścigach i są tak drobne, że Van Torp wy­glądał potrosze śmiesznie (co nie wiem dlaczego sprawiło mi pewną przyjemność) ze swoim torsem centaury na tej szkapinie, na której siedział, mimo to, jak zrosnięty z siodłem i która musiała wyczuć mistrza, bo nabrała wnet pod jego ręką niezwykłej fantazji.

Znalazłszy się wśród pulchnych wzgórz i białych farm gęsto rozsianych po tej przeurodzajnej ziemi, Van Torp przeobraził się w prawdziwego businessmanna. Wszystko go obchodziło i wszystko z praktycznego punktu widzenia. Jego bystre, stalowe oczy, jakimi obrzucał okolicę, mówiły wyraźnie, że nie myślał w tej chwili ani o fajkach, ani o pudełkach do zapalek. Zainteresowały go zwłaszcza znakomicie utrzymane plantacje kaktusów, na których hodowała się sławna na cały świat

kanaryjska koszenila. () Miał w Meksyku krewnych, uprawiających tę gałąź przemysłu i znał się na niej niezłe. Pomyślny dla mnie zbieg okoliczności sprawił, że spotkaliśmy po drodze syna jednego z najbogatszych właścicieli winnic Pepita Pinedę, jadącego do Las Palmas. Zapoznałem więc skwapliwie obu młodzieńców i rad, że mogę na czyjeś barki złożyć część trudu ciceronowania memu amerykańskiemu wróciłem do siebie.

W kilka godzin po lunchu zjawił się on znowu i w dalszym ciągu omawialiśmy wspólne interesa. Nagle rzekł:

— Słyszałem, że pan się żeni, panie de Bretinière, i że...

Ne dokończył, ale ja odgadłem, że to niedopowiedziane zdanie tyczyło się piękności Rosy.

— W istocie. I to nawet wkrótce.

— Pozwól pan złożyć sobie najlepsze życzenia.

— Dziękuję panu.

Leslie Van Torp zaciągnął się mocno papierosem i, wypuszczając ogromny kłęb dymu, wśród którego twarzyczka jego nabrała tem większego podobieństwa do Rafaelowskiego aniołka w obłokach, rzekł:

— Pragnąłbym powtórzyć je pańskiej narzeczonej. Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu?

Może i miałem; chociaż gdyby mnie kto zapytał dlaczego, to nie był bym potrafił odpowiedzieć. Natomiast odpowiedziałem Van Torpowi, że będę zachwycony i że dziś jeszcze wprowadzę go do domu jej ojca.

Posłałem czempredzej chłopca z kartką, zapowiadającą nasze przybycie na wieczór i jak to obiecałem Rosie, wcześniej niż zwykle znalazłem się w akacyjowej alei... nie sam. Ale Rosa nie wybiegła tym razem na moje spotkanie i byłem jej za to niewiedzieć dlaczego wdzięczny.

Oczekiwano nas w Mariposie w świątecznym nastroju. Stary Nieves włożył nowy surdut z wesela Carmeny. Carmena przywdziała najbogatszą ze swoich wyprawnych sukien i ustroiła męża w zabójczy krawat i szkockie skarpetki. Donia Augustia dusiła się ze zmęczenia i ciekawości w przyciasnym na jej obfite kształty staniku. Tylko Rosa była w jednej ze swych codziennych białych sukienek. Ta dziewczyna, wychowana wśród arkadyjskiej prostoty tego błogosławionego zakątka, miała zdumiewającą intuicję towarzyskich subtelności... Może dołożyła wyjątkowego starania w czesaniu swych hebanowych loków, w związaniu szarfy, opasującej fałdy jej skromniutkiej, ale ślicznej swą świeżością sukienki?... To się jednak nie rzucało w oczy i znowu byłem jej za to wdzięczny.

Inna jeszcze okoliczność wpłynęła na mój dobry humor. Moja przyszła rodzina nie mówiła żadnym obcym językiem i rola tłumacza zapowiadała mi się dosyć męcząco; tymczasem wyszło na jaw, że Leslie, dzięki krewnym w Meksyku, znał się nie tylko na hodowli koszenili, lecz i wcale biegle władał hiszpańszczyzną.

Pomimo niewytłumaczonego uprzedzenia, jakie od pierwszej chwili powziąłem względem niego, musiałem oddać mu sprawiedliwość, że posiadał wielki dar jednania sobie ludzi. Z tą specjalną swobodą, jaką tylko pieniądze dać mogą, a jednocześnie z pełnym szacunku taktem, zachowywał się w tem obcym sobie środowisku, jakgdyby w niem

wyrósł. Kolację zjadał z takim apetytem, że pocziwa Donia Augustia, która wysilała na nią cały swój kunszt kucharski, była w siódmym niebie. Zjawilo się też na stole kilka butelek starego kanaryjskiego wina, przechowywanego na rzadkie uroczystości i Leslie nie mógł się dość nachwalić jego słodczy i aromatu.

— Muszę zabrać stąd pewien zapas — mówił, smakując gęstawy ze starości płyn z miną znawcy. — Nic równie znakomitego w tym rodzaju jeszcze nie piłem.

Co słysząc mój przyszły teść promieniał, jak gdyby mu kto zwrócił dawno utraconą winnicę, z której właśnie pochodziło to wino, jeszcze przez jego dziada ściągane.

Po wieczery obie siostry na prośbę Van Torpa grały na cytrze i gitarze, a on bardzo miłym barytonem zaśpiewał Three blind mice (trzy ślepe myszy) i inne amerykańskie piosenki.

Na odchodnym jał prosić o wyświadczenie mu wielkiej łaski i zaszczytu, aby mógł przyjąć tak rzadkich gości popołudniową herbatą na swojej "White Lady". Nie pominął nawet Donii Augustii, czem już podbił ją ostatecznie.

Wymówiła się jednak, powtarzając z rozrzewnieniem:

— Muchas gracias, muchas gracias, Señor. Dios de lo pague. (Dziękuję, stokrotnie dziękuję. Niech to Bóg panu zapłaci). Nie zapomnę tego do końca życia.

Nazajutrz w oznaczonej porze, towarzystwo nasze znalazło się na moło, gdzie już oczekiwał przybrany zielenią i kwiatami gig Van Torpa. On sam stał na schodkach bortowych i wręczył obu siostrąm wspaniałe bukiety, związane kosztownymi szarfami. Tylko szarfa mojej narzeczonej

przepięta była szmaragdową agrafą, przyczem Van Torp zwrócił się do mnie, przepraszając za swoją śmiałość i twierdząc, że taki jest zwyczaj w nowojorskich kółkach, gdzie wychodzącej zamąż panience każdy, nawet daleki znajomy, ma prawo ofiarować jakiś upominek.

Nie słyszałem dotychczas o podobnym zwyczaju, ale czułem, że nie na miejscu byłoby czynić z tego jakąś kwestję stanu, zwłaszcza, że szmaragdiki były drobne, bez większej wartości i że Rosa przyjęła je dość obojętnie.

Po zwiedzeniu yachtu, czemu towarzyszyły ciągłe okrzyki dobroduszných zachwyków, wśród których jedna Rosa zachowywała dyskretne milczenie, zasiedliśmy do owej herbaty, a raczej do jakiejś symfonji słodyczy, złożonej z tortów, cukrów, lodów i owoców. Na zakończenie podano w srebrnych wanienkach szampan mrożony i Leslie w bardzo zręcznem przemówieniu wznosił toast na pomyślność "młodej pary".

Podniosłem się z krzesła, aby odpowiedzieć, gdy do jadalni wszedł pośpiesznie jeden ze stewardów i szepnął mi, że przybył mój clark i czeka na pokładzie. Wybiegłem przeprosiwszy towarzystwo.

— Co się stało? — spytałem zaniepokojony.

— Nic złego, proszę pana. Tylko przyjechał don Ramon Sanchez i koniecznie pragnie się z panem zobaczyć. Powiada, że ma bardzo pilny interes i że to krótko potrwa.

Klnąc w duszy nudnego klienta, który właśnie potrzebował się wybrać z drugiego końca wyspy tak nie w porę, wróciłem do sali z oznajmieniem o tem niefortunnem intermezzo, a widząc, że moja gromadka zabiera się również dość niechętnie do odwrotu, dodałem:

— Nie przerywajcie sobie państwo, proszę, tak miłej zabawy. Jeżeli pan Van Torp udzieli wam gościnności jeszcze przez jaką godzinę, to ja do tego czasu będę z powrotem.

Byłem z powrotem wcześniej, bo niecierpliwy Don Ramon spotkał mnie wpół drogi swoją karjolką z La Luz do miasta. Kiedym, załatwiwszy się z nim wskoczył w oczekujący mnie gig Van Torpa pierwsze moje spojrzenie skierowane było na White Lady. Słoneczna glorja dnia przygasła już, różowiac nieskazitelny lazur nieba, a na tem tle śliczna sylweta yachtu rysowała się z przedziwną wyrazistością. Zdawać się mogło, że gdyby mucha spacerowała po rei, to by się ją dostrzegło. Nad dunetą () biała w zielone pasy markiza była ściągnięta, a w cieniu jej fałd na płóciennym fotelu drzemał Don Anselmo z fajką w ustach.

Carmen z mężem siedzieli opodal, zajęci sobą, jak przystało na tak młode małżeństwo, a w drugim końcu dunety oparta o ażurową balustradę, stała Rosa. Tuż obok, pochylając nad nią swą atletyczną postać Leslie Van Torp zdawał się mówić jej coś z wielkiem ożywieniem. Ona słuchała, nie patrząc na niego, ale nie patrząc i w tę stronę, z której mogła się spodziewać mego powrotu.

Podniosłem rękę do czoła... Znowu ten dziwny chłód pod czaszką... Bo co on jej mógł mówić z takim przejęciem ten obcy przybysz, który jeszcze wczoraj rano nie wiedział o jej istnieniu, a za kilka dni o niej zapomni? Ale czy zapomni? Czy, kto ją raz zobaczył, potrafi kiedykolwiek o niej zapomnieć?...

Zachnąłem się. Więc cóż stąd? Cóż mnie to mogło obchodzić, że ten młodzik odjedzie z duszą zmaconą obrazem piękności, jakiej drugiej nie ma na świecie? Niechże szuka, niech tęskni... Byle tylko ona... Ach!... nie o niego mi chodziło jako

o mężczyznę... o to byłem spokojny, ale czy ta czarnoksiężka potęga złota, którą upostaciowywał i z którą niebacznie pozwoliłem się jej zetknąć, nie rozbudzi w niej z nieokreślonych, konkretnych już pożądań, jakich ja zaspokoić nie zdołam?...

Na szczęście jednak jedno powiedzenie Rosy miało rozprószyć tę zrodzoną nagle obawę.

W powrotnej drodze do Las Palmas rozmawiano oczywiście tylko o Van Torpie i jego yachcie. Zachwyтом nie było końca. Jedna Rosa milczała. Dziwnie była milcząca od wczoraj.

— A ty, Różyczko, — rzekłem — nic nie mówisz? Czy nie znajdujesz słów?

Drgnęła jak zbudzona ze snu.

— Ja? — odpowiedziała z wolna. — Ja wyobrażałam to sobie jeszcze piękniej...

Stary Nieves wybuchnął śmiechem.

— Patrzaj, Don Vicente, jaką nienasyconą będziesz miał żonę — zawołał. — Jeszcze piękniej. Proszę! Skądże ci się to bierze? Na królewskim dworze się urodziłaś, czy co? Zapamiętaj to, dziewczyno, że im mniej sobie człowiek wyobraża, tem dla niego lepiej. Mnie na przykład mało oczy nie wylazły. Tam do licha!... Dobra to jednak rzecz pieniądź! I to kapitalny chłopak ten Van Torp. Przyjacielska jakaś dusza!... Inny na jego miejscu nawetby w stronę takich jak my chudeuszów spojrzeć nie chciał. A swoją drogą, jakiejś klepki mu brak... Choćby z temi pudełkami do zapalek. To już widać sprawka tych szelmowskich

pieniędzy, z którymi nie wie co robić... Ale, przypominam sobie, że widziałem u starego Juana Baredy jakieś cudaczne fajczysko... Może mu je sprzeda? Muszę go namówić.

Przez kilka następnych dni pan Van Torp nie naprzykrzał mi się swoją osobą. Mogę powiedzieć, że go prawie nie widywałem. Zaprzyjaźnili się z młodym Pinedą i byli ciągle razem. Tak przynajmniej mówił, gdy wreszcie przyszedł oznajmić mi, że wyjeżdża na Teneryffę. Usłyszawszy to, doznałem takiego uczucia, jakgdyby mi ciężar spadł z piersi. Bo sam nie wiedziałem czemu przedłużający się pobyt na wyspie Van Torpa, drażnił mnie. Co on tu miał do roboty? Czyżby tak gorliwie poszukiwał fajek i pudełek od zapalek?

— Poczyłem tu pewne zamówienia — rzekł, nie patrząc na mnie — i z Teneryffy wrócę jeszcze na kilka dni. Gran Canarja bardzo mi się podoba.

— Ale byś pan tu z pewnością i miesiąca nie wytrzymał — zauważyłem z uśmiechem.

— Kto wie; to by zależało od okoliczności. Byłem też dziś na chwilę w domu przyszłego pańskiego teścia. Chciałem raz jeszcze podziękować za okazane mi względy i pożegnać się. Senior Nieves to bardzo gościnny i serdeczny człowiek. Zapraszał mnie na wesele seniority Rosy... Koniecznie nalegał, abym wrócił na ten dzień, ale...

— A ja przyłączam się do tego zaproszenia — rzekłem, czując, że nie wypada postąpić mi inaczej. — Będzie mi bardzo przyjemnie, jeżeli się pan postara wrócić.

Wyciągnąłem do niego rękę. Leslie ujął ją i jednocześnie zaczerwienił się po same białka. Jakiś szczególny wyraz, jakby zmieszania mignął w jego stalowych oczach.

Już tylko tydzień dzielił mnie od dnia, który miał być najszcześniejszym dniem mego życia. Przygotowania wrzały w całej pełni, zarówno u mnie w domu, gdzie tapiczerzy i stolarze biegali po wszystkich pokojach, jak w Mariposie, gdzie się wykończyła wyprawa.

Jednego popołudnia wypadło mi porozumieć się z Rosą, co do jakichś próbek, które trzeba było wybrać niezwłocznie. Poszedłem tedy, lecz nie zastałem jej w domu. Było to rzeczą zupełnie wyjątkową.

— Gdzież poszła? — zapytałem Donii Augustji. Duegna swoim zwyczajem ruszyła ramionami.

— Ach! ta Rosita! Wystaw pan sobie; zachorowała Teresa Ponce.

— Nasza druchna! O, to niedobrze.

— Ach! nic jej nie będzie; wyzdrowieje do wesela, Ale Rosita, jak się tylko o tem dowiedziała uparła się jej doglądać. Tu tyle roboty, a ona biega od onegdaj i po kilka godzin tam spędza.

— Nic mi o tem nie mówiła — rzekłem zdziwiony. — Ale to bardzo pięknie, że pielęgnuje chorą przyjaciółkę.

— Pewnie; tylko potrzebniejsza tutaj, niż tam, bo Teresie na opiece nie zbywa.

— Głównie mnie gniewa — ciągnęła dalej gadatliwa kobiecina, o której Don Anselmo mawiał, że gotowa była grzech śmiertelny na siebie i swoich wypaplać, — jak sobie przypominę, że gdy przed dwoma laty Carmencita chorowała na wrzód w gardle, to Rosity nie można było do łóżka siostry napędzić. Bała się zarazić i mówiła, że nie potrafi koło chorych chodzić. A teraz biega tam, jak najęta.

— To tylko dowodzi, że jest teraz lepsza, niż przed dwoma laty — rzekłem śmiejąc się. — Powinna się pani z tego cieszyć, Donio Augustio.

— Łatwo to panu mówić, a ja nie wiem w co ręce włożyć. A tak upominałam, żeby się tam nie zasiadywała...

Powinnaby już wrócić! Ach! ta Rosita! ta Rosita!

— Pójdę na jej spotkanie — rzekłem — bo i mnie się spieszy.

Nie uszedłem i kilkudziesięciu kroków, kiedy ją ujrzałem zdaleka. Biegła tak szybko, że wpadła na mnie i dopiero wtedy poznawszy mnie, krzyknęła przeraźliwie i odskoczyła.

Chwyliłem ją za rękę.

— Różyczko! czego się tak przelęknęła? Jak się ma Teresa?

— Teresa?

Popatrzyła na mnie, jakby nie rozumiejąc.

— No tak. Czyżby jej było gorzej? Wyglądasz tak dziwnie... Donia Augustia mówiła mi — —

— Nie, nie — przerwała śmiesznie. — Ma się tak samo... Tylko... tak się zmęczyłam...

Położyła rękę na sercu. Pierś jej falowała gwałtownie.

— Nie powinnaś tak wyczerpywać sił. Dobrze, złote serduszko! — rzekłem tkliwie. Chciałem ją objąć, ale mi się wyrwała.



— Ach ! nie wychwalaj mnie! — zawołała z nagłym uniesieniem.

— Różyczko!

Spoglądałem na nią coraz bardziej zdziwiony. Opamiętała się i uśmiechnęła.

— Nie spodziewałam się zobaczyć cię w tej porze — rzekła, jakby usprawiedliwiając się. raptem ogarnął ją niepokój.

— Czy się co stało ?

— Nic się nie stało. Przyniosłem ci tylko próbki.

— Ach ! próbki! — powtórzyła z oddźwiękiem ulgi. — Roztargnionemi oczyma patrzyła na pęk pstrych szmatek, jaki jej podawałem.

— Wybierz, najdroższa, która ci się najbardziej będzie podobała!... Tak bym chciał, abyś wszystko znalazła po swojej myśli.

Oglądała chwilę z tem samym roztargnieniem w oczach i wzięła pierszą z brzegea.

— Niech będzie ta!

Przeważał w niej kolor fijołkowy, o którym wiedziałem, że go nie lubi.

Wracając do domu łamałem sobie głowę nad zmianą, jaka w niej zaszła.

Zapewne tak już bliski przełom, jaki miał w jej życiu nastąpić, taką ją czynił. Następnego wieczora miałem się jeszcze bardziej w tem pocieszającym mniemaniu utwierdzić.

Siedzieliśmy sami po kolacji na tarasie i była to znowu taka czarodziejska noc, jak dzisiejsza. Wszystko dokoła zdawało się dyszeć upojeniem, a w duszy mojej było niebo. Wziąłem rękę Rosy i przytuliłem ją do ust.

— Pojutrze o tej porze — szepnąłem — pojutrze będziesz już moją na zawsze wobec Boga i świata. Czy ty pojmujesz ukochana, ogrom mego szczęścia?

— Ogrom twego szczęścia — powtórzyła z wolna. — Więc ty mnie tak bardzo kochasz?

— Więcejbym nie mógł, boby mi serce pękło.

— Ach! A gdybym ci wyrządziła jaką wielką krzywdę?

— Niema takiej krzywdy, któraby zdołała zmniejszyć moją miłość. Chyba wyrządziłabyś ją samej sobie.

Zamyśliła się, nad temi słowami.

— Vico — rzekła nagle — ty chyba jesteś najlepszym człowiekiem na świecie I

Zacząłem się śmiać.

— Dziecko najdroższe! to tylko dowodzi twojej nieznajomości życia i ludzi. Inaczej widziałabyś, jak maluczkim jestem wobec prawdziwie wielkich i szlachetnych charakterów.

— Wcale sobie nie życzę ich poznawać — odparła z żywością. — Nie chcę. Zanadtoby mnie męczylii tacy ludzie.

— Jakto: męczyli ?

— No, tak. Musiałabym chyba fruwać w powietrzu. Mówisz, że są jeszcze lepsi od ciebie, a mnie gdy jestem z tobą, zdaje się czasem, że żona Don Manuela Lopeza musi doznawać takiego uczucia. Tylko to się tyczy wzrostu...

Don Manuel Lopez był najwyższym mężczyzną na wyspie i jakby przez ducha przekory wziął sobie za żonę istną liliputkę.

— Oni nigdy nie chodzą pod rękę — mówiła dalej Rosa w zamyśleniu — nigdy, bo byłoby im niewygodnie.

— Ale my będziemy chodzili pod rękę — rzekłem, usiłując obrócić w żart, ogarniające mnie wzruszenie. — Jestem tylko o pół głowy wyższy od ciebie; tyle właśnie ile potrzeba.

Spojrzała na mnie, jakby z wyrzutem.

— Ty się śmiesz ze mnie Vico... Ale ja czuję, ja wiem, że nasze dusze nigdyby nie mogły chodzić z sobą pod rękę. Zapamiętaj to sobie Vico!

Nowa fala szczęścia zalała mi serce... Rosa mówiąca o duszy!... Rosa odczuwająca potrzebą duchowego zespołu! O Boże! dzięki ci. W tym cudnym motylu budziła się prawdziwa kobieta.

Osunąłem się przed nią na kolana.

— Ja się nie śmieję!... Uchowaj Boże!... Ale i ty to sobie także zapamiętaj, aniele, że moja dusza zawsze weźmie twoją duszyczkę na ręce i piastować ją będzie, aby się nie zmęczyła we wspólnej wędrówce... tam !

Wskazałem ku błyszczącym nad nami gwiazdom.

— O! Vico! Ty tak pięknie mówisz!... A ja... Wybuchnęła niepohamowanym płaczem.

— Roso! Jedyna, moja! Co tobie? Uspokój się! Przygarnąłem ją do piersi, obsypując najtkliwszymi pieśczołkami, w których na tę chwilę zupełnie zamarła namiętność... Ona zarzuciła mi ramiona na szyję i lzy jej wilżyły moją twarz. I znów był to moment, w którym powinienem był umrzeć; w którym powinniśmy byli umrzeć oboje.

— Uspokój się, mój skarbie — powtarzałem — uspokój się.

— Nie! Nie! Pozwól mi się wyplakać... Ja tak nigdy nie płacę!... A to... a to... mnie dławiło!... Ty nie wiesz... ale te lzy... O Vico! może kiedyś...

Nagle w uciszonym powietrzu rozległ się armatni strzał.

Drgnęliśmy oboje.

— Okręt wszedł do portu — rzekłem. — O tej porze! To nie może być parowiec handlowy... Al...

Chciałem powiedzieć: "To pewno Van Torp wrócił!", ale słowa uwieźły mi w gardle. Chwila była zbyt piękną, abym ją mącił wymawianiem na

zwiska tego obcego przybysza... Już i tak mi ją popsuł; bo uczułem znów po raz trzeci ów dziwny chłód pod czaszką... To się w końcu stawało nie do zniesienia.

Rosa milczała. Trzęsa się tylko jak w febrze i oczy jej obeschły raptem.

Nie mogłem usnąć tej nocy. Rozmowa z Rosą, jej lzy, wstrząsnęły mną do głębi. A potem ten strzał w porcie!...

— Może to nie on! — myślałem, przewracając się na łóżku. — Może to nie on... Czyż to jeden yacht na świecie? Może to jaki statek wojenny.

Ale to był on. Przyszedł około południa jakiś błąd i jakby zdenerwowany.

Nie wypadło inaczej, jak podziękować mu, że dotrzymał obietnicy i wrócił na jutrzejszą uroczystość.

Odpowiedział mi na to:

— Ja zawsze dotrzymuję moich zobowiązań i nie radziłbym nikomu nie dotrzymać swoich względem mnie.

Głos jego brzmiał prawie groźnie. Co on chciał przez to powiedzieć?

— Jakże się panu podobała królowa wysp Kanaryjskich? — zapytałem, aby coś rzec.

— Jaka królowa?

— Teneryffa.

— Ach, tak! Bardzo, ale nie będę panu zabierał czasu... Chciałem się tylko pokazać.

Zaśmiał się z przymusem.

— Do jutra zatem — rzekłem — podając mu rękę.

— Żegnam pana, panie de Bretinière — odpowiedział dziwnym tonem.

Wiele, wiele razy potem, kiedy już wszystko

stało mi się jasnym rozpamiętywałem każdy, najdrobniejszy szczegół tej jego bytności i nigdy zrozumieć nie mogłem, co go do niej skłoniło. Byłże to swojego rodzaju sadyzm? Czy chciał przypatrzeć się, jak wygląda człowiek dosięgający szczytu swych marzeń, którego on miał strącić w przepaść? W danej chwili jednak nie zastanawiałem się wcale nad tem, co w zachowaniu się Van Torpa mogło mnie było uderzyć. Cień podejrzenia nie przemknął mi nawet przez myśl, bo chociaż z powodu tego człowieka doznawałem jakichś niepojętych wstrząśnień, były to raczej bezwiedne odruchy mózgowe, które na razie sprawiały mi ból, ale o których zapomniałem natychmiast, gdy minęły. Zresztą dzień ten zaznaczył się jeszcze jednym epizodem.

Jest tu na wyspie zwyczaj, i w innych krajach istniejący, że w wigilję ślubu przyjaciółki i rówieśnice panny młodej schodzą się do niej na tak zwany dziewiczy wieczór, przygotowują bukiety dla weselników i wiją korony z mirtów i pomarańczowego kwiecia. Pan miody ze swojej strony zaprasza kolegów na pożegnanie kawalerskiego stanu. Tak miało być i u nas, tymczasem Rosa stanowczo sprzeciwiła się temu. Teresa Ponce nie jest jeszcze zupełnie zdrową, niech lepiej zostanie w domu, ażeby jej się na jutro nie pogorszyło; a bez niej, bez tej starszej druchny i najserdeczniejszej przyjaciółki, nanić byłaby cała zabawa; a i ona sama czuje się zmęczoną, więc prosi, koniecznie prosi, aby tego zaniechać. Donia Augustia, gorliwa strażniczka tradycji, była z początku oburzona, ale jak zawsze uległa, z czego nawiasem mówiąc, byłem z początku bardzo zadowolony. Kawalerskie libacje wcale mi się nie uśmiechały, a Rosa wyraźnie zastrzegła, abym i ja się od nich uwolnił.

— Może się i lepiej stało — rzekła mi Donia Augustia poufnie. — Rosita jest naprawdę jakaś nieswoja... Żeby się tylko nie rozchorowała... Dziś rano poleciała znowu do tej utrapionej Teresy i wróciła jak w gorączce... Zamknęła się w swoim pokoju, i nie chciała nawet wyjść do tego miłego pana Van Torpa, a potem przez cały dzień chwytła się za głowę, to znów stawała na miejscu, jak żona Lota...

— To Van Torp tu był? Także sobie wybrał porę na wizytę!

— Właśnie. Ja to samo pomyślałam... Może tam w Ameryce taki zwyczaj... Bardzo mu było przykro, że Rosita do niego nie wychodziła... Aż poszłam po nią i prawie gwałtem przyprowadziłam... To taki grzeczny, zachwycający młodzieniec. A swoją drogą, ma w sobie coś... że ja bym się go bała. Kiedy mu Don Anselmo dziękował, że wrócił na wesele Rosity, powiedział: "Ja zawsze dotrzymuję moich zobowiązań! ale biada temu, ktoby mi swoich nie dotrzymał!"

— Tak powiedział? No to się chłopiec powtarza. Bo i mię dzisiaj rzekł to samo.

— A Rosita — ciągnęła dalej Donia Augustia, rada, że się może wygadać — tak jakoś hordo na niego patrzyła i pyta: "Cóżby mu pan zrobił?" A on z najzimniejszą krwią: "Zabiłbym, gdyby to była rzecz, o którąby mi bardzo chodziło" i tak mu w oczach błysnęło, że aż mnie dreszcz przeszedł. Mówię mu jednak: "E! pan sobie tylko żartuje". A on mi znów na to: "Słowo honoru pani daję, że to jest moje niezachwiane postanowienie". Widzi pan, co to za ptaszek z tą swoją buzią aniołeczka. A Rosita jak się zacznie śmiać... Myślałam, że spazmów dostanie... Aż mnie lęk brał, żeby się nie obraził. Don Anselmo wcale

tego nie wziął do serca i powiedział, że to zwykle przechwałki żółtodzióbka, i że krowa, która dużo ryczy mało mleka daje. Ale jabym mu tam nie dowierzała...

— I ja podzielałam zdanie Don Anselma — rzekłam, chcąc co prędzej zakończyć rozmowę o panu Van Torpie, bo już go miałem zanadto na ten jeden dzień. — Rzec najważniejsza, żeby Rosita była zdrowa.

— Otóż to... A mnie się ona nie podoba... Miech pan tylko na nią spojrz. Oczy jak żużle, usta spieczone.

Donia Augustia tak mnie wystraszyła, że zacząłem nalegać na Rosę, aby wcześniej poszła do łóżka.

— Nie troszcz się o mnie, Vico — odpowiedziała z niezwykłą u niej słodyczą. — Nie warto. Mnie doprawdy nic nie jest. Chciałam tylko być sama z wami wszystkimi w ten ostatni wieczór.

Nie zatrzymywała mnie jednak, gdym się zaczął żegnać i jak zwykle odprowadziła mnie do furtki.

— To już ostatnie dobranoc, najdroższa — rzekłam, biorąc ją w objęcia. — Ostatnie dobranoc, przy którym trzeba nam się rozstawać.

— Tak, to ostatnie dobranoc — powtórzyła — Bóg niech ci błogosławi, Vico!

Przytknęła rozpalone usta do mego czoła i wyrwawszy mi się gwałtownie z objęć, odbiegła.

Czy wie pani, że ja jeszcze czasem czuję ten pocałunek!...

— Ostatni raz wracam tu sam — mówiłem sobie, wchodząc do domu. — Ostatni raz...

Zaświtał nakoniec upragniony dzień. Powitałem go w uroczystym skupieniu. Byłem śmieszny,

doprawdy, byłem śmieszny, bo doznawałem takich uczuć, jakgdybym nie był mężczyzną, dla którego życie nie ma tajemnic, lecz niewinną dziewczyną, stojącą na progu nieznannej przyszłości, której się lęka i której jednocześnie pożąda.

Mimo nawskroś zmysłowego podłoża mego uczucia, z czego doskonale zdawałem sobie sprawę, Rosa była dla mnie taką świętością, jej dziewiczość napełniała mnie taką czcią, iż na myśl, że jeszcze tej nocy wejdzie pod mój dach, aby

zostać pod nim nazawsze, jako źródło najwyższej rozkoszy i wierna towarzyszka doli i niedoli, namiętność lawą kipiała mi w żyłach i ogarniało mnie rozrzewnienie i trwoga jakaś i wstyd... Tak, pani; jakiś nabożny, święty wstyd.. Wstałem bardzo wcześnie i obchodziłem zwolna wszystkie pokoje, wydając ostatnie dyspozycje służbie, aż stanąłem we drzwiach sypialni... naszej przyszłej sypialni. Serce biło mi jak młotem, wydawało mi się, że nie potrafię przestąpić jej progu, kiedy już ona w niej będzie...

Nagle w głębi domu dały się słyszeć szybkie, ciężkie kroki... drzwi za memi plecami otworzyły się z trzaskiem.

Odwrociłem się. Do pokoju wpadł Don Anselmo. Wzrok miał błędny, siwe włosy rozwiane.

— Rosal... — wybełkotał, z trudem łowiąc oddech. — Rosa ! o !

— Umarła! — krzyknąłem strasznym głosem.

— Uciekła!

Podniosłem rękę do czoła. Pod tą moją biedną czaszką coś się znowu działo. Tylko to już nie był chłód lodu, lecz war i ogień, który mi przepalał mózg i którego czerwona mgła zsuwała mi się na oczy.

— Niema jej ! — wołał nieszczęsny ojciec, rwąc włosy. — Musiała uciec w nocy. Gdy Donia Augustia weszła zrana do jej pokoju, zastała łóżko nietknięte, a na poduszce twój pierścionek i kartkę: "Nie szukajcie mnie". O łotr! Zdrajca!...

Nie słyszałem dalej. Zwałem się jak kłoda na ziemię...

Przez trzy tygodnie gwałtowne zapalenie mózgu trzymało mnie między życiem a śmiercią. Mówiono mi potem, że w gorączkowych majaczeniach wzywałem ciągle tej śmierci, modliłem się do niej, jak do wybawicielki — nie posłuchała mnie, okrutna! A to pragnienie nie opuściło mnie i wtedy, kiedy już odzyskałem przytomność i niebezpieczeństwo minęło.

Podobno powrót do zdrowia ma być czemś bardzo błogiem. Człowiek, który już stał na krawędzi grobu, ze zdwojoną siłą czuje wartość życia i cieszy się jak dziecko z jego przejawów.

Co do mnie, nie wyobrażam sobie bardziej wyrafinowanych katuszy nad te, jakie przechodziłem, leżąc wyczerpany, nieruchomy na poduszkach i patrząc tylko przed siebie lub na moje wychudłe ręce, spoczywające bezwładnie na kołdrze. "Po co? po co?" wirowało mi w zmaconym mózgu. "Co ja będę robił? Jak ja będę żył? Ja nie chcę żyć! Po co?"

I nie znajdowałem odpowiedzi, A fizyczność czyniła swoje. Czulem prawie wzdargę dla samego siebie za ten apetyt, który wracał, za ten krzepiący sen, z którego budziłem się coraz rzeźwiejszy ciałem podczas gdy dusza konała w niewysłowionej męce.

Stało mi się to wreszcie czemś tak nie do wytrzymania, że myśl o samobójstwie przyszła jako jedynie możliwe wyjście z tego położenia.

"Albo zwaruję, albo sobie palnę w łeb". A ponieważ za nic zwarjować nie chciałem, więc postanowiłem, że skoro tylko pozwolą mi wstać, skoro tylko

przestaną czuwać nad każdym mojem poruszeniem otworzę pewną szufladę w biurku i — będzie koniec.

A tymczasem musiałem przyjmować starania, jakimi mnie otaczano i o, ironjo! jeszcze za nie dziękować. Zupełnie jak skazaniec, wieziony na szubienice., któregooby otulano ciepłym szalem, ażeby się nie zaziębił. A było komu dziękować, bo wszyscy na wyspie dawali mi, w miarę możliwości dowody współczucia i pamięci. Nawet nie przypuszczałem, że mam tylu przyjaciół. Donia Augustia nie odstępowała mego łóżka.

Od pierwszej chwili przeniosła się do mnie, zostawiwszy na opiece Carmeny starego Nievesa, który także zachorował. I wtedy dopiero poznałem, jakie skarby subtelnych uczuć kryć się mogą w duszach prostaczków. Ta niewykształcona, trywjalna wśród codziennych zatrudnień, kobieta, rozwinęła intuicję, w stosunku do mojej śmiertelnie zranionej duszy. Ona, tak gadatliwa z natury, zachowywała najściślejsze milczenie o tem wszystkim, co mogło rozkrwawić ranę. Tylko jej zaczerwienione i opuchłe z bezsenności i płaczu oczy, świadczyły, że i ona cierpiała głęboko. Ale przy mnie starała się być zawsze spokojna i pogodna. Jakgdyby nic się nie stało. Imię Rosy ani razu nie było wymówione między nami.

Później dopiero, znacznie później, kiedy już mój młody organizm odzyskał dawną sprężystość, sam zażądałem szczegółów. Zebrano ich niewiele, dosyć wszelako, aby rzuciły trochę światła na tę nieszczęsną sprawę. Naprzód więc, skoro tylko wieść o ucieczce Rosy rozeszła się po mieście, Teresa Ponce przybiegła

do Mariposy, łamiąc ręce i rozpaczając, że mimowoli dopomogła złemu.

Nie była wcale chorą; Rosa wymusiła na niej napisanie listu z zawiadomieniem o rzekomem zasłabnięciu i z prośbą, aby przyjaciółka przysłała ją odwiedzić. Zapewniała, że chodzi o jakąś niespodziankę dla rodziny, że wszystko się wyjaśni w dzień ślubu, że ona, Rosa, będzie jej wdzięczna do końca życia.

I okazała jej wdzięczność na swój sposób, bo w kilka miesięcy potem Teresa Ponce otrzymała bezimienną przesyłkę z Europy, zawierającą kosztowną bransoletę. Szlachetna dziewczyna nie chciała przyjąć tego daru, tych srebrników Judasza, jak go nazwała i złożyła go proboszczowi, celem spieniężenia dla biednych.

Zgłosił się także Pineda, z którym zaznajomiłem Van Torpa w swoim czasie. Ten jednak miał niewiele do powiedzenia. Towarzyszył amerykańinowi w kilku wycieczkach, nie tak jednak często, jak mnie tamten zapewniał. Ale najważniejszej wiadomości udzielił jeden z podmiejskich farmerów, u którego Van Torp wynajął za bajeczną sumę cały domek, pod warunkiem ażeby mu go na kilka dni opróżniono. Domek ten stał na uboczu, w niedalekiem sąsiedztwie Mariposy.

Pokazało się, że Van Torp nie wyjeżdżał wcale na Teneryffe; yacht odpłynął bez niego, on zaś zamieszkał w owym domku z jednym tylko służącym. Obaj nie pokazywali się nigdzie.

Tam to zapewne odbywały się schadzki z Rosą.

Z yachtu musiano dostarczać zapasów żywności i sługa przyrządzał panu jedzenie, o czym świadczyły stopy pustych blaszanek po konserwach, butelek od wina i likierów i różne maszynki spirytusowe do

kawy i gotowania, jakie znaleziono w domku po zniknięciu Van Torpa.

Ze ten nikczemnik powziął swój piekielny plan od pierwszego wejrzenia na Rosę, że jej nadzwyczajna piękność rzuciła na niego urok, z którym w swym lubieżnym egoizmie i zaniku etycznych uczuć nie widział potrzeby walczyć, to nie

ulegało dla mnie żadnej wątpliwości; że w chwili, kiedy ich zobaczyłem stojących we dwoje na duncie, uczynił jej jakieś wyznanie, tego również byłem pewny.

Prawdopodobnie dziewczyna, olśniona jego bogactwem i osobistym czarem, zgodziła się na potajemną schadzke, która w jej niedoświadczeniu przedstawiała się całkiem niewinnie, jak coś, co nie miało pociągnąć za sobą żadnych następstw, a nęciło jej łaknącą niezwykłych wrażeń wyobraźnię. A potem już wypadki potoczyły się siłą ciężkości... Jeszcze jedna okoliczność przedstawiała mi się jako pewnik.

Rosa, idąc na lep obietnic kusiciela i ulegając porywom własnego temperamentu, musiała się jednak wahać, dobre i złe duchy musiały toczyć w niej walkę, a kulminacyjnym punktem tej walki była ta rozmowa wieczorna na tarasie i ten płacz Rosy i to jej jakby wyrwanie się w krainę ideału...

A potem ów strzał w porcie powracającego yachtu, co musiało być umówionym znakiem między nimi... Jak się ona zaczęła trząść, usłyszawszy go!...

Zestawiając odwiedziny Van Torpa nazajutrz u mnie i w Mariposie i tę zagadkową groźbę, dwukrotnie powtórzoną, doszedłem do przekonania, że Rosa, widząc się z nim zrana tego dnia (wszak Donia Augustia mówiła mi, że poszła znowu do Teresy Ponce i wróciła od niej jak w gorączce), że Rosa,

mówię, chciała się cofnąć i że on ją wtedy steroryzował.

Czepiałem się tego przypuszczenia, tej okoliczności łagodzącej i moje zdeptane serce znajdowało w niej jakąś ulgę. Ale to nie zmieniło w niczem tej potwornej prawdy, że znikła z mego życia ta, która była jego treścią i że straciłem ją na zawsze.

I oto koniec mojej historii, łaskawa pani.

Pan de Bretiniere przestał mówić i nastąpiła między nami długa chwila milczenia. Przerwałam ją pierwsza:

— I już nigdy nie słyszałeś pan o niej? — zapytałam. — Nic o niej nie wiesz?

— Owszem. W sześć lat po katastrofie musiałem pojechać do Francji. Ojciec mój umarł. Interesa wymagały mojej obecności. Zatrzymało mnie to kilka miesięcy w Paryżu.

Pewnego popołudnia znalazłem się w lasku Bulońskim. Było to wiosną. Tłumy publiczności snuły się po alejach, a środkiem płynęły dwie pyszne fale powozów; barwne, eleganckie, roześmiane.

Szedłem z bratem i słuchałem objaśnień, jakich mi udzielał, wymieniając głośne nazwiska dam z wielkiego świata i kokot. Nagle po tłumie przeszedł szmer, a brat rzekł żywo:

— Patrz, patrz... jedzie NeigeRose (Różowy śnieg).

Spojrzałem.

Naprzeciw nam posuwała się zwolna przepyszna wiktoria, ciągniona przez dwa białe jak mleko, cudnie dobrane konie, o jedwabistych grzywach i ogonach, z pękami różowych wstążek koło uszu. Stangret i lokaj ubrani byli w białą liberję.

Na białych, aksamitnych poduszkach powozu w pełnej wyzywającego wdzięku postawie, spoczywała młoda, zjawiskowo piękna kobieta, w białej sukni w olbrzymim, białym kapeluszu, przystrojonym różami, piastująca więź,

różowych róż na kolanach. Malutki, biały piesek siedział obok niej poważnie. Był to cały poemat bieli, ciepłej od różowych refleksów.

I to była ona.

Ściemniło mi się w oczach; w uszach szumiał szept zachwyconego tłumu: NeigeRose! NeigeRose!

— Przypatrz się jej — mówił brat. — To dziś najślawniejsza kobieta w Paryżu; urodą i zbytkiem gasi wszystkie inne. NeigeRose! Taki sobie pseudonim wzięła. Ciekawy, jak ona cała. Prawdziwego jej nazwiska i pochodzenia nikt nie zna. Podobno jest włoszką. Zrujnowała już kilku milionerów. Teraz jest na utrzymaniu u jakiegoś rosyjskiego nababa. Co tobie? — zawołał, chwytając mnie za ramię.

A mnie poprostu było to, że najniemądrzej w świecie zemdląłem.

Do owej chwili zdawało mi się, że najgorsze zostało już za mną. Niestety! zapomniałem o tej matematycznej prawdzie, że najwyższy stopień złego należy zawsze do przyszłości.

To, czegom doświadczył, ujrawszy ją, obwożącą swój bezwstyd i swój haniebny zbytek, uświadomiło mi, jak bardzo byłem jeszcze naiwny. Boć to było tak łatwe do przewidzenia, że dzieckoby się domyśliło, a ja tego nie brałem w rachubę.

Byłem pewny, że Van Torp ożeni się z nią, zaś gdyby ją rzucił — co zresztą nie mieściło mi się w głowie, bo czy ją można było rzucić? — że gdyby jednak ją rzucił, to ona ze swym ambitnym, pysznym charakterem nie przeżyłaby takiego upokorzenia.

Tymczasem los, aby mi nie oszczędzić niczego, pokazał mi, że może być jeszcze trzecie wyjście — gorsze od śmierci. Głos mu się załamał, dłonie zakryły twarz. Patrzyłam na niego ze współczuciem...

— Wspomniałem pani — ponowił po chwili — że podczas mojej rekonwalescencji myśl o samobójstwie skryształizowała się we mnie w postanowienie, jak mi się zdawało, niezłomne. Nie będę tu dotykał powodów, które odwiodły mnie od tego zamiaru.

Powiem tylko, że nie stchórzyłem przed śmiercią, ani nie nabrałem, ochoty do życia. Powody owe leżały poza mną... ukazały mi się niespodziewanie jako obowiązek, od którego nie miałem prawa się uchylić. O! jakże im byłem teraz wdzięczny!

Bo z chwilą, gdy zobaczyłem Rosę na wyłożonym najwyższym szczeblu, półświatkowej drabiny, wżarła mi się w mózg myśl, jak częstą, jak prawie nieuniknioną rzeczą jest stoczyć się z takiego szczebla na samo dno nędzy i ostatecznego upodlenia.

Życie dostarczyło mi w stosunku do niej tylu niespodzianek! Któż mógł zaręczyć, czy nie spotkam jej jeszcze kiedy, już nie najstrojniejszą wśród strojnych, nie najpiękniejszą wśród pięknych, lecz żebraczką w łachmanach, głodną i sponiewieraną?

A wtedy... wtedy stanąłbym przed nią jak najtkliwszy brat i opiekun i wziąłbym na ręce tę bolesną ruinę tego, co niegdyś było mi tak drogie i poniósł gdzieś zdala od ludzi, gdzie nikt nie mógłby bryznąć jej w oczy wzgardą i wypomnieć jej przeszłość i dałbym jej to jedno, co jeszcze dałbym jej mógł: spokojną, bezpieczną starość.

Z biegiem czasu ta myśl nawiedzała mnie coraz uporczywiej, aż stała się moją nieodłączną towarzyszką. Jest mi udęką, a zarazem podniętą do



życia. Budzę się z nią i z nią zasypiam. Nieraz w ciszy nocnej zdaje mi się, że słyszę rozpaczliwe wołanie: "Vico! ratunku!"

Wtedy zaczynam błagać Boga, aby mnie moje czarne przeczucia myliły; wmawiam w siebie, że Rosa potrafiła uniknąć zwykłego losu podobnych jej istot; że wreszcie umarła w porę; ale i o to modłę się także, że jeżeli żyje gdzieś w opuszczeniu i potrzebuje mojej pomocy, ażeby mi to Wszechmocny miłosiernie objawił; i ażeby mnie ta smutna nagroda za wszystko, com przecierpiał, nie minęła.

Wstałam wzruszona do głębi.

— Panie de Bretiniere — rzekłam, podając mu obie ręce: — Rosa miała słuszność Pan jest najlepszym człowiekiem na świecie.

Część druga.

I.

W drugiej połowie stycznia, kiedy u nas w Polsce zima ściele się w najlepsze a w tropikach panuje pora sucha, wiozący nas z Kadyksu hiszpański parowiec "San Francisco" zanurzył kotwice w podrównikowych wodach zatoki Santa Isabel de Fernando Poó, która to wyspa była tymczasowym celem naszej podróży; miejscem, gdzie para wędrownych ptaków miała uwić gniazdo i wylatywać z niego na eksploracyjne loty ku bezkresom Czarnego Łądu.

Para wędrownych ptaków bogatą była w młodość, zapal i gorące umiłowanie celów nie powszednich i nie wedle sił mierzonych.

Wydrzeć tej dziewiczej ziemi bodaj jedną z jej tajemnic, wypisać na pustej karcie niezbadanych jeszcze obszarów bodaj jedną malutką literkę, wypisać ją choćby krwią własną, przypieczętować choćby życiem, takie były jej marzenia.

Sunt lacrimae rerum... Ale wracajmy do naszych owiec, jak mówią francuzi.

Reclus nazywa zatokę Santa Isabel jedną z najpiękniejszych na świecie i chyba tak jest.

Otacza ją półkołem wysoki, naturalny wał, na którego powierzchni wznosi się miasto, niegdyś, za czasów posiadania wyspy przez anglików Clarence zwane, a dziś także nazwę Santa Isabel noszące. Wał ten jest wszędzie stromy, w niektórych miejscach prostopadły.

Od zachodu okrągławy jego koniec bujną roślinnością porosły występuje z morza, jak zielony bukiet, wspaniałą kitą samotnej, kokosowej palmy zwieńczony; od wschodu zabiega w nie wąskim, ostrym cyplem, którego bazaltowe, pionowe ściany w górze kwitnącemi ljanami obwieszona, rozpadają się u dołu w rumowisko groźnych, czarnych odłamów.

Gdy morze pełne, wtedy tylko wieniec białych wirów, tańczących dokoła przylądka zdradza ich obecność, lecz w czasie odpływu występują one z fal, niby tytaniczne zgliszczą jakiejś podwodnej budowy, z jądra ziemi wyrzuconej Łodzie zdaleka omijają ten niebezpieczny przylądek, a biada rozbitkowi, któryby u tej krawędzi ładu ocalenia szukał. Prostopadła ściana odepchnie go nielitościwie, a ostre jak brzytwy złomy, pokrajają mu ciało i zginie marnie u samego łona zbawczej ziemi.

Nie zapomnę nigdy tej chwili, kiedy "San Francisco" zarzucił kotwicę w porcie, a ja stojąc na pokładzie po raz pierwszy ogarnęłam wzrokiem tę niezrównaną panoramę.

Z jednej strony wyspa z rozsypanymi na pierwszym planie, niby dziecinne budowle z bloczków, domkami miasta, ciągnęła się w dal, jak olbrzymi warkocz zieloności z wpiętym w niego grzebieniem

górskiego pasma, wysoko ku niebu podnoszącego swój najcenniejszy klejnot: wygasły wulkan Pico de Santa Isabel, z drugiej, o jakie trzydzieści kilometrów zaledwie odległy, stały ląd i królujący nad nim szczyt Kameruński

Dzień miał się ku końcowi.

Na morzu rozlało się szkarłatne jezioro zachodniej łuny i nagle oba te górskie olbrzymy zaczęły płonąć jak żuźle na zaróżowionym delikatnie tle przezystego błękitu i spoglądać na siebie poprzez głębie oceanu, obmywającego im stopy.

Kaskady roślinności nadbrzeżnej spadającej amfiteatralnie mieniły się i lśniły tęczą grą kolorów, jak strugi wody pod słońce. Młodziutkie liście kapały kroplami rubinów po ciemnych szmaragdach dojrzałego listowia; girlandy blado żółtych, prawie białych gałęzi wiły się nad błękitnawymi głębiami ukrytych w gąszczach parowów, strzelały wysoko jakieś smukłe, bladoróżowe pnienie, o delikatnych jak koronka wierzchołkach, jakieś rażąco jasne, jak zielone mchy kopuły drzew puszyły się pośród nich, a gdzieś tam z łona t. j. przewspaniałej wegetacji, jakby na palecie najśmielszego impresjonisty poczętej, wykwiatała szara kiść dymu, niby bandera tającego się w tym dumnym królestwie przyrody nikłego, ludzkiego życia.

Nasycone glorią zachodzącego słońca powietrze, ochłodziło i nabrało dziwnej przezroczystości, a każdy powiew od brzegu niósł mi narkotyczne wonie, które są milczącą pieśnią kwiatów kładących się do snu w ciszy dziewiczych lasów.

Przez taką to triumfalną bramę, wzniesioną mistyczną dłonią przedwiecznego Budowniczego danem mi było wstąpić w ten styczniowy ciepły i pachnący dzień na arenę nowego życia.

Starożytni powiadali, że szczęśliwe ludy nie mają historii.

Moje nowe życie było Szczęśliwym, bo było spełnieniem najśmielszych marzeń, a jednak miało swoją historię, którą każdy dzień wzbogacał swą jakby z bajki wysnutą opowieścią. Szłam z niespodzianek w niespodzianki, odurzona, nie mogąc się połapać w natłoku wrażeń... Wszystko to było takie inne, niż sobie wyobrażałam..

A przecież przed opuszczeniem Europy tyle pochłonęłam książek, opisujących tę upragnioną Afrykę, która miała się stać moją siedzibą, tyle się nasłuchiwałam o niej z ust tego, który ją przedtem poznał i tak wymownie o niej opowiadać potrafił.

Ale żadna książka, żadna ustna opowieść nie da dążącemu na Czarny Ląd wędrowcowi prawdziwego pojęcia, o tem, co go tam czeka. Dopiero, gdy własną nogą nań stąpnie i własnymi oczyma nań spojrzy, przekona się, że w tem wszystkim, o czem się naczytał i nasłuchiwał było czegoś za mało i zarazem czegoś za dużo, a zwłaszcza brak było tego ogniwa bezpośredniości, które spaja oderwane i obrazy i dopiero wtedy pozwolą zrozumieć ich rzeczywisty sens.

Ale siła wspomnień jest tak nieprzeparta, że pomimo poczucia całej mojej nieudolności w odzwierciedleniu tego na co patrzyłam i czego doznawałam, coś mnie kusi, aby spróbować, coś niedopuszcza przekreślić tak jednym pociągnięciem

pióra tej bajkowej karty mego życia, bo już nieczytelna, bo pisana językiem, który mnie samej wydaje się miejscami niezrozumiałym. To już przecie tak dawno, tak bardzo dawno!... I tyle się tam zmienić musiało!  
Tylko nie mogę sobie wyobrazić, aby się mogli

zmienić Bubisi, autochtoni wyspy, bo bardziej konserwatywnego plemienia niema pod słońcem. Różne europejskie narody przerzucały sobie jak piłką ich piękną ojczyznę. Jeszcze w pierwszej połowie ośmnastego wieku odkrył ją portugalczyk Fernando Poó, którego shiszpanizowane imię nosi i darował oczywiście Portugalji. Ale Portugalja machnęła na nią ręką i odstąpiła ją Hiszpanji, która z kolei zniechęcona jej bardzo niezdrowym klimatem, dała się wyrugować anglikom. Ale i Anglicy nie poznali się na tem złotem jabłku, i już w roku wypuścili je z rąk, zwracając ostatecznie Hiszpanji. Podczas mego pobytu na wyspie z rozmów z angielskimi faktoryjczykami i marynarzami odnosiłam często wrażenie, że Anglja zrozumiała poniewczasie jakie popełniła głupstwo i chętnie byłaby je cofnęła. Ale Hiszpanja okazała się psem z bajki, który leżąc na kości sam jej nie może ugryźć i drugiemu nie da. Administracja wyspy była nad wszelki wyraz niedołązną. Ci potomkowie Kolumbów i Korteżów nie zdradzali najmniejszego zmysłu kolonizacyjnego. Potrafili tylko łupić, co wpadło pod rękę, nie umiejąc wykorzystać olbrzymich naturalnych bogactw wyspy, nie wiedząc nawet jakie skarby kryła w łonie swych bush'ów (lasów dziewiczych), gdzie bujał swobodnie bezcenny kauczuk, którego eksploatacja mogła się stać źródłem nieprzebranych dochodów dla skarbu, gdzie mahoń, heban, lignum vitae i inne najkosztowniejsze drzewa dorastały niebywałych rozmiarów i wreszcie ginęły przez nikogo nawet nogą nie trącone.

Przyczyną tego fatalnego stanu rzeczy był w znacznym stopniu brak wszelkiej ciągłości w rządach. Ze względu na zabójczy na dłuższą metę klimat, władza gubernatorska miała tu co dwa lata innego przedstawiciela, a każdy świeżo przybywający miał sobie za pierwszy obowiązek znosić rozporządzenia swego poprzednika. Dość, żeby jeden coś zaczął, aby drugi tego poniechał. Niechby jeden tylko coś naprawił, drugi musiał to zaraz popsuć. Była to więc istna zasłona Penelopy, rozpięta na złotych krosnach tego aklimatyzacyjnego ogrodu całego świata, jak Reclus nazywa wyspy Fernando Poó, na których umiejętne i pracowite ręce mogły być wytknąć najwspanialszy gobelin kultury i dobrobytu. Bubisom to było obojętnem. W tych czy innych rękach znajdowała się wyspa; te czy inne eksperymenta dokonywali na niej biali przybysze, dla nichby pozostała ona zawsze Achimama (co znaczy wszystkie kraje) jedynem pojęciem świata, tak jak oni są na nim jedynymi ludźmi (Bubi). Każdy inny murzyn legitymuje się, podobnie jak Europejczyk, nazwą swego kraju. Jeżeli pochodzi z Dahomeju nazywa się dahomejczykiem, jeżeli z Lagos — lagoonczykiem, jeżeli z Aszantyi — aszantem. Ale Bubis spytany, jak się zwie, odpowiada niezmiennie: "Jestem człowiekiem" (Bube).

I rzeczywiście stanowią oni zupełnie odrębne plemię i dotychczasowe badania nie zdołały ustalić ich pochodzenia, ani pokrewieństwa z jakimkolwiek afrykańskim szczepem. Mowa ich różni się także od gardłowych, gulgotanie indyków przypominających narzeczy murzyńskich. Jest śpiewną i obfituje w miękkie, do włoskiego języka zbliżone dźwięki.

Potwornie szpetni, szpecą się jeszcze bardziej głębszymi nacięciami w poprzek czoła i policzków, z czego powstają na gładkiej z natury skórze chropowate bruzdy; potwornie brudni nacierają nigdy nie myte ciało i nigdy nie czesane kudłate włosy maścią wyciskaną z rośliny zwanej Ntola, co im tworzy czerwoną skorupę na ciele i czerwoną czapę na głowie, a razem wzięte nadaje ich nagim, gibkim postaciom wygląd czerwonych djabłów.

Ale ten pozór myli.

Bubisi na ogół są łagodni, weseli i dobrodusznicy. Żyją w swych górskich wioskach (besé), ukrytych w głębi lasów, dokąd Europejczyk niema dostępu; natomiast oni codziennie ciągną długimi sznurami do miasta, niosąc tam kury, jaja, zwierzynę i yams, przewyborną jarzynę smakiem kartofle przypominającą, z której uprawy Fernando Poó słynie na cały Zachodni Brzeg

Krańcowym przeciwieństwem Bubisów jest ludność miejska, tak zwani Potonegry, stanowiący również unikat w swoim rodzaju, A historia ich jest taka:

Gdy w pierwszej połowie dziewiętnastego stulecia powstała krucjata przeciw niewolnictwu, Fernando Poó należące wówczas do Anglii, było główną stacją eskadry angielskiego rządu, polującej na handlarzy "czarnej kości słoniowej". Sąsiednie brzegi Nigru, Beninu, Biafry, stanowiły ze swojej strony najważniejsze rynki tego wstrętnego targu; po oblewających je wodach zatoki Gwinejskiej snuły się najgęściej okręty, naładowane nieszczęśliwymi ofiarami i wpadały w ręce czujnych obrońców swobody. Wtedy rząd angielski wieszał lub deportował kapitanów tych haniebnych statków, a ich żywe cargo (ładunek) osiedlał na wyspie Fernando Poó.

W taki sposób powstała osada, a następnie miasto zwane przez Anglików Clarence, późniejsze Santa Isabal hiszpanów, a potomkowie tych różnoplemiennych wyzwolenców wytworzyli ludność mieszaną zwaną Potonegroes.

Jest to dziwny zlepek pochwytych stąd i z owad cech, są to istoty nie posiadające ani narodowości, ani języka, ani tradycji.

Anglja przecholowała w szlachetnym zapale wynagradzania biednym niewolnikom cierpień przebytych. Misjonarzy angielscy nauczyli ich śpiewać hymny, ale nie nauczyli ich żadnego rzemiosła, lękali się poprostu naginać tych ludzi, którzy wypadkiem tylko uniknęli losu bydła domowych, do obowiązkowej pracy i stworzyli najopłakańszą karykaturę człowieka.

Spaczona cywilizacja kazała im się wyprzeć przyrodzonych ich pierwotnej naturze zajęć.

Potoneger wstydzi się pływać, strzelać, piąć po drzewach; jest wątyły, ociężały; ma smutne dzieciństwo, posepną młodość i ohydłą przedwczesną starość.

Niema też dla niego większej obelgi, niż kiedy ktoś ośmieli się widzieć w nim murzyna. Potoneger w najlepszej wierze uważa się za Anglika, który tylko przez omyłkę czarnym się urodził.

Anglicy w chwilach dobrego humoru ponadawali im nazwiska najslawniejszych mężów Wielkiej Brytanji. Stąd też na ulicach Santa Isabel często dają się słyszeć następujące rozmowy:

— Dzień dobry, Mrs Willams Shakespeare!

— Dzień dobry, Mrs Tomaszów o Carlyle. A co słyhać u Olivera Cromwella?

— Wszystko dobrze, Ale córka Johna Milтона Jest chora.

Gdy pierwszy raz podobny djalog obił mi się o uszy, zdumiałam. Z czasem oswoiłam się z tem, jak ze wszystkim.

Miałam sama praczkę panią Marję Stuart, która nielitościwie darła moją cienką, wyprawną bieliznę w swych królewskich rękach.

Pomiędzy temi dwoma krańcowemi typami tubylców snuła się pstra, napływowa ludność: więc angielscy misjonarze i faktoryjczycy; więc hiszpańscy oficerowie pontonu, mnisi i urzędnicy, mniej lub więcej patrzący na księżą oborę, chorobliwie bladzi, o mętnych źrenicach i jakby sennych ruchach, podobni do tych okazów, które po raz pierwszy zobaczyłam na Grań Canarji przy stole hotelu "Quinay"; więc murzyni z Lagos, Dahomeju, Accrah, Kru, tak zwani boye, czyli młodzi ludzie, których po Zachodnim Brzegu rozwożą partjami handlowe parowce i którzy przedstawiają tam jedyny materiał roboczy, zwłaszcza na Fernando Poó, gdzie ani Bubis, ani Potoneger nie podałyby europejczykowi szklanki wody, nietyłe z nienawiści dla białego, ile z głębokiego wstrętu do pracy. Wreszcie w tym bezdusznym, tępym tłumie, którego przygnała tu chęć zysku i któremu jedynie żądza doraźnego użycia przyświecała, kilkadziesiąt postaci o różnych odcieniach skóry, lecz o czemś wspólnem w wyrazie smutnych twarzy i tęsknych oczu, niby błękitny kwiatek ideału zabłąkany wśród badyli i chwastów przyziemnych egzystencji.

Byli to polityczni zesłańcy z Kuby.

Dla nas dwojga Polaków, stali się oni niewysłowienie sympatyczni. Jakaś nić pokrewna nawiązała się wnet pomiędzy nimi a nami, dziećmi tej ziemi nieszczęsnej, która była naszą ojczyzną i tak samo jęczała w pętach niewoli jak bohaterska Kuba.

Nasza plantacja kakao Santa Maria, położona o kilka kilometrów za miastem, na której stanął dom mieszkalny, piękny, obszerny, w niczem do szablonowych budynków faktoryjnych niepodobny, widywała w nich częstych gości. I nietylko gości. Obszerne pola tytoniowe, których uprawa miała wraz z kakaem stać się źródłem dochodów na cele eksploracyjne przeznaczonych, znalazły w starym Manuelu Castillo umiejętnego i sumiennego Capotaz'a (zarządcę). Bywało, po skończonej dziennej pracy ten ubogi prosty murzyn, zasiadał przy naszym stole jak brat i posilał się z nami, ku zgorszeniu usługujących krumaników, którzy pojąc nie mogli jak "massa" i "mami" mogą się pospolitować do takiego stopnia, aby "bushmana" (człowieka z lasu) do swego towarzystwa dopuszczać i długo potem snuł dzieje powstania na Kubie, tak bardzo do styczniowych dziejów go roku podobne. Ten sam święty zapał, te same heroiczne wysiłki i ten sam tragiczny koniec.

Nieuczonemi słowy, ale z pięknym ogniem w oku opowiadał, jak szlachetny Carlo Manuel Socpedes pierwszy porwał w ręce narodową banderę kubańską i zatknął ją nad górskim miastem Tuna. Jak do tej siedziby protestu pod błękitnobiałozółtą flagą wyzwolenia jeły ze wszech stron gromadzić się ochotnicze oddziały. Opowiadał jak poraz pierwszy biała dłoń Kreola ścisnęła czarną rękę murzyna; jak nie było już na Kubie kolorów skóry, tylko byli walczący o niepodległość Kubańczycy i wspólni ich wrogowie Hiszpanie. A potem dwa lata walk w lasach i górach, w ostępach i zasadzkach, w utarczkach, ucieczkach i pościgach; dwa lata huku dział, szczęku broni.

jęków rannych i dźwięków pieśni narodowych... Aż wreszcie ostateczne rozgromienie powstańców, schwytywanie większości z nich, egzekucje i deportacja... Dla bohaterów Polski — Sybir, dla bohaterów Kuby — Fernando Poó! A azjatyckie etapy nie były straszliwsze od tej dantejskiej podróży pod pokładem fregaty Józefina, skąd ich po ch miesiącach najwyrafinowańszych mąk, nawpół trupami na wygnańczy łód wywleczono... Nie były, bo duch ciemniejszy jest wszędzie ten sam: okrutny i bezlitosny; jak wszędzie ten sam jest duch ciemzonego: ofiarny i bohaterski. Znużony wspomnieniami stary Costillo chylił siwą głowę na piersi i z cicha zaczynał nucić tęskną pieśń wygnania:

Un decimo, un decimo, sufrir  
Solo por ver a mi patria querida  
Y mi patria es apedacida  
Ticrra, donde yo naci!

(Dziesiątek lat, dziesiątek lat, dziesiątek lat cierpienia  
Tylko by ujrzeć ojczyznę mą kochaną,  
A ta ojczyzna jest rozćwiartowaną  
Ziemia mego urodzenia).

— Y mi patria es apedacida — powtarzały nasze drżące usta; myśl biegła do Tej "rozćwiartowanej", zalegała cisza, i te dzieci dwóch ujarzmionych narodów tak bardzo obce sobie rasą, wychowaniem, kulturą w tem przypadkowym podrównikowym zetknięciu, czuły się w tej chwili zjednoczone braterstwem wspólnego bólu, i posępny ptak gorzkiego wydziedziczenia jednakowo się nad ich pochylonemi głowami kołysał. Ale wprędce rozchodziły się drogi naszych dumań. Stary przymusowy wygnaniec miał już tylko przeszłość za sobą i nigdy nie zaspokojoną tęskno

tą; para dobrowolnych, młodych wygnańców miała przed sobą przyszłość i nadzieję... To też głowy nasze podnosiły się, strżając ciężar smutku, a z ust, które przed chwilą powtarzały za starym Castillem żalostną zwrotkę o rozćwiartowanej ojczyźnie, wybiegał okrzyk otuchy i triumfu: "Jeszcze nie zginęła"...

.....  
W dumnym oczekiwaniu na groźne spotkanie w lasach dziewiczych z tygrysem, jaguarem, a przynajmniej panterą — co wreszcie raz omal nie miało miejsca, bo będąc na ludożerczym brzegu Panguie szliśmy długo jej śladami — ulubioną moją rozrywką było łowienie motyli. Nie było w tem nic awanturczego, ale stanowiło błogosławione wytchnienie po ciągłych utarczkach z mrówkami, sandfly'ami i dżygami, na których moje myśliwskie ambicje musiały poprzestawać tymczasem. Ach! te mrówki! te sandflaye, te dżygi! to były tylko trzy plagi egipskie, ale starczyły za wszystkie siedem.

Areną niewinnych łowów motyli bywała wspaniała mangusowa aleja, prowadząca w prostej linii od kwietnika przed mieszkalnym domem aż na kraniec naszej plantacji i kończąca się dość głębokim barranco, czyli wąwozem, który, minawszy, wychodziło się na szeroką drogę, obsadzoną potężnymi aloesami. Ta znowu wiodła do miasta i do portu. Niejeden królewski park nie mógłby się pochwalić równie majestatyczną perspektywą, na jaką z frontowej werandy domu patrzyłam codziennie i nigdy jej się napatrzeć nie mogłam.

Regularne szeregi olbrzymich, wspaniale rozrośniętych drzew zdawały się iść w jakąś nieskoń

czoną dal, zawsze cienistą, zawsze niedostępną prostopadłym promieniom ekwatorialnego słońca.

Seledynowa zieleń wierzchołków, wciąż nowem okrywających się liściem, tworzyła jakoby puszystą aureolę dokoła ciemnego szmaragdu starych gałęzi, oblepionych niby gigantyczny ul pszczołami, masą złocistych owoców, kształtem i aksamitną powierzchnią przypominających morele. Mają one leciuchno terpentynowy posmak, a szczególny chłód ich nadzwyczaj soczystego mięsca sprawia nieopisane orzeźwiające uczucie spieczonym od upału wargom i stale wyschlęmu podniebieniu.

Pomimo to mało kto się nimi rozkoszuje. Murzyni naogół nie lubią owoców, a biali, zwłaszcza hiszpanie, stronią od nich w zupełnie nieuzasadnionej obawie febry.

To też dno alei było literalnie wybrukowane spadającymi wciąż z drzew mangami i jak złocista wstęga przerzynało błękitnawozieloną głęb tej bajecznej perspektywy.

A gdy jeszcze zaczęły migotać nad nią purpurowe, mleczne, szafirowe, żółte, jak dukaty, barwami opali grające skrzydełka wielkich motyli, gdy gdzieś z boku wskroś niespodzianie rzadziejącego gąszczu konarów wkręciła się rubinowa śruba słońca i wszystko dokoła roziskrzywszy, sypnęła snopami brylantów, wtedy to całe wnętrze przemieniało się w jakąś czarodziejską grootę, kopalnię drogich kamieni i kruszców, do której każdy, bez wzywania Sezamu, wejść może.

Wchodzili więc różni. Nasza mangusowa aleja była jedyną cywilizowaną arterją komunikacji między wsiami Bubisów a miastem. Gdyby nie ona byłiby musieli przedzierać się przez gąszcze i krążyć, ogromnie nakładając drogi.

Jak u dawnego posiadacza Santy Marji, tak i u nas wyprosilili sobie prawo przechodzenia tędy pod warunkiem, że przedewszystkiem nam będą sprzedawali to ze swoich produktów, co nam będzie potrzebne i oczywiście po niższych, aniżeli w mieście, cenach. Był to więc układ korzystny dla stron obu; ale chytry krajowcy potrafili go często obejść.

Z miasta na odwrót chodziły mangusową aleją potonegerskie mami, a więc różne panie Newtonowe, Teunysowowe, Franklinowe, rozlane murzynki, w szafirowych, perkalowych bluzach, poddartych z przodu na wydatnych brzuchach, a wlokących się z tyłu, w jaskrawych zawojach na głowie. Kolysząc się ociężale, ciągnęły do wiosek bubiskich skupować tam olej palmowy, yams, kury i odprzedawać je, oczywiście z okazałym zyskiem faktorjom i zawijającym do portu okrętom.

Najczęściej jednak odwiedzały ją motyle, uczujące na leżących na ziemi owocach i najczęściej odwiedzała ją moja osoba, niegodziwie z owych uczt dla powiększenia mego zbioru pragnąca skorzystać...

Dziś to okrucieństwo i bezprawie przedstawia mi się we właściwym świetle, ale. wtedy nie doznawałam żadnych skrpułów. Żyłka myśliwska jednakowo zaślepia człowieka, czy będzie polował na lwy, czy na motyle.

W krótkiej, flanelowej bluzie, w wysokich, skórzanych gietrach, dla ochrony od mrówek i węzów, w korkowym kasku, z przewieszoną przez ramię ceratową torbą i z siatką w ręku skradałam się czujnie, upatrując odpowiedniej chwili... Bywało to jednak polowanie z przeszkodami.

Oto z daleka widzę jakiś rzadki okaz olbrzymiej wielkości. Nie wiem, do jakiej grupy zali

czalby go Lineusz lub Hübner, wiem tylko, że jest prześliczny i że go pragną mieć. Serce bije mi gwałtownie, siatka drży w wyciągniętej dłoni... Już, już...

Nagle krzyki, śmiechy, tupot bosych nóg... Z poza mnie wysuwa się gromada Bubisów, zdążających do miasta. Idą gęsiego. Mężczyźni z długimi kijami w ręku, ze skałkówkami przez plecy, z nieodłączną fajeczką w zębach; za nimi kobiety, dźwigające na głowach ciężkie blaye (platformy drewniane) z towarem.

— Oi podi mami Teua! Oi podi! (Witaj kobieto Stefana, witaj!) — wołają chórem.

— Polo (dziękuję) — odpowiadam uprzejmie, choć moja upatrzona zdobycz już gdzieś daleko miga tęczowemi skrzydełkami.

— Soco? (jakie nowiny?) — pyta jeden.

— Soco atchi (nowin niema). — To zapewnienie jest obowiązujące, bez względu, czy po niem miała nastąpić cała litanja radosnych lub hjobowych wieści.

— Ehęę! — cieszy się Bubis — Ehęę! Przeszli.

Znowu czaty, znowu inna nieogłędna ponęta. Dokoła cisza i pustka zupełna. Nastawiam siatkę. No, ten mi nie ujdzie. Wtem z boku, z pomiędzy dwu pni wysuwa się głowa starego Castilla. Zobaczył mnie z przylegającego do alei tytuniowego pola i śpieszy powitać:

— Buenos dias, senora! Buenos dias!

— Buenos dias, amigo Castillo!

Smuga błękitu i purpury przed oczami i po motylu.

Wytrwale posuwam się dalej... Nareszcie! Nareszcie! Ten chyba najpiękniejszy ze wszystkich.

Siatka osuwa się zdradziecko i nakrywa zaciętrzewionego smakosza wraz z jego obiadem. Teraz tylko chwycić go copędzej za skrzydełka, zanim je o ścianki muślinu połamię.



— Good afternoon, Mrs. Rogant (skrótowiec trudnego do wymówienia dla cudzoziemców nazwiska).

Przedemną, jak z pod ziemi wyrosły stoi potęgowski dandys. Różowe, w zielone kwiatki, dymkowe spodnie wiewają dookoła jego bosych stóp; wściekle czerwony krawat, podwiązuje morderczym fontaziem kołnierzyk niebieskiej, perkalowej marynarki, w kieszonce której tkwi zalotnie zielona chusteczka. W ręku cieniutki pręcik z mosiężną gałką. Zdjął błyszczący cylinder z głowy, ostrzyżonej przy samej skórze, a to dla unicestwienia tych przeklętych, owczą wełną przypominających włosów i kłania mi się z galanterją światowca.

— Good afternoon Mrr., Rogant — powtarza rozpromieniony, nie wątpiąc na chwilę, że jestem zachwycona spotkaniem.

— Good afternoon, Mr. Byron, albo Mr. Darwin — odpowiadam z rozpaczą, bo motyl spryciarz skorzystał z chwilowej nieuwagi i wysunął się z pod siatki. Naderwał skrzydełko, obtłukł różki, ale zemknął.

Bywało, że pomiędzy te różnojęzyczne powitania, wskutek których torba moja świeciła pustkami wypadł z najdroższych ust na świecie dźwięk najdroższej na świecie mowy.

W oddali ukazywała się smukła, młodzieńcza postać w białym, pikowym garniturze i korkowym kasku na głowie i zaczynała biec na moje spotkanie. A ja, zapomniałam o motylach i biegłam także. Nie widzieliśmy się może godzinę, ale po

witanie było jak po półrocznej rozłące. Para wędrownych ptaków nie miała nigdy dosyć swego towarzystwa...

A potem wracaliśmy zwolna ku domowi. Żar leciał z nieba; w alei pomimo cienia było duszno; uciśnione piersi łaknęły szerszej przestrzeni. A właśnie na tej szerszej przestrzeni, po za szeregiem mangusów wykwił przecudny krztałt samotnej palmy winnej (rafia vinifera). Jej ogromne, pierzaste liście wdzięcznymi łukami chyliły się ku ziemi, rzucając błogosławiony cień, a jednocześnie nie tamując dostępu przewiewowi.

Ach ! ileż to razy w Europie marzyłam o takim odpoczynku we dwoje pod palmą... Jakież to będzie rozkoszne i poetyczne... Niestety! w rzeczywistości nie zaznałam go nigdy. Ta romantyczna siesta mogła zbyt drogo kosztować... Protest przeciwko niej zakładały olbrzymie mrówki, najchętniej pod palmami sypiące swoje kopce; i węże, zwłaszcza węże.

Od tych roilo się Fernando Poó, noszące również przydomek "wyspy węzów". Wprawdzie węże są na ogół płochliwe i uciekają przed człowiekiem, o ile który z nich (niby z tych węzów) nie jest boa constrictorem i nie chce mu się jeść, bo kiedy głody — nie pyta; i o ile nie nadeptnie się którego, o co wśród wysokich, zbitych traw bardzo łatwo, bo wtedy potrafi ukąsić i to śmiertelnie. Jak naprzykład mały, czarny wężyk, albo straszliwa żmija rogata (vipecornue).

Omijało się więc palmy zdaleka, a mnie wtedy zawsze przypominała się rozmowa sławnego podróżnika Nachtigalla z synem pewnego bogatego bankiera w Hamburgu.

Młodzieniec ten przyszedł do niego i z rozmarzeniem w oku, tęsknym głosem prosił, aby mu

opowiedział jakich wrażeń doznaje się jadąc Saharą na wielbłądzie.

To musi być cudowne! Ach! w kantorze jego ojca tak duszno, tak płasko, tak pospolicie! A jego dusza rwie się w krainę nadzwyczajności i poezji... Nieraz zdejmowała go ochota cisnąć to wszystko i podążyć na Saharę, dosiąść wielbłąda i... Ale ojciec grozi wydziedziczeniem... Więc chociaż pragnąłby usłyszeć od tego, który był tak szczęśliwy... — Młodzieńcze — rzekł Nachtigall z pobłażliwym uśmiechem. — Pragniesz zaznać wrażeń jazdy na wielbłądzie? Nic łatwiejszego. Weź ruchomy stółek z kantoru twego ojca, wyśrubuj go ile się da, postaw na wozie napelnionym kamieniami, siądź na nim i przejeżdż się pędem po kartoflisku. A potem poszukaj co prędzej jakiego ustronnego zacisza, bo ci się przyda.

O taki dużo wrażeń afrykańskich i to najpoetyczniej przedstawiających się zdaleka, w dotknięciu dzieliło los jazdy na wielbłądzie, podług recepty Nachtigalla. Natomiast zdarzały się i takie, których w Europie nie brało się wcale pod uwagę, a które na miejscu zaćmiewały wszystkie inne. Do takich w pierwszej linji należało przyjscie każdego parowca, zwłaszcza z północy, a więc z tej Europy lekceważonej jak wytarty grosz. Jakież to było święto dla wszystkich białych na wyspie!

Kto żył porzuczał najpilniejsze zajęcie i spieszył na pokład.

Tych trochę desek, wydających ckliwą woń słonej wody i smarów, przeobrażały się w ziemię obiecaną dla dobrowolnych uciekinierów ze "starego, zgniłego ładu", jak szanujący się Brzegowiec zwykł był nazywać tę część świata, w której ujrzał światło dzienne.

A teraz!... Oczywiście dużo tu było praktycznego pierwiastku w tem nawróceniu się. odstępców od wzgardzonego kultu. Parowce przywoziły towary i boyów faktorjom; ale oprócz tego przywoziły gazety i listy...

Listy I Magiczne słowo. Cudowny balsam na rany nostalgji, której robak w mniejszym lub większym stopniu duszę każdego białego podgryza...

Następuje uroczysta chwila... Purser (płatnik okrętowy) wynosi ze swojej kajutki wielką torbę i składa ją przed kapitanem. Wszyscy cisną się dokoła niego; zaglądną sobie przez ramiona, depczą sobie po piętach.

A kapitan wywołuje nazwiska. Anemiczne ręce wyciągają się ku niemu; drżące palce szarpią brzegi kopert... Ach! nie firmowych; te zostaną na koniec...

Przedewszystkiem dorwać się tych prywatnych... od swoich! Serca biją gwałtownie... Papier szeleści. Litery skaczą przed zamglonemi trwożnem oczekiwaniem oczyma.

Bo ono zawsze jest trwożne... Co przynosisz biały, martwy pośle? Zła czy dobra wieść, ona już przestała być wypadkiem dnia tam, skąd wyszła przed pięciu tygodniami lub więcej. Fala czasu przepłynęła po niej i nakryła nalotem nowych wydarzeń!

A ten oddalony, który ją czyta, jakże się ma wobec niej zachować? Jak się cieszyć lub smucić tem co już minęło, kiedy tam w tej chwili mogą być ważniejsze do radości lub smutku powody?

Albo te odpowiedzi na pytania, wysłane przed trzema miesiącami, których się już samemu nie pamięta? A jednak tych wzruszeń, jakie przynosi taki list co się tygodnie całe po afrykańskich

wodach błąkał nie może dać żaden inny tam, gdzie się ma do rozporządzenia ekspresową pocztą i terminowy telegraf...

.....

## II.

— Mami! steamer live for come () — wrzasnął domowy boy, mały krumanik, nazwany przezemnie Antkiem, i mniej więcej tak rozgarnięty, jak przeciętny Antek z Psiej Wólki — wpadając do pokoju, gdzie siedziałam pogrążona w studjowaniu "objadów", które to dzieło, opatrzone dedykacją zacnej autorki zabrałam z sobą pod równik, jako nie Arjadny mającą prowadzić mnie przez zgoła obce mi dotychczas labirynty kulinarnej sztuki. Ale nie rwała się ciągle, bo albo mnie brakło materiałów do zastosowania jej wskazówek, albo ona okazywała się zbyt krótką wśród zakamarków różnych palmoil chopów, fufu i innych czysto miejscowych przysmaków. Wprawiało mnie to więc często w niemały kłopot.

— Mami Steamer live for come — powtórzył chłopak, bo byłam tak zatopiona w rozważaniu jakim sposobem zakisic barszcz skoro buraków niema i czy nie dałoby się zastąpić ich ananasami, że w pierwszej chwili nie zdałam sobie sprawy z radosnej nowiny.

— Hamaki w pogotowiu! Wioślarze na beachę (przystań). Idź po masę (pana) — zarządziłam, zrywając się z krzesła.

— Yes, Mami — rzekł chłopak — ale nie odchodził. Za taką wiadomość należał mu się dash (podarunek) i nie byłby się ruszył z miejsca, dopóki go nie otrzymał.

Obdarowany, wyleciał jak z procy.

Wnet przed frontową werandą stanęły dwa białe, płócienne hamaki, pod takimiż daszkami, każdy niesiony przez czterech boyów w trykotowych koszulkach (singletach) i ponsowych madrasach, czyli perkalowych chustkach, opasujących biodra, i spadających aż do kolan, podczas gdy czterej inni pędzili na przelaj na naszą prywatną przystań, zepchnąć na wodę, czekający tam zawsze w drewnianej budce gig.

Nie minęło pół godziny i dobijaliśmy do burtu. Wprawdzie radość nasza uśmierzyła się znacznie; nie był to bowiem parowiec z Europy, lecz przeciwnie wracająca do niej z Południa, z San Paul de Loanda, Nubia, stary wielbłąd morski, rozklekotane pudło, oddawna zasługujące na emeryturę, ale którego kapitan twierdził, że jest first class i że wielka kompanja Elder Dampster w Liverpoolu, posiadająca w Nubii najdawniejszą służebnicę, może się nią słusznie szczycić.

Nam osobiście Nubia była miłą, bo przez nią doszły nas pierwsze listy z Europy, a z kapitanem Harbertem przypadliśmy sobie do serca.

Zaraz też, zobaczywszy nas, zbiegł aż na schodki, zapraszając na lunch, a za nim wysypało się na pokład aż czterech Belgijczyków, wracających z głębi wolnego Konga, gdzieś od jeziora Tanganika. Wszyscy ustrojeni w pończochy za kolana, gietry, burnusy i fezki. Ci przez trzy lata nie widzieli białej kobiety i na mój widok wpadli poprostu w trans. Jeden zwłaszcza, olbrzymiego wzrostu, z wąsami jak wiechy, którymi wiatr w naj

przeróżniejszy sposób miotał, ukląkł na pokładzie, rozwiewając fałdy swego przybrudzonego burnusa.

— Oh, madame! Oh madame! — powtarzał, składając ręce — est ce possible !

I był tak zabawny w tych zachwytach, że kapitan Herbert, aż się potaczał ze śmiechu.

Ale uszczęśliwienie jego i towarzyszy dosięgło szczytu, gdy zaprosiliśmy ich wraz z kapitanem na obiad do siebie. Kapitan już nas tam raz odwiedzał i przy lunchu opowiadał cuda o europejskim urządzeniu naszego domu.

— Obrazy wiszą na ścianach — unosił się pocziwiec — nie żadne oleodruki ani drzeworyty, ale prawdziwe, ręcznie malowane na płótnie i stoją trzy bookshelvy (szafki biblioteczne) pełne najpiękniejszych książek. A Mrs. Rogant sama pisze książki — dodał z taką dumą, jak gdyby to było jego osobistą zasługą.

— Est ce possible! Est ce possible! — wykrzykiwał długowąsy, i omal nie płakał, obficie zraszając swe rozrzewnienie szampanem.

Odprawiwszy nasz gig na Santa Maria, z poleceniem, aby kucharz Akrajczyk szykował najwspanialszy chop (jedzenie) na jaki się może zdobyć, sami wraz z zaproszonymi gośćmi popłynęliśmy kapitańską szalupą na rządowe moło.

Była to droga dłuższa, ale wygodniejsza i chodziło też o to, aby belgijczykom pokazać miasto. Uszykował się więc orszak wspaniały, powiększony przez komendanta portu i kilku spotkanych na lądzie notablów wyspy. Bo gościnność Brzegowa chyba z jedną staropolską porównana być może.

Przodem boje nieśli mój hamak w otoczeniu wszystkich czterech Belgijczyków, którzy ani na chwilę odstąpić mnie nie chcieli, przy czem każdy starał się jak mógł dać mi dowód swoich rycer

skich uczuć. Więc jeden piastował mój wachlarz drugi pieska, który mu się wrywał, szczekając z oburzenia, trzeci torebkę, a długowąsy dźwigał żelazko do prasowania, kupione u pursera na Nubii, w które zapomniałam zaopatrzyć się w Marsylii, a którego żadna Fernando Pooska faktorja nie mogła mi dostarczyć. Był to przyrząd o tak starożytnym wyglądzie, że chyba Ewa po wypędzeniu z raju musiała prasować nim koszule Adamowi. Ale ja byłam uszczęśliwiona nabytkiem.

Słuchając komplementów moich wielbicieli, rozmyślałam nad tem, że zaraz jutro zarządzę wielkie pranie pod moim osobistym kierunkiem (jakże mało uświadomionym miał się okazać ten kierunek!) i że Marja Stuart przestanie się wreszcie znęcać nad resztkami mojej bielizny.

Za ową feodalną grupą postępowała reszta gości, a pochód zamykał drugi hamak próżny, bo żaden z mężczyzn przez grzeczność nie chciał do niego wsiąść.

Z brzeżących główną ulicę grodu Santa Isabeli potonegerskich domków, nędznych, drewnianych klitek, krzywo osadzonych na palach, zdających się chwiać za lada silniejszym powiewem, wybiegały na wążutkie werandki różne panie Dickensowe i Walterscott'owe, ten i ów pan Macaulay lub Bückle podchodził, przywitać się własnoręcznie z godnością, świadcząca, że ocenia dokładnie zaszczyt, jaki nam wyświadcza; gromada najmłodszych dziedziców tych znakomitych nazwisk podnosiła nieludzki wrzask i biegła po bokach wywracając kozły; grzebiące w piasku kury wlatywały wysoko na drzewa i dachy, jak gdyby były orłami a nie kurami, jedyna zaś przedstawicielka nierogaczyny na wyspie, odbywająca siestę pośrodku ulicy powstała

z właściwym temu rodowi majestatem i pochrzając niedwuznacznie, odeszła zwolna na stronę..

Sprawiwszy tyle triumfalnego zamętu orszak wydołał się na szeroki, zamiejski gościniec i szparko ku alei mangusowej podązał.

Nagle z przydrożnego wału, obsadzonego wielkimi aloesami, wynurzyła się postać kobieca smukła i gibka. Słońce miała za sobą, a zsuwające się już w dół jego promienie złocistokrważym rąbkiem bramowały jej ramiona i biodra, zostawiając w cieniu twarz, którą i tak kryła głęboko na czoło i policzki zachodząca biała namitka. Tylko ogromne, czarne oczy płonęły jak dwa karbunkuły, a spotkawszy się z moim zaciekawionym spojrzeniem, wyrzuciły taką błyskawicę nienawiści i wzgardy, że mimowoli zadrżałam. Jednocześnie prawa ręka z zacisniętą pięścią wyciągnęła się w moją stronę i pogroziła nią zapalczywie.

— Co to jest? — wymówiłam prawie bezwiednie.

Ale Belgijczycy byli tak pochłonięci kontemplacją "wiecznej kobiecości" w europejskim wydaniu, której przez tyle lat byli pozbawieni, że nie byliby dostrzegli nawet słonia.

— Vous dites, madame ? — spytał długowąsy z rozczuleniem, wsuwając jeszcze głębiej głowę pod daszek hamaku i omotując mi szyję łokciowemi "ozdobami męskiego oblicza".

— Ha! ha! ha! — zabrzmiał złowrogi, jak chichot puszczyka śmiech. — Ha! ha! ha!

Teraz wszyscy zwrócili głowy w stronę skąd pochodził, ale na aloesowym wale nie było już nikogo.

Boye szarpnęła hamakiem, jak szarpią powozem spłoszone konie i już prawie pędem wpadli w mangusową aleję.

Zresztą drobne to zdarzenie zatarło się wprędce przy oglądaniu "cudów" Santa Maria. Belgijczycy wpadali z ekstazy w ekstazę. Tam nad jeziorem Tanganika zapomnieli zupełnie, że istnieją wygodne meble, koronkawe firanki, różnokolorowe ample, porcelanowe talerze i srebrne łyżki, nie mówiąc już o obrazach "ręcznie malowanych", wśród których mieliśmy dwa oryginały Siemiradzkiego... Siemiradzki w podrównikowym buschu!... Exeuse du peu. Najmilszy kapitan Herbert tylko zacierał ręce, powtarzając: "A co? A co? nie mówiłem?" i promieniał, jak gdyby to wszystko było jego własnością.

W dodatku na uczczenie duchowej biesiady, kucharz Akrajczyk, spiwszy się jak nieboskie stworzenie, dał jednak chop doskonały, chociaż jak się później zastanowiłam, ilość masła, lardu i cukru, jaką zużytkował przy tej sposobności, byłaby wystarczyla na miesięczne zaprowadowanie rodziny skromnych potrzeb. Ale to było drobnostką wobec apetytu z jakim goście pochłaniali sterty rozmaitego jedzenia, nie szczędząc głośnych oznak uznania i moja duma młodej gosposi rosła jak na drożdżach.

Przekonałam się później, iż mój Akrajczyk miał tę osobliwą własność, że im bardziej był pijany, tem lepiej gotował, choć czy nie była to symulacja z jego strony, gwoli wyłudzenia większych racji whisky i dzynu, tego nigdy wyśrodkować dobrze nie mogłam.

Sprytny ten młodzieniec, wychowaniec francuskiej misji w Dakar, — a trzeba tu dodać, że francuskie misje, bardziej niż wszystkie inne na Brzegu, odpowiadają swemu posłannictwu — wcale nieźle jak na murzyna fach swój znający, wprędce się w moim niedoświadczeniu zorientował i wy

zyskiwał je haniebnie. On jeden na całej wyspie lekceważył mnie. Ja natomiast byłam przytłoczona jego wiedzą. Gdyby mi był powiedział, że z ćwiartki jeleniny można wykroić tylko trzy befsztyki, byłabym mu uwierzyła na słowo, Ale to było w czasach, kiedy pisywałam wiersze i marzyłam o tajemniczych źródłach jezior Liba.

Dziś już nie piszę wierszy i nie marzę o jeziorach Liba; za to znam się doskonale na mięsie... Może to więcej warte?  
— Wiecie państwo, co wam powiem? — rzekł kapitan Herbert po kilku spełnionych toastach. — Jutro rano podnoszę kotwicę; zabierajcie się i jedźcie ze mną do Bonny. Taki change trip doskonale wam zrobi. Cóż, zgoda?  
— Oczywiście, że zgoda — zawołaliśmy razem. — Ale jak będzie z powrotem?  
— To najmniejsza. "Kinsembo" powinien tam być za kilka dni z północy. Ja w Bonny zabawię dzień, a potem pan Munro, agent faktorii Holta będzie uszczęśliwiony, mogąc państwa u siebie ugościć.  
— Oh! madame! Quel bonheur! — zawył cieniutkim głosem mój Belgijczyk, bo już był dobrze "ulabiryntowany" i chcąc mi dać przedsmak rozkoszy, jakie mnie czekały we wspólnej podróży na pokładzie Nubii zaczął pokazywać sztuki. Nigdy w życiu oprócz akrobatów cyrkowych, nie widziałam tak elastycznego człowieka.  
Więc naprzód okręcił wąsami dwa kieliszki od likierów, jeden napełniwszy abricotina a drugi benedyktynem, podniósł je do wysokości policzków i utrzymywał tak, wbrew wszelkim prawom o teorii drąga w równowadze.  
Co do mnie obawiałam się trochę o moje prześliczne bakaratoskie kieliszki, przywiezione tu

lekkomyślnie z Nicei; nic im się jednak nie stało, za to usługujący chłopcy, zagapiwszy się na "dem white man, who save too much" (na białego człowieka, który zbyt wiele umie) stłukli trzy inne.  
Dokonawszy kilku jeszcze cudów zręczności, gumowy ten mąż stanął na głowie, długimi nogami sięgając sufitu i w tej pozycji odśpiewał tiroljenę.  
Nie było to może zgodne z przepisami dobrego tonu, obowiązującymi na proszonym obiedzie wedle kodeksu Savoir vivre'u pani d' Alcq lecz etykieta BrzegowoAfrykańska chadza innemi drogami; nikt więc się tem nie zgorszył, a wszyscy bawili się wybornie.

### III.

Trudno sobie wyobrazić coś smutniejszego nad deltę Nigru i gnieżdżące się na jej, podobnym do nigdy nie wysychającego trzęsawiska, gruncie murzyńskie państewko Bonny, pod protektoratem Anglii pozostające.  
Szare, płaskie wybrzeże, na niem szarobiaława grupa cynkowych dachów, gdzieniegdzie trochę skąpej roślinności, a nad tem wszystkim szare, rozplakane niebo, bo był to już początek pory deszczowej, oto widok, jaki mi się z pokładu "Nubii" przedstawił.  
Ale to pierwsze, niekorzystne wrażenie zatarło się wobec przyjęcia, jakiego doznaliśmy w domu pana Munro. Kapitan Herbert nie omylił się twierdząc, że będzie uszczęśliwiony. Był więcej: był w siódmym niebie.  
Dla niego i dla jego trzech anemicznych clarków a white Lady na bonnyjskim brzegu była ta

kiem samem objawieniem, jak dla powracających z głębi Kongo Belgijczyków.  
Ledwo tylko szalupa kapitańska, wioząca cały pasażerski ładunek "Nubii" przybiła do przystani faktoryjnej, już wszyscy czterej biegli na nasze spotkanie w otoczeniu domowych boy'ów, którzy rzucili się ku nam, odbierając

waterproofy, kaski, walizki i zanosząc je do domu, gdzie wnet jęli przygotowywać cock'taile i herbatę, podczas gdy gościnny agent, jeszcze ani mojej narodowości, ani nazwiska nie znający, podawał mi ramię i wiódł do przeznaczonego dla mnie pokoju, wypytując troskliwie, czy wolę spać pod mustikierą, czy bez mustikiery i czy zrana biorę kąpiel zimną czy ciepłą.

A w kilka godzin potem nastąpił wspaniały obiad, do którego zasiedli także zaproszeni oficerowie, stojącej tu na kotwicy angielskiej kanonierki i naczelnik biura telegraficznego pan Allen, bo Bonny już wtedy posiadało podwodny telegraf. Mimo, że całe to towarzystwo po raz pierwszy z sobą obiadowało, rozmowa toczyła się żywo, humory były wyśmienite; długowąsy popisywał się znów ze swemi sztukami, wyklóciwszy się przed tem zażarcie z kapitanem kanonierki, panem Mac Kinstry, o Gordona i Stanleya. A że kapitan nie rozumiał ani słowa po francusku, a belgijczyk tylko "gołębią angielszczyzną" słabo władał, więc sprzeczka tych panów była tak zabawna, że wszyscy śmieliśmy się do łez.

Szkot, wielbiciel Gordona, zapalał się, rzucał, dobierał najbardziej przekonujących zwrotów; belgijczyk słuchał z głębokiem przejęciem, zdając się chwycić każdy wyraz, a gdy tamten skończył, zapytał mnie uroczyście: que ce qu'il dit?

Nazajutrz Nubia po licznych pożegnalnych "czinczinach" podniosła kotwicę, a my dwoje wró

ciliśmy na ląd. Pan Munro oddał nam cały dom do rozporządzenia, rozkazawszy uprzednio zamknąć de klatki, na podwórzu stojącej oswojonego szympansa, którego towarzystwo stawało się dla mnie kłopotliwe, nie dlatego, żeby ten sympatyczny antropomorfus był wrogo względem mnie usposobiony, lecz wręcz przeciwnie...

Wybraliśmy się też niezwłocznie na uwiedzenie miasta, korzystając ze znośnej pogody.

Aby się tam dostać, trzeba było iść znaczną pozeźtreń wzdłuż płaskiego, piaszczystego wybrzeża, łąką, która w porze suchej mogła być bardzo miłą, lecz obecnie tworzyła trzęsawisko wręcz nie do przebycia dla cywilizowanie ubranej kobiety. Znalazł się jednak jakiś chłopak, dochodzący mi zaledwie do ramienia, który podjął się ponieść mnie i oprowadzić nas po mieście.

Z wielką nieufnością przyjąłam tę ofertę, ale nie było wyboru. Naprzód tedy chłopczyna zwyczajem murzyńskim posadził mnie sobie na głowie, że jednak w tej pozycji sam się chwiał, a ja traciłam równowagę, więc objęłam go czule za szyję, a on wziął mnie na plecy, czyli mówiąc pospolicie: na barana. Nie był to jednak wesoły sposób lokomocji.

Zsuwałam się ciągle z mego dwunożnego konia, który wtedy podrzucał mną w górę niby workiem ryżu i tak dotarliśmy do miasta, przybytku błota, gliny, cynku, drobnych muszelek, szczątków armat i potłuczonego szkła.

Europa z Afryką podały sobie ręce, aby utworzyć architektoniczne monstrum i owocem tych wspólnych usiłowań stało się miasto Bonny.

Jak nagi murzyn w cylindrze, tak domy tutejsze, a raczej glinianki bezkształtne, pokrzywione wyglądały śmiesznie i szpetnie pod cynkowemi dachami. Wąskie, kręte niby uliczki, a raczej ryn

sztoczki, ciągnęły się błotnistym, łuską drobnych muszelek pokrytym węzem, pomiędzy temi dziwaczniemi lepiankami bez drzwi, bez okien, o ścianach tu wklęsłych, tam wystających, owdzie w ziemię zapadłych z których w wielu

miejscach odkruszyła się oblepiająca je glina, odsłaniając krzywe kratkowanie z patyków. A nad tem wszystkim te dachy z europejskiego cynku, zwieszające się w niespodziewanych festonach, grożących rozbiciem głowy niebaczemu, co uwiedziony ich początkową wysokością, bezpiecznie pod nimi wędrował.

Gdzie niegdzie uliczka rozszerzała się, domy rozstępowały, tworząc niby placyk, na którym mieszkańcy, lgnąc w błotku używali świeżego powietrza. Mogłam im się przypatrzeć dokładnie, gdyż triumfalny mój wjazd do tego grodu, zrgomadził wnet koło mnie liczny orszak krajowców, nie wiedzących co bardziej podziwiać czy białą mamę, czy sposób, w jaki ona podróżuje. Istotnie, musiałam wyglądać nad wszelki wyraz komicznie, w korkowym kasku i waterproofie, uwieszona na zgiętym w kabłąk chłopcu który co chwila podrzucił mnie jak piłką.

Ale mieszkańcy Bonny nie zdawali się zapatrywać na to z humorystycznego stanowiska. Przeciwnie, widocznym było, iż im ten sposób transportu żywego ciężaru, jako niepraktykowany na afrykańskim brzegu nader zaimponował i tylko raz po raz jakiś śmielszej natury osobnik pociągał mnie za nogę, wpadając w zachwyt nad obcaskami moich bucików. Po Fernandopooskich Bubisach i Potonegrach bonnijscy murzyni wydali mi się prawie piękni. Twarze owalne, nosy szczupłe, o nozdrzach delikatnie wzdętych i ślicznego wykroju usta, uśmiechające się łagodnie. Kolor skóry dość jasny, w zło

tawy odcień wpadający. Kobiety po większej części nagie, zwłaszcza niektóre dziewczęta za cały strój miały opaskę z wielkich, żółtych lub błękitnych szklanych pereł, poniżej bioder.

Ponieważ chcieliśmy zwiedzić dom króla, więc mój tragarzcicerone zaprowadził nas przed rodzaj olbrzymiej stodoły, glinianej także, ale posiadającej drewniane drzwi i okna oraz schodki, prowadzące do frontowego, na podwyższeniu umieszczonego wnijścia.

Gdyśmy tą drogą dostali się do wnętrza, ujrzelśmy izbę dość obszerną z dużym stołem pośrodku, przy którym siedziała młoda jeszcze murzynka w ciemną bluzę ubrana i zajęta wyszywaniem na kanwie. Przyjęła nas bardzo grzecznie, odzywając się wcale dobrą angielszczyzną i wogóle zdradzając niezwykle stopień inteligencji, a nawet wykształcenia. Z ochotą oprowadziła nas po królewskiej siedzibie, będącej dziwnym zbiorowiskiem izb widnych i ciemnych, przedsionków, korytarzy, które miejscami nie miały pomiędzy sobą żadnej komunikacji prócz deski, rzuconej od jednych drzwi do drugich i po której przechodziło się jak po kładce.

Po jednej z takich desek dostaliśmy się do pokoju, który nam jako swój zaprezentowała, a gdzie z wielkim zdziwieniem zobaczyłam szafkę, pełną angielskich, ładnie oprawnych książek, a na stoliku przybory do pisania, kilka fotografii i inne europejskie drobiazgi, świadczące o zgoła cywilizowanych a nawet wytwornych upodobaniach właścicielki.

Teraz dopiero dowiedzieliśmy się, że mamy do czynienia z siostrą zmarłego króla Jerzego, księżniczką Florencją, wuchowaną w Anglii. Miała

ona nawet zaszczyt być przedstawioną królowej Wiktorji i jakiś pamiątkowy dar od niej otrzymać.

W danej chwili w Bonny było bezkrólewie; syn nieboszczyka bowiem był jeszcze za młody do objęcia władzy.

Wróciwszy do głównej izby zastaliśmy go tam w popielatych spodniach i śnieżnobiałej, z tego wykrochmalonym



gorsem koszuli frakowej, na którą nie uważał za potrzebne nałożyć choćby kamizelki, Ale ten brak w toalecie wynagrodził porywem zupełnie światowej galanterji, bo gdy księżniczka Florencja częstowała nas piwem z cydrem, która to mieszanina nazywa się na Brzegu shande gaff, przyszły król udał się do małego, po drugiej stronie domu położonego ogródka i po chwili wrócił z bukietem róż i hibiskusów, wręczając mi go z komplementem równie niezgrabnym, jak towarzyszący mu ukłon.

Tymczasem deszcz zaczął znowu padać, trzeba więc było opuścić coprędzej królewskie progi i wracać do domu. Ale nazajutrz wypogodziło się cudownie i mogliśmy zwiedzić tutejszą episkopalną misję, która zaciekała nas bardzo ze względu na jej przewodniczącego "największego murzyna Afryki", słynnego zarówno na polu misjonarstwa, jak eksploracji biskupa Nigru Samuela Adżai Crowthera.

Dzieje tego starca, który liczył wtedy lat, są tak wyjątkowe, że nie mogę oprzeć się chęci opowiedzenia ich tu pokrótce, aczkolwiek z dziejami Rosy Nieves nie mają nic wspólnego.

Urodził się on w murzyńskiej wiosce Igbura Panda, na rzece Benoe. Pewnego dnia, gdy mógł mieć około dziewięciu lat, banda mużułmańskich negrów, trudniąca się dostarczaniem na niewolnicze rynki "czarnej kości słoniowej" napadła na

wieś, wyrznęła w pień starców i wzięjsze kobiety, uprowadzając resztą z sobą.

Pomiędzy temi nieszczęsnymi ofiarami haniebnego handlu był i mały Adżai, odciągnięty od kolan matki, którą uderzenie pałki powaliło pozornie bez życia na progu chaty.

Cały rok wodziono go z targu na targ, nie mogąc jakoś znaleźć na niego nabywcy.

Ostatecznie sprzedano go w starym Kalabarze na portugalski, niewolniczy statek, jeden z tych, które miały fałszywy pokład, na przodzie. W razie pogoni przez francuski lub angielski krążownik, prowadzono żywy towar zwany "czarną kością słoniową" na ów pokład, wprawiano w ruch dowcipną maszynę i kamień obrażenia szedł na dno, a negrier wędrował dalej spokojnie, nie lękając się żadnych odwiedzin, jak na porządny, kupiecki statek przystało.

Coś podobnego przytrafiło się owemu portugalskiemu okrętowi z tą różnicą, że nie dość prędko ułatwił się z robotą i ścigający go angielski krążownik spostrzegł co się święci. Dopędzono więc zbiega i Anglicy weszli na pokład, bez długich ceregieli powywieszali panów handlarzy na najwyższych rejach, poczem mając zatopić statek zwiedzili go dokładnie od dołu do góry.

Owocem tych poszukiwań był mały Adżai, który korzystając z ogólnego zamieszania zdołał ukryć się w kali (składzie towarów) pomiędzy dwoma workami soli, a teraz oswobodzony dostał się pod opiekę swoich wybawców.

Ci zawieźli go do Sierra Leone i oddali do misyjnej szkoły, gdzie nadzwyczajne jego zdolności i zamiłowanie nauki zwróciły wyjątkową uwagę na chłopca.

Posłano go do Londynu i tam obudziło się w nim zamiłowanie do stanu duchownego. Wyświęcony na księdza powrócił na Zachodni brzeg Afryki w charakterze misjonarza.

Tu oddał takie usługi zarówno sprawie cywilizacyjnej, jak naukowej przy badaniach Migru, że w roku ym wezwano go znowu do Anglii gdzie arcybiskup Canterburyjski uroczyście wyświęcił go na biskupa i gdzie nadano mu jako diecezję

przeźren Górnego Nigru, dokąd się też udał z powrotem, cały już wyłącznie oddany nauczaniu i cywilizowaniu swych współbraci.

W jednej z takich apostołskich wycieczek, głosząc Chrystusowe słowo w okolicach rodzinnej wioski, napotkał starą, wynędzniałą kobietę, w której poznał swoją matkę.

Poznał ją pomimo dwudziestu ośmiu lat rozłąki i była to dziwna, fantastyczna prawie chwila, kiedy ten dostojnik Kościoła, uczony mąż i znakomity eksplorator padł do nóg przepasanej łachmanem, steranej nędzą, cześć fetyszom oddającej murzynki, darząc ją słodkim imieniem rodzicielki, w ojczystym jej języku.

Odnalazłszy ją w tak cudowny niemal sposób zabrał staruszkę do Lagos, gdzie wśród wygod, o jakich dotychczas pojęcia nie miała, otoczona najtkliwszymi staraniami żyła jeszcze lat kilka i na rękach swego wielkiego syna umarła. Takim był ów biskup Crowther, którego pragnęliśmy odwiedzić.

Pan Munro użył nam szalupy, bo chociaż misja znajdowała się na tem samem wybrzeżu co fakrorja, niepodobieństwem było z przyczyny błot dostać się do niej ładem.

Po półgodzinnej żegludze przybyliśmy do brzegu.

Widok tej religijnej osady wdzięcznie przedstawiał się z rzeki. Kilka porządných domków, malowanych na bladuróżowy kolor, rozmieszczonych wśród troskliwie utrzymanych klombów roślinności, ugrupowało się dokoła dużego, żelaznego kościoła; płaska plaża, starannie wyżyrowana, piękne kwietniki przed oknami; wszędzie porządek, czystość i ta trochę kwakerska prostota, która przecież niema w sobie nic surowego; owszem otacza odrazu przybysza jakąś miłą, domową atmosferą.

Trafiliśmy jednak nie dobrze, bo nie zastaliśmy biskupa, który wyjechał w objazd po swojej diecezji. Przyjął nas syn jego, niemłody już mężczyzna, naturalnie także ksiądz i misjonarz.

Po zwykłych ceremonjach przedstawień, poszliśmy z nim obejrzeć urządzenia misji. Naprzód zaprowadził nas do szkoły, obszernego, doskonale wentylowanego budynku, mogącego pomieścić ze dwieście dzieci.

Zastaliśmy ich z kilkadziesiąt tylko. Oglądaliśmy ich kajety, pisane w języku krajowym ibo i po angielsku, niektóre z nich popisywały się czytaniem i odpowiadały bardzo roztropnie na zadawane im pytania. W zakończeniu dzieci odśpiewały dość zgodnym chórem kilka pobożnych hymnów w obu językach.

Następnie zwiedziliśmy kościół, wielki, cynkowy budynek o kolorowych szybach, świecących jak wszystko od czystości. Ściany pomalowane białą, olejną farbą, wyglądały jak obciągnięte atlasem. W głębi było niby prezbiterjum, oddzielone od reszty nawy mosiężną balustradą, przy której biskup rozdawał komunię, a zamiast wielkiego ołtarza —

dziesięcioro przykazań na olbrzymich błękitnych tablicach, drukowanych w języku ibo.

Zresztą żadnych innych ozdób, jak zwykle w episkopalnych kościołach.

Ale najskromniejszym w całej misji było mieszkanie samego biskupa; niewielki pokój o dwóch przeciwległych oknach i dwóch przeciwległych drzwiach, co, że wszystkie były na oścież otwarte, nadawały mu pozór latarni.

Pod jedną z bielonych ścian stało żelazne, wąskie, prawdziwe mnisze łóżeczko, ubożuchną pościelą zasłane, stary skórzany fotel o wyłoczonem siedzeniu i wypełzłem obiciu tu i owdzie pracowicie połatane, prosty, miejscowy

stolik, kilka wyplatanych krzeseł, półki na książki sufitu prawie od podłogi sięgające także ze zwyczajnych desek zbite — to wszystko.

Piękny hibiskus pod jednym oknem rosnący zaglądał do wnętrza wspaniałym bukietem swych wielkich, krwistych kwiatów, a w otworze drugiego okna *accacia sensitiva* szeleściła lekko swymi delikatnymi jak koronka *Usteczkami* i te dwa krzewy rzucały miękkie, poetyczny odcień na ten zakątek czarnego ascety.

Zwiedziwszy jeszcze gospodarskie zabudowania, ogródki i warzywne plantacyjki misji pożegnaliśmy uprzejmego gospodarza, obdarowani przez niego fotografią jego znakomitego ojca i kilku broszurkami, drukowanymi w języku ibo w miejscowej drukarni.

Za powrotem zastaliśmy księżniczkę Florencję i następcę tronu przybyłych z rewizytą i oczekujących na nas... pod schodami faktorji, a więc w miejscu dość skromnym, jak na ich królewskie wysokości..

Zresztą wizyta trwała krótko, bo wnet nadszedł

pan Munro, aby nas zawieźć na jeden z najstarszych na Nigrze a może i na całym Zachodnim Brzegu hulków.

Ale przedewszystkiem co to jest hulk?

W czasach, kiedy handel europejski zaczynał dopiero trącać o wybrzeża Czarnego Łądu, kiedy w miejscowościach takich na przykład, jak Bonny, gdzie teraz działał telegraf, kwitło w najlepsze ludożerstwo i mięso człowiecze sprzedawano na publicznych targach, ajenci firm kupieckich, ludzie ostrożni i przewidujący, powiedzieli swoim szefom mniej więcej w ten sens:

— Drodzy panowie! Niemamy nic przeciwko temu, abyście się za naszym pośrednictwem wzbogacali; jeszcze mniej przeciwko naszym osobistym stąd korzyściom; pragniemy gorąco za trochę kolorowego szkła, lichych, bawełnianych tkanin i wątpliwego gatunku trunków, wysłać wam złotodajne beczki oleju palmowego, centnary kości słoniowej i hebanu, ale pragniemy nie mieć żadnej styczności z temi pięknymi brzegami, na których nie łatwiejszego, niż spotkać się z żółtą febrą lub nożem krajowca. Wymyślcie więc nam takie idealne mieszkanie, gdzie nie dosięgłyby nas miazmaty trzęsawisk, gdzie moglibyśmy przebywać jako przytomni a jednak nieobecni i gdzie ani przez drzwi, ani przez okna, ani po schodach, ani po drabinie niepożądany gość nie mógłby się dostać! Inaczej wolimy pozostać w Anglii i dokonać żywota w sposób prawidłowy.

Zdawaćby się mogło, że panowie ajenci żądali od swoich chlebobawców rzeczy wręcz niemożliwych, czegoś w rodzaju wiszących ogrodów Semiramidy; tymczasem wcale nie.

Chlebobawcy z kolei udali się do wielkich okrętowych kompanji w rodzaju Elder Dampster,

zapytując je uprzejmie, czyby im nie mogły odstąpić za umiarkowaną ceną kilku wybrakowanych parowców zdolnych jednakże odbyć jeszcze jedną jedyną podróż na zachodni brzeg Afryki.

Kompanje z kolekcji kwalifikujących się do rozbiórki dwu i trzy masztowców wybrały najmożliwszy okaz; biedny weteran po raz ostatni żegnał salwą swej starej, zachrypniętej armaty mgliste doki Liwerpolu; po raz ostatni jego czerniały wyszczerbiony komin zakwitał pióropuszem dymu, po raz ostatni połatane jego żagle wydymały się w pasatach na skołatanych rejach.

A jednak w tym łabędzim śpiewie swej żeglugi, był on jeszcze pięknym, ten stary okręt, gdy leciał, czarną piersią do fal przytulony, smukłym gotykiem swego umasztowania strzelający w błękity, wlokąc za sobą dwa srebrzyste zagony pian, niby olbrzymie skrzele fantastycznej ryby.

Tak przybywał na miejsce przeznaczenia. Tam w przyzwoitej od brzegu odległości, dwie ślepe kotwice przygwaźdżały go do dna morskiego na zawsze.

Już mu nie skakać, nie płaszać po zabielanym grzbietach bałwanów, już i huragan nad nim zahuczy, a on się ledwo zakołysze. Paraliż go tknął i koniec.

Teraz ucinano mu maszty, odpinano żagle, burzono komin, zrzucano mostek komendancki, cały pokład jak długi dostawał porządne oszalowanie z desek, nad tem oszalowaniem równie porządny dach cynkowy i oto na miejscu tego chyżego, ręką ludzką stworzonego ptaka, który się zowie okrętem, a który jest poematem mechaniki i budownictwa, stawał nieruchomy, wodoziemny płaz, niezgrabny, rozplaszczony, posepny, któremu na imię było hulk.

Życie na nim było równie płaskie, brzydkie, posepne jak on sam i tylko taka rybia krew, jaka płynie w żyłach faktoryjnych agentów, mogła się nim lata całe zadowalać.

Z czasem mieszkanie na kulkach stało się anachronizmem. Z czasem afrykański brzeg ze swemi febrami i potrawkami z ludzkich nóg okazał się djabłem mniej czarnym, niż go malują, ale przed kilkudziesięciu laty ci panowie od dżynu i oleju byliby sobie kazali wydawać patenty na bohaterów za jedną noc przespaną na lądzie.

Bo i po co mieli guza szukać? Handel szedł wybornie.

Od rana pirogi krajowców otaczały hulk, mocne, palmowe koszyki, naładowane olejem, nikły w zamienionym na magazyny spodzie okrętowym, gdzie zawartość ich przekładano w wielkie owapnione beczki; a w trakcie tego właściciele koszów pożądliwie przebierali w stosach jaskrawych tkanin, szklanych pereł i podejrzanego zapachu perfum.

Pan agent w przybrudzonej pyjamicie z fajką w zębach, królował nad temi skarbami; przyboczny tłumacz targował się, a gdzie się udało to i nadprogramowo oszukiwał; clarkowie biegali uznojeni, ważąc olej, sortując kość słoniową i heban, tocząc rum z beczek; robota szła; hulk trząsał się od tupotu bosych nóg i jak mrowisko roił się od czarnych postaci, wdrapujących się i ześlizgujących po prostopadłych drabinach, lub mostkach, zarezerwowanych dla arystokracji krajowej.

Z uderzeniem godziny szóstej ostatnia piroga odbijała od burt; podciągano w górę mostki, odczepiano drabiny; hulk ze swemi gładkimi, wysoko nad powierzchnią wody sterczącymi bokami, stawał się nieprzystępną twierdzą.

Wtedy pan agent szedł do jednej z kajut, zamienionej na łazienkę, kąpał się, przywdziewał biały, pikowy, garnitur; jego dwaj pomocnicy kąpali się także i przywdziewali pikowe garnitury, poczem ta w kolor niewinności przyodziana trójca zasiadała w dawniejszym, pasażerskim salonie do stołu i, spożywszy obiad, trwała tam aż do chwili rozejścia się na spoczynek, wypijając nieprawdopodobne ilości piwa, obliczając dzienne zyski, grając w karty, drzemiąc, bardzo rzadko pisząc — naturalnie listy — jeszcze rzadziej czytając. W niedzielę i święta przejażdżka po rzece gigiem i dłuższa drzemka podczas dnia, stanowiły jedyną rozrywkę tych dobrowolnych więźniów.

W czasie mego pobytu w Afryce faktorja hulkowa należała do wyjątków — dziś zapewne już wcale nie istnieje, a jednym z takich wyjątków był ów stary, bonyski hulka, jakiśmy z panem Munro zwiedzili.

On sam był seniorem brzegowych agentów i na tym właśnie hulku przed dwudziestu laty karierę swoją jako młodziutki clark rozpoczął. Z biegiem czasu stał się znakomitością w swoim zawodzie.

Wielka faktorja Holta, mająca swoje filje po całym Zachodnim Brzegu ceniła go sobie na wagę złota. Posiadał on wyjątkowy dar zawiązywania stosunków zamiennego handlu z krajowcami, orjentował się błyskawicznie w ich gustach i potrzebach; a co ważniejsze umiał je w sposób dziwnie przekonywujący do swoich celów naginać.

Gdyby firma zawiadomiła go, że posiada sto tuzinów wybrakowanych i okazjnie nabytych balowych lakierków, pan Munro byłby potrafił tak kierować rzeczą, że każdy krajowiec zapalałby gwałtowną żądzą nabycia bodaj jednej pary.

Coby z nią potem zrobił, o to nie troszczył się ani pan Munro, ani sam nabywca, dość że jeden otrzymałby taką to a taką ilość oleju palmowego lub kości słoniowej tak dobrze, jak darmo, a drugi parę błyszczącego obuwia, którą by zawiesił na honorowym miejscu w swojej chacie, i tak pomyślna transakcja zacieśniłaby jeszcze przyjazne stosunki na przyszłość.

To też ilekroć zakładała się nowa filja lub zaczynała chwiać dawniejsza czy to w Kalabarze, czy w Gabonie, czy w Lagos, firma wysyłała tam nieodmiennie pana Munro, a pan Munro obejmował ster, puszczał w ruch maszyną, poczem jechał na changetrip do Anglii, gdzie go czekało owacyjnobrzęczące przyjęcie wdzięcznych szefów.

Podobnie jak pan Bretiniere, był pan Munro starym kawalerem, lecz wystarczyło spojrzeć na jego wesołe, dobroduszne oblicze i usłyszeć jego szczery, pogodny uśmiech, aby nabrać pewności, że żaden dramat sercowy nie leżał na dnie tego dobrowolnego celibatu.

Nie znaczyło to, ażeby pan Munro odnosił się obojętnie do płci zwanej nadobną. Prywatne informacje jakich mi w tym względzie udzielił kapitan Herbert, mówiły wręcz przeciwnie.

Ale dzielny agent zapatrywał się na te sprawy po Brzegowemu. Każdy wyjazd do Europy zaznaczał się "sezonową miłością" bez dalszego ciągu; w Afryce zaś, nie brak było młodziutkich murzynek, a gdy dobrze poszło i mulatek, na których wdzięki oko europejczyka, wyszkolone dłuższym pobytom na Czarnym Łądzie staje się coraz wrażliwszem. Słowem pan Munro przedstawiał doskonały typ "właściwego człowieka na właściwym miejscu",

które to określenie zyskuje coraz większą popularność w świecie politycznym. Wszyscy byli z niego zadowoleni i on sarn z siebie.

Owego dnia, zwiedzanie starego hulka zbudziło w nim widocznie dawne wspomnienia i po obiedzie, kiedy anemiczni clarkowie odeszli, rozgadał się pod ich wpływem.

Pokazało się, że przed ośmiu laty zarządzał faktorją na Fernando Poó i znał tamtejsze stosunki wybornie. A przytem dodał, że pobyt tam upamiętnił mu się zupełnie wyjątkowym epizodem...

Tu pan Munro uśmiechnął się, i jakby idąc za biegiem wywołanych tem wspomnieniem myśli, zapytał nagle:

— A cóż Amanda del Cruzero, żyje jeszcze? Widziała ją pani?

— Amanda del Cruzero — powtórzyłam. — Któż to taki?

Jakto? nawet pani o niej nie słyszała?... Po dwumiesięcznym pobycie na wyspie? Czy to możliwe? Chyba, że... I urwał.  
— Ale któż to jest ta Amanda? — ponowiłam nalegająco.  
— Amanda... to... jest Amanda!... — odpowiedział pan Munro z pewnym zakłopotaniem.  
— To się nazywa wyczerpujące objaśnienie! — zawołałam, śmiejąc się. — Pan mnie coraz bardziej zaciekawia...  
Więc... Amanda?...  
— A pani mnie przypiera do muru. Amanda była przed panią jedyną białą kobietą na wyspie.  
— I skądże się tam wzięła?  
— Och! to cała historia... Historia dosyć drażliwa... I nie wiem, doprawdy, czy mi wypada...  
— Wypada!... Wypada!... zawołaliśmy razem, a mnie przypomniła się nagle owa tajemna po

stać wśród aloesów, jej płomienne oczy, tak dziwnie na mnie patrzące, jej ręka wyciągnięta z nienawistną groźbą i ten śmiech urągliwy.. Ta kobieta stanowczo nie była murzynką. A więc...

#### IV.

Tymczasem pan Munro rozkazał domowym krumnikom przyrządzić nadzwyczajne cocktaile jego własnego wynalazku, zapalił za osobnym pozwoleniem krótką fajeczkę i wciąż uśmiechając się zagadkowo do własnych myśli, tak zaczął:

— W czasie, kiedy przybyłem do Fernando Poó objąć kierownictwo tamtejszej factorji Holta, władzę gubernatorską sprawował Don Claudio Martinez de la Rocha () najpiękniejszy mężczyzna, jakiego zdarzyło mi się widzieć, a zarazem największy hulaka, nerwowiec, despota i rozpustnik.

Rządy jego były, wyrażając się najogólniej, skandaliczne. I gdyby nie to, że był siostrzeńcem ówczesnego ministra marynarki, a pozatem spokrewnionym z całą falangą rodzin wpływowych na królewskim dworze, byłby za jeden tylko ze swoich niezliczonych wybryków odbył przymusową podróż do Hiszpanji, na którym z okrętów wojennych. Ale że był owym siostrzeńcem i tak dalej, więc mu wszystko uchodziło na sucho. Zresztą w stosunkach towarzyskich potrafił być, gdy chciał, czarującym. I, bądź co bądź, to był rasowiec.

Nawet, gdy się upijał na murzyńskich balach, które urządzał własnym kosztem, ku największemu zgorszeniu ojców misjonarzy, i grzmocił po łbach kolorowych dżentelmenów, którzy się z nim zbyt

nio poufalić chcieli, gdy chlustał winem w twarze tańczących mami, lub w przystąpię złego humoru kopał nogami czarnych policjantów i wybijał zęby krumanom, czuć w nim było widkiego pana, a to zawsze imponuje.

Mnie upodobał sobie szczególnie i zapraszał często do gubernatorskiego domu na "wieczorki w ścisłym kółku", na których przebieg wolę zapuścić zasłonę.

Co do mnie, myślę, że tajemnicą mego powodzenia w życiu a byłbym czarnym niewdzięczuchem względem losu, gdybym nie przyznał, że powodziło mi się i powodzi świetnie — była umiejętność zachowania we wszystkim miary... byłem zawsze, wszędzie i zawsze panem siebie. Nie okoliczności mną, ale jar niemi rządziłem.

To też gdy inni tracili zdrowie i zdolność do pracy, w tych rozpasanych orgiach, ja brałem w nich udział o tyle, o ile to nie przynosiło szkody ani mojemu organizmowi, ani moim obowiązkom. Boys! cocktalis"

Pan Munro zawiesił chwilowo opowiadanie i z wielką uwagą śledził przygotowywanie szacownego napoju; pociągnął spory tyk ze swego tombier'a (szklanki), zachęciwszy nas przedtem uprzejmie, abyśmy nie tracili czasu i mówił dalej: "— Pewnego dnia stanął w porcie nieregularny krążownik "Isabela Segunda", a jego komendant wedle zwyczaju złożył natychmiast wyzytę gubernatorowi jeneralnemu, który, jak państwu wiadomo, przedstawia władzę królewską dla wszystkich posiadłości hiszpańskich w zatoce Gwinejskiej.

Obaj doznali przyjemnej niespodzianki, gdyż byli dość blisko spokrewnieni i niewidzieli się od lat kilku.

Komendant, Don Chrisostomo Navarra y Ia Paz, był znacznie młodszy od de Ia Rochy, poprostu dzieciak na tak odpowiedzialne stanowisko, ale naturalnie zawdzięczał je również stosunkom rodzinnym. Urodą dorównywał prawie krewniakowi, a z oczu patrzył mu ten sam nieokiełznany temperament.

De Ia Rocha, który pomimo wszelkich sposobów zabijania czasu nudził się wściekle na wyspie, bo jej sprawami nie zajmował się wcale, zdając te drobnostki na swoich zauszników, był uszczęśliwiony niespodziewaną rozrywką.

Pojechał wraz z Don Chrisostomem na "Isabelę" i zabawił tam do późnej nocy. A musiało mu być niezwykle przyjemnie, bo gdy nazajutrz około południa przyszedł do mnie, był jeszcze dziwnie podniecony.

— Panie Munro — rzekł, a mówił doskonale po angielsku — zapraszam pana do siebie na dziś wieczór. Będziemy w małym kółku; zupełnie select Czekaj was wszystkich niespodzianka... A ten mój kuzynek. Co za typ! Dumny jestem z niego! Na to, co on uczynił nie byle ktoby się ważył... Zobaczysz pan. Mnie samemu zaimponował... Jeżeli ziści co zapowiada, to będę ja w poprawnym wydaniu... Tymczasem szykuj się pan na niespodziankę!

I odszedł, uśmiechając się tajemniczo.

Powiem szczerze, byłem zaciekawiony. W tem szarem, Brzegowym życiu człowiek tak łaknie jakiegoś urozmaicenia! Towarzystwo znajdowało się już w komplecie, kiedy je powiększyła moja osoba i było istotnie nieliczne. Trzech najzaufańszych" podręczników" de Ia Rochy, jakeśmy ich nazywali, dalej, doktor i ko

mentant portu ze swoją przyjaciółką Teresitą, młodziutką malutką, tak jasną i o włosach tak jedwabistych, że można ją było wziąć za kwarterónek. Brakowało tylko Don Chrisostoma i zapowiedzianej niespodzianki.

De Ia Rocha chodził od jednego do drugiego z gości i powtarzał:

— Zobaczcie, panowie, zobaczcie!

Wytworzył się nastrój tak napiętego oczekiwania, że boje nie mogli nadażyć z podawaniem sherrycoblerów i corktailów.

Nagle otworzyły się drzwi od salonu, w którym na honorowym miejscu, wisiał naturalnej wielkości portret królowej regentki Krystyny z maleńkim Alfonssem XIII'tym na ręku i zawadjackim krokiem wszedł młodzieńczyk w świetnym mundurze marynarki, przepuszczając przodem wysoką, smukłą postać, otuloną szczelnie czarnym jedwabnym płaszczem z głową i twarzą tonącą w zwojach gęstej, białej gazy.

Don Chrisostomo z wylaniem uściskał dłoń spieszącego na jego spotkanie de la Rochy, i były to istotnie jakby dwa odbicia jednego i tego samego typu, skończonej męskiej urody; skłonił się po wojskowemu obecnym, poczem błyskawicznym ruchem obu rąk zerwał zasłonę z głowy i płaszcz z ramion towarzyszącej mu postaci i ukazała się biała kobieta we wspaniałej, balowej sukni, obsypana klejnotami i sama tak cudownie piękna, że okrzyk zachwyty wydarł się ze wszystkich ust.

— Senora Amanda! — przedstawił krótko Don Chrisostomo.

Ona stała nieporuszona, wodząc błękitnemi jak lazur nieba oczyma po obecnych z takim wyrazem, że gdyby królowa Krystyna zstąpiła ze swego

portretu, nie mogłaby bardziej po monarszemu spoglądać na swoich poddanych.

De la Rocha, z wykwinną galanterją światowca podał jej ramię i zaprowadził do przeznaczonego dla niej miejsca przy stole, a gdy tak szli przez salon, tworzyli ideał, wzajem uzupełniającej się piękności dwóch płci.

I było w nich jeszcze jakby jakieś duchowe pokrewieństwo, coś, co zanim Senora Amanda przemówiła jedno słowo, kazało mi się domyśleć w niej niepohamowanej, pysznej i z wszelkich skrupułów wyzbytej natury. Bardzo rychła przyszłość przekonała mnie, że się nie omylił.

Uczta rozpoczęła się niezwłocznie.

Atmosfera trochę etykietalna, stawała się coraz swobodniejsza. Początek dał Don Chrisostomo, rzucał gałkę chleba między mocno odsłonięte piersi siedzącej naprzeciw niego Teresity, która pyszniąc się swoją jasną skórą, korzystała z każdej sposobności, aby jej jaknajwięcej pokazać.

I natychmiast zawiązał się między tem dwojgiem typowo Brzegowy flirt, zaczynający się zwykle od tego punktu, na którym się europejskie flirty kończą.

Senora Amanda, którą Don Chrisostomo przedstawił w taki sposób, jakgdyby to imię było raczej nazwiskiem (), zajęta była wyłącznie siedzącym po jej drugiej stronie De la Rocha, a ten literalnie pożerał ją oczyma.

— Nasz gubernator wpadł — szepnął mi doktor. — Gotów ją jeszcze kuzynkowi zdmuchnąć. Śliczny to będzie widok, jak się takie dwa koguci

ki poczubią. A swoją drogą ten chłopczyk wdał się w niebezpieczną grę. Co to kobieta na okręcie wojennym i to hiszpańskim! Kochanka komendanta! Toż to w razie lada denuncjacji dochodzenie dyscyplinarne, a może i co gorszego. Jedno słówko de la Rochy może go zgubić...

— De la Rocha nie wypowie tego słówka — rzekłem. — Przecież to jego krewny; duma rodowa mu na to nie pozwoli.

— Och! tak, jakbyś pan nie znał de la Rochy! Gdy taka będzie jego fantazja to i dumę rodową puści kantem.

Tymczasem nie zanosilo się na to.

Ci panowie, pochylając się często ku sobie za plecami Senory Amandy, coś szepotali, zamieniali jakieś porozumiewawcze znaki, przyczem Don Chrisostomo wyglądał tak, jakgdyby się chciał rzucić na szyję de la Rochy, a de la Rocha uśmiechał się właściwym mu lubieżnym i okrutnym uśmiechem.

W takich przerwach Senora Amanda siedziała wyprostowana, a z pod zmrużonych powiek mierzyła Teresitę, policzkując ją spojrzeniem, pełnem tak urągliwej pogardy, że mulatka mimowoli spuszczała oczy i kurczyła się, a usta jej drgały mściwą nienawiścią.



Ale były to momenty ledwo uchwytny. Wnet de la Rocha zwracał się do swojej sąsiadki, magnetyzując ją wzrokiem i głosem, który umiał dźwięczeć jak najwyrafinowana pszczoła, a ona, jakby zwyciężona urokiem tego zdobywcy serc, zdawała się znów zapominać o całym świecie.

Obserwowałem to wszystko i czułem instyktownie, że w tym się coś kryje.

Nie dzieliłem przypuszczeń doktora; przeciwnie, podejrzewałem tu jakąś intrygę, za czem przema

wiało dziwne rozradowanie de la Rochy, bo ten wcielony szatan nigdy nie był bardziej w swoim żywiole, niż kiedy mu się nadarzała sposobność do intrygowania.

Zaczął wreszcie wstawać od stołu. De la Rocha przystąpił do mnie:

— Cóż moja niespodzianka? — zapytał. — Przyznaj pan, że nie byłbyś się nigdy domyślił. "Isabela Segunda mogła tu przywieźć wszystko tylko nie kobietę.

— Przyznaję.

— A i to pan przyznać musisz, że to istny cud. Można by mu zarzucić, że się już nie od wczoraj objawia, ale w każdym razie... Szczęśliwy chłopiec mój kuzynek... Takie niedostałe trawy jak on przepadają za dojrzałymi owocami.

— Ale, jakim sposobem...

— Zaraz panu powiem. Christo poznał ją w Monte Carlo i od razu zakochał się do szaleństwa. Ona tam podobno zgrała się do nitki, tak że zostało jej tylko trochę gałganeków i te klejnoty, któremi się obwiesiła, a co do których podejrzewam że są fałszywe. Bo, chociaż mój kuzynek jest zachwycającym chico (młodziak) nie sądzę, ażeby się zgodziła na jego propozycję, gdyby nie miała noża na gardle. Pomyśl pan tylko: Jeżeli dla niego to jest djabelne ryzyko, na które tylko taka szalona pałka jak on mogła się ważyć; to dla niej jest to djabelne więzienie... Carrambo! Dla takiego rajskiego ptaka! Siedzieć zamkniętą w kajucie jak w klatce. Trzy miesiące włości ją tak za sobą... Myślę, że oboje mają tego dosyć. I że tam dochodziło już pomiędzy nimi do starć... Bo to musi być charakterek! Spójrz pan tylko na nią.

Rozmawia teraz z nim, a tak patrzy, że gdyby mo

gła rozszarpać go oczami, toby tylko strzępy fruwały. Zapewne robi mu scenę o Teresitę. Niemańdy! Też się wybrał... Zamiast uśpić jej czujność...

Tu de la Rocha urwał raptem.

— Ależ, panie gubernatorze — zauważyłem — sam pan powiadasz, że oboje mają siebie dosyć, "" a i ja to potroszę widzę,

— Ach! to co innego — zawołał śmiejąc się de la Rocha. — Jestem przekonany, że rzuciłaby go jednej chwili, gdyby się jej coś lepszego trafiło, ale sama rzuconą być nie chce, za żadną cenę... To przecież takie kobiece!

— Zapewne.

— A to musi być pijawka pierwszej klasy!... To po niej widać. Jednym słowem wkopał się, biedaczek. Gdyby tak na mnie, well, to bym sobie z nią poradził, jeżeliby mi zanadto dokuczała; ale on, pomimo najpiękniejszych nadziei, jakie rokuje jeszcze mnie nie dorósł.

— I jakżeby to pan gubernator sobie poradził? — rzekłem.

— Pan pyta? Alboż to mało wody w oceanie? I przy tych słowach położył mi swą piękną, wypieszczoną rękę na ramieniu.  
Było to powiedziane takim tonem, iż mimowoli wzdygnąłem się jak pod dotknięciem gada. Ani na chwilę nie wątpiłem, że to nie był pusty dźwięk w karminowych ustach de la Rochy.  
— Ale na szczęście dla Senory Amandy pański kuzyn jeszcze pana nie dorósł — rzekłem sztywno.  
De la Rocha zaśmiał się swobodnie.  
— Właśnie. Może wobec tego należałoby mu przez prostą solidarność rodzinną i męską jakoś dopomóc? Jak pan sądzi?

— Czy drogą odbicia?  
— Och!.. nie ma szans. Fernando Poó jest takiemi: samem więzieniem jak "Isabela Segunda", a mój kuzynek jest o dziesięć lat młodszy i pięć razy bogatszy odemnie — rzekł de la Rocha cynicznie. — Nie! Nie! Tu by trzeba wymyślić coś innego, Ach! panie Munro!! Claudio Martinez de la Rocha miewa genialne natchnienia.  
Wynikiem tej rozmowy było, że zacząłem zwracać jeszcze baczniejszą uwagę na zachowanie się tej zacnej dwójki. Jakoż spostrzegłem, że Don Chrisostomo zapewne pod wpływem napomnień de la Rochy poniechał zupełnie oblegania Teresity i stał się tak nadskakującym względem Senory Amandy, jak gdyby dopiero ubiegał się o jej względy. Następnie stało mi się jasnym, że de la Rocha pragnie spoić Seniorę Amandę.  
Ale tu trafił na grunt oporny. Co ta kobieta była w stanie wypić przechodziło wszelkie pojęcie.  
A jednocześnie przytomność nie opuszczała jej ani na chwilę. Tylko z posagowo spokojnej monarchini jaką tu weszła, przeobrażała się w coraz bardziej wyuzdaną heterę. Lecz nawet w tem rozpasaniu zachowywała jakiś nieujęty czar, jakiś wdzięk, który sprawiał, że można było się nią gorszyć, ale niepodobieństwem było nią się brzydzić. Hiszpanie byli oczarowani.  
— Na honor — rzekł do mnie komendant portu — udała się niewiasta memu koledze. To temperament! Ale muszę chyba wyprowadzić Teresitę, bo ją gotowa zdeprawować.  
I śmiał się, rad z dowcipu, bo Teresita, pomimo że prawie jeszcze dziecko, słynęła na wyspie ze swego bezwstydu.

— Owszem; niech zostanie i niech nabiera stylu — zauważył doktor. — A uważaliście, panowie, co to za mocna głowa! Sześciu dragonów nie dałoby jej rady. Skąd ten Don Chrisostomo taką wytrzasnął? Chodźmy się z nią spróbować.  
Ale ja trzymałem się zdaleka i ona to zauważyła. Z pełnym kieliszkiem w rękę podeszła ku mnie, kołysząc się wyzywająco w biodrach.  
— Czemu pan mnie unika? — zapytała dość poprawną angielszczyzną, ale z wyraźnym amerykańskim akcentem. — Jeszcze się pan ze mną nie trącił.  
— Myślałem, że ci co panią otaczają, wystarczy.  
— A przestarczą. Ale panu dobrze z oczu patrzy... A ja to lubię... Może przez ducha przekory. Ha! ha! ha!  
— Skąd pani wie, że mi dobrze z oczu patrzy? Może to tylko pozór?

— O! ja się na tem znam ! Był czas, że patrzyły na mnie oczy, nad które lepszych na całym świecie być nie może! Nabrałam doświadczenia. Ha! ha! ha!

Zaśmiała się w dziwnie przykry sposób.

— No, panie Munro, wszak takie jest pana nazwisko? Panie Munro, wypijmy na cześć wszystkich dobrych oczu ! A panowie — dodała, zwracając się do hiszpanów, którzy podbiegali ku niej z wyciągniętymi kieliszkami — panowie nic z tym toastem nie macie wspólnego.

— Dlaczego? Dlaczego? — pytały pijackie głosy.

Popatrzyła na nich i nic nie zdoła opisać tej ironji i lekceważenia, jakie tryskały z jej roziskrzonych źrenic.

— Bo tak! To nasz prywatny toaścik z panem Munro !

Posypały się żarty, bardzo pieprzne. Senora Amanda trąciła się ze mną, jednym haustem połknęła mocne wino i cisnęła kieliszek na ziemię.

— Więcej już pić nie będę.

Zastanowił mnie szczególnie niepokój na twarzy Don Chrisostoma. Ale de Ia Rocha porozumiał się z nim wzrokiem.

— Bravo! — zawołał z doskonale udaną radością, chociaż byłbym przysięgł; że i jemu to postanowienie pięknej Amandy była nie na rękę. — Bravo! Pozwól sobie podziękować, Senora Wygrałem zakład.

— Jaki zakład?

— Założyłem się z moim kuzynem, że pani nam jednak nie dotrzyma placu. Christo i płać dwieście duros. ()

Don Chrisostomo sięgnął skwapliwie do pugilaresu. Zatrzymała go.

— Nie bądź tak rączy, amigo mio! Właśnie, że będę pić, i to z każdym z panów po kolei. Panie gubernatorze! proszę o jakąś milutką mieszzaninę. Zobaczymy, kto kogo pokona.

Spostrzegłem, że tylko najwyższym wysiłkiem trzyma się na nogach. Żar od niej buchał; oczy zachodziły białawą mgłą. Musiało jej się już mącić w głowie; inaczej nie byłaby się dała wziąć na tak marny lep.

Nachyliłem się ku niej.

— Niech pani nie zmienia postanowienia... Niech pani usłucha moich dobrych oczu, które widzą, że pani powinna pójść spać.

Odwróciła się impertynencko.

— Ja! A to doskonale! To pan idź spać i do poduszki przeczytaj sobie jaki rozdział z Biblii. Dobranoc panu!

Za całą odpowiedź skierowałem się ku drzwiom.

De Ia Rocha i inni chcieli mnie zatrzymać, ale ja już miałem tego dosyć. Ogarniał mnie niesmak.

Z rozkoszą wciągnąłem w zaczadzone wyziewami orgji płuca świeży morski powiew.

Noc już była głęboka. Całe miasto tonęło w ciszy.

Ale zaledwie uszedłem kilkadziesiąt kroków, natknąłem się na trzech rządowych krumanów, z których każdy niósł na głowie dużą, płaską walizę.

Coś mnie tknęło. Boye z pakunkami o tej porze?

— Co wy niesiecie?

— Nie wiemy.

— Skąd i dokąd?

— Łódź z cruzera () przywiozła. Pan gubernator kazał nam czekać na beachy i przynieść do siebie.

— Go, on, boys. (Idźcie dalej, chłopcy). Poszli, a ja stanąłem i patrzałem za nimi, jak tylnym wejściem znikli w gubernatorskim domu. Byłem pewny, że te walizy to są rzeczy Senory Armandy, owe "gałganki", o których tak pogardliwie wyrażał się de la Rocha, a które stanowiły cały jej majątek.

Co to mogło znaczyć? Coś wołało we mnie, żeby się wrócić, żeby ostrzec, żeby nie dopuścić... Ale przed czym ostrzegać? Do czego nie dopuścić? I jak?

Nie posłuchałem tego głosu. Byłem śmiertelnie znużony, a jej brutalne odepchnięcie moich dobrych chęci nie zachęcało do dalszych prób.

Co mnie obchodziła ta pijana kobieta? Czyż warto było narażać się dla niej na nienawiść i zemstę gubernatora, człowieka, który nie przebierał w środkach i bądź co bądź był wszechwładnym panem na wyspie?

— Wróć się! Wróć! — szeptało sumienie.

— Nie wtrącaj się do tego, co do ciebie nie należy — mówił rozsądek.

I ta praktyczna rada zwyciężyła. Machnąłem ręką i poszedłem do domu...

Od owej chwili upłynęło już blisko siedm lat, a ja zapomnieć jej nie mogę, bo to był jeden z brzydszych momentów mego życia... Boys! Cocktails!"

Pan Munro przerwał znów opowiadanie i ze ściągniętymi brwiami, z zaszępioną twarzą śledził proces przyrządzania ulubionego mu napoju, ale widoczne było, że myśli jego są gdzieindziej.

.....  
— "Nazajutrz — zaczął pan Munro, po dłuższym milczeniu — nawał zajęć pochłonął mnie całkowicie. Zawierałem pomyślną transakcję z przybyłymi z południowej części wyspy krajowcami, co zdarzało się bardzo rzadko. Zapomniałem, że jakaś Senora Amanda istnieje na świecie. Dopiero dobrze już po południu krzykliwe głosy i wybuchy śmiechu dwóch rozmawiają

cych na ulicy potonegerskich kobiet i powtarzające się wyrazy "cruzero" i "biała mami" zwróciły moją uwagę. Wybiegłem na werandę. Tuż przed faktorią stała matka Teresity, dosyć młoda jeszcze murzynka i jej sąsiadka. Obie trzymały się pod boki, śmiejąc się do rozpuku.

— Good afternoon. Mrs. Bongfellow! Good afternoon, Mrs. Berkelcy! Cóż tak wesoła?

Matka Teresity podniosła głowę i zwyczajem potonegerskich dam dygnęła, poddzierając na brzuchu i tak poddartą bluzę.

— Good afternoon, Mr. Munro. A to, cruzero odjechał przed świtem.

— Well? I cóż w tem tak śmiesznego?

— Bo białą mami zostawił.

I obie zachichotały zjadliwie. Cała utajona nienawiść do tej białej rasy, do której tak byłyby pragnęły należeć, była w tym śmiechu.

— Jakto, zostawił? powtórzyłem, siląc się na spokój. — Biała mami nie chciała odjechać?

— Och ! nie, Mr. Munro — ponowiła matka Teresity, widocznie dobrze przez córkę poinformowana. — To było tak.

Biała wami upiła się zanadto. Upiła się tak, że padła na ziemię jak nieżywa i musieli ją zanieść na łóżko. A potem zaraz goście się rozeszli i pan gubernator odwiózł młodego komendanta na cruzero i cruzero zaraz podniósł kotwicę. Jeszcze

było ciemno kiedy odpłynął, a biała mama spała w najlepsze. Pan gubernator zatrzymał moją Teresitę, żeby jej posłużyła, jak się obudzi. Moja Teresita z początku nie chciała. Cóż? Taka ona dobra, jak tamta. Ale pan gubernator się uparł; "Zostań" mówi "zostań, piękny dash (podarunek) dostaniesz". Więc została. A tu już po

ładnie dochodziło i minęło; a biała mama ciągle śpi. Nakoniec budzi się i zaczyna krzyżeć. Wchodzi Teresita. A ona woła: "Gdzie ja jestem? Czemu nie na cruzero? Gdzie cruzero?" "Cuzero odjechał", mówi Teresita i zaczyna się śmiać. Głupia dziewczyna, bo ją tamta o mało nie zabiła. To wściekła kocica ta biała mama. Porwała lampę, stojącą przy łóżku i w Teresitę. Szczęściem nie trafiła, bo w pokoju nie było widno, bo pan gubernator nie kazał otwierać okiennic od werandy. Teresita za drzwi i zamknęła ją na klucz. A ta dopiero jak zacznie ciskać wszystkim co miała pod ręką! Byłaby wyskoczyła oknem, tylko że okiennice nie puszczały i pan gubernator jeszcze pod każdą postawił krumana, żeby trzymali. Ale szyby wszystkie powybiła. Pięciami waliła we drzwi mało nie pękły. O! Mr. Munro! jakże wrzeszczała zanadto. Aż się cały dom trząsł. Wszyscy urzędnicy powylatywali z casa de piedra.

— I jakże się skończyło? — przerwałem z niecierpliwością.

— Oh! Mr. Munro! Skończyło się bardzo dobrze. Jak się wykrzyżała i już nie było czem ciskać, pan gubernator, który się wciąż bardzo śmiał, poszedł do jej pokoju no i — all right.

Minęło kilka dni zanim znalazłem sposobność przekonania się, że matka Teresity mówiła prawdę i że wszystko było all right.

Wychodząc z casa de piedra, () spotkałem de la Rochę. Był jak zawsze, ubrany z drobiazgową wytwornością, uśmiechnięty i rozpromieniony.

— I cóż panie Munro — rzekł po przywitaniu — cóż pan na to, że Santa Isabelo powiększyła swą ludność o jedną zachwycającą mieszkankę? Paryż byłby uradowany z takiego nabytku, a cóż dopiero nasza miłościna. Jest to moja skromna zasługa.

— A nabytek? — zapytałem — czy także jest uradowany?

De la Rocha roześmiał się.

— A! Pan słyszał? Tak, z początku była burza. Ta niespodzianka zaskoczyła ją trochę. Ale z pewnym nakładem trudu udało mi się uchodzić moją piękną panterę! Cóż to za temperament! A ja nie lubię ślamazarnych gruchań turkawki... Krótko mówiąc, jesteśmy oboje w pełni miodowego miesiąca, wzajemnie z siebie zadowoleni. Przyjdź pan do mnie choćby dziś wieczorem, a przekonasz się na własne oczy.

Stał przedemną, rasowy, wytworny, przepyszny ze swą szatańską urodę i aksamitnym głosem. Musiałem przyznać, że takiemu pogromcy łatwo było "uchodzić" nawet tak krnąbrną panterę, jak Senora Amanda. Bądź co bądź, była tylko kobietą.

Dowiedziałem się następnie, że de la Rocha kupił dla niej w pobliżu gubernatorskiej siedziby, od jednego Potonegra świeżo postawiony domek.

Jego lekceważąca wszystko, co mu stawało na drodze bezwzględność miała jednak swoje granice. Zrozumiał, że dach, osłaniający przedstawicielstwo monarszej władzy, gdzie na ścianie wisiał portret królowej regentki, nie mógł udzielić przytułku takiej istocie, jak Senora Amanda.

Zresztą, może mu to nawet dogadzało. Don Chrisostomo musiał mu rzucić jaskrawe światło na ujemne strony bezustannego z nią obcowania. Mą

dry de la Rocha nie omieszkął spożytkować doświadczenia krewniaka.

Usłał swojej "panterze", bo ją tak stale nazywał, wcale znośne legowisko, przeważnie sprzętemi rządowemi. Resztę wyszperał po faktorjach. Znalazły się jakieś firanki, jakieś dywaniki, jakieś tanie drobiazgi ze szkła i porcelany, a Senora Amanda, strojna w koronkowe i jedwabne szlafroki, zawsze obwieszona klejnotami, wyglądała na tem tle, niezgrabnie wykwiłt cywilizacji europejskiej naśladowującym, a tak w wielu szczegółach czysto miejscowem i pierwotnem, jak jakaś księżniczka z bajki.

Zmieniła się też bardzo w postępowaniu. De la Rocha zapraszał do niej często "ściśle kółko przyjaciół". Oczywiście bywały to wesołe wieczorynki; upijano się zawsze rzetelnie, ale Senora Amanda pełniła swe obowiązki pani domu z taktem i powiedziałbym z godnością. Doktor nazywał ją gubernatorową in partibus.

— Gdyby nie była zbyt szcwaną na taką monstrualną głupotę — rzekł kiedyś do mnie — tobym przypuszczał, że leci na małżeństwo.

Ja nie podejrzewałem ją o to tem mniej; ale uporczywie nasuwała mi się myśl, że w tem jej tak prędkiem pogodzeniu się z losem, coś się kryło, jakaś tajemnicza podnieta.

Nie była to jednak w każdym razie miłość do de la Rochy; jedna z tych nagłych ślepych namiętności, jakim podobne jej kobiety ulegają czasem. Tego bytem pewny; a nawet zdawało mi się chwilami, że nienawidzi go całą potęgą swej gwałtownej duszy, i że mimo przeciwnych pozorów nie przebaczyła mu i nie przebaczy nigdy samowoli, jakiej się na niej dopuścił.

Mój stosunek do niej był dość szczególny oparty, że się tak wyrażę na nieporozumieniu.

Ja czułem się względem niej winnym i do pewnego stopnia odpowiedzialnym za wszystko złe, jakieby ją mogło spotkać na wyspie; ona natomiast zachowała we wdzięcznej pamięci tę życzliwą radę, jaką wtedy tak brutalnie odtrąciła.

— Zostałam srodze ukaraną za to, że nie posłuchałam dobrych oczu pana — rzekła mi przy pierwszym spotkaniu — ale nie zapomnę nigdy, że one jedne patrzyły na mnie, jak na istotę ludzką, a nie na zabawkę, którą bezkarnie poniewierać można. Zawsze, zawsze będę panu wdzięczną.

I w głosie jej zadźwięczała taka serdeczna, tkliwa nuta, że mimowoli uczułem się wzruszony.

Dziwna bo była w tej kobiecie mieszanina wyzywającej brutalności i rozbijającej pokory.

Zdarzały się jednak chwile, że zrzucała z siebie pęta przybranej wstrzeźliwości, a wtedy piła jak dragon, tańczyła kankana i przy towarzyszeniu cytry śpiewała francuskie piosenki. Nie umiem po francusku, ale musiały być bardzo wyuzdane, gdyż de la Rocha, bywalec paryskich szantanów, nie mógł się niemi nacieszyć.

Ale kiedy zaczynała już przebierać miarę, moje spokojne, karcące spojrzenie przywodziło ją do opamiętania.

Wkrótce zauważono ten wpływ, jaki na nią wywierałem, i wyznaje, że mi to pochlebiało, chociaż nie wchodziło tu w grę żadne żywsze zajęcie się tą kobietą.

Pomimo swej wielkiej piękności nie działała na mnie; poprostu czułem dla niej litość i to coś opiekuńczego, do czego wmówiłem w siebie, że jestem względem niej obowiązany.

Ale inni inaczej to sobie tłumaczyli, a zwłaszcza inaczej tłumaczył to sobie de la Rocha. Raz

nawet przyszło pomiędzy nami do wyjaśnień z tego powodu.

— Panie Munro — rzekł mi pół żartem, pół serjo. — Strzeż się pan, bo mogę się stać zazdrosnym, a mam pod tym względem usposobienie kobiece. Porzucam swoje kochanki, ale moje kochanki nie porzucają mnie. Więc miej się pan za ostrzeżonego.

— Panie gubernatorze — odpowiedziałem, patrząc mu prosto w oczy — tak dalece mam się za ostrzeżonego, że noga moja nie przestąpi więcej progu tego domu.

Skłoniłem się i wyszedłem. Ale Amanda, z którą się nawet nie pożegnałem, musiała domyśleć się czegoś i zrobić piekielną scenę de la Rochy, bo już nazajutrz przybiegł do mnie z przeprosinami, i nie odszedł, dopóki nie wymógł na mnie, że puszcze to całe zajście w niepamięć. Skorzystałam jednak ze sposobności, aby sprawę postawić jasno.

— Panie gubernatorze — rzekłem mu — nie z uwagi na siebie, ale aby oszczędzić na przyszłość tej biednej kobiecie możliwych przykrości, daję panu uroczyste słowo honoru, że tak dalece wszelka — aczkolwiek zaszczytna — chęć rywalizacji z panem jest mi obcą, że gdyby nawet Senora Amanda obdarzyła mnie swymi względami, byłbym w najwyższym kłopotcie co począć z tym fantem.

Na tem się skończyło, ale de la Rocha, który był mściwy z natury, nie omieszkiał podzielić się z Amandą mojem zapewnieniem, dosyć dla jej kobiecej próżności przykrem, bo powiedziała mi z uśmiechem:

— Claudio powtórzył mi słowa pana. Niepotrzebnie się trudził. Zbyt wielu ludzi traciło dla

mnie głowy, ażeby nie odróżniła takiego, który jej nigdy dla mnie nie straci.

Zamyśliła się i po chwili dodała:

— Dlatego też tak sobie cenię pańską zyczliwość. To mi się po raz pierwszy zdarza, żeby się ktoś o mnie troszczył i niczego odemnie nie chciał. Nawet te najlepsze na świecie oczy, które niegdyś patrzyły na mnie, a i te czegoś odemnie chciały... Chciały bardzo zacie, ale chciały!.. A pan nic nie chcesz... Wszak prawda, że nic nie chcesz?

— Słowo honoru, daję i tobie Senoro Amando, że nic nie chcę, prócz tego, żeby ci się nie działa krzywda, bo mi cię żal — rzekłem poważnie.

— Dziękuję panu.

Podala mi rękę, którą po raz pierwszy pocałowałem.

Odtąd stosunek nasz stał się szczerze przyjacielskim, z czem nam obojgu było dobrze.

Amanda posiadała dużo wrodzonej inteligencji; bardzo dużo widziała i rozmowa z nią była zawsze zajmująca. W przeciwstawieniu do kobiet jej rodzaju, które są niewyczerpane w opowiadaniach o swojej przeszłości, ona zachowywała pod tym względem jaknajwiększą wstrzemięźliwość. Czasem napomknęła o jakimś drobnym fakcie oderwanej natury, skąd można było tylko wywnioskować, że znała i Amerykę i Francję i różne modne miejsca w Europie, ale skąd pochodziła, jakie było jej nazwisko, co ją pchnęło na drogę, której etapem stało się Fernando Poó, i jej tam obecność w charakterze gubernatorskiej kochanki, opuszczonej zdradziecko przez poprzedniego kochanka, o tem nie wspominała nigdy ani jednym słowem.

Podejrzałem, że i to imię Amanda było przybrane. Na wyspie zaczęto ją nazywać Amanda del cruzero (z krążownika) i to się utarło.

Za to z tego wszystkiego co dotyczyło obecnego jej losu chętnie się przedemną zwierzała. Mówiła szczerze, iż marzy tylko o powrocie do Europy i że jej to de la Rocha uroczyście obiecał.

— Kiedy się skończy jego czas na wyspie zabierze mnie z sobą — rzekła mi raz tonem głębokiego przeświadczenia. — Ta nadzieja dodaje mi sił do wytrwania w tem piekle. Inaczej...

Zdumiałem, że po tem co się stało, ona mu jeszcze wierzy.

— A jeżeli nie dotrzyma obietnicy? — zapytałem mimowoli.

Lazurowe oczy Amandy błysnęły dziko.

— Niechby spróbował — syknęła — niechby spróbował. Raz mu się tylko taka sztuka udała. Już ja go dopilnuję... A gdyby się pokusił oszukać mnie... to... nie zobaczyłby już nigdy swego Madrytu. Zabiłabym... zabiłabym jak psa!

Wyglądała istotnie na zdolną do popełnienia najszańszajszego czynu. To mnie trochę zaniepokoiło. Postanowiłem wybadać de la Rochę. Jego rządy na wyspie dobiegały końca. Pozostawało mu jeszcze niespełna trzy miesiące.

— Pan gubernator zapewne rad będzie zobaczyć swoją piękną Andaluzję — rzekłem pewnego dnia, korzystając, że sam zaczął rozmowę na ten temat.

— Carramba! Rad bym zobaczyć wszystko, co nie będzie tą przeklętą dziurą. Gdyby tylko nie ta wstrętna podróż... Ja nie znoszę morza, panie Munro... Jestem zawsze chory... I to trwa siedmnaście dni... Kiedy tu jechałem, myślałem że się wścieknę z nudności i nudów.

— Tym razem mniej się panu będzie dłużyło w towarzystwie — rzekłem od niechcienia.

— W jakim towarzystwie?

Senory Amandy. Mówiła mi za rzecz pewną, że ją pan z sobą zabiera.

— Ach! Ona to panu mówiła?

— Z jak najgłębszą wiarą w uroczyste słowo pana gubernatora — rzekłem z naciskiem.

De la Rocha gwizdnął przez zęby.

— Błogosławieni, którzy wierzą — rzekł lekko.

— Jak pan to rozumie, panie gubernatorze? — zapytałem poważnie.

Popatrzył na mnie z szelmowską filutemością.

— Tak, jak mówię; i jak mi, jako dobremu katolikowi, mówić wypada — odpowiedział śmiejąc się i zaczął mówić o czem innym.

Nie nalegałem. To było zresztą zbyteczne. Wiedziałem już co mam o tem sądzić.

Teraz chodziło mi tylko o to, aby przeszkodzić możliwej katastrofie. Ale jakim sposobem? Łamałem sobie nad tem głowę dość długo, wreszcie wydało mi się, że znalazłem. W tym celu poszedłem do Amandy umyślnie w porze, kiedy wiedziałem, że ją zastanę samą. Przyjęła mnie, strojna jak zawsze w jedwabie, koronki i klejnoty.

— Masz mi pan co do powiedzenia? — spytała zdziwiona moją niezwykłą wizytą.



— Nie. Chciałem tylko usłyszeć z twoich ust powtórzenie tego, coś mi mówiła, że tak bardzo pragniesz wrócić do Europy.

Złożyła ręce.

— Za wszelką cenę!

— A więc — czemu nie wracasz?

— Ja? Jakim sposobem?

— Bardzo prostym. Nie jesteś wszak uwięziona.

— Tyle tylko, że nie pod kluczem, Ale to na jedno wychodzi — odpowiedziała z goryczą.

— Wcale nie. Co trzy tygodnie, czasem częściej, miewamy parowce do Europy. Ja jestem gotów zapłacić twój pasaż.

— Nie przerywaj; odeślesz mi pieniądze, gdy będziesz miała i...

— Mój dobrooki Munro — rzekła, bo mnie tak teraz nazywała — dziękuje ci za twoje poczciwe chęci, ale... to nie możliwe. Z czegożbym tam żyła.... na początek — dodała z nieopisanym, smutnym cynizmem. — Ja przecież pracować nie umiem i biedy też znosić nie umiem... Czy pomyślałeś o tem?

— Owszem, ale...

— Wszak mówiłam ci, że się zgrałam w Monte Carlo do ostatniego franka.

— Wiem; ale skoro zostały ci te klejnoty...

— Ach! Munro! Jak to znać, że nie byłeś nigdy w Monte!... Inaczej wiedziałbyś, że kto się zgrał, to z klejnotami stamtąd nie wyjedzie; bo albo się za nie odegra; albo je straci, jak wszystko inne, co ma tylko jakąś wartość.

Więc te brylanty?...

— Fałszywe, mój dobrooki Munro! Fałszywe, jak dusza tamtego smarkacza Don Chrisostoma i de la Rochy. Nie masz się czego wstydzić, żeś się na nich nie poznał. Na to trzebaby wytrawnego jubilera. To są przedoskonałe imitacje paryskie, ale których wartość nie starczyłaby nawet na tydzień skromnego utrzymania w tym samym Paryżu. Wobec takiego stanu rzeczy uczułem się zupełnie bezsilnym.

A teraz, dla lepszego zrozumienia tego, co potem nastąpiło, muszę tu silnie zaznaczyć, że pomimo sympatji i tej nieszczęsnej odpowiedzialności, jaką w siebie wmówiłem, Amanda zajmowała w mojem życiu dosyć podrzędne miejsce.

Byłem i jestem do szpiku kości a plain business man, mój czas i myśli moje podporządkowałem interesom firmy, która mnie darzy swojem zaufaniem, a osobiste sprawy traktowałem zawsze dodatkowo. Byłem sierotą od wczesnego dzieciństwa, wychowanym przez dalekich krewnych i może dlatego nie uczułem potrzeby rodzinnego ciepła w dalszem życiu. Swobodą ceniłem i cenę nadewszystko. Jakiś tam filozof powiedział podobno, że najsilniejszym jest człowiek samotny by Jove mądrze powiedział.

Nie chcę też przedstawiać się lepszym, niż byłem w stosunku do Amandy.

Moja propozycja ułatwienia jej powrotu do Europy nie była całkowicie bezinteresowną.

Zmiarkowałem, że los jej zaczyna obchodzić mnie bardziej, niż powinien, że z czasem jej obecność mogłaby mi pobrudzić w życiu, więc bardzo szczerze pragnąłem dopomóc jej w tem, co i mnie było na rękę, a gdy się mój plan nie powiódł, zacząłem zwracać tem baczniejszą uwagę na de la Rochę chcąc dopilnować, aby jej znów nie wyprowadził w pole.

Ale to było jeszcze bodaj trudniejsza sprawa. Ten człowiek szczerzy czasem aż do cynizmu, potrafił być śliskim jak wąż. Wręcz niepodobieństwem było przycisnąć go, jak to się mówi, do muru. Ilekroć chciałem go wybadać co do jego istotnych zamiarów względem Amandy, tak zręcznie umiał się wykręcać i dawać dwuznaczne odpowiedzi, że chwilami zaczynałem sam wierzyć, iż się jednak namyśli i nie zostawi tej nieszczęśliwej na pastwę losu na tej dalekiej wyspie.

A czas płynął.

W wilję oczekiwanego przybycia nowego gubernatora tm samym parowcem, jakim de la Ro

cha miał odpłynąć, urządził on pożegnalną ucztę i urządził ją z całym możliwym na tamtejsze stosunki przepychem. A tę sprawiedliwość trzeba mu oddać, że przy wszystkich ciemnych stronach swego charakteru był i umiał być zniewalająco gościnnym.

Amanda oczywiście przewodniczyła zabawie, a była tak rozpromieniona, że domyśliłem się natychmiast, iż wpłynęły na to jakieś stanowcze zobowiązania de la Rochy.

Pochwaliła mi się też zaraz na wstępie.

— Powinszuj mi, Munro — rzekła wesoło. — Teraz już mam pewność, że mi nie skrewi.

— Winszuję ci z całego serca, Ale na czem opierasz tę pewność ?

— Dał mi rękojmię... Dał mi broń przeciwko sobie.

— Doprawdy? I jakąż to, czy można spytać?

Wyczuła niedowierzanie w moim głosie i spojrzała na mnie z wyrzutem:

— Ach! nie oblewaj mnie zimną wodą! Ja taka jestem w tej chwili szczęśliwa... Dał mi dokument... dokument, któryby go zgubił u Dworu, gdybym z niego zrobiła użytek... Potrzebują tylko posłać go do ministerjunn spraw zagranicznych, a nasz piękny Claudio znajdzie się na ławie oskarżonych.

Nigdy nieuśmierzone nienawiść trysnęła jej z oczu.

— Ach! co to jednak za łotr!

— Czy możesz pokazać mi ten dokument? Naturalnie, nie tu. Przyjdę do ciebie.

— O, nie! Już i tak za wiele powiedziała. Przysięgłam mu na Mękę Pańską, że nikt tego papieru nie zobaczy, chyba...

Ale, bądź spokojny.

Nie jestem taka głupia, jak ci się wydaje. To nie są moje fałszywe brylanty. To dokument autentyczny... urzędowy.

— W takim razie pilnuj go dobrze, żeby ci gdzie nie zginął.

— I o to bądź spokojny. Od wczoraj, kiedy mi go dał nie rozstaję się z nim ani na chwilę. I teraz mam go przy sobie.

Zaszyty, A teraz bawmy się! bawmy, mój dobrooki Munro! Po raz ostatni na tej przeklętej wyspie.

Spojrzała na mnie przeciągle i oczy jej jakby zwilgotniały.

— Ciężko mi będzie żegnać cię, mój jedyny przyjacielu ! Ciężej, niż nawet przypuszczasz...

Ale, cóż począć. Wszystkiego mieć nie można... No, co tam! Bawmy się! Chcę śmiać się, śpiewać, tańczyć, pić... pić...

— Byle nie zawiele! — ostrzegłem.

— Nie ! Nie ! Ostatni raz! Ostatni raz! Munro! Wskoczyła na środek pokoju, odpięła kastaniety, które zawsze miała u paska i przy ich akompaniamencie zawiodła jakiś solowy, hiszpański taniec.

Patrzyłem na nią i i nieokreślony żal ścisnął mi raptem serce... Biedna, kolorowa ćma! U jakiegoż ognia miała znów opalić sobie skrzydła w pogoni za temi blaskami życia, co były tak fałszywe, jak te jej szkiełka, udające brylanty? Biedna, kolorowa ćma!

— Brawo! Brawo! — wołał de la Rocha, klaszcząc w swe wypieszczone, arystokratyczne dłonie — i patrzył to na nią to na mnie, w taki sposób, jakgdyby się domyślał o czym rozmawialiśmy przed chwilą. Drwiący, drapieżny uśmiech błędził po jego koralowych wargach.

— Brawo! Brawo! — powtarzali obecni — tworząc dokoła niej rozentuzjasmowany krąg, a ona, podniecona temi okrzykami zachwyty tańczyła dalej. Biedna, kolorowa ćma !

Nazajutrz rano przybył nowy gubernator, witany w porcie strzałami armatnimi, jak monarcha. De la Rocha zdał mu władzę, poczem odbył się na Pontonie () pożegnalny obiad, na który i ja otrzymałem zaproszenie. De la Rocha siedział na honorowym miejscu, mając po prawej stronie nowego gubernatora, którego pocziwa ale pospolita powierzchowność tworzyła rażącą sprzeczność z wytworną urodą tamtego. Przypatrywałem im się ciekawie i myślałem, że jeżeli rządy Don Antonia Moreno de Guerra y Croquer...

— Don Antonia Moreno de Guerra y Croquer — przerwałam. — Ależ nasz obecny gubernator tak się nazywa !

— W takim razie jest nim po raz drugi, co może być tylko z korzyścią dla wyspy — odpowiedział pan Munro.

— Bardzo przepraszam, żem panu przerwała. Więc pan myślał...

— Myślałem, że jeżeli jego rządy będą wręcz odmienne jak jego powierzchowność to może Fernando Poó wylize się trochę z ran, jakie mu haniebna gospodarka de la Rochy zadała.

I kiedym ich tak obu obserwował zastanowiło mnie szczególne roztargnienie tego ostatniego.

Raz po raz spoglądał ku brzegowi, który, ponieważ jedliśmy obiad na duncie widny był w tej przedwieczornej porze jak na dłoni, i nie trudno mi było poznać, że siłą woli tłumi jakąś nurtującą go myśl.

Obiad miał się końcowi. Rozpoczęły się toasty. De la Rocha w di borowych słowach, a mówca był z niego znakomity, wznosił zdrowie swego następcy, gdy nagle urwał, przez chwilę zbierał rozproszone myśli, a gdy je znów nawiązał, głos jego wyraźnie był wzburzony. Poszedłem wzrokiem w kierunku jego spojrzenia i zobaczyłem, że małą szalupka przybiła do burtu, a rządowy kruman wdrapał się z niej na pokład.

Oprócz mnie, nikt tego nie zauważył.

Skoro tylko wstaliśmy od stołu, de la Rocha zbiegł na dół, a ja ulegając jakiemuś mimowolnemu popędowi poszedłem za nim. Na duncie zapalono już światła; ale pokład tonął jeszcze w półmroku, jaki rzuciła jedyna wielka latarnia u steru.

Rządowy kruman stał przy barjerze ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

Zobaczywszy de la Rochę szybko podszedł ku niemu.

— Młoda Teresita przysłała to dla pana gubernatora — rzekł łamaną hiszpańszczyzną i wręczył mu niewielki pakiecik. De la Rocha z pośpiechem rozdarł owijający go papier. Stałem zdaleka w cieniu, ale dostrzegłem, że był to jakiś spory, biały szmat, w którym znowu musiało być coś owinięte.

— Bueno — zabrzmiał jego głos, pełen ulgi, jak mi się wydało. — Powiedz młodej Teresicie niech czeka na mnie koło casa de piedra. A to dla ciebie.

Dash musiał być sowity; poznałem to po uszczęśliwionym gulgotaniu krumana.

De la Rocha oparł się o bort i wyperfumowana chusteczką otarł pot z czoła.

Stał tak dłuższą chwilę jak ktoś, co wypoczywa po wielkim zmęczeniu.

Zbliżyłem się do niego.

— A! to pan, panie Munro — rzekł budząc się z zamyślenia. — I panu także zrobiło się zaciasno na tej przeklętej dunecie?... Myślałem, że się uduszę... Kopalniany typ ten mój następca, co? A! minęły dla Fernando Poó czasy renesansu!

Zaśmiał się i znowu obtarł czoło chusteczką.

Pomyślałem, że te renesansowe czasy łatwo mogły doprowadzić do ruiny wszystkich czasów na Fernando Poó, ale oczywiście nie dałem ujścia tej myśli; natomiast rzekłem:

— Cóż porabia Sanora Amanda?

— Pakuje się — odpowiedział wesoło — i tak myślę, że jest już zupełnie zapakowana.

Wyraz ten wymówił ze szczególnym naciskiem. Później dopiero miałem zrozumieć ukryty w nim dwuznacznik. ()

— Zatem pan się zdecydował — rzekłem. — Bardzo mnie to cieszy.

— Tak, zdecydowałem się, panie Murro — odparł de la Rocha poważniejszym tonem. — Nie było innego wyjścia.

Położenie stało się takie, że albo ja byłbym ją musiał zabić, albo ona byleby mnie zabiła. A ani jednego, ani drugiego nie życzyłem sobie. To niebezpieczna kobieta, panie Munro, więc...

— Więc pan ustąpił — przerwałem. — Nic rozumniejszego i uczciwszego nie można było uczynić. Bo to jest bardzo nieszczęśliwa kobieta!

— A! — rzekł de la Rocha przeciągle. — Ja bym tego nie nazwał ustąpieniem. Ja, panie Munro, nie ustępuję, nigdy. To trudno. Mam to już we krwi.

— Więc powiedzmy, że pan wybrał tę pośrednią drogę.

— Doskonale. Tak... Wybrałem pośrednią drogę. Rad jestem, że się o tem zgadało... Miałem zawsze wiele sympatii dla pana, panie Munro. Nie dbam o ludzkie sądy wogóle, ale chciałbym być czasem zrozumianym przez takie porządne jednostki, do jakich pan się zalicza. A teraz, chodźmy na dunetę.

— Dziękuję. Muszę wracać. Czuję się niezdrów, a przytem, chciałbym pożegnać się z Senorą Amandą.

— O! Masz pan czas! Masz pan czas! — zawołał, śmiejąc się, de la Rocha.

— O której pan odjeżdża jutro, panie gubernatorze — zapytałem — dając mu z przyzwyczajenia ten tytuł, który mu się już nie należał.

— Ach! nie nazywaj mnie pan gubernatorem. Dzięki Bogu, już nim nie jestem. Chciałbym zapomnieć o wszystkim, co mnie łączyło z tą przebrzydłą wyspą, na której przez dwa lata kisa tak marnie moja kończąca się młodość. Wstrętne ohydne Fernando Poó! Tak go nienawidzę, że gdybym tym oto ruchem ręki mógł je zatopić, to bym to jednej chwili uczynił.

Teatralnym ruchem, bo było w nim zawsze coś z kabotyńca, wyciągnął zaciśniętą pięść, zdając się grozić Bogu ducha winnej wyspie, na którą jak popiół sypał się szybki, ekwatorialny mrok.

— Czy i z Senorą Amandą? — spytałem śmiejąc się, bo myślałem, że na koniec spełnią się gorące

życzenia tej biedaczki, a i ja będę oswobodzony, wprawiła mnie w dobry humor.

— Z nią przede wszystkim — odpowiedział de Ia Rocha, śmiejąc się także. — To wcielony szatan panie Munro! No, chodźmy. Powtarzam; masz pan czas. Odpływam jutro w południe. Chciałbym spędzić z panem ten ostatni wieczór. Zostań pani

Ujął mnie pod ramię; ale ja wymówiłem się stanowczo. Było mi coraz gorzej.

Od rana już czułem się niewyraźnie. Gdyby nie powitalnopożegnalne uroczystości, w których wypadało mi brać udział, byłbym zażył silną dawkę chininy, położył się do łóżka, pił mleko kokosowe i mój żelazny organizm byłby zwyciężył, jak wiele razy przedtem, grożący mi paroksyzm febry. Nie ja, zamiast leżeć w łóżku i pić mleko kokosowe, siedziałem o zachodzie słońca na powietrzu, i piłem dużo wina, więc nie mogło mi to ująć bezkarnie.

De Ia Rocha widząc, że się mienię na twarzy, bardzo troskliwie sprowadził mnie ze schodów pontonowych i kazał rządowej szalupie, aby mnie na brzeg odwiozła.

— Nie baw się pan w żadne pożegnania, panie Munro — rzekł ściskając mi rękę — widzę, że jesteś naprawdę chory. Wracaj prosto do domu.

— Tak, tak — odpowiedziałem słabym głosem. — Jutro postaram się być jeszcze na parowcu.

— Żegnam pana, panie Munro. Żegnam — powtórzył z jakąś dziwną intonacją.

Stał na schodkach; giętki, wytworny, powiewając wyperfumowaną chusteczką i patrzył swemi przepysznymi oczyma południowca, jak szalupa oddalała się od burt. Nie widziałem go już odtąd

nigdy. Ledwo stąpnąłem nogą na ląd porwał mnie silny atak yellowgender ().

Z pomocą krumanów dowlokłem się do domu. Całą noc miotały mną straszliwe torsje i dręczyła maligna. Ale w tych gorączkowych majaczeniach jeden obraz jawił mi się tak uparcie i z taką wyrazistością, że pozostał mi w pamięci, kiedy odzyskałem przytomność.

Widziałem jakąś białą płachtę, która rosta w potworne zwoje, omotywała mnie całego, tłoczyła piersi, wciskała się w usta, nos, oczy, dławiała.

Czuwający nade mną clarkowie z trudem mogli mnie utrzymać, bo zrywałem się z łóżka, z całych sił odpychałem rękami i nogami wstrętą zmore, wołałem rozpaczliwie o ratunek. Nad ranem paroksyzm minął. Zapadłem w stan odrętwienia, z którego wyrwał mnie huk wystrzałów armatnich.

W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, co by to było. Zacząłem liczyć: Raz... dwa... trzy...

I nagle wróciła mi przytomność.

— To de la Rocha odjeżdża — pomyślałem — de la Rocha i... Amanda!

Zrobiło mi się przykro. Więc jednak nie pożegnałem się z nią... Szkoda!

— Szkoda — powtórzyłem, zamykając oczy z uczuciem ulgi, przeczącem temu wyrazowi i usnąłem głębokim, pokrzepiającym snem.

Obudziłem się po zachodzie słońca do tyła zdrowszy, że mogłem wstać i posilić się. Zaraz po obiedzie wyprawilem moich poczciwych clarków spać, a sam zasiadłem w moim pokoju do przeglądania rachunków i listów.

Noc była księżycowa, jasna jak srebrny dzień. Przez otwarte na werandę drzwi wlewały się mocne wonie kwitnących w faktoryjnym ogródku frandżipanyi i datur. Miasto usypiało.

Wtem zaskrzypiały deski werandy. Ktoś szedł nierówno, jakby się skradał. Spojrzałem w tę stronę, nad słuchując. W zalanym księżycowym światłem otworze drzwi, stanęła kobieca postać w poszarpanej odzieży z roztarganymi włosami, spadającymi na twarz i ramiona. Chwiała się na nogach, wyciągając ku mnie ręce opuchłe i zakrwawione.

— Amanda! — wykrzyknąłem, nie dowierzając własnym oczom.

Cichy jęk był mi odpowiedzią.

Poskoczyłem w porę, aby padającą na ziemię podtrzymać.

Na mój krzyk nadbiegli zaspani clarkowie. Przenieśliśmy nieprzytomną na łóżko. Wezwany natychmiast doktor stwierdził gwałtowne zapalenie mózgu. Przez trzy dni walczyła ze śmiercią a w mieście tymczasem wrzało od plotek. Matka Teresy miała znów dużo do opowiadania.

Według niej biała mami ukradła gubernatorowi ważne dokumenty, a gubernator posłał ją za to do Basileh. Gubernator okazał się bardzo dobrym dla białej mami, bo mógł ją przecież kazać zamknąć w więzieniu, a on ją tylko posłał do Basileh i żeby jej na niczem nie zbywało wyprawiał tam także tę mami, która jej zawsze usługiwała i jedzenia ile tylko zapragnęła i gdzie jest taki piękny dom.

To ostatnie było prawdą. Basileh, jak zapewne państwu wiadomo, jest czemś co w Europie nazywałoby się letniem mieszkaniem, a do pewnego stopnia sanatorium, ze względu na zdrowe, suche

powietrze tego górskiego zbocza, gdzie na bardzo wysokim podmurowaniu i na bardzo wysokich, żelaznych słupach, rząd postawił śliczny domek, cały z karbowanego cynku, czystutki i przewiewny.

Przeznaczony on jest na gubernatorskie wczasy i na przejściowy pobyt dla tych Białych, którychby gubernator zaszczycić chciał ta. gościną. Przeważnie jednak bywa pusty".

— Don Antonio Morena de Guerra już nam ją ofiarowywał — wtrąciłam.

— Radzę skorzystać na kilka tygodni — rzekł pan Munro. — Jest to doskonale zabezpieczenie przeciwko febrom; a droga niedaleka i chociaż wciąż pnie się pod górę, dosyć dobrze, jak na Fernandoposkie porządki, utrzymana...

— Ale Amando — przerwałam niecierpliwie.

— Wracam do niej. Skoro niebezpieczeństwo minęło i mogła już mówić, dowiedziałem się z jej ust, jak wyglądało w rzeczywistości owo "posłanie jej" do Basileh.

W porze, kiedy odbywał się pożegnalny obiad na Pontonie, a ona istotnie pakowała swoje rzeczy, wpadło do domku czterech rządowych krumanów i rzuciło się na oniemiałą z przerażenia kobietę. W oka mgnieniu zakneblowali jej usta, skrepowali ręce i nogi, poczem zjawiała się Teresita. Obszukała brutalnie nieszczęśliwą, znalazła szeleszczący w cienkiej bieliźnie papier, oddała cały kawał batysty, gdzie był zaszyty i nazwawszy ją złodziejką wyszła. Krumani porwali znowu Amandę, wrzucili do czekającego przed domkiem rządowego hamaku i ponieśli pędem za miasto. Co się dalej stało nie pamiętała, bo straciła przytomność. Odzyskała ją w nieznanym pokoju o wysokich oknach, których żelazne żaluzje były zamknięte.

Knebel wyjęto jej z ust, ale ręce i nogi miała wciąż skrepowane, co jej sprawiało dotkliwy ból. Leżała na łóżku, a nad nią pochylała się jej służebna mami, usiłując wlać jej w usta trochę mleka z puszki. Była to niezła kobieta i krzątała się koło niej dosyć życzliwie, namawiając wciąż do jedzenia. Ale rozwiązać jej nie śmiała, bo stojący na straży u drzwi krumani sprzeciwiali się temu. Taki mieli rozkaz. Od kogo?

— Czy wiesz, Munro — opowiadała słabym jeszcze głosem, a ja słuchałem przejęty zgrozą — czy wiesz Munro, że ja zupełnie nie zdawałam sobie z tego sprawy? Mąciło mi się w głowie. Byłam jak uderzona obuchem. Chwilami widziałam w tem jakąś intrygę tej łotrzycki Teresity, która mnie zawsze nienawidziła. I spodziewałam się ratunku!.. ratunku od de la Rochy! Czy ty słyszysz? Od niego!... Musiałam mieć gorączkę. To znów zdawało mi się, że to jakiś zły sen, z którego obudzić się muszę, Ale piłam mleko i pozwoliłam mojej mami, ażeby mi podawała jedzenie do ust, bo chciałam żyć... Ja kocham życie, Munro, i to jest moje największe nieszczęście... Inaczej dawno byłby już koniec tej całej nędzy... Tak mi przeszła noc. Czekałam ciągle zjawienia się mego wybawiciela. I to trwało, aż nazajutrz w południe usłyszałam wystrzały armatnie. Wtedy łuska spadła mi z oczu... O! Munro!... Każdy z tych wystrzałów przeszywał mi serce... Zaczęłam krzyczeć i szarpać się na łóżku, nie bacząc, że powrozy wrzynały mi się w ciało do krwi... Patrz, to są jeszcze ślady. Byłam jak szalona... Piana mi się z ust toczyła... Czulałam, że gdybym miała wolne ręce, to bym wydrapała oczy każdemu, co by się do mnie zbliżył... Moja mami przerażona uciekła. A krumani stali nade mną i śmiali się do rozpuku. Wreszcie, gdy uspoko-

łam się z wzczerpania, rozwiązali mnie i uciekli także. Zostałam sama w tem pustkowiu. Długo leżałam jeszcze, zbierając myśli i siły. Jedno wszakże zrozumiałam, że zostać tu nie mogę, że trzeba uciekać przed nocą. Więc zwlokłam się i poszłam. Zabłądzić nie mogłam. Droga była wyrębana pomiędzy dwoma ścianami nieprzebitego gąszczu. Ale była wyboista i stroma, a ja nie jestem przyzwyczajona do chodzenia, zwłaszcza, że miałam nogi popuchnięte i obolałe od powrozów. Każdy krok był męczarnią. Padałam co chwila, a podnosząc się, kaleczyłam ręce o jakieś ostre gałęzie. Zgubiłam atlasowe pantofelki, jedwabne pończochy podarły się natychmiast, ale szłam... szłam do ciebie — Munro! Umilkła i patrzyła na mnie, trwożnie, wyczekująco. Czulem, że muszę postawić jasno sytuację. — Posłuchaj Amando — rzekłem poważnie. Nie mogę brać na siebie żadnych, daleko idących zobowiązań. Mogę jedynie przyrzec ci, że dopóki pozostanę tutaj, możesz liczyć na moją pomoc i opiekę. Ale nie zależę od siebie. Firma może mnie odwołać każdej chwili. Żebym cię zabrał z sobą, tego się nie spodziewaj. Natomiast ponawiam ci jeszcze propozycję, jaką ci już raz uczyniłem: Wyprawię cię najbliższym parowcem do Europy. Więc jak chcesz... Wolisz

jechać czy zostać? Moim zdaniem ta perspektywa jest jeszcze ryzykowniejsza, niż pierwsza. Bo co poczniesz tutaj, gdy mnie zbraknie? Zastanów się dobrze i — wybieraj.

Milczała dłuższą chwilę, wreszcie cichym, znękanym głosem szepnęła:

— Zostanę!

Patrzyłem na nią ze współczuciem. Rozumiałem doskonale, dlaczego wybrała tak, a nie inaczej

By Jove! De la Rocha był znawcą nielada, skoro ujrzawszy ją po raz pierwszy w całym bla

sku urody, wyrażał się ironicznie o jej trwałości. Ja naprzykład nie byłbym się na tem poznał. I teraz ze zdumieniem patrzyłem na wielką zmianę, jaka w niej zaszła.

Była jeszcze bardzo piękną, ale postarzała przynajmniej o lat dziesięć. Z czego pierwsza młodość, byłaby wyszła zwycięsko to zwarzyło te dojrzałe powaby. Zwierciadło musiało jej to powiedzieć i to wpłynęło na jej postanowienie. Bo jeżeli przedtem trwożył ją powrót do Europy bez dostatecznych środków "na początek", jak się wyrażała, to cóż dopiero teraz!... A Fernando Poó, ta dzika, murzyńska wyspa, stanowiła bądź co bądź jakąś przystań dla jej skołatanej łódki,...

Została więc.

Umieściłem ją w domku, który jej podarował de la Rocha, dałem jej tę samą mami do obsługi i wogóle starałem się, aby w zakresie mojej możliwości nie zbywało jej na niczem.

Z początku czyniłem to wszystko z zamiarem utrzymania się względem niej na dawnym stanowisku, co mogło mi przyjść tem łatwiej, że jak wspomniałem państwu, Amanda nie była wcale moim typem.

Pokazało się jednak, że był to rachunek bez gospodarza; a gospodarzem w danym przypadku okazała się moja względna młodość — nie miałem czterdziestu lat — i to wiecznie kobiece, co nie może pozostać bez wpływu na mężczyznę, zwłaszcza w takich wyjątkowych warunkach w jakich ja się znajdowałam tam, gdzie Amanda była jedynym okazem europejskiej kobiecości.

Stało się więc, co się stać musiało, i stało się źle i niemądrze.

Natychmiast wszystko uległo przeobrażeniu. Przestałem być dla Amandy tym jedynym mężczyzną, który nigdy niczego od niej nie żądał. Z właściwą kobietom jej pokroju logiką ułożyła sobie, że nie ma mi już być za co zobowiązana, bo za wszystko co dla niej czynię płaci mi i to zawiązką; i z owej wdzięcznej, prawie potulnej Amandy zrobiła się kapryśną, wymagającą, despotyczną.

De la Rocha, czerpiąc pełnemi garściami z rządowej kasy, mógł zaspokajać, nawet na tej pierwotnej wyspie niektóre jej zachcianki i upodobania, urządzić dla niej baleta (tańce) i zabawy, na co ja nie miałem ani czasu, ani pieniędzy.

— Nudzę się, Munro — powtarzała mi coraz częściej, gdy znalazłszy wolną chwilę wieczorem zachodziłem do niej i zastawałem ją drzemącą w płóciennym fotelu lub wyszywającą na kanwie jakieś desenie z kolorowych paciorków.

Czasem też szła na maszynie, którą jej de la Rocha sprowadził na jej prośbę, jedynie może rozsądną, jaką kiedykolwiek wyraziła. — Nudzę się, do niewytrzymania.

— Więc wracaj do Europy, bo ja ci na to nic nie poradzę — odpowiadałem nieodmiennie.



I tu następowała scena.

Amanda z całą gwałtownością swego niepohamowanego temperamentu zasypywała mnie wymówkami, płakała, wołała, że się jej chce pozbyć, teraz, kiedy już wziąłem od niej wszystko co wziąć mogłem, że wszyscy mężczyźni są jednakowymi niegodziwcami i tak potrafiła mnie zmęczyć, że chwyciłem za kask i uciekałem do siebie coprędzej. Po pewnym czasie zaprzestała jakoś narzekać na nudy i niebawem przyczyna tej nowej fazy wyszła na jaw.

Hiszpanie z początku omijali domek Amandy zdaleka, w obawie, aby przez zemstę za de la Rochę nie wydrapała któremu z nich oczu; ale gdy doszła do nich wiadomość o awanturach jakie mi urządzała — a w Santa Isabel wszyscy wszystko o wszystkich musieli wiedzieć — temu i owemu uśmiechnęła się rola pocieszyciela. Ten i ów śmielszej natury zajrzał, a nadspodziewanie uprzejmie przyjęty, torował drogę innym. I poza memi plecami rozpoczęła się nowa serja "wieczorynków" a la de la Rocha z tańcami i pijatyką...

Oczywiście znaleźli się tacy, którzy mi o tem donieśli, a przedewszystkiem doniosła mi matka Teresity, rozwścieczonej na nowo na Amandę, bo komendant portu zaczął dawać niedwuznacznie do zrozumienia dawnej damie serca, że mu się sprzykrzyła..

Co do mnie, nie byłem zazdrosny o Amandę, bynajmniej; byłbym skwapliwie odstąpił mój skarb więcej dającemu, ale nie mogłem pozwolić, aby mnie wystawiała na śmieszność.

Więc też, jednego wieczora, kiedy się mnie najmniej mogła spodziewać, bo dnia tego przyszedł parowiec z Południa, a w taki parowcowy dzień bywałem poprostu zawalony robotą do późnej nocy, zostawiłem wszystko ku niewymownemu zdumieniu moich clariów i poszedłem do Amandy.

Już zdaleka doleciały mnie głucho uderzenia tamtamów i piskliwe dźwięki kubańskiego guilita (instrument muzyczny), a gdy otworzyłem drzwi, ujrzałem pośrodku pokoju dwie nawpół nagie matni, tańczące jeden z najwyuzdańszych tańców murzyńskich i wykrzykujące dziko: balale, Simome, balale! — gromadę Hiszpanów, porozwalanych dokoła stołu, napełnionego butelkami i Amandę siedzącą na kolanach pijanego komendanta portu.

Moje wejście sprawiło piorunujące wrażenie. Murzynki uciekły z piskiem w najciemniejszy kąt, w śmiertelnej obawie, że na nie przedewszystkiem spadnie mój gniew, Hiszpanie pozrywali się z miejsc, a Amanda zeskoczyła z kolan komendanta i patrzyła na mnie wystraszonemi oczyma.

Ale ja, choć wszystko kipiało we mnie z oburzenia, kłaniałem się dokoła uśmiechnięty ironicznie i napozór spokojny. — Proszę, nie przeszkadzajcie sobie państwo — rzekłem swobodnie. — Zaszedłem dowiedzieć się o zdrowie Senory Amandy, ale widząc, że się tak wspaniale bawi, odchodzę coprędzej, bo moja obecność jest tu doprawdy zbyteczna. Munro! — jęknęła Amanda — nie gniewaj się! Zaśmiałem się szczerze.

— Ja? gniewać się? Ależ bynajmniej! Jestem zachwycony. Życzę powodzenia, panie komendancie! A los pie, de V. Senora. Żegnam państwa.

Byłem szczerzy, mówiąc, że jestem zachwycony. Pomijając pewne podrażnienie męskiej próżności, po raz pierwszy od dłuższego czasu odetchnąłem swobodnie.

Ta kobieta tak mnie zmęczyła, że stała mi się istną kulą galernika u nogi. A rozkuć się sam nie śmiałem, ze względu na tę moralną odpowiedzialność, do jakiej wciąż nie przestałem się poczuwać. Teraz ona samą postępowaniem swoim uwolniła mnie ze wszelkich zobowiązań.

Nazajutrz przybiegła do mnie zrozpaczona, przyrzekająca poprawę, włóczyła mi się u nóg. Zimno, grzecznie, lecz stanowczo odesłałem ją do komendanta, Ale znowu ogarnął mnie lęk, bo wiedziałem, że Amanda nie da łatwo za wygraną i że jeżeli takie sceny powtarzać się będą, a komendant nie pokwapi się z przyjęciem na siebie cię

żarów roli opiekuna, to groziło mi ponowne zaprzęgnięcie się w jarzmo.

Na szczęście sam los rozciął ten węzeł gordyjski. W kilka dni potem otrzymałem list od mojej firmy, wzywający mnie, abym niezwłocznie opuścił Fernando Poó i udał się na rzekę Muni dla zorganizowania tam nowej filji. Nie potrzebuję dodawać, jak skwapliwie chwyciłem się tej sposobności i tym samym parowcem podążyłem na Południe.

Tak się skończył ów epizod, który w moim zrównoważonym życiu bussinessmana stanowił jedyny może odskok w krainę romantyzmu. Nie wróciłem już więcej na Fernando Poó i z biegiem czasu zapomniałem o nim prawie zupełnie, zwłaszcza, że zapomnieć chciałem i świadomie unikałem wszelkich wieści o losach Amandy.

Dopiero przyjazd państwa, pobyt ich pod moim dachem, za co tak niewymownie wdzięczny jestem kapitanowi Herbertowi, a nadewszystko widok białej damy na tych dzikich brzegach, przez wręcz przeciwne skojarzenie wyobrażeń, wskrzesił w mej pamięci dawno pogrzebane wspomnienia, któremi zbyt długo może pozwoliłem sobie zaprzętać uwagę państwa".

Część trzecia.

I.

Nadchodziły święta Wielkanocne, pierwsze, jakie miałam spędzić na afrykańskim brzegu. Przyjazne serca w kraju pomyślały o dobrowolnych wygnańcach i przysłały im staropolskie święcone, jeszcze w karnawale przygotowane, aby mogło zdążyć na czas.

Jakoż zdążyło. W sam Wielki Tydzień parowiec z Europy przywiózł ogromną skrzynię, w której znajdowało się wszystko, czem tradycja każe zastawiać stoły na dzień Zmartwychwstania. Nie brakło nawet jajekpisanek i baranka z cukru. Wprawdzie babki trochę spleśniały, kielbasy naszły trochę morską wodą; mazurki trochę się pokruszyły, a baranek trochę stopniał, ale nic to nie zmniejszyło rozrzewnionej radości, z jaką dary te przyjęte były i spożyte.

W Santa Isabel czyniono również przedświąteczne przygotowania; tym razem podwójne, gdyż uroczystość Wielkiej Nocy miała w Palmową Niedzielę poprzedzić inna: poświęcenie katolickiego kościoła, którego budowę rozpoczął z wielkim nakładem energii i zabiegów u ministerjum de ultramar (spraw zamorskich) w Madrycie, przeprowadził ówczesny gubernator Antonio Morena de Guerra y Croquer.

Gdyśmy przybyli w styczniu na wyspę, roboty były już znacznie posunięte; akrajscy cieśle obijali karbowanym cynkiem drewniane wiązania ścian, dachu i smukłej wieżyczki, zakończonej metalową kopułą, z której wysoko w górę strzelał pięknie rzeźbiony pozłocisty krzyż, i jak Notre Dame de la Garde w Marsylii, zdawał się błogosławić wchodzącym i wychodzącym z portu parowcom.

Zaraz w początkach mego pobytu, gubernator zaszczyił mnie zaproszeniem na matki\* chrzestną owego kościoła, którego ojcem chrzestnym miał być oczywiście on.

Należało pomyśleć o jakimś podarunku dla tak niezwyklego chrześniaka. Po długich namysłach i naradach, zdecydowałam się na haftowany obrus do wielkiego ołtarza i każdą wolną chwilę poświęcałam temu arcydziełu.

Wycieczka do Bonny przerwała mi pracę; ze zdwojoną więc gorliwością zabrałam się do niej po powrocie.

Zaniechałam nawet polowania na motyle, bo czas naglił.

Aż tu raptem zabrakło mi bawełny. Nie była to na szczęście katastrofa. Bawełnę tę kupowałam w Santa Isabel w faktorji Holta i wiedziałam, że ma jej spory zapas, Ale trzeba było niezwłocznie udać się do miasta co przy srogim upale w samo południe do przyjemności zaliczać się nie mogło.

Kiedy hamak mój stanął przed faktoryjnym domem, znajdujący się w shopie ajent, pan Fynn, wybiegł na moje spotkanie i z tem specjalnarn szastaniem się, do którego przyzwyczaili mnie już Brzegowi Europejczycy, a które w początkach śmieszyło mnie nadzwyczajnie, pomógł mi wysiąść, wołając jednocześnie na boyów, aby wynosili maderski fotel na werandę i podawali piwo, claret i wszelkie inne napoje.

— Czem możemy mieć szczęście służyć pani, Mrs. Rogant? — pytał skwapliwie, wpatrując się we mnie takim wzrokiem, jak gdybym przybyła zakupić conajmniej pół sklepu. — Wszystko jest do pani rozporządzenia.

Otrzymaliśmy ostatnim parowcem wspaniałe towary. Przystano nam nawet dwie sztuki jedwabnego fularu... Ostatni wyraz mody!... A także skrzynkę sztucznych kwiatów. Jak żywe. A perfumy! Na Oxford Street nie ma wykwinniejszych. Tomson! pokaż Mrs. Rogant nasze nowości.

— Ja potrzebuję tylko bawełny, panie Fynn — rzekłam potulnie.

— Bawełny I — wykrzyknął pan Fynn z tym samym entuzjazmem. — All right! Mamy wszelkie gatunki i wszelkie grubości: do cerowania, do haftu, do fastrygi, do szydełka; Jackson! przedstaw Mrs. Rogant bawełnę! Tomson pośpiesz się z nowościami.

Clark nazwany Tomsonem, a wyglądający tak, jak gdyby przez omyłkę postawiono go w sklepie, zamiast go włożyć do trumny, sypał właśnie w jakiś szczególnie niedbały sposób ryż do torebki, stojącej przed nim kobiecie. Usłyszawszy ponowny rozkaz szefa, cisnął torebkę, aż ziarenka ryżu potoczyły się po ladzie i pobiegł w głąb faktorji.

Kobieta plecami do wejścia zwrócona nie poruszyła się.

Ale ja, ujrawszy ją, drgnęłam mimowoli. To była ta sama smukła postać, ta sama kawowej barwy bluza, zręcznie się na niej drapująca, ta sama biała namitka, głęboko na twarz nasunięta, która już raz mignęła przede mną tak niespodzianie wśród przydrożnych aloesów.

Chciałam przypatrzeć jej się bliżej, ale już zadyszany i spocony Tomson wracał, dźwigając cały

stos towarów, a pan Fynn z gracją kupczyka z Bon Marche rozrzucał na ladzie szeleszczące jak papier zwoje sztywnych fularów. Barwa dojrzałego pomidora ukłuła mnie w jedno oko, a barwa młodej rzodkiewki w drugie. — Racz pani spojrzeć, Mrs. Rogant — mówił pan Fynn. — W Paryżu tylko te kolory są noszone. Ostatni wyraz mody! Wyznaje., że czyniąc to zamówienie w naszej firmie, miałem na myśli panią. To jest właśnie coś dla białej damy! W tej chwili weszły do sklepu dwie Potonegerki i stanęły olśnione. To było właśnie dla nich i pan Fynn czuł to doskonale, bo ze zdwojonym zapałem zachwalał mi coraz nowe cuda. Tymczasem Tomson zmiotł rozsypany ryż z lady w torebkę, dołożył jeszcze trochę i podał swojej klientce. Ona schowała go do koszyczka, w którym było już kilka innych paczek, ale nie odchodziła. Przegięła się tylko trochę bokiem i mogłam teraz dostrzec jej przedziwnie regularny, delikatny profil, oszpecony głęboką bruzdą koło nosa i szczególną jakąś niemal pomarańczową karnacją skóry, miejscami kredowo białej, suchej i pomarszczonej, jak również śliczny wykrój drobnych ust, zlewających się barwą z resztą twarzy. Na trywialnym tle afrykańskiego kramu, ta zjawa czegoś, co musiało być kiedyś wyjątkowym pięknem, wyjątkowo czarującym, a było już tylko bolesną ruiną, sprawiała niemal fantastyczne wrażenie. Z pod wąskich łuków hebanowych brwi, błękitne przepastne oczy tonęły w rozrzuconej przede mną pstrocznie smutnej parodji wykwintu i zbytku, poządliwie i zachłannie. Ręce maleńkie, chude, również pomarańczowo pocentkowane drżały, wysuwając cienkie, haczyko

wato zaginające się palce, bezwiednie zagarniającym, łapczywym ruchem. Zwiędłe piersi podnosiły się i opadały coraz prędzej pod perkalową bluzą. Zdawać się mogło, że jeszcze chwila, a ta kobieta rzuci się na ciągnące ją magnetycznie fatalaszki i świecidła, porwie co się da i ucieknie. Pan Fynn zauważył to.

— Czego tu jeszcze sterczysz? — rzekł szorstko. — Dostałaś chyba wszystko, co miałaś dostać. Clear out. (Wynoś się).

Poczem zwracając się do mnie:

— Pani wybaczy, Mrs. Rogant — wymówił z największą galanterją, na jaką się mógł zdobyć. — Jestem już całkowicie na usługi pani. Więc, jakże ten wspaniały fular? Pozwoli pani, że będę miał zaszczyt własnoręcznie jej odmierzyć?...

Który pani raczyła wybrać? A może oba?

Steroryzowana zupełnie wersalską natarczywością pana Fynna, poprosiłam cichym głosem o pomidorowy, pomyślawszy, że przyda mi się na cloth'y (chusty opasujące biodra) dla domowych boyów i nieśmiało napomknęłam o bawelnie.

— Jackson! — wykrzyknął pan Fynn, zwycięsko wywijając yardem. — O czym ty myślisz? Bawełna dla Mrs. Rogant ! Tymczasem kobieta odstała od lady i spojrzenia nasze spotkały się. I znowu z tych ogromnych, gorejących jak żuźle źrenic, buchnął ku mnie taki płomień nienawiści i urągliwości, że oblał mnie jak ukropem. Jednocześnie uczułam dotkliwy ból w boku. To ona kierując się ku wyjściu, uderzyła mnie niby niechcący trzymanym na rękę ciężkim koszykiem tak silnie, że zachwiałam się.

— Cóż ty, stara wiedźmo, upiłaś się! — wrzasnął pan Fynn i tak zamachnął yardem, jak gdyby

zamiast fularu chciał przemierzyć jej plecy, Ale ona już była za drzwiami.

— Kto to? — zapytałam mimowoli, wiedząc naprzód jaką usłyszę odpowiedź.

— Ach, to ta plaga wyspy, Amanda del Cruzero — rzekł pan Fynn pogardliwie.

— Dlaczego plaga wyspy? — badałam dalej, w nadziei, że dowiem się czegoś o tych losach Amandy, o których pan Munro już mi nic powiedzieć nie mógł. — Cóż ona takiego robi?

— Właśnie, że nic nie robi — odparł z goryczą pan Fynn — a my Europejczycy musimy się na nią składać, ażeby z głodu nie umarła; bo jakkolwiek bądź — biała kobieta! A że Hiszpanie to skąpy naród, więc główny ciężar utrzymania tej starej czarownicy spada na nasze faktorje. Wprawdzie obecny gubernator wyznaczył jej małą pensyjkę i Kubańczycy, choć sami biedni, jak szczury kościelne dopomagają jak mogą, ale co to znaczy! Ot i teraz z całym, wyładowanym koszem odeszła. Gdy to zje, pójdzie do Amba Bay Company, potem do MullowBrothers i jak wszystkich obejdzie, znów tutaj wróci. I czy nie mam racji mówić, że to plaga?

— Więc ta nieszczęśliwa żyje z jałmużny! — zawołałam. — Jakiż to los!

— Każdy przeważnie ma taki los na jaki zasługuje — rzekł pan Fynn sentencjonalnie, a mojem zdaniem ta stara jędza jeszcze na gorszy sobie zasłużyła.

— Dlaczego?

Pan Fynn utkwiał oczy w odmierzony fular, z którego starał się zrobić jaknajmniejszy pakunek.

— Daruje pani, Mrs. Rogant — rzekł z pewnem zakłopotaniem — ale, doprawdy, nie przystoi, abym z tak szanowną damą rozmawiał dłużej o tak plugawej istocie, jak Amanda del Cruzero.

## II.

Wielkanoc owego roku wypadła bardzo późno, w końcu kwietnia. Na stałym lądzie pora deszczowa płakała już w najlepsze, ale Fernando Poó posiadające klimat wyspiarski, znajdowało się w jednym z dwumiesięcznych okresów burz, zwanych Tornadami, dzielących porę suchą od deszczowej i znów po upływie czterech miesięcy deszczową od suchej.

Okresy te były jednocześnie najpiękniejszą i najzdrowszą porą roku. Szalały wprawdzie nawałnice, ale ich przemijająca gwałtowność łatwiejsza była do zniesienia, niż rozpaczliwa monotonia deszczu, flegmatycznie pluszczącego całymi tygodniami od rana do nocy i od nocy do rana.

A przytem Tornado to widowisko wspaniałe.

Z tylnej werandy domu, zwróconej ku góróm, przypatrywałam się nieraz jak nadciągał groźny i tajemniczy. Dokoła mnie, w pobliżu jeden listek nie drgnął jeszcze, nie zachwiała się jedna trawka; cisza była tak przejmująca, jak gdyby natura wstrzymała oddech w oczekiwaniu czegoś nadzwyczajnego, niebo jaśniało pogodą.

Ale już z poza Santa Isabel wysuwała się olbrzymia, ruda chmura, niby potworna dłoń o rozczapierzonych palcach i pędziła z błyskawiczną szybkością, chłonąc w siebie światło i błękit. A pod nią, na skłonach lesistych, bush trząsł się, jakgdyby wnet miał runąć w dolinę i wszystko sobą przytłoczyć. Ze skłębionej w konwulsyjnych drgawkach

roślinności, niby zielone race, wylatywały wyrwane z korzeniami co słabsze drzewa, kłoniły się jak łan zboża potężne wierzchołki baobabów, chlebotawców i palm kokosowych. Już głucho przewala się i warczy daleki grzmot;

już tam trzeszczy i ugina się ziemia jak pod stąpieniem niewidzialnego wielkoluda, a na pierwszym planie jeszcze zupełna martwota i cisza. I to jest mement najdziwniejszy tej tytanicznej ekspansji przyrodzenia zwanej Tornadem. Ale to trwa krótko. Oto złowrogi chrzest przelatuje po czubach pobliskich palm kokosowych i ceib; towarzyszy mu ostry poświereg zaniepokojonego ptactwa; zwija się w trąbkę z sykiem gadziny szeroki liść banana. Najwyższy czas, ażeby się schronić pod dach, kto może.

Więc i ja wbiegałam acz niechętnie do wnętrza domu, gdzie już pokojowi chłopcy latali jak oparzeni, zamykając wszystkie drzwi i okna.

Raptem czyniło się ciemno jak w nocy. Nadlatywał MocarzWicher. I jakby horda najdzikszych zwierząt obskoczyła ściany prąc się wściekle do środka, takie wstrząsały niemi wycia, ryki, charkoty, taki tupot jakichś łap potężnych, takie kłapanie rozjuszonych paszcz, takie darcie drewnianych desek furją krwiożerczych pazurów.

Tę piekielną wrzawę usiłował zagłuszyć jeszcze piekielniejszy łomot ulewy po cynkowym dachu. Strugi wody biły w niego jak cepami; wulkaniczne podrywania Tarnada odszarpywały go od wiązań i zdawało się chwilami, że ten nieszczęsny dach albo zapadnie się do wnętrza, podziurawiony jak sito, albo uleci w powietrze podarty na strzępy. Bywał, to los wielu dachów na wyspie, ale nasz z doskonałej blachy zbity, zwycięsko z tych zapasów wychodził. Dopóki jednak orkan raczył z nim igrać, możliwość katastrofy wisiała nad naszymi głowami. Trwało to kilkanaście minut, czasem dłużej lub krócej, aż znudzony swawolnik porzucił go

dną siebie zabawkę, i zostawiając tylne straże, mało co mu w impecie ustępujące, pędził jak rozhukany buhaj ku miastu obalać tam wątłe chaty ubogiej ludności, trząść faktoryjnemi domami, gruchotać drzewa, roznosić parkany, aby wreszcie z wysokiego, portowego wału runąć w zatokę i tam rozpocząć dziki taniec bałwanów.

Zdarzało się też, na szczęście bardzo rzadko, bo to było najstraszniejsze, że jak dwie żywiołowe potencje do walki, szły na siebie dwa Tornada jednocześnie: jeden morski od strony Kamerunu, drugi lądowy od Fernandoposkich gór.

Tamten piał się, wzwyż, bijąc w bazaltowe ściany wału; drugi staczał się po nich pędem i padały sobie w rozwarte do śmiertelnego uścisku ramiona.

Wtedy na morzu tworzyły się potworne leje, sięgające niemal niskich, nabrzmiątych ulewą obłoków i świat stawał się jedną kotłownią spienionej, szarej wody, która jak drugi potop zdawała się chcieć zalać i pochłonać drgającą konwulsyjnie wyspę.

Biada wówczas każdemu statkowi, coby się znalazł nietylko na pełnym morzu, ale nawet w porcie. Ginał niechybnie, roztrzaskany o skały Punty Fernandy.

Późnym wieczorem, w sobotę, poprzedzającą Palmową Niedzielę nastąpiło podobne starcie olbrzymów. Na naszej otulonej bush'em Santa Marji nie dało się to zbyt odczuć; ale gdy przycichła nieco piekielna muzyka koło domu, oznajmił nam to ryk bałwanów nigdy tu podczas zwykłej burzy nie dochodzący i wstrząsy rozdygotanej ziemi.

Co się tam dzieje, co się tam dzieje na morzu i na brzegu — szeptały przerażone wargi.

I pierwszą naszą myślą był kościół. Ten kościół jeszcze pusty, który nazajutrz miał przyjąć do swego wnętrza Przenajświętszego Mieszkańca. Czy przetrzyma? Czy doczeka?

A choćby nawet przetrzymał, z tą swoją wysmukłą wieżyczką piastującą pozłocistą kopułką z krzyżem, czy wogóle uroczystość będzie się mogła odbyć na tem rumowisku, jakim zapewne stało się miasto i wśród takiego rozpętania się żywiołów, któremu zdawało się, że końca nie będzie?

Tymczasem, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zaraz po północy uspokoiło się wszystko; a rano słońce weszło w takiej niesłychanej glorii blasków, że cały przestwór wyglądał jak jedna róża mistyczna, złocista i błękitna z rozpuszczoną w niej kroplą karminu.

Gdy około ósmej hamaki naszą przekopując się przez zwały gałęzi i pni w mangusowej alei dotarły do miasta, pierwszy rzut oka nie mógł odkryć dokonanych w nocy spustoszeń.

Rządowi i prywatni krumani pracując od świtu, uprzętnęli pozrywane z dachów poszycia, powywracane szczątki kalaborowych () ścian; natomiast to wszystko, co się oparło pogromowi wyglądało, jakgdyby wyszło z jakiejś odmładzającej kąpieli, takie było świeże i błyszczące.

W ogródkach ogołocone z wczorajszego kwiecica drzewa i krzewy śmiały się już wdziękiem świeżo rozpękniętych pączków; zwichrzone trawy odzyskały zwykłą sprężystość, trzciny strzępiły, prostując się, delikatne pióra, królewskiej palmy, wy

ginały ku ziemi spokojne łuki swych olbrzymich liści, jakdyby nigdy nie istniał taki zuchwalec, któryby się odważył targać ich smukłym majestatem. Ale spojrzenia nasze biegły przedewszystkiem w górę ku temu. znakowi odkupienia, który tak śmiało dźwignęła pod obłoki ręka ludzka, nie licząc się może z tem, że inna jeszcze śmielsza ręka ekwatorjalnej potęgi mogła go stamtąd strącić i znieważać.

Nie. Bogu dzięki, był i błyszczał w onej przedziwnej różowości powietrza już nie jak ze złota, ale z drogocennych kamieni uczyniony. Przyroda sprawiła mu swój chrzest i wyszedł z niego triumfujący i nietknięty. Nietkniętą pozostała piastująca go wieżyczka i śnieżno białe ściany świątyni o wąskich, gotyckich oknach z kolorowemi oknami.

Wspaniałe hibiskusy obwieszane wielkimi jak pąsowe kule bukietami i koronkowo delikatne frandżipanyi kwitły w świeżo założonym ogródku, okalającym nawę. U wejściowych również gotyckich drzwi stały na straży śliczne, młodziutkie kokosy wykopane z korzeniami z bushu i tu ku chwale Najwyższego przeniesione.

A nad tą całością tak niepokalanie czystą, tak w swej naiwnej prostocie wdzięczną i tak cudną pod tem afrykańskiem niebem, unosiły się, jak z niewidzialnych trybularzy aż duszące wonie róż, pomarańcz, cytryn, w jakich po tornadowej nocy pławiała się wyspa.

Ze wszystkich stron ściągała na plac katolicka ludność Santa Isabeli; odświętnie przybrana i z dumą przyglądająca się swemu kościołowi, jak gdyby ten przybytek Pański podnosił miasto i jego obywateli do nieznaney im przedtem godności.

Stawili się w komplecie pobożni Kubańczycy, ubogo lecz ochędożnie odziani, z twarzami tak rzetelnie wyszorowanymi mydłem, że świeciły jak polakierowane; potonegerscy dżentelmanowie aż ćmili oczy tęczą swych marynarek i krawatów, zaś wśród ich opasłych małżonek, w jaskrawych zawojach na głowie mignęła mi smukła postać i biała namitka Amandy del Cruzera.

Nadszedł też wkrótce gubernator w otoczeniu oficerów marynarki i urzędników cywilnych. Oficerowie byli w galowych mundurach, białych spodniach i stosowanych kapeluszach. Na piersiach Don Antonia Moreno de Guerra y Croquer czerwienił się świetny krzyż orderu Calatravy.

Ja również wystąpiłam po galowemu, w czarnej, jedwabnej sukni, oczekującej cierpliwie na dnie kufru powrotu do Europy w niebacznym zapoznaniu praw zmiennej mody, co, jak się w swoim czasie miałem ze smutkiem przekonać uczyniło z niej bardzo szanownego dziwoląga; a nieuchronny korkowy kask owinęłam białym, gazowym woalem, którego długie końce spadały mi na pięknie wydętą, obowiązującą wtedy turniurę.

Tak ustrojonej gubernator podał dworsko ramię; notable miejsca ugrupowali się dokoła nas w pierwszym szeregu; czarny policjant Malanga, nieodstępny cień gubernatora, uwijający się z potężną lagą, oznaką swego urzędu odpędził kogoś, co się chciał wcisnąć pomiędzy uprzywilejowanych — przecucie powiedziało mi, że to była Amanda — sprowadzony umyślnie z Wiktorji (główne miasto Kamerunu) fotograf dokonał kilku zdjęć i cofnął się szybko ze swoim aparatem, bo już w drzwiach domu, w którym dotychczas odbywały się nabożeństwa, a który z wyglądu nie różnił się niczem od obszernej stodoły, pojawił się ubo

zuchny baldachim, a raczej kawałek pąsowego perkalu, krzywo upięty na bambusowych drążkach. Niosło go czterech misjonarzy hiszpańskich w ciężkich, brunatnych habitach, mając pośrodku przełożonego w ornacie z pozłocistą monstrancją w obu rękach.

Błade oko Przenajświętszej Hostji otoczone glorią roziskrzonych w ekwatorjalnym słońcu metalowych promieni, spojrzało z jednakową, świat cały ogarniającą miłością na tę gromadę ludzi tak różnolity, tak obcą sobie rasą, pochodzeniem, wychowaniem, jednym tylko ogniwem wspólnej wiary złączoną. Odkryły się wszystkie głowy; ugięły wszystkie kolana: potonegerskie, kubańskie, akrajskie, hiszpańskie, portugalskie, irlandzkie i... polskie.

Zakonnik podniósł wysoko nad tym kornym tłumem cudowny symbol Największej Tajemnicy; rozkołysał się poraz pierwszy dzwon nowego kościoła; po raz pierwszy te spiżowe dźwięki odbiły się nieznanym echem o zielone głębie dzikich Fernandoposkich gór i ukryte w nich chaty fetyszerskich Bubisów, niosąc im pierwsze pozdrowienie Prawdy; zagrzmiały armatnie wystrzały z pontonu, witając dwukrotną, monarszą salwą Króla nad Króle i popłynęła uroczysta pieśń:

Tantum ergo Sacramentum  
Veneremur cernui...

Szybko sformował się pochód. Ja z gubernatorem jako rodzice chrzestni tuż za baldachimem, przed którym murzyn zakryty w białej komeżce niósł krzyż i potonegerskie dziewczątka w białych sukienkach i wianuszkach z pomarańczowych pączków na kędzierzawych główkach czarnymi rączkami sypały kwiaty.



Procesja!... Jak u nas... jak u nas, gdzieś na wsi pod gołym niebem tak samo czystem i błękitnym  
"Genitorix, Genitoque"

śpiewał potężnym basem celebруюcy...

Te same słowa; ta sama nuta tylekroć słyszana wśród swoich... Przypomnił mi się jeden proboszcz w płockiem, który miał zupełnie taki sam bas...

Wzruszenie zasznurowało mi gardło; przymknęłam na chwilę oczy, aby lepiej dać się ovladnąć złudzeniu. Pierś podniosła się westchnieniem. Nozdrza wciągnęły znajomą woń kadzidła. Gdyby tak jeszcze zapachniały lipy... Ale to pomarańcze pachną, nie lipy.

Tu uczułam, że ramię mojego dostojnego towarzysza drży lekko pod sukniem jego świetnego munduru Kapitana Fregaty, i w nim pieśń musiała wywołać echa z jego ojczystej Andaluzji... Za mną chlipał cicho głos kobiecy... Wiedziałam czyj.

I oto jeszcze jeden rys wspólny: W tych różnoplemiennych duszach budziła się jednaka moc wspomnień: w tych sercach wzbierała jednaka, nostalgiczna tęsknota...

Tylko Potoneger, ta dziwaczna roślina ludzka, pozbawiona korzeni tradycji, niczego nie wspominał, za niczem nie miał tęsknić. Był całkowicie chwilą bieżącą.

A za mną kobiece chlipanie stawało się coraz głośniejszem... Mimowoli odwróciłam głowę. Tuż nad moim ramieniem sterczały tego wykrochmalone różki białej, muslinowej namitki. Linje wychylającego się z niej delikatnego profilu drgały dziwnie idealizującym go rozrzewnieniem, a po zwiędłym, ciemnoceglastymi plamami oszpeconym policzku toczyła się zwolna wielka łza.

I dla tej wykołejonej, sponiewieranej istoty znajdował się zapewne na świecie taki zakątek ziemi, gdzie było niegdyś Szczęśliwym, niewinnym dziewczęciem i może tak samo sypało kwiatki przed Najświętszym Sakramentem, słuchając tej pieśni. A dziś!...

Ogromna litość napęliła mi przeczulone w tej chwili serce. Byłabym chciała przygarnąć do siebie tę biedną "kolorową ćmę", jak ją nazwał pan Munro, szepnąć jej jakieś ciepłe, siostrzane słowo.

Nagle silniejszy powiew od morza porwał długi koniec mego woalu i zarzucił go na wychylającą się z poza mego ramienia twarz.

Łkanie umilkło. Z gadzinowem syknieniem podniosła się chuda ręka i brutalnie odrzuciła pajęczą tkaninę.

Procesja wstępowała właśnie w progi kościoła, U dosyć ciasnego wnijscia zrobił się ścisk. Niefortunny woal musiał się znów o coś zaczepić, bo targnięto nim kilkakrotnie tak silnie, że kask omal nie zsunął mi się z głowy.

Mimowoli uczyniłam ruch, aby go przytrzymać i w tej samej chwili warknął dyskretnie za memi plecami głos policjanta Malangi: "Ay, picara!" Ach, łajdaczko!) tłum się zakołysał; nastąpiło jakieś krótkie szamotanie się; ale nie odwróciłam już głowy. Uwagę moją pochłonęło wnętrze kościoła.

Jak przystało na świątynię wyspy, będącej jednym ogrodem, nurzał się całkowicie w zieleni. Z mleczno białych, zupełnie jeszcze nagich ścian, kapwały przetykane purpurą festony hibiskusów. Do cienkich, drewnianych filarów, podtrzymujących cynkowe sklepienie nawy, poprzytwardzano przepyszne liście rafii Vinifery (palmy winodajnej), że tworzyły żywe arkady; z pomiędzy wspaniałych bu

kietów róż i złocistemi gronami obsypanych sensityw zdobiących wielki ołtarz (z dziecinną dumą spostrzegłam rozpostarty na nim mój obrus) wysuwały się płomienne języki grubych, woskowych świec, tkwiących w prostych, drewnianych lichtarzach. Jedyne bogactwo stanowiła ta roślinna dekoracja. Poza ten ubożuchno tu było; ale dziwnie świeżo i czysto.

U stopni ołtarza leżały dwie poduszki pąsowe, przeznaczone dla mnie i dla gubernatora. Ukłękliśmy; celebrujący podał nam monstrancję do pocałowania; poczem pobłogosławiwszy nią obecnych, umieścił z namaszczeniem na szczycie drewnianego, niewiele od zwykłej skrzyneczki różniącego się tabernaculum, wśród nieustającego bicia dzwonu, huku pontonowej armaty i jazgotu mszalnych dzwonek, jakimi machali zapamiętale mali Potonegerkowie w białych komeżkach i ponsowych pelerynkach.

Następnie ojciec przełożony w otoczeniu wszystkich misjonarzy i nas obojga obszedł cały kościół, kropiąc święconą wodą ściany i odmawiając modlitwy. Kiedyśmy tak postępowali zwolna i uroczyście, zauważyłam, że niektóre murzynki trącają się łokciami i coś szepcą, pokazując na mnie, jakby rozbawionym, czy zdziwionym wzrokiem, ale przypisywałam to rozweselające wrażenie mojej turniurze.

Po skończonym poświęceniu kościoła wróciliśmy przed ołtarz i rozpoczęła się suma. Na maleńkim chóрку śpiewały dość zgodnie dzieci z misyjnej szkoły. Najmłodszy z misjonarzy bardzo muzykalny czuwał nad sprawnością swoich uczniów i sam prześlicznym barytonem odśpiewał.. "Veni Creator".

Inny, najstarszy wiekiem, o chudej twarzy fa

natyka miał podczas sumy płomienne kazanie po hiszpańsku, z którego ci, dla których głównie było przeznaczone, nic nie zrozumieli, poczem nastąpiło ostatecznie błogosławieństwo i uroczystość skończyła się.

Przeszliśmy jeszcze do zakrystji położyć nasze podpisy na przygotowanym już akcie chrztu. Kościół otrzymał za patronów świętej Helenę i świętego Antoniego od imion chrzestnych rodziców.

Zamierzaliśmy wracać co rychlej na Santa Maria, ogromnie już znużeni, ale gubernator ani chciał o tem słyszeć. Jakto!

Nie miałyby zjeść śniadania ze swoją ilustre comadre (znakomitą kumą). To byłaby zbyt wielka krzywda dla niego!

Wszyscy Biali byli zaproszeni. Podał mi znów ramię i poszliśmy do rządowego domu.

Nieładna, ale dobra i rozumna twarz Królowej Regentki spojrziała na mnie ze złoconych ram portretu naturalnej wielkości, wiszącego w sali przyjęć.

Opowiadanie pana Munro stanęło mi żywo w pamięci. Więc to tu piękny, jak młody bóg, de la Rocha rozpajał szampanem swoich gości; tu "biedna, kolorowa ćma" Amanda tańczyła sola hiszpańskie. Jakże to inaczej wszystko musiało wtedy wyglądać, jak bardzo ten portret cnotliwej Marji Krystyny musiał się tu czuć nie na miejscu.

Teraz wszystko było w porządku; z każdego kąta wiała sztywność i nuda. Moja czarna jedwabna z silnie wygorsetowanym stanikiem suknia, harmonizowała się wybornie z tą dworską atmosferą; ale było mi w niej straszliwie gorąco. Pośpieszyłam więc zdjąć to jedno, co zdjąć mogłam, to jest kask i — zdumiałam.

Oba końce gazowego woalu były poszarpane w strzępy. Nic dziwnego, że Potonegerki pokazywały mnie sobie oczami. Musiałam arcyśmiesznie

wyglądać, parując pod rękę z gubernatorem w tych łachmanach. Zrozumiałym też stał mi się okrzyk policjanta Malangi Ay! picara! i szamotanie się przy drzwiach za memi plecami. Zapewne przyłapał sprawczynię tego zniszczenia na gorącym uczynku.

Oczywiście była nią Amanda.

Ale dlaczego? Cemu mnie tak nienawidziła? Wszak nie uczyniłam jej nigdy nic złego.

Nie przyszło mi na myśl, że często nienawidzą nas ci właśnie, względem których jesteśmy bez winy.

Nie miałam zresztą czasu zastanawiać się nad tem, bo już mnie szukał gubernator.

— Gdzież jest moja znakomita kuma? — wołał. — Senora, proszę do stołu.

Chciałam rzucić gdzieś kask niepostrzeżenie, ale było zapóźno. Nawet tak nie obeznane z subtelnościami kobiecego stroju oko, jak wysokiego oficera marynarki, poznało się na opłakanym stanie mojego woalu. Tego rodzaju frendzle nie mogły w żaden sposób służyć ku ozdobie.

— Por Dios! senora! Co się to stało? Jakim sposobem?

— Ach! drobnostka! — odrzekłam niedbale. — Musiałam gdzieś o coś zawadzić. To moja wina. Nie należy ubierać się w pajęczyny tam gdzie jest tłok.

— Tam gdzie jest przedstawiciel KrólowejRegentki i jego znakomita kuma nie może być tłoku — wymówił z powagą gubernator, bardzo drażliwy na punkcie etykiety. — Od czegoż był Malanga? Muszę go wyłajać. To mi nie wygląda naprzypadkowe rozdarcie... Mam nawet pewne podejrzenie... Nie przypomina sobie distinguida Ma

drina (szanowna Matka Chrzestna) w jakich okolicznościach...

— Panie gubernatorze — przerwałam śmiejąc się — przypominam sobie, tylko to, że od siódmej zrana nie miałam nic w ustach i że jestem głodna. Jeżeli więc pan pozwoli pójdziemy zasiaść do śniadania, na które nas pan tak uprzejmie zaprosił.

### III.

Na plantacji zastaliśmy oczekujących naszego powrotu z miasta trzech Kubańczyków: najstarszego wiekiem Fabia Cintre, najbogatszego Sebastiana Caresmę i najbardziej z nami zżytego, naszego tytuniowego capataza (zarządcę), Manuela Castilla; jednym słowem same superlatywy...

Oczywiście zjawilo się wnet na stole nieuchronne piwo i zasiedliśmy na werandzie w towarzystwie naszych czarnych przyjaciół.

— Viva Cula! — trąciliśmy się z nimi szklankami.

— Viva Polonia! — odpowiedzieli chórem.

I poszła rozmowa o wczorajszym Tornado o dzisiejszej urczystości, którą byli przejęci do głębi, i o bliskich już zbiorach kakao i tytoniu.

Amigos! — rzekł wreszcie mój mąż — widzę, że macie do nas jakiś pała cer (interes). O co chodzi? Kubańczycy popatrzyli na siebie z pewnym zakłopotaniem.  
— Mów, Cintra; tyś najbliższy grobu; może już przyszłej Wielkiej Nocy nie doczekasz — zachęcał Caresma — tobie państwo nie odmówią.  
— Ależ nie odmówimy żadnemu, choćby tylko co z kolebki wyszedł — zawołałam, śmiejąc się serdecznie. — Przyjaciel Castillo powinien wiedzieć że

jestemy zawsze gotowi uczynić dla was wszystko, co jest w naszej mocy.

— Właśnie im to mówiłem — zapewnił z powagą Castillo.

Ale mimo tego zapewnienia wszyscy milczeli.

Ci ludzie od tylu lat nawykli do poniewierki i ucisku byli bardzo nieśmiali i bardzo dumni.

Sama myśl, że prośba ich, którzy tak rzadko o coś prosili na tej wyspie wygnania, może się spotkać z odmową, napełniała ich przerażeniem. !

Zdecydował się wreszcie Castillo jako najbardziej z nami spoufalcony.

Ilustre Senor e ilustre Senora — zaczął powstawszy — przyszliśmy tu w imieniu nas wszystkich biednych wygnańców, ośmieleni Waszą dobrocią. Rzecz jest taka. Odwiecznym, przyjętym na naszej świętej Kubie zwyczajem i my na tej ziemi niewoli urządzamy w każde święta Zmartwychwstania w naszej ubogiej gospodzie walkę kogutów.

— Walkę kogutów! — powtórzyłam mimowoli i dreszcz mnie przeszedł, bo czułam do czego zmierza.

— Tak, Senora; walkę kogutów do usług Senory. Pan gubernator, którego lata niech Bóg napełni wszelką pomyślnością, bo to jest ludzki i uczciwy człowiek, nie tak jak inni jego poprzednicy, a szczególnie przekłetej pamięci de Ia Rocha — pan gubernator minionej Wielkanocy zaszczycił nas swoją obecnością, a i w tym roku przyobiecał...

Przyszliśmy więc prosić, by i najłaskawsi państwo raczyli także nawiedzić naszą sadybę... Tu obecni Caresima i Cintra wytresowali kilka wspaniałych ptaków. A i inni... Będzie na co patrzeć!

Wypowiedziawszy tę długą przemowę, której ostatnie słowa zebrzmiały triumfująco, Castillo

otarł spocone czoło rękawem i wychylił szklanką piwa, którą mu podsunęłam.

Tamci dwaj wstali także i jęli powtarzać:

— Prosimy pokornie! Prosimy pokornie!

Mój mąż już ścisnął się z niemi za ręce, przyrzekając naszą obecność. Spojrzałam na niego wystraszona.

Ależ przyjaciele! — zawołałam naiwnie. — Te ptaki będą się dziobać!

Pomimo całego poszanowania, jakie mi zawsze okazywali, Kubańczycy buchnęli śmiechem.

— Z pewnością, Senora, że się nie będą głaskać. Już ja za to ręczę — wykrztusił Castillo, dusząc się od śmiechu.

— I zadziobią się!

— Nie może być inaczej. Po to tam i będą.

— I wy chcecie, żebym na to patrzyła? To niemożliwe! Czytałam opisy takich walk... To okrucieństwo, gorsze jeszcze od walki byków.

Jesus () — que no! — wykrzyknął ze zgrozą milczący dotychczas Cintra. — Jak można porównywać Senora! Walki byków to barbarzyński wymysł podłych Hiszpanów. Setki ludzi znęcają się nad jednym, biednym zwierzęciem.

— Które ich bierze na rogi i rozdziera — wtrąciłam.

— A cóż ma począć? — podjął Caresma. Dwóch rozedrze, a dwudziestu go pokłuje temi haniebnymi banderillami, jak prosiaka w rzeźni, Albo ten tam piękny lalusz matador! Byk ledwo się już slania na nogach, a on do niego ze szpadą ! I wie łądjak gdzie uderzyć, gdzie zadać swoje

descabello! () Na pewniaka. Tfu! to świństwo, z przeproszeniem Senory. Kuba by się nigdy czemś podobnym nie splamiła, A to jest pojedynek... Pojedynek szlachetny. Równe szanse. Ptaki same to czują i są dumne. Senora sama zobaczy, co to za harde i wspaniałe stworzenia. Rozkosz prawdziwa na nie patrzeć.

— Tem większy żal, ażeby miały ginąć w tak okrutny sposób — zauważyłam nieprzekonana.

— Jesus! que no! — powtórzył z kolei Castillo. — Niechby Senora spytała którego z nich, czyby wołał, ażeby go kucharka zarznęła na pieczone — dodał zupełnie na serjo, jak gdyby taka indagacja była możliwą. — Niechby tylko Senora spytała.

— Spytać nie mogę — rzekłam rozśmieszona. — Ale myślę, że każdy wołałby dożyć w spokoju jaknajpóźniejszej starości i skończyć naturalną śmiercią.

— Jesus! que no! — zawołali wszyscy trzej chórem — a Cintra dorzucił:

— Co takiemu po starości? Młodsze by go i tak zadziobały, skoroby się już bronić nie mógł... Starość jest podłą rzeczą czy to dla człowieka, czy zwierzęcia. Lepiej zginać na polu chwały, czy to człowiekowi, czy zwierzęciu.

— Niech i tak będzie — odparłam. Musicie jednak mieć mnie za wy tłumaczoną. Don Esteban chętnie skorzysta z waszego zaproszenia i opowie mi później jak się to wszystko odbyło... Ale ja zostanę w domu i...

Castillo nie dał mi dokończyć, rymnąwszy przedemną na kolana, z rozkrzyżowanymi rękoma.

Wieloletnia niedola nie wyłajowała z gorących porywów duszy tego prostego murzyna. Potrafił jeszcze pragnąć namiętnie, z tą różnicą, że dziś pragnienia jego, obracały się w ciasnej sferze drobnostek, ale były równie silne jak wówczas, kiedy pożywał niepodległości Kuby i walczył o nią, gotów każdej chwili oddać ostatnią kroplę krwi za świętą sprawę wyzwolenia.

— Por Dios! Senora! — wołał błagalnie — nie czyńcie nam tej krzywdy. Myśmy się od tylu tygodni na to cieszyli; ciągle o tem gadali. Niech Cintra i Caresma powiedzą... Jak oni koło tych swoich kogutów chodzili, żeby były godne oczu Senory. Co to dla nas takie święto: biała Senora w naszej gospodzie, na naszej Walce!... Tegośmy jeszcze na tej przeklętej wyspie nie widzieli... To nam tak miało naszą świętą Kubę przypomnieć... Skąd my biedni, ciemni murzyni mogliśmy wiedzieć, że senorze to będzie nie w smak? U nas na Kubie wszystkie damy kochają walki kogutów. Tak, Senora. Wszystkie; najbardziej edukowane i najdostojniejsze... Och! Senora! Senora! nie odmawiajcie nam tej wielkiej łaski!

Mówił to wszystko nawpół z łkaniem, ciężko dysząc; z zaszklonymi oczyma.

Zrozumiałam, że to nostalgia płacze w tych napozór dziecinnych naleganiach, że nie chodzi o moją osobę, lecz o tę "białą senorę", która im miała Kubę przypomnieć!... Czyżbym mogła pozbawić ich tej chwili złudzenia?

— Wstań, przyjacielu Castillo — rzekłam rozrzewniona — już przyjdę, przyjdę, skoro tak bardzo tego pragniecie.

wej drogi, wiodącej do owego Basileh, gdzie tak okropne chwile przeżyła porwana przez krumanów de Ia Rochy Amanda.

Powietrze tu było znacznie czystsze, niż wśród zaduchu potonegerskich ulic, a to dzięki przepływającej w sąsiedztwie rzece Rio del Consul i znacznym przestrzeniom pól niegdyś uprawnych, dziś po części zdziczałych, bo ci co je uprawiali albo wymarli, albo na skutek amnestji zdołali powrócić na ojczystą Kubę.

Tych jednak była garstka niewielka, złożona wyłącznie z Białych, którym zamożne rodziny przysłały potrzebne na drogę pieniądze. () Pozostali gnieździłi się w nędznych chatynkach, podobnych do domków z kart, długością ze sobą zestawionych, bez ścian, okien i kominów, będących poprostu długimi, bambusowemi dachami, na ziemi stojącemi. Oba ich końce zamykało bambusowe także prętowanie, utkane liśćmi, zaś w obróconym ku drodze trójkacie znajdował się nadto wąski otwór wejściowy, matami, na noc lub w porze słotnej zasłaniany.

Były to więc najlichsze budynki w Santa Isabel, prawdziwe siedziby wygnańcze; ale do każdej z nich przytykał spory ogródek, niskim, koleczastym płotkiem z bangów (łodyg palmowych) objęty, w którym rosły warzywa rozmaite: pomidory, rzodkiewki, kapusta, ogórki, oraz miejscowe pimienty, berenheny, okro i mnóstwo innych. Kubanie, to ogrodnicy z urodzenia; oni też byli jedynymi dostawcami jarzyn w Femando Poó, a na

wet na sąsiednim brzegu i wiele nieznanych tu przedtem owoców i roślin jadalnych wprowadzili na te przeżyzną wyspę, gdzie wszystko się przyjmuje i rozrasta. Był to też główny ich dochód, chroniący ich od głodu.

Jeden tylko Sebastian Caresma dorobił się majątku i byłby mógł wrócić do ojczyzny, ale szlachetne serce nie pozwoliło mu opuszczać braci.

— Ja tęsknię za Kubą, ale za mną tam nikt nie tęskni, bo nikogo bliskiego nie zostawiłem — powiedział mi kiedyś z prostotą — a tutaj jestem potrzebny tym, którym się gorzej, niż mnie powodzi i tutaj moje kości złożę.

On też jeden posiadał bardzo obszerny, porządny dom, z kalaborów zbudowany, który był zarazem ową gospodą, gdzie Kubańczycy zgromadzali się wieczorami na wspólne gawędy i śpiewy i gdzie w ciągu dnia każdy z nich mógł się czemś posilić i wypić szklanekę piwa za śmiesznie małe pieniądze. Był więc tu naprawdę potrzebny zacny Caresma.

Walka kogutów zapowiedziana była na trzecią po południu w Niedzielę Wielkanocną.

W tem bezbarwnem, monotonnem życiu Brzegowem wszyscy Biali cieszyli się na to widowisko i to nie tylko Hiszpanie, mający już we krwi żyłkę do podobnych sportów, lecz i flegmatyczni angielscy faktoryjczycy. Przez cały wielki tydzień o tem tylko rozmawiano, "czyniono na niewidzianego zakłady; ten na koguta Caresmy, tamten Cintry, inni jeszcze na innych.

Mniej dbający o swą europejską godność clarkowie wymykali się wieczorami do kubańskiej gospody, aby tam zasięgnąć języka o przyszłych, pierzastych zapaśnikach, albo może nawet którego w drodze wyjątkowej łaski zobaczyć. Ale właściciele

tych rycerskich ptaków byli nieubłagani. Żadne oko profana nie miało ich zobaczyć, aż na arenie.

Tem większe zatem opowiadano sobie o nich cuda, zręcznie rozsiewane przez organizatorów zabawy. Ci bowiem, oprócz duchowych rozkoszy, spodziewali się z tego źródła bardziej realnych korzyści. Zaproszenia były bezpłatne, ale dobrowolne datki pozostawiono hojności widzów, co było nawet mądrą taktyką.

Wszyscy więc żyli w radosnem oczekiwaniu, tylko ja jedna wybierałam się na te gody jak na ścięcie.

Gościnnie gubernator zaprosił nas znowu po sumie do siebie na świąteczne almuerzo (drugie śniadanie), ażeby nam oszczędzić podwójnej wędrówki z Santa Maria do miasta i razem we troje udaliśmy się w oznaczonej godzinie do gospody.

Kubańczycy zadali sobie tyle trudu, że dla lepszego światła i przewiewu zdjęli z dachu część palmowego poszycia, mocno zresztą przez ostatnie Tornado nadwreżonego.

W obszernej, widnej izbie urządzili rodzaj amfiteatralnego wzniesienia z desek, na którym ustawiono ławki dla Białych, a w pierwszym rzędzie dwa fotele maderskie dla gubernatora i dla mnie. Reszta widzów usadowiła się gdzie i jak mogła, pod ścianami, na deskach i na ziemi. W najciemniejszym kącie mignęła mi biała namitka Amandy, która gdy tylko policjant Malanga stanął we drzwiach, skryła się za plecami sąsiadów.

Gdyśmy weszli, izba już była przepelniona, wyjąwszy pustą, dosyć znaczną, kolisto zatoczoną przestrzeń ubitej ziemi pośrodku. Wszyscy powstali z miejsc, a Kubańczycy, jako uprzejmi gospodarze, jęli wołać:

— Viva el Senor Gobernador! Vivan los Senores Polacos!

Tym razem nie włożyłam ani gorsetu, ani tiurniury i nie owiązałam kasku gazowym woalem, choć posiadałam ich kilka w zapasie. Smutny los pierwszego uczynił mnie oglądniejszą.

Miałam mój zwykły strój Brzegowy: biały szlafroczek z cieniutkiej, miękkiej wełny, z odsłaniającym głęboko szyję marynarskim kołnierzem i bardzo długimi powyżej łokci rozciętymi rękawami, które można było zarzucać na sposób kontuszowych wylotów.

Jedyną odświętność stanowił amarantowy, jedwabny krawat, związany pod kołnierzem na wielką kokardę i także szarfa opasująca biodra.

Czekano tylko na nas z rozpoczęciem widowiska, bo zaraz Caresma zniknął w bocznej komórce i wnet wrócił niosąc coś pod dużą, perkalową chustką.

Postawił swój ciężar na ziemi i gdy zerwał przykrycie, oczom naszym ukazał się wspaniały, czarny kogut.

Szmer podziwu przebiegł po zgromadzonych.

Istotnie trudno było wyobrazić sobie piękniejszego ptaka. Duży, jak młoda indyczka, dumnie podnosił w górę małeńki, kształtny łeppek, zdobny w przepyszny koralowy grzebień. Jego krucze pióra połyskiwały jak najpiękniejszy atlas, ze smugami fioletu na prześlicznie zarysowanej szyi i w królewskim ogonie. Delikatny, jak u czarnego łabędzia puch porastał potężne uda, a silne jakby ze stali groźnymi ostrogami uzbrojone nogi, pokryte były niby metalową łuską o koralowych refleksach.

— El gallo Ranoque! (kogut Żabiak) — zaprezentował uroczyście Caresma swojego wychowańca, kłaniając się nisko gubernatorowi i mnie.

Ptak widocznie długo trzymany w ciemnościach, stał chwilę nieruchomo, jak olśniony, wbijając mocno w ziemię ostre pazury i mrużąc okrągłe topazy swych wypukłych oczu. Wreszcie uniósł z wolna w górę przepyszne skrzydła, zatrzepotał niemi, aż poszedł szum po izbie i zapiał triumfująco.

— Bravo! Bravo! Ranoque! Czuje zwycięstwo! — wołali uszczęśliwieni ci, którzy na niewidzianego stawiali na koguta Caresmy (takie stawki liczyły się podwójnie) i posypały się nowe zakłady.

A mnie ogarnął żal. Biedny Ranoque! To pianie było jego łabędzim śpiewem.

Nachyliłam się do mego sąsiada.

— Jakież on piękny! Jak mi go szkoda — szepnęłam.

Ale gubernator nie zdawał się wcale usposobionym do roztkliwień. Na jego pospolitą, dobroduszną twarz, rwarz Niemca raczej, niż Hiszpana, wystąpiły silne rumieńce; blado niebieskie oczy błyszczały w oprawie jasnych rzęs. Nie poznawałam go.

Więc i tego zacnego, spokojnego człowieka przeobrażała niezdrowa żądza barbarzyńskich wrażeń! Bacznie, ale bez zachwyty, przypatrywał się kogutowi.

— Nie po formie! — zawyrokował tonem znawcy.

— Jako nie po formie? — spytałam zdziwiona.

— Powinien mieć grzebień i ogon ucięte. U nas, w Andaluzji nie dopuszczonoby takiego do walki. Mówiłem im to zeszłego roku. Ale co pani chce, querida comadre! (droga kumo). Ci Kubańczycy to ciemny naród.

Tymczasem Caresma przysiadł profilem do nas w pierwszym szeregu skupionych dokoła małej areny widzów i wziął swego koguta pomiędzy podniesione kolana, narzuciwszy mu znów chustkę na głowę.

Teraz z komórki wyszedł stary Cintra i z tym samym ceremonjałem postawił swojego pupila na ziemi. Ten był może nie tak pięknym, ale jeszcze oryginalniejszym okazem. Również duży jak Ranoque, upierzenie miał barwy najczystszej złota, gęsto czerwienią przetykane. Już naprzód zdawał się krwią ociekać.

— El gallo Condecito! (kogut hrabicz) — przedstawił Cintra z namaszczeniem.

Ten nie zapiał jak jego przeciwnik. Wyglądał ponuro i drapieźnie. Oczy jego w koralowych obwódkach latały na wszystkie strony, jakgdyby szukając na kogo się ma rzucić. Był takim samym skazańcem jak tamten, nie wzbudził jednak we mnie litości. Ułożyłam sobie, że zwycięży ślicznego Ranoque i będzie się nad nim pastwił.

— Ilustre comadre mia! — zwrócił się do mnie z ożywieniem gubernator. — Możeby tak mały zakładzik? Ja trzymam za tym złotym zuchem. Pięć duros. () A pani sympatje są zapewne po stronie czarnego? Więc jakże?

— Dobrze — odpowiedziałam, aby mu nie odmówić. — Ale jak to długo potrwać może?

— Najwyżej pół godziny. Po upływie tego czasu walka uważa się za skończoną.

— A jeżeli oba jeszcze żyją? Jakże poznać, który zwyciężył?

— O! jeden zawsze bywa pokonany... Zresztą normuje się to ilością ran.

— Ilością ran? — powtórzyłam, czując, że błędę.

— Tak, querida comadre — objaśnił gubernator z miną fachowca. — Obmywa się ptaki ze krwi i liczy ciosy. Ten, który ich większą ilość otrzymał uważa się za zwyciężonego, a ci, którzy na niego stawiali, przegrywają.



Stary Cintra przykucnął po drugiej stronie koliska naprzeciwko Baresmy, który ponownie odrzucił chustkę. Koguty były tak niezwykle wysokie, że ich śliczne głowy, zdobne w owe wspaniałe grzebienie, które były "nie po formie", ale które nadawały im jakąś królewskość, wznosiły się ponad kolanami ich właścicieli.

Trzymane silnie, wyciągały niespokojnie szyje, już z daleka godząc w siebie miedzią i bursztynem swych krwiożerczych dziobów.

A wśród Białych, dokoła mnie i za mną rosło podniecenie. Strzelały jak rakiety imiona: "Condecito", "Ranoque"; krzyżowały się zupełnie dla mnie niezrozumiałe kombinacje zakładów.

Ryzykowano względnie znaczne sumy. Hiszpanie byli wstrzemięźliwsi; i mój "kum" byłby się także hazardowł, gdyby mu na to jego gubernatorska godność pozwalała. Ograniczył się więc zaszczyceniem mego męża, komendanta portu i kilku oficerów propozycjami umiarkowanych zakładów z "wariantami".

Rozróżniałam też głos pana Fynna (jakże inaczej brzmiący, niż kiedy zachwalał swoje ostatnie wyrazy modyl) i piskliwy dyszkant sędziego municypalnego.

Był to mały, chudy człowieczek z twarzą ospowatą i szczurzymi oczkami, do którego od pierwszego wejrzenia poczułam o tyle silną, o ile na pozór nieusprawiedliwioną antypatję. Szczególniej drażnił mnie jego sposób siadania bokiem na brzeżku sprzę

tów, co wyglądało, jak gdyby kto nim cisnął i krzywo przylepił.

I teraz tkwił tak samo nieopodal mnie, podrygując za każdą padającą z jego wąskich ust liczbą. Oczami zdawał się pożerać ptaki.

Tylko Caresma i Cintra siedzieli nieruchomo i dumnie wśród wzbierającego roznamiętnienia, którego nawet obecność najwyższego dostojnika wyspy nie była w możności pohamować. Czuli się pośrednimi sprawcami tej wrzawy: czuli się czemś... Oczy ich tylko tkwiły w gubernatorze w oczekiwaniu na jego znak.

Wreszcie Don Antonio spojrział na zegarek i klasnął w dłoń.

Natychmiast rozwarły się kolana Kubańczyków i oba koguty wpadły na siebie z takim impetem, że chmura złocistego i hebanowego pierza odrazu uleciała w powietrze.

Nie wyobrażam sobie, ażeby dwa lwy mogły walczyć z sobą z większą zaciętością i ażeby ta zaciętość mogła wzbudzać takie obrzydzenie.

Łomot kości pękających pod uderzeniami mocarnych łap, kłapanie paszcz potwornych, których jedno zwarcie mogło być śmiertelnem, grzmoty rozjuszonych ryków — wszystko to mogło napęlić zgrozą, ścinać krew w żyłach, ale w tem wszystkim byłby jakiś majestat, jakaś królewska potęga... czułoby się tchnienie pustyni.

A tu panowała atmosfera podwórza, tylko jakaś zdziczała i dziko okrutna. Aż mgliło, aż przewracało wnętrze patrząc na to milczące, uparte siepanie dziobów, niezdolnych do zadania jednego, stanowczego ciosu, lecz z niedającą się z niczem porównać wściekłością zamieniających wzajemnie ciała przeciwników w bezkształtne puchnące w oczach masy.

Chwilami oba ptaki zawisały w powietrzu i kłębiły się w konwulsyjnych miotaniach, bryzgając na wszystkie strony krwią i strzępami mięsa, rozrywając sobie piersi ostrogami, usiłując strącić jeden drugiego na ziemię i tam ostatecznie dodziobać.

Nie mogłam znieść tego widoku.

Odwrociłam wzrok i powiodłam nim po zgromadzonych. Zdjął mnie jeszcze większy wstręt. Boże! Jakże ci ludzie wyglądali! Twarze rozpalone, oczy zdające się wyskakiwać z orbit, piersi wzdymane świszczącym oddechem, rysy wykrzywione chciwością i okrucieństwem.

Zaiste, był to Kainowy ród! Niektórzy wygrażali pięściami kogutom, jak gdyby im tego było jeszcze mało. Każdemu uderzeniu dziobów towarzyszyły zduszone wołania: "Bravo Condecito!" "Bravo Ranoque!"

— Oko mu wyjada! Oko mu wyjada! — zaskrzeczał wśród tej wrzawy głos sędziego municypalnego.

Mimowoli spojrzałam w tę stronę i zdętwiałam. Nie mogłam poznać tego człowieka. Był przeobrażony. Drobną jego postać podrywała się z ławki i opadała na nią, jak niewypierzony pisklak, który próbuje latać. Bielmo rozkoszy zasnuło źrenice. Z ust rozchylonych jakimś bestjańskim uśmiechem toczyła się piana. To był typ sadysty w chwili wynaturzonej ekstazy.

Ale i ze mną stało się coś dziwnego. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, że można chcieć zabić. Tak; gdybym miała rewolwer byłabym bez wahania strzeliła pomiędzy te szczurze oczy, jak się strzela pomiędzy ślepią jakiegoś ohydneho płaża.

Nie na tem jednak miał być koniec wstrętnych wrażeń.

Kiedym, wzdrygnąwszy się, przeniosła spojrzenie w inną stronę, zobaczyłam Amandę. Zgięta we dwoje, opierając ręce na plecach siedzących przed nią murzynów, wyciągała szyję w kierunku mordujących się kogutów jak urzeczona.

Namitka zsunęła się na tył głowy, odsłaniając bogate sploty czarnych warkoczy i czoło prześlicznie zarysowane, ale tak zmięte i wytarte jak po wielokroć zapisywana i ścierana karta. W oczach, które dotychczas wydawały mi się czarne, ale które w rzeczywistości były błękitne, paliły się jakieś płowe błyski; cienkie nozdrza latały; drapieżny uśmiech podnosił kąćki ust i ukazywał białe jeszcze i śliczne zęby; dziwne plamy tak bardzo ją szpecące, zaogniły się, nadając jej pozór jakiejś ludzkiej tygrysicy.

Była ohydną.

Wzdrygnęłam się znowu, lecz w tej chwili powstał rumor i buchnęły ogłuszające wrzaski:

— Ranoque vencedor! Ranoque vencedor! (Żabiak zwycięzca).

Jak zahypnotyzowana, jak zacadzona obrzydłym fluidem, wydzielającym się tej rozbestwionej atmosfery, spojrzałam, wbrew samej sobie na kolisko.

Jeden bryzgający krwią ochłap mięsa leżał na ziemi w konwulsyjnych drgawkach, a drugi, tak samo prawie pokiereszowany i zniekształcony chwiał się nad nim, i kuł go resztkami sił dziobem, sterczącym z czegoś co tak niedawno było śliczną, lśniącą głową, radującego się życiem ptaka, a teraz stanowiło jedną szkaradną ranę.

Pociemniało mi w oczach. Uczułam, że jeszcze chwila, a zemdleję.

— Na miłość Boską wyprowadź mnie stąd — szepnęłam mężowi. — Nie mogę dłużej.

Gubernator jakby teraz dopiero przypomniał sobie o mojej obecności, żywo się ku mnie zwrócił:  
— Jaki? Moja znakomita kuma chce odejść? Ależ to się załedwie zaczęło... Mają być jeszcze wspaniałe egzemplarze... I nasz zakład... Senora comadre wygrała!  
Musiałam okropnie wyglądać, bo zaniepokoił się raptem.  
— Co się stało? Co pani jest?  
Z wielką troskliwością pomógł mi powstać i obaj z mężem wyprowadzili mnie, a raczej nawpół wynieśli z izby.  
Baczny Malanga poskoczył utorować nam drogę.  
Za mną pobiegł szyderski śmiech kobiecy i padły, obelżywym tonem rzucone słowa:  
— Muneca de china! (Lalka porcelanowa).

#### IV.

Powolność moją na prośby Kubańczyków oplaciłam silnym atakiem febry.  
W tym nieżyczliwym Europejczykowi klimacie, lada wstrząśnięcie moralne nie może ująć bezkarnie, a wstrząśnienie, którego doznałam w gospodzie kubańskiej było tak głębokie, że długi czas potem nie mogłam bez wstrętu patrzeć na najzwyklejszego podwórzowego koguta, choćby ten przechadzał się po sułtańsku wśród swego haremu i żadnych gładjatorskich zachcianek nie zdradzał.  
Po trzydniowej chorobie wstałam z łóżka, aby w ubraniu przenieść się na werandowy, gaboński () ha

mak tak osłabiona, że nie mogłam nawet poruszać wachlarzem dla rozpędzenia chmury sandfly'ów, tańczących nad moją głową. Czynność tę spełniał czarny pokojowiec, Antek, który stał za mną w przyzwoitej odległości i olbrzymim pankas (rodzajem wachlarza z palmowych liści) oganiał mnie niezmordowanie.  
Sandflye to jedna z najokrutniejszych plag podwórnikowej Afryki. Te drobnutki, jak pyłek owadki kąsają niegorzej od europejskich moskitów, z tą różnicą, że na jednego moskita wypada ich z tysiąc. Dają się zwłaszcza we znaki w okresie aklimatyzacyjnym, są bowiem tak łapczywe na świeżą krew Europejczyka, że z nieznosnego swędzenia skóry i mimowolnego drapania, ciało puchnie, pokrywa się pękającymi bomblami, które łatwo przechodzą w stan owrzodzenia, a do tych rozkosznych objawów przyłącza się tak zwana gorączka sandfly'owa, która powala z nóg, jak febra.  
Z czasem jednak krew oswaja się z jadem i ukąszenia sandfly'ów stają się zupełnie obojętne. Zdarzało mi się po dłuższym pobycie na Brzegu, gdym siedziała przy biurku pisząc, spojrzeć przypadkiem na lewą rękę i zobaczyć ją, jakby przysypaną czarnym pudrem. Wtedy dłonią prawą zgarniałam mikroskopijne natręty i na tem się kończyło. Ale przed każdym deszczem gromadziły ich się tak nieprawdopodobne zastępy, że włożyły w usta, oczy, nozdrza, uszy i o ile się nie było w częstym ruchu jedyną na to radę stanowił albo wachlarz, albo dym.  
A tego dnia właśnie od rana zanosilo się na słońce; powietrze było parne i przesycone wilgocią i biedny Krumanik musiał tak niestrudzenie machać pankas'em, że aż mnie to samą męczyło.

Nagle jednak zawiesił tę czynność i zawołał z ożywieniem:

— Mami! Dem governor live for come! (Pani! Gubernator żyje, żeby przeżyć!)

Spojrzałam w manguosową aleję. Coś tam daleko bielilo się i ruszało i trzeba było tylko murzyńskiego oka, żeby w tej mętej plamie dopatrzeć i rozpoznać postać ludzką.

Minęło też dobrych dziesięć minut nim hamak niesiony przez czterech rządowych Krumanów w narodowych, hiszpańskich barwach: żółtych cloth'ach i niebieskich koszulach okrążył kwiatnik przed domem i zatrzymał się u schodów frontowej werandy.

Nieodstępny Malanga pomógł wysiąść gubernatorowi, z wielkiem uszanowaniem podtrzymując go dwoma palcami pod łokieć.

Straciłam trochę sympatji dla mojego "kuma", gdy go widziałam tak pochłoniętego ową wstrętną walką Ranoque'a i Condecita, ale wrażenie to minęło teraz bez śladu.

Miałam znów przed sobą tę samą dobroduszną, zrównoważoną twarz; z niebieskich oczu patrzyła ta sama uczciwość i sprężystość nieskazitelnego piastuna władzy, usta uśmiechały się spokojnie, jak przystało na wzorowego małżonka i ojca licznej rodziny, jaką w Hiszpanji zostawił.

Wiedziałam też, że zaraz nazajutrz po moim niefortunnym exodusie z gospody dowiadywał się osobiście o moje zdrowie i podziękowałam mu serdecznie za ten ponowny dowód troskliwości.

— Spełniam tylko najmilszy obowiązek — odpowiedział, całując mnie w rękę — byłem zaniepokojony i rad jestem niewymownie widzieć, że złe minęło. Ale nie trzeba lekceważyć takich objawów. Moja droga kuma musi koniecznie spędzić parę tygodni w Basileh. Mówiłem już o tem z Don Eten

banem i przybywam ofiarować znów to skromne tusculum do rozporządzenia de la distinguida senora i jej małżonka. Wzmianka o Basileh przypomniała mi Amandę i niewiem dlaczego stało mi się rzeczą zupełnie pewną, że będzie dziś mowa o niej pomiędzy nami.

Kazałam przynieść butelkę najlepszego sherry, jakie posiadała moja skromna spizarnia i polskie mazurki, a dla siebie świeżo ściętego kokosa, którego mlekiem wypiałam zdrowie mojego dostojnego kuma.

Ale nietylko ja starałam się okazać gościnną. Sandflye, owadzim sprytem, poznawszy przybysza, porzuciły moją osobę i jeły go witać z taką natarczywością, że sprowadzenie drugiego chłopaka z drugim pankas okazało się konieczne.

Rozmawialiśmy już czas jakiś, gdy gubernator rzekł:

— Moja dzisiejsza bytność ma jeszcze jeden cel. Pragnąłbym — jeżeli to panią nie obrazi — pomówić z nią w pewnej sprawie.

— Aha! o Amandzie! — pomyślałam i zaniepokoiłam się, czy z mego powodu nie spotkała, lub nie ma spotkać tę nieszczęśliwą istotę jaka przykrość.

— Zapewne mi illustre comadre słyszała o tej... a może widziała tę... tę kobietę, niestety, białą, którą tu nazywają Amanda del Cruzero?

— Tak, panie gubernatorze — odpowiedziałam z żywością — słyszałam o niej dużo i widziałam ją niejednokrotnie i los jej opłakany budzi we mnie jak najszczerze współczucie.

— Jej los, distinguida senora — rzekł gubernator z powagą — jest jej prywatną sprawą i nigdy nie ośmieliłbym się zaprzętać nim pani, gdyby nie pewne specjalne okoliczności, które go czynią publicznym skandalem. Zwłaszcza teraz...

— Dlaczego zwłaszcza teraz? — wyrwało mi się mimowoli i wnet pożałowałam tego pytania.

Ale Don Antonio zdawał się go nie słyszeć.

— Skandal ten istniał już za czasów mego pierwszego gubernatorstwa — ciągnął dalej. — Była to jedna z wielu bolączek rządów, które otrzymałem w spadku po moim bardzo lekkomyślnym poprzedniku, Amanda była wtedy piękną kobietą i tutejsze władze wojskowe otaczały ją szczególną opieką. Trudno mi było wchodzić z nimi w kolizję.

— Komendant portu — pomyślałam, a głośno rzekłam;

— Pani? gubernatorze, jeszcze kieliszek sherry.

— Za zdrowie mojej znakomitej kумы! Chętnie. Doskonale są te polskie ciastka. Jak to je pani raczyła nazwać? Las mo... ma...

— Las mazurkas.

— Las mazurkas... Las mazurkas.. — powtórzył gubernator. — Dziwna rzecz. Ta nazwa jest mi znana... Gdzieś się z nią spotykałem... Ale gdzie?

— Może na nutach? — podsunęłam, wiedząc, że jest muzykalny.

— Na nutach? Perfectamente! — wykrzyknął uradowany. — Las mazurkas de Chopin. Za moich studenckich czasów grywałem je na skrzypcach... Vaya! Vaya! Prześliczne melodie!... Ile mi one przypominają!... Ach! młodości... młodość...

I zaczął półgłosem podśpiewywać na nutę:

"Jego dotąd niema,  
A duszyczka roi... "

Wolno powiódł ręką po wyłysiałem czole. Znowu na chwilę był to inny człowiek; tylko nie taki, jak, w kubańskiej gospodzie. Przeobraził go czar wspomnień. Nigdy mi się tak sympatycznym nie wydał.

— Dziwne! — wymówił po chwili, jakby sam do siebie. — Dziwne!... Czy mogłem wtedy przypuścić, że kiedyś, po latach, spotkam się tu w naszej afrykańskiej kolonji, z rodaczką genialnego kompozytora, którego tak w młodości wielbiłem!... Ach! młodość... młodość...

Westchnął i raptem, ocknąwszy się z zadumy:

— Wybacz, senora! — rzekł już zupełnie innym tonem — odbiegłem od przedmiotu... Ale to wina tych... ciastek...

Więc, co chciałem mówić?... Ach... Gdy tu ponownie przed rokiem przybyłem, ku wielkiemu memu zdziwieniu zastałem jeszcze tę kobietę... Nie poznałem jej... Jakaś zagadkowa choroba, na jaką zapadła, zrobiła z niej istne straszdyło. Zresztą zestarzała się... A nim to nastąpiło staczała się coraz niżej... Ostatnim jej opiekunem był jakiś Potoneger!... Biała kobieta na tym Brzegu, gdzie Europejki są prawie mytem — biała kobieta sprzedająca się murzynowi... to już ostatni wyraz upodlenia...

— To prawda! — szepnęłam, przejęta zgrozą. — To prawda!

— Teraz to już i to było jej niedostępne. Cierpiała też straszną nędzę i poniewierkę... Co to za silny jednak organizm!...

Inna byłaby dziesięć razy umarła... Byłbym ją natychmiast odesłał drogą administracyjną do miejsca urodzenia, ale trudność w tem, że nikt nie wie skąd ona pochodzi, nawet jakiej jest narodowości... Mówi podobno doskonale po francusku i po angielsku. Ja wszelako z różnych danych wnioskuję, że, niestety, jest Hiszpanką. Co to za hańba dla mojej ojczyzny.

Umilkł na chwilę i popił wina, które mu na mój znak nalał Antek.

Zacne jego oblicze wyrażało szczerą zgrzyotę.

— Znalazłby się jeszcze jeden sposób — mówił dalej — ale trzeba by się było tem zająć, a ja miałem dosyć ważniejszych spraw na głowie. Wyzaczyłem jej tylko małą pensyjkę, wpłynąłem na faktorje, na Białych wogóle, żeby ją wspomagali, i jakoś się to przewlokło i byłoby się wlokło dalej, tymczasem przyjazd państwa zmienił zupełnie postać rzeczy.

— Dlaczego? Cóż my?...

— Powiedziałem państwa, lecz miałam na myśli tylko panią, mi distinguida senora. Taki stan trwać nie powinien i nie może. Ją trzeba koniecznie stąd usunąć.

— Panie gubernatorze ! — zawołałam. — Cóż moja osoba ma z tem wspólnego? Mnie ta nieszczęśliwa bynajmniej nie przeszkadza.

— Ale mnie przeszkadza — odparł gubernator z naciskiem. — My, Hiszpanie jesteśmy narodem rycerskim i nasze pojęcia o honorze przodują innym... Potrafimy czcić kobietę jak nikt; i potrafimy gardzić nią jak nikt... Powiem szczerze, że widok tej... pozwolę sobie nazwać ją po imieniu — tej ladacznicy zatruł mi całą uroczystość Palmowej Niedzieli... A jeszcze po tem, co mi powiedział Malanga! Jakt... na tej wyspie, gdzie się znajduje żoną sławnego polskiego podróżnika, sama (tu dodał przymiotnik, którego skromność nie pozwala mi powtórzyć) powieściopisarka, matka chrzestna naszego kościoła i moja najlaskawsza kuma, ja mam tolerować obecność takiej... Amandy! Przenigdy!

— Więc cóż pan gubernator zamierza uczynić? — spytałam.

— Zamierzam ją stąd wydalić — odpowiedział stanowczo.

— A jeżeli ona nie zechce?

W niebieskich, pocziwych oczach dostojnika mignął stalowy błysk.

— Na tej wyspie — rzekł zwolna — nikt nie może nie chcieć tego, czego ja w zakresie mojej władzy mam prawo chcieć. Taka ewentualność jest niedopuszczalna.

— A jednak — zarzuciłam — sam pan gubernator powiedział, że skoro miejsce jej urodzenia nie jest wiadome... Nie dał mi dokończyć.

— Mówiłem także, że mógłbym użyć innego sposobu. Właśnie w tej sprawie chciałbym porozmawiać z panią.

— Ach! panie gubernatorze — zawołałam błagalnie — jeżeli to ma w czemkolwiek skrzywdzić tę, i tak już srogo przez los sponiewieraną istotę, to ja do tego za nic w świecie nie przyłożę ręki. Chociażby — dodałam żartobliwie — i mnie Wasza Ekscелencja miała wydalić z wyspy.

Jego Ekscелencja uśmiechnął się dobrotliwie.

— Mi ilustre comadre ma dobre serduszko — rzekł z przyjazną nutą w głosie. — To pięknie. Lubię bardzo, jeżeli kobieta czuje po kobiecemu. Zwłaszcza, jeżeli łączy z tem męską odwagę i męski rozum.

I przy tych słowach skłonił przede mną głowę z całą galanterją swego rycerskiego narodu, a ja uznałam za właściwe zarumienić się.

— Nie! Nie! Proszę się uspokoić, mi distinguida amiga — podjął. Ja mam jej dobre na myśli. Bo zechciej się pani zastanowić co ją tu czeka? Mój czas na wyspie kończy się za osiem miesięcy. Kto wie jak na tę sprawę zapatrywać się będzie mój następcą? Może cofnąć pensyjkę, jaką ja jej

polecieć wypłacać, tem łatwiej, że obciążylem nią reprezentacyjne fundusze, co stanowi niejako mój osobisty uszczerbek.

— Pan jest ogromnie zacny człowiek — przerwałam z serdecznym uznaniem...

Machnął ręką.

— Voya! Niema o czem mówić. Jakaż tu może być reprezentacja? To śmiechu warte.

— Panu de la Rocha te fundusze nie wystarczały jednak na jego reprezentację — zauważyłam.

Gubernator spojrział na mnie bystro.

— Kto to pani powiedział?

— Tak... słyszałam — odrzekłam wymijająco.

— Otóż to. Różni bywają ludzie. I ten co po mnie nastąpi może również uważać, że te fundusze są skape... Ale to byłoby jeszcze pół biedy. Może, aby się raz na zawsze pozbyć tego intruza w spódnicy — tem bardziej, że intruz jest już stary i brzydki — zastosować do niej prawo o bezdomności i włóczęgostwie, które u nas jest bardzo surowe. I wtedy nikt jej się nie będzie pytał czy ona chce czy nie chce, tylko pierwszym, hiszpańskim parowcem odbędzie pod pokładem, jako deportowana, przymusową podróż do Kadyksu, a tam...

— A tam? — podchwyciłam.

— Tam już sobie z nią władze poradzą.

— To okropne !

— To tylko sprawiedliwe. Ale ja chcą ją od takiej doli uchronić; wogóle od tego, co ją spotkać może, gdyby tu została. Wszak będzie coraz starsza, coraz niedołężniejsza. Teraz jeszcze coś tam czasem zarobi, szyjąc różne fatalaszki dla tutejszych mami. Ale co będzie, gdy i do takiej dorywczej pracy stanie się niezdolną? Co będzie, jeżeli faktorje sprzykrzą sobie taki serwitut, do któ

rego nic ich nie zobowiązuje? Grozi jej śmierć głodowa...

— Tak, to być może — szepnęłam, przypomniawszy sobie, jak pan Fynn utyskiwał na ową plagę".

— Widzi mi querida comadrel Tymczasem w Europie są różne przytułki, zakłady dobroczynne. Powziąłem więc pewien plan, który dałby się z pomocą pani przeprowadzić, jeżeli...

— Ależ najchętniej. Uczynię wszystko co będzie w mojej mocy. O co chodzi?

— Tak mi się podoba. A plan mój jest taki: Pasaż drugiej klasy do Kadyksu zapłaci rząd; a mi distinguida amida raczy zorganizować składkę na rzecz tej tam Amandy. Nikt nie odmówi takiej kwestarcie, można będzie nie pominąć zamożniejszych Potonegerów, co im ogromnie pochlebi i jestem pewny, że zbierze się tą drogą wcale pokaźna sumka, Ja, ze swej strony napiszę do jednego z moich przyjaciół w Kadyksie, człowieka bardzo wpływowego i poproszę go, żeby się zajął naszą protegowaną. Jeżeli tylko przywiezie ona z sobą pewien fundusz, to umieszczenie jej w jakimś schronisku, gdzie będzie miała zapewnione bardzo przyzwoite utrzymanie i opiekę do końca życia, nie będzie przedstawiało dzięki stosunkom mego przyjaciela żadnych trudności. Co powie moja znakomita kuma na ten plan i czy w dalszym ciągu będzie mnie miała za nielitościwego despotę?

— Powiem, że mój dostojny kum jest równie mądry, jak szlachetny i że będę miała sobie za prawdziwy zaszczyt współdziałać z nim w spełnieniu tego dobrego uczynku. To będzie nasz drugi chrześniak duchowy.

— Amen — rzekł gubernator.

Upłynęło kilka dni, nim odzyskałam siły do tyła, aby zająć się spełnieniem zadania, jakiego się podjęłam. Nie wątpiłam w jego pomyślny skutek, ale przede wszystkim postanowiłam przeprowadzić mój własny plan, powzięty w wielkiej tajemnicy, bo byłam aż nadto pewną, że nie zyska on aprobaty "sfer miarodajnych".

Plan mój był trochę ryzykowny, ale może dlatego tem bardziej mnie nęcił. Chodziło mi zarówno o gubernatora, jak o Amandę, do której, pomimo niepojętej nienawiści, jaką mi okazywała, czułam zrodzoną z żywej litości nad jej wyjątkowym losem sympatię.

W Europie nasłuchiwałam się dużo o tragizmie doli tych wykołejonych istot, dla których ogół odczuwa tylko pogardę, zdarzało mi się spotykać je na ulicach, wyuzdane i poniewierane, ale czemu to było w porównaniu z taką egzystencją, jak tej Amandy!

To było rzeczywiście najgłębsze dno upodlenia, na jakie kobieta stoczyć się może.

A przecież obawiałam się, że ona ze swym zawziętym buntowniczym temperamentem gotowa się uprzeć i odtrącić dobre chęci gubernatora

i pragnęłam oszczędzić temu zacnemu człowiekowi przykrości, jaką zawsze sprawia nam zapoznanie naszych bezinteresownych usiłowań.

Z drugiej strony zapamiętałam sobie stalowy błysk w jego oczach i te słowa: "Na tej wyspie nikt nie może nie chcieć tego, czego ja w zakresie swojej władzy chcę" i nie wątpiłam, że w razie oporu zastosuje do tej nieszczęsnej całą bezwzględność przysługującego mu prawa... A wtedy — cóż się z nią stanie?

Tymczasem, byłam prawie pewną, że wszyst

kiego tego możnaby uniknąć, gdyby kto zwrócił się do niej z ciepłym słowem perswazji.

Ciepłe słowo!... Szam, otwierający najszczelniej zamknięte serca; potęga, której ta kobieta może nigdy, a przynajmniej od bardzo dawna nie zaznała.

Wszelakie słowa mogły się obijać o jej uszy w ciągu jej awanturycznej kariery: zachwyków, pochlebstw, upojeń, drwin, obelg; słowa palące jak ogień i zimne jak lód... rozpustne i pogardliwe, kuszące i odtrącające, ale ciepłe słowo... Nie ! Nawet pan Munro ten jedyny przyjaciel nie miał go dla niej; bo kobiecie kobieta tylko takie słowo rzecz potrafi.

A gdybym ja tak spróbowała ?...

W niedoświadczeniu mojem mówiłam sobie, że ją ten mój krok ułagodzi, uśmierzy, przejedna. A wtedy wszystko pójdzie gładko. W przeciwnym razie, cóż mi groziło?

Parę impertynencji? Pokazanie mi drzwi? Od "takiej" Amandy?... Ach! drobnostka. Zresztą, im bardziej zastanawiałam się nad tem, tem mniej mi to wchodziło w rachubę. Ciepłe słowo!...

Skorzystałam więc z pierwszego pogodnego dnia.

Poprzedniej nocy mieliśmy znowu Tornado, ale umiarkowane; tyle tylko, że oczyściło powietrze. Upał nie dokuczał; postanowiłam pójść do miasta piechotą. Po kilkudniowym leżeniu ruch był mi pożądanym, ale przeważał inny wzgląd. Czułam instynktownie, że hamak byłby tu nie na miejscu, że najmniejszy objaw ostentacji może mi pobruździć.



Zabrałam więc tylko pokojowego chłopca, który niósł płócienny stołek składany, abym miała na czym usiąść po drodze, gdy się zmęcę.  
Trudność była w tem, że nie wiedziałam, gdzie

mieszka Amanda, a pragnęłam uniknąć rozpytywań by nie wywoływać komentarzy.

Z opowiadania pana Munro zapamiętałam, że domek, jaki jej kupił de la Rocha (zapewne z funduszków reprezentacyjnych) stał gdzieś w pobliżu gubernatorskiego gmachu. Skierowałam więc kroki w tamtą stronę. I przypadek posłużył mi nadspodziewanie. Gdy przechodziłam placem, gdzie nas w Palmową Niedzielę fotografowano, zobaczyłam dwie Potonegerki, oglądające jakiś jaskrawy materiał, który jedna z nich niosła.

Były tem tak pochłonięte, że nie zauważyły mnie, choć stały tak blisko, że słyszałam każde słowo ich krzykliwych głosów.

— To piękny staff — rzekła jedna. — Co z tego będzie, Mrs. Bulwer?

— Dam Amandzie del Cruzero, żeby mi uszyła poszewki.

Zwolniłam kroku.

— Będą bardzo piękne, Ale ona coraz gorzej szyje. Zupełnie zepsuła sukienkę mojej małej Amy. Muszę pójść zwymyślać ją i niech przerobi. Old jade. (stara sekutnica).

— To pójdźmy razem, Mrs. Spencer.

— All right. Mrs. Bulwer.

— Byle tylko znów ją nie napadła choroba, bo już jej kilka dni nie widziałam.

— God forbid! (Boże uchowaj). Musiałabym czekać, a mnie pilno. Old dowdy! (stara klempa).

Poszły.

Skinęłam na chłopska.

— Look here (patrz tu) Antek. Widzisz te dwie mami?

— Yes, mami.

— Idź za nimi i patrz do jakiego domu wejdą. Poczekasz póki nie wyjdą i przyjdiesz po

mnie. Ja będę w kościele. Stań przed drzwiami i czekaj na mnie.

Oczy chłopca rozbłysły ciekawością.

— Oh! mami! Mami pozwolić mi wejść do środka? Tam ma być nadto pięknie.

— Dobrze, ale zostaniesz przy drzwiach i nie ruszysz się póki ja nie wyjdę.

— Oh! yes, mami! — zawołał z radością. Pobiegł pędem za znikającymi już na rogu placu kobietami.

Co do mnie, poszłam zwolna w stronę kościoła. Był zamknięty.

Pożałowałam, że nie kazałam Antkowi zanieść mi tam wpierv składanego stołka. Byłby i tak zdążył dopędzić rozlazłe Potonegerki, a teraz mogłam tam stać i czekać ad infinitum. Że też nie przyszło mi do głowy, że czarne czy nie czarne mami, gdy się rozgadają o gałgankach, to temu niema końca.

Szczęściem podmurowanie sztachet otaczających kościelny ogródek było tak szerokie, że pomodliwszy się przed drzwiami mogłam na niem usiąść wygodnie.

Złe moje przewidywania nie spełniły się. W bardzo krótkim czasie zobaczyłam mego Antka, jak pędził z powrotem, wywijając bosemi piętami nad głową.

Gdy zobaczył drzwi zamknięte i mnie siedzącą na podmurówce, jego okrągła twarz przeciągnęła się.

— Oh! mami — zawołał z żalem. — Dem Church he be shot. (Dosłownie: "Kościół, on być zastrzelony!) Chciał powiedzieć shut (zamknięty).

Brzegowa, albo inaczej zwana "gołębica" angielszczyzna, owo murzyńskie esperanto na długo przed europejskim wynalezionem, odznaczało się

osobliwą skłonnością do przekręcania dźwięków samogłosek. Można było się założyć, że gdzie należało powiedzieć o murzyn stale mówił u, a gdzie i to e i naodwrot, skąd wynikały często bardzo zabawne, a często bardzo drastyczne lapsusy. Anglicy słuchając ich, zwłaszcza tych nieprzyzwoitych, kładli się od śmiechu i podejrzewałam zawsze, że to oni przyczyniali się świadomie do błędzenia biednych boyów po tych lingwistycznych manowcach.

— Well? Tamte mami już wyszły?

— No, mami. One wcale nie wchodziły. One powiedziały przed domem: "Okiennice zamknięte". It is no use. (Na nic się nie zda). I odeszły.

— Więc prowadź.

Domek stał na dość pustej przestrzeni, malutkim swoim dwuokiennym frontem ku góróm zwrócony. Otaczała go dużym półkolem plantacyjka bananów, odgradzając od miasta. Z tylnej strony tego półkola wybiegała dróżka w dwa szeregi pobielanych niegdyś a dziś czerniałych kamieni ujęta i ginęła w stronie, kędy widać było rządowe zabudowania. Pomiędzy kamieniami sterczały gdzieniegdzie resztki jakichś poschniętych, w ljanya oplatanych krzaków. Tędy zapewne chadzał de la Rocha w dyszące pomarańczową wonią i wysrebrzone księżycem wieczory, sam promienny pięknością i zmysłową radością życia... Jakże to inaczej wtedy wyglądać musiało!

I teraz jeszcze z oddalenia domek sprawiał wdzięczne wrażenie na tle tej szerokolistnej zielonej palisady. Zbliża wiało od niego pustką i rudera.

Zdziczały ogródek pod oknami zdradzał brak ieczolowitej ręki. Stoczone przez termyty pale,

pozapadały się tu i owdzie w ziemię, grożąc, że i sam domek pójdzie za ich przykładem; cynkowy daszek werandki wisiał w strzępach. Poręcz u schodków była złamana, a same schodki, spróchniałe i czarne od brudu chwiałały się jak klawisze.

Wstępowałam po nich z bijącym sercem. Teraz, kiedy już byłam u celu, czepiał mnie się lęk. Może istotnie narażam się? Ale wszak Potonegerki mówiły, że może być chorą? I odeszły na widok zamkniętych okiennic... Nie widziały jej już od kilku dni... I żadna nie zajrzała nawet... Odeszły, nie zatroszczywszy się czy ta nieszczęsna nie potrzebuje czego, kto wie, czy nie kona w opuszczeniu?

To mnie zdecydowało.

Kazałam chłopcu zostać na werandce i zapukałam leciutko do zmurszałych, krzywo na zawiasach wiszących drzwi. Nikt nie odpowiedział. Ponowiłam pukanie. To samo.

Zebrałam odwagę w obie ręce, jak mówią Francuzi, weszłam, zamykając drzwi za sobą i znalazłam się w zupełnej ciemności.

Ochryplą głosem gdzieś z kąta zapytał po angielsku:

— To ty, Saro Kennedy? Przyniosłaś mi chop? (jedzenie).

Postąpiłam w tym kierunku. Wzrok mój oswajał się z ciemnością, którą zresztą rozwidniał blask słońca, wdzierający się przez liczne szpary w wewnętrznych okiennicach. Na ziemi pod ścianą majaczyła skulona, szara postać.

Głos niecierpliwie ponowił:

— Czemuż nie odpowiadasz? — zaniemówiłaś?

— To nie jest Sara Kennedy — odezwałam się po hiszpańsku jak mogłam najspokojniej. —

To ja, kobieta twojej rasy, Amando. Przyszłam cię odwiedzić.

Pod ścianą zachrobotało jak gwałtownie wstrząśnięty barłóg z suchych liści. Leżąc na nim postać dźwignęła się do połowy.

— Ty! — zacharczał rozwścieczony głos — ty... zmijo! i tu mnie znalazłaś, żeby się nademną znęcać!

— Krzywdzisz mnie, Amando del Cruzero — rzekłam z tym samym pozornym spokojem, choć wszystko zawrzało we mnie z oburzenia. — Przyszłam w najlepszych zamiarach, ale widzę, że się omyliłam, więc odchodzę.

Zwróciłam się ku drzwiom, lecz ona, jakby nagle odzyskała siły, jednym skokiem zerwawszy się z posłania zabiegła mi drogę.

— Zostań! — wrzasnęła — rozkazuję ci. Ani się waż ruszyć, bo...

Przywarła do drzwi z rozkrzyżowanymi rękoma, zasłaniając je sobą.

Widziałam ją teraz dosyć wyraźnie. Nie miała na głowie namitki. Olbrzymie czarne włosy zwichrzoną masą opadały na twarz i ramiona. Zapadłe oczy żarzyły się dzikim ogniem. Na tle tej pomroki zacierającej rysy, wysoka, chuda z zakrzywionymi drapieżnie palcami obu rąk, zasługiwała istotnie na te wszystkie przydomki jędzy, czarownicy, więdźmy, jakiemi ją tu darzono.

Stanąłam w miejscu. Instykt ostrzegał mnie, że jeżeli tylko drgnę, rzuci się na mnie z pięściami, bo nic tak nie drożni dzikiej bestji, jak ruch, a ja miałam przed sobą dziką bestję.

— Jaki szatan przywiódł cię tutaj? — zaczął po chwili, jakby nieco uśmierzona moim spokojem

jem — tu na tę wyspę przeklętą, która i bez tego była dla mnie piekłem, a teraz, odkąd tu jesteś stała się gorzej niż piekłem, bo w piekle potępińcy wytrzymać mogą, a ja nie mogę... nie mogę! — zakrzyczała przeraźliwie, łamiąc ręce nad głową. — Nie mogę! Słyszysz! Duszę się! Konam, pasy bym darła z ciebie, z wszystkich. h! Dios! Krzyk jej przemienił się w jęk, niewysłowienie żałosny, jak skarga dobijanego powoli zwierzęcia.

— Więc ją opuść — rzekłam łagodnie — rada, że sama naprowadza mnie na ten przedmiot, który był celem moich odwiedzin — opuść tę obcą wyspę, na której ci jest tak źle. Wracaj do Europy, Amando, tam ci będzie lepiej. Ja ci w tem dopomogę — dodałam niebacznie.

Zaperzyła się znowu.

— Milcz! To nie twoja rzecz! Vaya! Protektorka! — zasyczała urągliwie. — Jak zechcę to ciebie wpierw stąd wykurzę. Nie znasz mnie jeszcze. Do pięt mi nie dorosłaś, porcelanowa lalko!... A puszy się: w hamakach się każe obnosić, jak jaką świętość. Widziałam cię wtedy na drodze i tych durniów, co koło ciebie skakali jak pieski... Ha! ha! ha!... Brzegowcy. Także mi wielbiciele!... A ty? Jednooka królowo w państwie ślepych. Spróbuj no pojechać do Paryża, czyby tam kto na ciebie spojrział... A przedemną cały Paryż plackiem padał... Słyszysz? Albo i ten twój gubernator także. Stary wieprz. Pod rękę z nim paraduje i myśli, że Pana Boga za nogi złapała. Pękać ze śmiechu. Tacy gubernatorowie u mnie godzinami w przedpokoju wystawali. A tu — figura! Z końca świata gdzieś przyjechała... Z jakiegoś Polski, gdzie bia

łe niedźwiedzie po ulicach chodzą, a słońca przez pół roku nie widać. () Z kraju barbarzyńców...

Tego mi było za wiele. Nie zważając jakie to następstwa pociągnąć może, tupnęłam nogą.

— Ani słowa więcej. Zabraniam ci wymawiać imię mego kraju, o którym nie masz pojęcia. Twoje usta tego niegodne, A teraz puść mnie.

Wzruszyła ramionami, śmiejąc się brzydkim, cynicznym śmiechem.

— Co mnie twój kraj? Powtarzam, co słyszałam, Ale dlaczegoż to tak śpieszno znamienitej damie? Czy dlatego, że nie padłam na kolana, dziękując za łaskę, jaką mnie raczyła zaszczyścić?

— Odstąp od drzwi i puść mnie.

— Nie puszczę. Skoroś tu przyszła. to musisz wysłuchać, co ci mam do powiedzenia. Taka sposobność może mi się już nie nadążyć! A ja zbyt długo na nią czekałam, zbyt mnie to dławilo, zbyt długo się tem trułam... Pewnie i z tego teraz jestem taka chora. Niech cię piekło pochłonie.

— Ależ, szalona kobieto! — zawołałam — co ja ci zawiniłam? Za co mnie tak nienawidzisz?

Zapadła chwila ciężkiego milczenia. Słyszałam tylko bicie własnego serca i świszczący przyspieszony oddech Amandy. Zdawała się zbierać siły! Odstąpiła trochę od drzwi, wyciągając przed siebie obie zaciśnięte race tak blisko mojej twarzy, że mimowoli musiałam się cofnąć.

— Coś ty mi zawiniła? — wybuchnęła z nowym przyływem wściekłości. — Zawiniłaś mi, że jesteś młodą, że ci na niczem nie zbywa, że, masz

męża, który o ciebie dba, że jesteś szczęśliwą, że cię ludzie szanują, że ci zazdroszczą tak, jak ja ci zazdroszczę, że ci się przyszłość śmieje, że masz to wszystko, co ja miałam i co utraciłam, i to wszystko, co mieć mogłam i czem w ślepotcie mojej wzgardziłam. Tak; i męża mieć mogłam i jakiego jeszcze... Drugiego takiego na świecie niema. Proch byłby przedemną zmiatał.. Na rękach nosił. Pan Bóg mnie za niego ukarał, bo go strasznie skrzywdziłam... No! co tam; lepiej nie wspominać... Umilkła znów na chwilę i ciągnęła dalej:

— A że teraz wspominam, to także twoja wina, boś mi te wszystko z duszy wywlokła, ty... maro z innego świata.

Pocoś tu przyjechała? Ja już zapomniałam, że sama byłam kiedyś uczciwą; zapomniałam jak wyglądają uczciwe kobiety... kobiety mojej rasy, jak powiedziałaś. Straszne było moje życie na tej przeklętej wyspie... coraz straszniejsze,

ale byłam tu sama... jedyna wśród tych potonegerskich małp... One mną poniewierały, ale skrycie zazdrościły mi... tak; zazdrościły, choćby tego prostego nosa, tych gładkich, długich włosów... zwłaszcza tych włosów...

W obie dłonie ujęła ciężkie fale zwichrzonych splotów i strząsnawszy je z dumą okryła się niemi jak płaszczem.

— Czy ty to rozumiesz, czym to było dla mnie wzgardzonej, odepchniętej, czuć, że jest przecież coś, czego mi zazdroszą?... Biała mami! Tego mi żadna odebrać nie mogła, a każda byłaby wszystko oddała, żeby się stać białą mami... choćb taką jak ja... Więc mi zazdrościły... a teraz zazdroszą tobie; stokroć więcej. Czy ty to rozumiesz?

— Nie, Amando, nie rozumiem tego — odpowiedziałam z mocą. — Przeciwnie; myślę, że za

zdrosć ludzka jest zjadliwą śliną; która opluwa nasze szczęście i kała je... I myślę, że największym jest to szczęście, którego nam nikt nie zazdrości, które my tylko odczuwamy.

Bezwiednie powtórzyłam to, co mi może trochę inaczej mówił pan de Bretiniere tam na kanaryjskiej werandzie w ową cudną, księżycową noc.

Amandzie ręce opadły. Zdawało się, że słowa moje sprawiły na niej głębsze wrażenie, niż się tego spodziewać mogłam.

— To dziwne... — szepnęła — jakby sama do siebie. — To dziwne... Ja to już kiedyś słyszałam. — Mnie to już ktoś mówił... nie raz!

Wstrząsnęła się.

— Ale ja w to nie wierzę! — zawołała z uniesieniem. — Tak samo jak nie wierzę, żebyś tu przyszła po co innego, niż żeby mi uragać, niż żeby się chełpić: "Patrz, jaka ja, a jaka ty!" Jabym się tak samo chełpiła, gdybym była tobą... A coś ty lepszego odemnie? Byłabyś jeszcze gorszą, gdybyś była na mojem miejscu! Jaka twoja zasługa, że nie jesteś?

— Żadna, Amando! — odpowiedziałam, po części, aby jej nie drażnić, a po części, że takie było moje najskrytsze przekonanie.

— Kłamiesz, obłudna świętoszko! Kłamiesz! Przez skórę czuję jak triumfujesz... i dlatego cię nienawidzę... nienawidzę, ty... drzazgo w mojem oku i ciemni w mojej stopie!...

Stałam bezradna wobec tej zaciekłości; jedno tylko mając pragnienie: wyjść stąd jaknajprędzej,

— Raz jeszcze proszę cię Amando, puść mnie — rzekłam. — Chyba dość długo słuchałam cierpliwie twoich niesprawiedliwych wyrzutów. Chyba wypowiedziałas mi już wszystko.

— Mie! nie wszystko! Teraz ci zrobię, satysfakcję!... Dotąd słuchałaś... teraz się napatrzysz!... napasiesz oczy! Więc! Patrz!

I nim mogłam zmiarkować co zamierza uczynić, posunęła się szybko ku okiennicy i rozwarła ją z trzaskiem.

Strumień światła lunął do środka.

Amanda stanęła w pełnym blasku, obu rękoma odgarniając włosy z twarzy.

— Patrz! Patrz!

Spojrzałam i mimowoli krzyknęłam po polsku:

— O! Boże! Istotnie, można się było przestraszyć, flmenda wyglądała okropnie. Owe dziwne, miedziane plamy tak bardzo ją szpecące zamieniały się w bąble nabiegłe krwią i materją i ta wstrętna ciecz sączyła się po czole i policzkach. Powieki i wargi były opuchnięte i sine.

W życiu nic równie obrzydliwego nie widziałam. Zrobiło mi się słabo, jak w Kubańskiej gospodzie. Obejrzałam się za jakimś sprzętem, o który mogłabym się oprzeć, bo kolana uginały się podemną. Ale izba była prawie zupełnie pusta. Chwiejąc się, zakryłam twarz rękoma.

— Ha! ha! ha! świszczą nademną zjadliwy śmiech Amandy — ha! ha! ha! Porcelanowa lalka mdleje, gdy zobaczy, że się koguty czubią; mdleje, gdy zobaczy krostę. Coś ty warta! I taka przyjeżdża tu, do Afryki. Tam ci trzeba było zostać, skąd jesteś; herbatką gości częstować i po kanapach się wylegiwać, skoroś taka delikatna. Ładną kulę uwiązał sobie u nogi ten... twój... mąż... podróżnik sławny... un explorador!... jak go tu nazywają... Ha! ha!.. ! Pójdiesz z nim może między ludożerców i dzikie zwierzęta! ha! ha! ha!

Milczałam, bo cóż jej miałam tłumaczyć, że można mieć odwagę pójść między ludożerców i dzikie zwierzęta dla idei i z ukochanym człowiekiem, a nie mieć odwagi patrzeć bez konieczności na rzeczy okrutne i plugawe. Nie byłaby tego zrozumiała.

Zresztą w sercu mojem podnosiła się znów taka fala litości, że ginał w niej wstręt i gniew...

Tyle niedoli! Tyle nędzy!... Ach! Nieszczęśliwa.

— Nie zasłaniaj niewinnych oczek — ciągnęła dalej Amanda — przypatrz się, jak tu u mnie pięknie. Kulawy stół, wyszczerbiona miska, utracony dzbanek... A! jest i kredensik... ale pusty... bo mnie choroba powaliła i z domu wyjść nie mogę, żeby wyżebrać choćby trochę herbaty i cukru... Gdyby nie jedyna poczciwa dusza wśród tych czarnych meger, Sara Kennedy, moja dawna sługa, z głodu bym umarła... ja! dla której nie było dość wykwintnych potraw, dość kosztownych win... I leżę tu całymi dniami, jak ten. pies, na tem barłogu z liści palmowych przykrytych łachmanem... A wiesz ty, jak ja zwykła byłam sypiać? Na puchach, na jedwabiach, na koronkach... W Paryżu miałam łóżko po jakiejś królowej francuskiej srebrnymi blachami wykładane... A dziś?... barłóg! Cóż? zadowolona jesteś? Masz dosyć? Idź że teraz precz i oby cię moje oczy więcej nie widziały!

Zatrzasnęła okiennicę i nie troszcząc się więcej o mnie powlokła się w głąb izby, powtarzając jęśliwie:

— O! Dios! O! Dios!

Na werandce czekał mój chłopak ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, nieruchomy jak posąg. Musiał słyszeć wrzaski Amandy, ale w swej

murzyńskiej obojętności nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. I tego również nie spostrzegł, że ledwo się trzymam na nogach i że musiałam być blada jak płótno.

Kazałam mu rozstawić płótniak i siadłam pod ścianą czując, że mi się kręci w głowie i że kroku dalej nie postąpię. Po jakimś czasie zrobiło mi się lepiej, ale o dojściu piechotą do domu nie mogło być mowy.

Postanowiłam więc wyprawić chłopca po hamak, a sama poczekać w jakiej faktorji. Nie chciałam iść do pana Fynna, aby uniknąć jego ciekawości; wolałam wstąpić do Ambas Bay.

Agentem tej faktorii, rywalizującej z Holtem, nie tylko na Fernando Pod ale na całym Zachodnim Brzegu był pan Carter, krańcowe przeciwieństwo pana Fynna pod każdym względem. Pan Fynn był bardzo wysoki, bardzo chudy i bardzo jasny blondyn. Pan Carter był bardzo niski, bardzo otyły i bardzo mocny brunet. Pan Fynn zawsze uśmiechnięty, rozpromieniony, jakgdyby tylko co wygrał wielki los na loterii, wyelegantowany, sprawiał wrażenie dandysa, przypadkowo zabłąkanego za ladą sklepową; pan Carter zawsze posepny, uroczy, jakgdyby wracał z pogrzebu własnego ojca, ubierający się ciemno, wbrew przyjętemu wszędzie w tropikach zwyczajowi, wyglądał na misjonarza, który się ze swoim powołaniem rozminął.

W handlu taktyka obu tych panów była również wręcz odmienną.

Pan Fynn wszystko zachwalał, pokazywał, poprostu łowił klienta w sieć uprzejmości i zachęty; pan Carter zachowywał się tak, jakgdyby wyświadczał łaskę kupującemu, że mu raczy coś sprzedać. Zawsze miał już tylko ostatek żądanego artykułu;

każdy choćby wczoraj przybyły towar był już zamówiony, zadatkowany... więc jedynie wyjątkowo... w niewielkiej ilości...

Czyja taktyka była lepszą, nie wiem; ale to pewna, że obaj robili świetne interesy i odmiennymi drogami dochodzili do tego samego celu.

Obaj też nienawidzili się z całego serca, i gdzie mogli sobie pomóc, tam sobie niechybnie zaszkodzili.

Gdy weszłam do Amba Bay z zewnętrznego wyglądu nie mogącej się porównywać z dekoracyjnie urządzonej faktorią Holta (co pan Carter nazywał "ubliżającym poważnemu handlowi mizdrzeniem się do klientów") jej agent znajdował się sam w sklepie i z wolna na moje spotkanie postąpił.

— Mrs Rogant, how are you? — wymówił kanzodziejskim tonem. — Wielki to zaszczyt takie odwiedziny w moich skromnych progach. Czy możliwe jest, abym mógł pani czem służyć?

— Niech mi pan pozwoli przedewszystkiem odpocząć trochę, panie Carter — rzekłam. — Wybrałam się na spacer piechotą, ale przeceniłam moje siły i byłam zmuszoną posłać po hamak.

— Allright — odpowiedział pan Carter — ja zaś pomyślałam, że to było w gruncie al wrong). — Z wielką przykrością usłyszałam o chorobie pani, Mrs. Rogant, i cieszę się widząc, że w każdym razie należy już ona do przeszłości. Czy mogę ofiarować pani szklanek piwa?

— Chętnie, panie Carter. Ale chciałabym także załatwić interes, który mnie tu sprowadził.

— Interes — powtórzył przeciągle pan Carter. — Chyba nic coby się tyczyło towarów? Nie przypuszczam bowiem, aby w moim shop'ie znaleźć

się mogło coś, co byłoby godnem takiej klientki. Uśmiechnęłam się.

— Owszem, panie Carter. Myli się pan, sądząc, że wyjdę stąd nie poczyniwszy pewnych zakupów — odpowiedziałam, wchodząc w jego oratorski styl.

— Goodness me! — rzekł pan Carter. — Cóżby to mogło być takiego?

— Potrzebuję herbaty, cukru, trochę mięsnych konserw, kilka puszek skondensowanego mleka, puszkę masła i kilka pudełek biszkoptów.

— Och! Och! Och! — rzekł pan Carter. — Wszak, jeżeli się nie mylę, wszystkie te produkty sprowadzacie państwo sobie bezpośrednio z Europy? Pocóż więc...

— Tak, ale każda reguła potwierdza się wyjątkiem. Ja wyjątkowo potrzebuję tych produktów stąd.

— Herbaty, cukru — wymówił pan Carter z namysłem. — Let me see! Co się tyczy herbaty, to mam już ostatni funt, który...

— Wezmę ten ostatni funt — przerwałam.

— Bardzo dobrze, A cukru, Mrs. Rogant, ile by pani sobie życzyła?

— Dziesięć funtów.

— Oh! dear me! Tyle stanowczo nie mogę; sprzedałem prawie wszystko. Parowiec spodziewany lada dzień.. Więc może z mojego prywatnego zapasu...

Było to powiedziane takim tonem, jakgdyby król rzekł: "Wypłaćcie tej kobiecie z mojej prywatnej szkatuły..."

— Będę panu bardzo wdzięczną.

W ten sposób robiąc trudności przy każdym

artykule, majestatyczny pan Carter załatwił bardzo skrupulatnie moje sprawunki. Wszystko się znalazło w żądanych ilościach.

— A teraz — rzekłam. — Poproszę pana o jedną grzeczność.

— Jestem na usługi pani, Mrs. Rogant — rzekł pan Carter, tonem nie zdradzającym wielkiej gotowości.

— Zechciej pan kazać to zapakować i posłać Amandzie del Cruzero od siebie.

— Amandzie del Cruzero! — powtórzył pan Carter, po raz pierwszy wyzbywając się zwykłej flegmy. — I to...

odemnie! Ależ ona w to nigdy nie uwierzy. Taka hojność z mojej strony jest rzeczą całkowicie niedopuszczalną.

— Więc niech pan pośle bezimiennie.

— Mrs. Rogant — rzekł pan Carter, wracając znów do kaznodziejskiego tonu. Dziesięć lat jestem na Brzegu i zaiste nigdzie, nigdy, nikomu nic, bezimiennie nie posłałem.

— Więc pošlij pan gdzieś, komuś, coś — odpowiedziałam, śmiejąc się, ale z pewnym rozdrażnieniem i bezwiednie, a priori, parafrazując słowa pana Pławickiego z "Rodziny Połanieckich", która jeszcze wtedy napisana nie była. — Co?... już?...

Wykrzyknik ten spowodowało pojawienie się hamaka przed werandą. Do sklepu wpadł zadyszany Antek.

— Jakim sposobem mogłeś wrócić tak prędko? — zawołałam.

— Mami! Ja spotkałem hamak w drodze. Yellowill mówił, że Massa był nadto rozgniewany, kiedy wrócił z pola i dowiedział się, że mami poszła do

miasta. Massą zaraz wysłał boyów! A to jest book () od Massy. Yellowill miał.



Wzięłam kartkę złożoną w specjalny, Biegowy sposób, tak zawikłany, że ovladnięcie jego tajemnicą wymagało osobnych studjów. Oczywiście nie było tam ani jednego słowa "gniewu", natomiast dużo słów, jakimi tylko miłość najtkliwsza przemawiać umie.

Zapomniałam o Amandzie, o panu Carterze, o sprawunkach. Fala błogości zalała mi serce. Więc jest ktoś co tak o mnie myśli; tak się o mnie troszczy; tak o mnie pamięta? Jestże skarb większy ponad taki skarb?

Wsiadłam do hamaka i z pomocą pana Cartera, który czynił to z taką ostrożnością, jak gdybym była z jakiegoś nadmiernie kruchego materiału, mogącego się pod jego dotknięciem rozsypać.

— Mrs. Rogant — wymówił uroczyście na pożegnanie — te sprawunki będą posłane adresatce bezimiennie.

Ocknęłam się.

— Sprawunki?... Ach! tak. Dziękuję.

Gdy hamak, szparko ruszywszy z miejsca, znalazł się na tej aloesowej drodze, na której po raz pierwszy ukazała mi się Amanda jak fantastyczna zjawka, wyrastająca z pomiędzy olbrzymich, do poszczerbionych murów podobnych liści, zobaczyłam ją nagle oczami wyobraźni w ciemnej, pustej izbie, skuloną na nędznym barłogu, okrytą wstrętnymi wrzodami, z piekłem bezsilnej wściekłości w duszy, chorą, głodną, wyczekującą może bezskutecznie,

przyjścia tej murzynki, która z łaski, jak ochłap bezdomnemu psu, rzuciła jej odrobinę, swego politowania.

I pod wpływem dziwnej plątaniny uczuć wtuliłam twarz w dłoń i płakałam, nie wiedząc czemu płyną te łzy: czy z nadmiaru własnego szczęścia, czy z żalu nad tamtą, bezdenną niedolą.

## VI.

Spełzły zatem na niczem moje samarytańskie zamiary względem Amandy i lękałam się tylko, aby w onem gnieździe plotek, jakim była Santa Isabel, jak dwie krople wody podobna w tem do naszych małych miasteczek, gdzie wszyscy, wszystko o wszystkich wiedzieć muszą, wiadomość o mojej porażce nie doszła do uszu gubernatora.

Ona sama mogła się pochwalić przed Sarą Kennedy, jak mnie przyjęła i ściągnąć tem nieobliczalne dla siebie skutki.

Truło mnie to tembardziej, że musiałam taić się z tem tam, gdzie dotychczas nie miałam jednej skrytej myśli;

wyrzucałam sobie, że zbytciem gorliwości popsułam całą sprawę i rezultat był taki, że zdrowie moje na nowo psuć się zaczęło.

Przyszędł drugi atak febry i "sfery miarodajne" postanowiły, że kilkutygodniowy pobyt w Basileh jest dla mnie konieczny.

Jakoż w pewien istotnie piękny ranek niewielki orszak wyruszył z Santa Maria.

Przodem niesiono mnie w hamaku; obok postępował mój mąż; za nami kilku boyów, dźwigających tłumoki z garderobą, pościelą i moc zapasów. Cały regiment puszek; worek ryżu, poleć wędzonego stokfiszka, klatkę z kurami, naczynia kuchenne.

Gubernatorskie tusculum mieściło się w poło

wie ostrego zbocza, na sporym, wylanym asfaltem placyku, który z tyłu łączył się z pochyłością i miał za ogrodzenie nieprzebitą ścianę bushu, z przodu zaś spoczywał na wysokiem podmurowaniu, na które wstępowało się po wygodnych, kamiennych schodach.

Sam domek wspierał się na żelaznych, mocnych słupach w tym samym stosunku bardzo wysokich z frontu i bardzo niskich z tyłu. Cały z lakierowanego na biało, karbowanego cynku, wyglądał jak z cukru. Wrażenie to podnosiły jeszcze malowane na zielono żelazne żaluzje (jedynie na całej wyspie) i także ażurowa galeryjka werandy. Niebotyczny mur dziewiczego lasu zataczał półkole z trzech stron, wydłużając się z przodu w ów wiodący do miasta gościniec.

Kilka gospodarskich przybudówek w tylnej części placu — to było wszystko.

I zaczęło się "Zdała od świata, aniele mój drogi..." podniesione do kwadratu...

Oprócz służby, co nie brało się w rachubę, nie widywaliśmy literalnie nikogo... Przez dwa tygodnie, nawet ślad ludzkiego życia nie przybłąkał się do nas. Gdzieś w dali nad nami, mogliśmy się domyślać ukrytych w gąszczu bubiskich bese (wiosek), bo podczas dnia tu i owdzie wykwiwały ponad wierzchołki drzew ametystowe spirale dymów, lub gdy miało się na deszcz rozwłóczyły po czubach swe jak z gazy utkane płachty; ale sami Bubisi nie pokazywali się nigdy, uzbrojone im bowiem było przechodzić koło Basileh.

Czasem w głębi puszczy huknął strzał i zduszonym echem tłukł się po zboczach; czasem coś zaszeleściło gwałtownie, lub rozległ się głuchy łoskot ciężko padającego ciała. Poza tem cisza.

Raz stałam oparta o balustradę werandy, wdychając z rozkoszą rzeźwy, nie zanieczyszczony wyziewami doliny powiew od morza.

Nagle z gąszczu z takim chrzęstem, z jakim rozdziera się jakaś bardzo mocna tkanina, wypadła na placu przecudna antylopa i stanęła, wbijając we mnie swe wielkie, orzechowe oczy. Nic nie zdoła opisać wdzięku tych smukłych kształtów, tych nieprawdopodobnie cienkich nóżek, tego suchego łebka, strojnego w łukowate różki. Była to jakby rzeźba wykuta w marmurze, w której się czuło giętkość bluszczu.

Wstrzymałam oddech, bo nigdy może człowiek, nawet mieszkaniec tych gór nie znalazł się w takiej bliskości z tem najpłochliwszem ze stworzeń. Miałam wrażenie, że ta puszcza, ta nieprzenikniona puszcza, tak zazdrośnie strzegąca tajemnicy swego dziewictwa, ukazuje mi nagle swój najśliczniejszy klejnot, niepochwytliwy czar, wieczną młodość i wolność... nigdy, niczem nie ujarzmioną wolność.

Wtem silniejszy powiew ód morza musnął mi twarz i zaigrał opadającym na czoło promieniem włosów. Nic, tylko promieniem włosów... Wystarczyło.

Coś jakby płowa błyskawica przecięła powietrze nad placikiem... znikło cudne zjawisko. I tylko przeciwległa zbita gęstwa zieleni drgała, zataczając faliste kręgi, jak powierzchnia jeziora, kiedy w nią wpadnie kamyk.

Co kilka dni Stefan schodził w dół na Santa Maria zobaczyć co się tam dzieje i wydać dalsze rozporządzenia. Wtedy zostawałam na cały dzień zupełnie sama z moim ulubionym pieskiem Mungusiem, który mnie nigdy nie odstępował, za całe towarzystwo.

Ale się nie nudziłam. Po raz pierwszy znalazłam się w tak bezpośrednim i wyłącznym zetknięciu z dziewiczą przyrodą, po raz pierwszy księga jej otwarła przedemną swą przecudną kartę. Mogłam w niej czytać i nigdy dość naczać się nie mogłam.

Miałam pióro, miałam drukowane słowo, mogłam swobodnie rozmyślać.

Czas schodził szybko. O żadnych spacerach nie można było marzyć, bo nieprzebyty mur puszczy, zagradzał zewsząd drogę. Nieraz brała mnie ochota wziąć boya z kotłasem, którymby wycinał przejścia w gąszczu i zapuścić się trochę wgłąb. Ale dałam uroczyste słowo, że tego nie uczynię. Zresztą, choć zdrowie moje poprawiało się z dniem każdym, nie czułam się jeszcze dość silną na takie próby.

Pobyt nasz w górach przypadł podczas pełni księżyca i danem nam było przeżywać na tych wyżynach owe podrównikowe noce, których tajemniczego uroku nie zrozumie nikt, kto go nie zaznał.

Wpół leżąc na polowych płótniakach, pozostawaliśmy na werandzie do późnego wieczora, jak zahypnotyzowani niepojętą siłą.

Było nam tak, jak gdyby wpuszczono nas na samo dno jakiejś czarodziejskiej amfory, napełnionej płynnym srebrem.

W jednym miejscu amfora ta zdawała się być wyszczerbioną i tuż pod naszymi stopami wylewał się z niej drogocenny strumień i umykał w dół. To był gościniec do miasta wodący.

Mirjady gwiazd, które na tej wysokości wyglądały zupełnie inaczej, niż na równinie, mieniły się tęczkami barw, wisząc w błękicie nocnym tak nisko, że niektóre zdawały się tkwić na wierzchoł

kach drzew, a nieznaną w Europie najwspanialszą ze wszystkich konstelacji Krzyż Południowy, rozpościerała nad naszymi głowami swe brylantowe ramiona.

Ściany bush'u pławiące się w księżycowych blaskach nabiegały w górze seledynowych tonów, ciemniejąc stopniowo ku dołowi, gdzie przetykały je gęsto szafirowe i złociste girlandy świetlików, tańczących jakby pod takt dla nich jedynie dosłyszalnej muzyki.

A była też i inna muzyka, za którą jednak bylibyśmy chętnie podziękowali.

To nasi boye siedząc przed swoim szałasem dokoła ogniska, urozmaicali sobie wieczorny chop śpiewem i monotonnym klakotem tamtamu.

Śpiew ten, wszelkiej melodji pozbawiony, był raczej jakimś jękiem, raptownymi wybuchami głosu przerywanem, zawodzeniem, mającym na celu opowiadanie sobie wzajem wydarzeń minionego dnia.

Jeden opowiadał, inni słuchali, powtarzając raz po raz pewne słowa piewcy w formie recitativu z nieuchronnym wykrzyknikiem Ola le! Ola le!

Znaliśmy już do tyła język krumański, by zrozumieć nieskomplikowaną treść tych improwizacji, co nam tem łatwiej przychodziło, że bywaliśmy najczęściej głównymi ich bohaterami.

"Massa poszedł dziś do miasta !"

Massa nim odszedł jadł() twarz i race mami".

Massa jest nadto głupi".

— Massa jest nadto głupi! Ola le! Ola le ! — podchwytywał z pełnym zapału przekonaniem chór.

Mami zrobiła kucharzowi palaver, że bierze nadto masła do chopu.

Mami zabrała puszkę z masłem do siebie".

Mami powiedziała, że będzie sama dawać masło kucharzowi".

"Mami jest nadto mądra!"

— Mami jest nadto mądra. Olale! Olale! — powtarzał z niemniejszym zachwytem chór.

Nareszcie zamilkły śpiewy i następowała cisza; cisza ludzka — bo wtedy zaczynał mówić bush.

A mówił potężnie i tajemniczo, wszystkimi dźwiękami, na jakie krtań człowieka zdobyć się może, oprócz jednego tylko i takimi jeszcze, jakie temu królowi stworzenia są jednak niedostępne.

Słyszeliśmy okrzyki wściekłości lub triumfu, jęki bólu, nawoływania rozpaczcy, trwogi, szepty miłosne, wybuchy namiętnych uniesień, syki zawiści, chichoty szyderstwa, — wszystko, wszystko w tem było; brakło tylko tego jednego tonu; litości i przebaczenia.

O tem widocznie nie miała pojęcia afrykańska puszcza!

I działo się z nami coś nieopisanego, gdyśmy tak tuż, tuż w sąsiedztwie naszej ludzkiej egzystencji, wyczuwali ukryte w głębi leśnych czeluści miljardy innych istnień, z których każde miało swój własny świat, dla których życie było takim samym skarbem jak dla nas, których walki o byt, o szczęście, kończyły się tak samo, jak u nas zwycięstwem silniejszych, których tragedje rozgrywające się bodaj na listku paproci miały ten sam podkład niezaspokojonej żądz, co kataklizmy dziejowe, które wstrząsają losami całych narodów.

Raz, gdyśmy tak trwali zapatrzeni i zasluchani, Stefan, który miał nadzwyczaj czujne ucho, pra

wdziwe ucho eksploratora, poruszył się niespokojnie, spojrzął na dół i nim zdążyłam zapytać, zbiegł ze schodów i popędził w stronę szałasów boyów.

Wychyliłam się przez balustradę. Na powierzchnię płacyku, jaśniejszą jeszcze niż w dzień, bo aż rażąco nikłą, wysuwały się z dna bush'u jakieś ruchome cienie, niby potworne macki lądowego polipa i pokrywały sobą całą przestrzeń, pełznąć ku domowi. Przybywało ich coraz więcej.

— Ants ! Bab ants ! — wołał grzmiący głos Stefana. — Boys ! make firr! (Mrówki, mrówki. Chłopcy! ognia krzesać).

Zrozumiałam. Było to najście mrówek, tych straszliwych drivers (wędrownych}, niemal fantastycznych swą mnogością. Musiał kucharz porzucić przez niedbalstwo jakiś odpadek mięsa i ono psując się, zwabiło z głębi puszczy tę żarłoczną armję, która teraz szła na nas zbitemi szeregami, jak regularne wojsko.

W mgnieniu oka cichy i pusty przed chwilą placzyk zaroił się i nappełnił wrzaskiem. Rozbudzeni boye biegali na wszystkie strony, znosząc pęki suchych hangów (palmowych łądyg) i miotając się jak opętańcy, bo mrówki już ich atakować zaczęły.

Momentalnie buchnęły płomienie ognisk, zmałyły srebrzystą poświatę księżycy, oblały czerwonym blaskiem nagie, czarne postacie, skaczące dokoła w konwulsyjnych podrygach i padły krwawemi smugami na sposepniałe nagie ściany bush'u, który stał tajemniczy i nieruchomy, jak gdyby szydząc z rozpaczliwych zmagañ się człowieka, króla stworzenia z minimalnym pyłkiem, strząśniętym z jego potęgi.

Niepomna, mogącego mi grozić niebezpieczeństwa, stałam zapatrzona w ten istny taniec szatanów, jakby na palecie jakiegoś Goyi wyśniony.

Wtem, sadząc po kilka stopni na raz wpadł na werandę mój mąż. Za nim pędził Antek i machał ognistym pękiem, palących się bangów, przyczem darł się w niebogłosy.

Bez słowa porwał mnie Stefan na ręce i wniósł do domu, zatraskując drzwi za sobą.  
Był czas — mrówki już wpełzały na słupy.  
Tymczasem Antek biegał po werandzie, wtykając gdzie się dało płonące hangi, co mógł czynić bezpiecznie, ile że cały domek był z metalu.  
Stopniowo milkły wrzaski boyów. Ognie zrobiły swoje. Miljardowa armja pierzchła.  
Atak był odparty.  
Ale co by się stało, gdyby najście zaskoczyło nas podczas snu? Ten żywy potop mógł nas literalnie zalać i zgotować nam straszliwą śmierć, nim byśmy się zdążyli opamiętać. Takie wypadki trafiały się na Czarnym Łądzie.  
Odtąd co noc dokoła placyku paliły się ognie i boye stróżowali przy nich na zmianę. Mogliśmy spać bezpiecznie, ale czar księżycowy prysł. Puszczą przemówiła zrozumiałym dla nas językiem, i okazała nam swoją wrogość.  
I teraz już wciąż mi się zdawało, że w tych rozmowach, których tajemniczość porywała moją wyobraźnię, słyszę głos, powtarzający nienawistnie i groźnie: Precz! Precz! Precz!  
Zresztą nie on jeden nawoływał do powrotu. Pora deszczowa nadchodziła. Tornada stawały się coraz rzsadsze i słabsze; deszcze coraz częstrze i dłużej trwające.  
Basileh opustoszało znowu. Puszczą mogła być zadowolona.

## VII.

Na Santa Maria zastaliśmy wszystko w porządku.  
Z radością powitałam ten dom, który tu, na obcym łądzie nabierał w moich oczach bezcennej wartości własnego kąta.  
Zaludniały go już wspomnienia... Zaczynał mieć swoją historję.  
Nazajutrz po powrocie, wybrałam się na zaniedbane od dłuższego czasu polowanie na motyle.  
Pora deszczowa miała wkrótce położyć kres tej rozrywce; należało korzystać z każdej chwili.  
Dnia tego wiodło mi się szczęśliwie. Złowiłam kilka pięknych okazów; ale to było niczem w porównaniu z tem, co w pewnej chwili ujrzałam.  
Na złocistym mangusie przysiadł istny cud skrzydlaty; poemat wspaniałych i rzadkich barw.  
Moje wiadomości entymologiczne były bardzo słabe, poznałam jednak po grubym, kosmatym tułowiu, że to nie był motyl, lecz ćma, wyjątkowo tylko pojawiająca się w dzień.  
Nie wątpiłam, że ją schwytam. Ćmy są wogóle ociążałe, a ta tak była zajęta uctowaniem na mangusie, że moje skradanie się nie zwróciło jej uwagi.  
Już podniosłam siatkę; już miałam ją nakryć... Wtem zaszeleściły kroki... kroki lekkie, lecz wystarczające... Ćma uleciała.  
A ! to dopiero! — syknęłam mimowoli po polsku. — Odruchowo rzuciłam wzrokiem w górę i zdumienie przywoździło mnie do miejsca.  
Miałam przed sobą inną ćmę kolorową — Amandę!  
Wyglądała jak przeobrażona. Nietylko znikły wstrętne wrzody, jakiemi widziałam ją okrytą za ostatnim razem, ale nawet owe miedziane plamy

zbladły dziwnie i w przyćmionem świetle alei były prawie niedostrzegalne.

Największa jednak zmiana zaszła w jej oczach, zionących zawsze dotychczas nienawiścią, szyderstwem i aż czarnych od rozgorzałych w nich namiętności.

Teraz, z pod długich, wywiniętych jak u dziecka rzęs, co było także osobliwością w tej twarzy tak przedwcześnie zniszczonej, podnosiło się na mnie, jakby nalane błękitem spojrzenie, tak nieśmiałe, zawstydzone i słodkie, że wyraz ten w szczególny sposób odmładzał ją i uszlachetniał.

We mnie jednak wspomnienie doznanych od tej kobiety zniewag było tak silne i tyle mi spowodowała udreki, że nie będąc widocznie zdolną do wzniosłych uczuć nadstawiania drugiego policzka, cofnęłam się mimowolnym ruchem niechęci i odrazy.

Ona to spostrzegła i, nim mogłam przeszkodzić, padła przedemną na kolana.

— Senora — wymówiła błagalnie, a głos jej był także zupełnie inny. — Senora ! Ja wiem... ale ja przyszłam... ja zebrałam przebaczenia... Na miłość boską, niech mnie Senora nie odtrąca... niech się Senora zlituje nademną niegodną, ale tak nieszczęśliwą!...

Ramionami oplatała moje kolana. Łzy płynęły po jej policzkach.

— Powstań, Amando — rzekłam, usiłując wyswobodzić się. — Rada jestem, że wróciłaś do zdrowia i lepszych uczuć! Powstań!

— Ale Senora mi przebaczy? Ja wiem, że zawiniłam strasznie, ale...

— Nie wspominajmy o tem — przerwałam. — Wstań i pójdź ze mną.

Skierowałam się ku domowi, a ona szła za mną w milczeniu. Przez całą drogę nie przemówiłyśmy obie ani słowa. Dopiero u stóp werandy frontowej odwróciłam się do niej.

— Wejdz, Amando, do mego domu. On jest w tej chwili twoim — rzekłam, używając z umysłu tej czysto hiszpańskiej formuły gościnności.

Spojrzała na mnie z niemą wdzięcznością.

Ma werandzie pojawił się Antek i zauważyłam, że nawet w bezmyślnych oczach tego chłopca mignęło coś podobnego do zdziwienia. Widocznie i on musiał coś słyszeć o Amandzie.

Kazałam mu przynieść herbatę, biszkopty i owoce.

— Usiądź, Amando — rzekłam, wskazując jej maderski fotel przy bambusowym stoliku. — Odpocznij.

Utkwiła znów we mnie błagalne, nieśmiałe spojrzenie.

— Ale Senora mi przebaczyła ?

— Powiedziałam ci już. Puśćmy to w niepamięć.

— A! więc jednak Senora nie przebaczyła!... I nie dziwię się — dodała smutnie. — Chociaż...

— Alboż to nie wszystko jedno? Kto zapomniał, tem samem przebaczył.

— O! nie! Senora, to nie wszystko jedno — odparła z żywością. — Można zapomnieć, a nie przebaczyć; i można przebaczyć, a nie zapomnieć.

Uderzyło mnie to powiedzenie.

— Jak to rozumiesz, Amando?

— Nie wiem, Senora. Nie umiem tego wytłumaczyć; ale czuję, że tak być może.

Zamyśliła się. Spoglądałam na nią z zaciekawieniem.

Teraz dopiero zauważyłam, że była ubrana ze szczególną starannością. Miała na sobie rodzaj luźnej sukni nieokreślonej mody, z bardzo wyblakłej, ale kosztownej materji, widocznie przechowywany troskliwie i wielokrotnie przerabiany zabytek dawnej świetności, a na głowie zamiast zwykłej namitki, żółtawą, jedwabną koronkę na sposób hiszpański na wysokim grzebieniu upiętą. Silnie wyszczotkowane, lśniące jak jedwab włosy, lekko falującą bogatą ramą okalały jej czoło i policzki, tak jak się to widuje na obrazach muriilowskich Madon. Zapewne i to tak ją zmieniło. Wydała mi się prawie ładną i zrozumiałam, że mogła być niegdyś zachwycającą.

— Siadaj, Amando — powtórzyłam łagodnie.

Ruchem, pełnym wdzięku osunęła się na fotel, składając ręce na kolanach. W jednej z nich trzymała jakiś pakiecik, owinięty w różową bibułkę.

— Widzi, Senora — zaczęła po chwili — jest na świecie człowiek, któremu wyrządziłam straszną krzywdę. Otóż, jestem pewne, że on mi ją przebaczył; zanadto mnie kochał, ażeby nie przebaczyć. Takie to już było serce, serce jakiego drugiego niema pod słońcem — ale i tego jestem także pewną, że mnie nigdy nie zapomniał i nie zapomni, bo jak można zapomnieć o tem, co nam złamało życie? Nieprawda, Seriom"?

Podniosła na mnie pytający wzrok, zamglony i smutny, a ze mną stało się coś dziwnego.

Doznałam takiego wrażenia, jak gdyby cień pana de Bretiniere przesunął się po werandzie. Było to tak fantastyczne, a zarazem tak realne, że zimny dreszcz wstrząsnął mną od stóp do głów. Skąd?... Dlaczego?...

Ona to spostrzegła.

— Co Senorze? Senora tak zbladła! Przeciągnęłam ręką po czole i czułam, że jest wilgotne i chłodne.

— Nic... nic... Coś mi się przypomniało. Tymczasem Antek wraz z drugim pokojowym boyem wnieśli herbacianą zastawę. Byli już do tyła wytresowani, że sprawnie i szybko nakryli stół kolorową serwetą, poustawiali wszystko co było potrzebne, nie przestając zerkać na Amandę poczem stanęli po obu stronach stolika ze skrzyżowanymi na nagich piersiach rękoma, wedle przyjętego na Brzegu zwyczaju.

Ale ja nie życzyłam sobie mieć w nich świadków, pomimo, że nie rozumieli ani słowa po hiszpańsku, Amanda wydawała mi się tak nieobliczalną, że jakiś wybryk gwałtowności z jej strony był zupełnie możliwy. Była w tej chwili pokorną i skruszoną, ale nużby jej strzeliło do głowy cisnąć we mnie filiżanką? To nagłe przeobrażenie budziło we mnie pewną nieufność.

— Możecie odejść — rzekłam do chłopców — sama naleję herbatę.

Wyszli, ociągając się.

— Powiedz mi Amando — rzekłam — co cię tak względem mnie zmieniło? Tak mnie przecież nienawidziłaś. Tyle mi miałaś do zarzucenia.

Zwiesiła głowę, jak winowajczyni.

— To ta paczka, Senora — szepnęła drżącym głosem.

— Jaka paczka ?

— Ta, co mi przysłał Carter. Ja się od razu domyśliłam, że to od Senory.

— Więc cóż stąd? Przychodząc do ciebie dałam ci chyba jeszcze większy dowód życzliwości. Taki, który można kupić za pieniądze jest najtańszy.

— O! Senara! Ja to wiem... ja to rozumiem... To też to nie ta herbata, nie ten cukier... to ta myśl... I po tem wszystkim co ja, djablica nieszczęsna, nagadałam, Senara powinna była plunąć w moją stronę i więcej się o mnie nie troszczyć... Ja byłam nawet pewna, że się Senora gubernatorowi poskarży, a to człowiek sprawiedliwy, ale srogi. Już on by mi zapłacił... Ja bym tak była zrobiła, będąc na miejscu Senory, bo ja jestem bardzo zła i mściwa... A Senora! O! Boże! Senora tylko to zapamiętała, że u mnie pustki w szafie!... Och!... ja tego wypowiedzieć nie zdołam... Ja sama nie wiem, co się ze mną stało, gdy tę paczkę zobaczyłam.

Zaczęła się trząść jak w febrze... Łzy gradem leciały po jej zwiędłych policzkach.

— Uspokój się, Amando — rzekłam łagodnie — to był tylko chrześcijański uczynek.

— Może... może... ale ja do takich uczynków nie przywykłam. Senora nawet wyobrazić sobie nie potrafi co to jest lata całe karmić się samą nienawiścią, samą złością, samą poniewierką i podłością ludzką... Serce się wtedy staje jak ten wrzód, który pęknąć nie może, a tylko wzbiera i boli... boli...

Obu rękoma przycisnęła to swoje biedne, wymęczone serce i mówiła dalej z coraz większym uniesieniem:

— A tu raptem jakby mi kto tę skorupę przeciął i jakby wyciekła ta obrzydliwa ropa. Tak Senora, to sprawiła dobroć Senory, ta dobroć anielska!

Zerwała się i znów runęła mi do stóp.

— Senora ani wie czem to było dla mnie... Ach!... Nie ta herbata, nie ten cukier, nie to mie

koi... przysięgam! Tyle razy bywałam głodna!.. To głupstwo... Ala ta dobroć!... ta dobroć!...

Obejmowała mi kolana, całując je i zanosząc się od płaczu.

I mnie coś ścisnęło za gardło... Położyłam ręką na jej głowie.

— Biedna, kolorowa ćma! — szepnęłam sama do siebie. — Biedna, kolorowa ćma!

A głośno rzekłam:

— Proszę cię, Amando, nie klękaj przedemną. Sprawiasz mi tem przykrość.

Odsunęła się trochę, ale nie wstała i w tej klęczącej postawie patrzyła na mnie, z jakimś bałwochwalczym uwielbieniem. Widocznie ta dziwna istota była zlepkiem samych krańcówosci.

— Powstań.

— Zaraz... Senora, zaraz... tylko jeszcze jedna prośba. Ja senorze coś przyniosłam. To moja własna robota... Niech senora nie wzgardzi. Niech to będzie dowodem, że mi przebaczyła niegodnej... Niech się senora ulituje!

Drżącemi rękoma rozwijała bibułkę i nieśmiało położyła mi na kolanach kanwową serwetkę, pracowicie wyszywaną różnokolorowemi pelami i paciorkami.

Pomimo wzruszenia uśmiechnęłam się mimowoli. Była to zapewne jedna z tych "robótek", jakeimi Amanda skraciała sobie czas, kiedy to nudziła się tak śmiertelnie pod opieką znanego pana Munro...

— Dobrze Amando, przyjmuję. Będę przykrywała nią koszyk do szycia w sypialnym pokoju. Cóż? Jesteś zadowolona? Przypadła mi znów do kolan i rąk, całując je namiętnie i powtarzając wśród łkań:

— Dziękuję! Dziękuję!



— A teraz usiądź i napij się herbaty — rzekłam, stawiając przed nią pełną filiżankę i przysuwając koszyk z biszkoptami.

— Senora będzie także piła herbatę ze mną? — zapytała niedowierzająco, widząc, że nalewam i sobie.

— Naturalnie.

— Niech senorze Bóg za to wynagrodzi! — zawołała z wybuchem wdzięczności zgoła nieproporcjonalnej do samego faktu.

Ale ja go zrozumiałam. Zrozumiałam to szczególne napięcie z jakim Amanda śledziła ruchy chłopców, gdy nakrywali do stołu i jakiś radosny niepokój, na widok drugiej filiżanki. Bo, mogłam ją była ucztować najwybredniejszymi przysmakami, wyświadczyć jej największe dobrodziejstwo, a wszystko to mogło być wynikiem jedynie litości, która nie wyłącza wzdargy.

Ale taka drobnostka, jak wypicie społem herbaty, znaczyło o wiele więcej dla tej sponiewieranej i odrąconej; było przyznaniem jej niejako tych praw społecznych, które sama podeptała, a za którymi tak bardzo tęskniła.

I chwyciła mnie dziwne rozrzewnienie połączone z pewną dozą komizmu, gdy obserwowałam tę dziecinną bacność z jaką Amanda pilnowała aby jednocześnie ze mną nieść łyżeczkę do ust i uciechę, jaką jej to sprawiało.

— Doskonała herbata! ach jaka doskonała! — powtarzała z zachwytem! O! senora ja takiej herbaty ( z naciskiem na takiej) nie piłam już od czasu, kiedy...

— Od jakiego czasu, Amando? — spytałam tonem wywołującym zwierzenia i napełniłam jej ponownie filiżankę.

— Och!... to już tak dawno!... I jak o tem myślę, to znowu czują, że można zapomnieć, a nie przebaczyć! Bo widzi senora, jest na świecie człowiek — a może już go niema, może zmarniał, jak mu się to należało — który znowu mnie skrzywdził okropnie. Ja już zapomniałam różne rzeczy, co się jego tyczyły, może bym go nawet na ulicy nie poznała — chociaż to pewno nie, bo taką miał urodę, jakiej się nie spotyka — a już zupełnie zapomniałam, co ja dla niego czułam, że jednak mogłam... ach! wspomnieć nawet o tem nie chcę... ale mojej krzywdy nie przebaczyłam mu i nie przebaczę nigdy... nigdy...

Oczy jej zaczęły ciskać błyskawice; twarz pocentkowała się na miedziano; rysy wykrzywiła bezbrzeżna nienawiść. Stawała się znów do dawnej Amandy podobną.

— Mówisz o de la Rochy? — spytałam, trochę zdziwiona tą gwałtownością.

— Senora o nim słyszała? Machnęła pogardliwie ręką.

— Gdzież zaś, senora. De la Rocha to był sobie łajdak, jakich wielu, przynajmniej ja takich wielu spotykałam. Cóż? W takim życiu jak moje to się ma przeważnie z łajdakami do czynienia. I, powiem senorze, że nawet nie wiem, czy on mnie rzeczywiście skrzywdził... Kiedy go poznałam, to już było ze mną, jak z tą filiżanką... Pełna po brzegi... już więcej dolać nie można... O! nie, senora... to był zupełnie kto inny!... zupełnie kto inny!...

Zaczęła ciężko dyszeć. Zaciśnięte pięści wyciągnęła przed siebie, jakgdyby grożąc komuś niewidzialnemu i ze wzrastającym uniesieniem, przerywanemi słowy, mówiła:

— To był ten zbrodniarz, który mnie wydarł tamtemu... który mnie zrobił tem, czem dzisiaj je

stem... ten, którego ja do ostatniego tchnienia wzywać na sąd Boski nie przestanę... Bo on tamtego unieszczęśliwił, a mnie zgubił... Po stokroć podły, po stokroć przekłety... Van Torp!... Zerwałam się tak gwałtownie, że lekki stolik przechylił się i obie filiżanki spadły na ziemię, tłukąc się w drobne kawałki.

— Van Torp! — powtórzyłam, nie wierząc własnym uszom — Van Torp!... Więc ty jesteś Rosa Nieves! Teraz ona z kolei skoczyła, jak prądem elektrycznym podrzuciona.

— Skąd senora to wie? — wybełkotała.

Stałyśmy naprzeciwko siebie, obie jak wrośnięte w ziemię, przedzielone pobojowiskiem filiżanek i jeziorkiem rozlanej herbaty.

Byłam niewątpliwie bardzo przejęta tem nadzwyczajnym, jakby z bajki odkryciem; patrzyłam na Rosę Nieves, powtarzając sobie w duszy: "Więc to ona! Więc to ona!" i całe opowiadanie pana de Bretiniere stało mi w pamięci tak żywo, jak gdybym je słyszała wczoraj.

Jakąż on miał słuszość, gdy mówił, że najwyższy stopień złego najeży zawsze do przyszłości!

Ale, czy przypuszczając najgorsze mógł mieć o takim najgorszym pojęcie?

Ta ukochana istota, której zbudował ołtarz w swem pięknem, szlachtnem sercu, przed którą, jak przed bóstwem klękała jego czysta młodość tu, na tej afrykańskiej wyspie, w takiej poniewierce, że lada murzyn mógł nią bezkarnie pomiatać, mógł jej rzucić w oczy: "miałem cię", jej — kobiecie białej! To było już poniżej tego dna sromoty, do którego zdołała sięgnąć europejska wyobraźnia pana de Bretiniere.

Te i tym podobne myśli błyskawicznie migały mi przez mózg; jakby obolały od doznanego wstrząśnienia, a jednocześnie czaiła się w nich natrętna świadomość pewnej śmiesznej strony tej sytuacji... Potłuczone filiżanki... rozlana herbata... niedojedzone biszkopty — w takim zestawieniu.

A na dobitkę podkreślił to bezwiednie krumanik Antek, który w tej chwili wbiegł na werandę i, znieruchomiawszy nagle, wytrzeszczonemi z nadmiaru zdziwienia i uciechy oczyma przelatował od Rosy na mnie, i ze mnie na Rosę.

— Czego tu chcesz — spytałam zniecierpliwiona. — Nie wołałam cię.

— Me save, mann (ja wiem, pani) usprawiedliwił się z pokorną skruchą ale Bubi przyszli. Mają nadto piękną jeleninę, jaja i yams. Mami kazała mówić sobie zawsze kiedy przyjdą. Czekają na tylnej werandzie.

— Powiedz, żeby kiedyindziej przyszli. Nie mam czasu. I sprzątnij to.

Zwróciłam się do Rosy:

— Chodź, Roso, do mego pokoju. Tam nam nikt nie przeszkodzi.

Poszła za mną w milczeniu ze zwieszoną głową.

Ale gdyśmy się już znalazły za drzwiami, w których przekreśliłam klucz, poskoczyła ku mnie. Widocznem było, że chciałaby chwycić mnie za ręce ale nie śmie.

— Kto senorze powiedział? Kto! Mnie się w głowie mać!

— Ja znam pana de Bretiniere, Roso — rzekłam. — On mi o tobie mówił.

— On!... On!... Vico!

Osunęła się na gabońskie maty, zaścielające pokój i zakrywszy twarz dłońmi, pozostała tak dłużej

szą chwilę. Ciche, głębokie łkania wstrząsały je plecami.

Siadłam w pobliżu i położyłam jej rękę na ramieniu. Skuliła się jeszcze bardziej pod tem dotknięciem, jakgdyby chciała schować się pod ziemię.

Podniosła wreszcie twarz, przeobrażoną znowu. Nie było w niej już ani gniewu, ani zawziętości, tylko bezbrzeżny, rozdzierający ból.

— Mówił o mnie, Senore! — szepnęła.. — Jak mówił?

— Z największą tkliwością. Z najzupełniejszym przebaczeniem.

— Och!...

Znowu zapadło milczenie. Przerwałam je pierwsza:

— Powiedz mi, Roso. Czy tobie się istotnie zdawało, że kochasz pana de Bretiniere?

— Dlaczego senora pyta, czy mnie się zdawało?...

— Bo gdybyś go naprawdę kochała, wtedy nie tylko dla Van Torpa i jego amerykańskich milionów, ale dla wszystkich władców świata i dla wszystkich skarbów świata nie byłabyś go porzuciła. Taką jest prawdziwa miłość, Roso i tak on ciebie kochał.

Słuchała ze skupieniem.

— Może tak i jest i zapewne tak jest, skoro senora tak mówi. Nie wiem. Ale ja tu jedno muszę powiedzieć. O! nie w mojej obronie... nie! Pocóż? Mnie już nic ani obronić, ani uratować nie może... Ale chciałabym, ażeby mnie senora zrozumiała. Ja byłam nieedukowaną dziewczyną, świata nie znającą, a przecież jakąś inną... Było we mnie coś takiego, że jak się potem czasami nad tem zastanawiałam, to czułam, że się we mnie

to coś zmarnowało i na złe drogi poszło; a gdybym się tak była gdzieindziej urodziła i gdyby jakie mądre ręce byty tem rządziły, to kto wie... kto wie, co by ze mnie było wyrosło?

Umilkła, a ja przypomniałam sobie co mi o jej wyjątkowej, wrodzonej inteligencji, o jej zupełnie fenomenalnej intuicji mówił pan de Bretiniere... i powtórzyłam w myśli: Kto wie, kto wie co by z niej było wyrosło? Może w niej tkwił jakiś talent wielki, który przez nikogo nie odgadnięty, nie kierowany, ujścia właściwego znaleźć sobie nie mógł? I ogarnęła mnie jeszcze większa litość nad tą okrutnie zwichniętą indywidualnością.

Rosa zadumała się przez chwilę; poczem ciągnęła dalej:

— Mnie się zdaje, że to była jakaś dziwna, niczem nie nasycona ciekawość. Od małego dziecka to czułam. Patrzyłam na wszystko, jakgdyby to były nie rzeczy same, ale ich przykrywki... Nie wiem, czy ja się dobrze tłumaczę... Ale tak było... Mówiłam sobie zawsze: "Dobrze; to na wierzchu; to już znam... ale co w środku?" Psułam zabawki; tłukłam łalkom głowy, rozpruwałam ich zgrabne, białe korpuski, a potem wpadałam w rozpacz, widząc, że to tylko skorupy i trociny...

Moja siostra, Carmena, była zupełnie inną. Nic nie niszczyła; wszystko umiała przechować, oszczędzać... Zawsze mi ją za przykład stawiano, chociaż była młodszą... To mnie tak bolało, że ją chwilami nienawidziłam... Bo cóż ja temu byłam winną, że byłam taką?

A potem, w miarę jak rosem, to wszystko co bliskie, czego mogłam dotknąć, obojętniało mi, a ta sama siła zaczęła mnie ciągnąć gdzieś w dal... Gdybym była mogła, to bym była tak szła, szła przed siebie, za czems co tam być musiało, co od

gadywałam, o czym śniłam, co mi było przeznaczone... I to była straszna męka, senora; tem większa, że się z tem nikomu zwierzyć nie mogłam, bo niktby mnie nie był zrozumiał... Tylko ludzie mnie nie ciekawili, bo taki miałam dar, że od pierwszego wejrzenia każdego nawskroś przejrzałam: Na ustach co innego, a w myślach co innego. W oczach łzy, a w sercu śmiech lub szyderstwo... Albo na odwrót. Jeden tylko Vico był jak z kryształu ulany. Jemu też jednemu wierzyłam... ale... ale...

Zawahała się i spuściła oczy, jakby zawstydzona.

— Ale co?

— Och, senora! ciężko mi się przyznać do tego i nieraz potem, gdy mi się to przypomniało, czułam, że już wtedy byłam bardzo zła... bo, widzi senora, mnie ta jego taka przejrzysta, bez żadnej skazy natura... nudziła. Czasem próbowałam dopatrzeć się w niej czegoś, co by mnie zaniepokoiło, choćby nawet rozczarowało, ale nie mogłam, a wtedy chciało mi się ziewać.

— A Van Torp? — zapytałam. — Jakże się stać mogło, że mając ten dar czytania w ludziach, jego nie przeniknęłaś... że jemu zaufałaś?

— Ja mu nie zaufałam, senora — odrzekła stłumionym głosem. — To było zupełnie co innego... On — bodaj go piekło pochłonęło! — on na mnie rzucił zły urok. Był jak te węże, co gdy spojrzą na biednego ptaszka, już po nim.. sam im w otwartą paszczę idzie... bo musi. Taką mają moc... To był straszny człowiek. Drugiego takiego chyba święta ziemia nie nosiła. Cztery lata z nim przeżyłam i nigdy nie mogłam się z tą jego szatańską mocą oswoić. Może to mnie przy nim trzymało?... Bo nie jego pieniądze... nie — nie...

Bogatszych od niego mogłam mieć, gdybym była chciała, a przecież...

— Więc on cię rzucił?...

Wbiła wzrok w ziemię. Rysy jej skurczyły się nienawistnie.

— Nie, senora — odrzekła ponuro. — On mnie nie rzucił. On mnie... sprzedał!

— Sprzedał cię! Jakto? Zaśmiała się dziwnie przykrym śmiechem.

— O! nie za pieniądze! Nie... Co jemu było po pieniądzach!

— Nie rozumiem.

— Spodziewam się... senora. Ktoby to potrafił zrozumieć? Chyba taki drugi potwór, jak on. Ale, jeżeli senora posłuchać zechce, opowiem wszystko. Tylko nie dziś... Taki mam zamęt w głowie... Jeżeli senora pozwoli, to przyjdę innego dnia.

— Dobrze. Tem bardziej, że i ja mam ci coś do powiedzenia.

— Spojrzała na mnie nagle zatrwożona.

— O!... Co takiego senora?

— Uspokój się. Coś, co się tyczy wyłącznie twego dobra.

— Mego dobra? — powtórzyła z goryczą. — A gdzież dla mnie jeszcze jakie dobro na świecie być może? Kiedy mam przyjść?

Naznaczyłam jaj dzień i porę, o jakiej wiedziałam, że będę sama i z frontowej werandy patrzyłam, jak wlokła się mangusową aleją, ciągnąc za sobą fałdy swej starej jedwabnej sukni, z plecami zgarbionymi pod koronkową mantillą, dopóki mi z oczu nie znikła.

I wydało mi się, że w ślad za nią niby cień fatalnej przeszłości, posuwa się wspaniała wiktoria

w dwa mleczno białe konie zaprzężona i na swych białych, aksamitnych poduszkach niesie w nieuchronną przepaść cudnie piękną kobietę, całą w bieli z olbrzymią więzią różowych róż na kolanach...

Wieczorem, przechodząc podwórzem nieopodal krumańskiego ogniska, usłyszałam głos mego pokojowca Antka. Z wielkiem ożywieniem, dumny że go starsi słuchają improwizował:

"Do naszej mami przyszła druga mami!" "Ta druga mami jest także białą, ale nie nadto. Ola le! Olale!"

"Także biała? ale nie nadto. Olale Olale" — zadziwił się chór.

"Ta druga mami jest nadto zła.

I potłukła filizanki naszej mami.

Nasza mami powinna była zrzucić ją ze schodów;

Żeby się tak potłukła jak te filizanki. Ola le! Olale!"

— Yao! Yao! Yao! — przytaknął chór. "Nasza mami wzięła ją do swego pokoju. Nasza mami nie kupiła dla tego nadto pięknej jeleniny i yamsu od Babi.

Nasza mami była nadto mądra.

Ale teraz jest nadto głupia. Ola le! Olale!"

— Yao! Yao! Yao! Jest nadto głupia. Ola le! Olale! — zabrzmiał jednoznaczny wyrok.

Ileż to podobnych wyroków, opartych na takich samych podstawach: co mnie się podoba jest mądre, co mnie się nie podoba jest głupie, bywa ferowanych nie tylko przy krumańskich ogniskach, ale przy blasku opinii najbardziej cywilizowanego

## VIII.

Gdy w oznaczonym dniu Rosa stawiała się punktualnie, zaprowadziłam ją odrazu do mego pokoju i tam kazawszy podać herbatę, zapowiedziałam Antkowi, aby pod żadnym pozorem nie ważył się nawet pukać do drzwi.

Wiedziałem, że wieczorem powstanie z tego nowy poemat o mojej głupocie, ale byłam zrezygnowana.

Rosa przysiadła znowu na gabońskich matach u moich stóp, upewniając, że tak jej będzie najwygodniej.

— Mówiłam seniorze — zaczęła — że zapomniałam wielu rzeczy, dotyczących się Van Torpa i to jest prawda. Nie mogę, na przykład, przypomnieć sobie, choć starałam się o to, w ciągu tych kilku dni, chwil pięknych i szczęśliwych, jakie z nim spędziłam, a przecież wiem, że takie chwile były; bo ten urok, jaki na mnie rzucił, nie mógłby bez nich trwać. Za to, pamiętam doskonale, jakby to było wczoraj, wszystko, co się z początkiem mojej z nim znajomości wiąże.

Pamiętam zwłaszcza dzień, w którym po raz pierwszy z ust Vica usłyszałam o jego istnieniu. Już zrana, obudziwszy się, powiedziałam sobie: "Dziś się coś stanie".

Wprawdzie ja tego, żeby się coś stało, czekałam, odkąd zaczęłam myśleć, ale to było tylko czekanie; a tego dnia to była pewność. "Stanie się coś" — powtarzałam sobie przez cały dzień, ale czy co dobrego, czy złego nie wiedziałam. Więc też, gdy wieczorem Vico o zwykłej porze nie przyszedł, przeleżałam się, bo mi się ułożyło, że albo umarł, albo go jakie wielkie nieszczęście spotkało. I czy go nie spotkało?... niech senora

sama powie! Jakże tu takim głosem nie wierzyć? Chociaż wtedy to się nawet zupełnie przeciwnie przedstawiało i on biedak nigdy tak szczęśliwym się nie czuł, bo wybiegłam na jego spotkanie i widział, że się o niego trwożyłam.

A ja, skoro zaczął opowiadać i nazwisko Van Torpa wymówił, powiedziałam sobie zaraz: "To jest to". I dlaczego? Nie było przecież żadnego prawdopodobieństwa, że go zobaczę. Cóż? Przyjechał, odjedzie, jak tylu innych ludzi, co na naszą wyspę z różnych powodów przyjeżdżali, a ja ich nigdy nie widziałam. A tymczasem co do Van Torpa odrazu byłam pewna nie tylko, że go zobaczę, ale że się na tem nie skończy.

A kiedy przyszedł nazajutrz z Viciem... Ach, Senora! Co to była za dziwna chwila!... Spojrzałam na niego i nawet nie mogę powiedzieć, czy mi się podobał, czy nie... Tylko było mi tak, jakgdybym go już gdzieś, kiedyś widziała, a pierwsze słowa, jakie wymówił to były te, które już gdzieś, kiedyś w taki sam sposób, takim samym głosem powiedziane słyszałam.

I ciągle mi to wrażenie towarzyszyło. Ze mną prawie nie rozmawiał, lecz ja czułam, że wszystko, co mówi, powiedziane jest jedynie do mnie, a każdy jego ruch, każde spojrzenie przeznaczone jest jedynie dla mnie... fl potem, akompanjowałam mu na cytrze do jednej hiszpańskiej piosenki, którą sama także często śpiewałam.

"Ni contigo ni si tin  
Tienen mis penas remedio:  
Contigo, porque me matas,  
Y sin ti, porque me muerio".

"Ni bez ciebie ni przy tobie  
Niema końca mej żałobie:  
Bo przy tobie śmierć mnie czeka  
A umieram gdyż zdaleka".

Stał tuż przy mnie, ja patrzyłam na struny... ale czułam, że wzrok jego wsącza mi się w żyły i napelnia je jakimś nieznanym mi dotychczas warem.

Gdy przebrzmiała ostatnia strofka, a wszyscy, nie wyłączając biednego mego Vica zaczęli bić oklaski, Van Torp pochylił się w ukłonie tak nisko, że oddech jego oblał mi kark a palce dłoni, którą przyłożył do piersi niby niechcący, musnęły w tem poruszeniu moją rękę.

— Sin ti me muerio (bez ciebie umieram) — szepnął, przekręcając słowa piosenki.

Zatrzęsłam się cała, pokój zawirował mi przed oczami, on zaś stał spokojny, uśmiechnięty i coś mówił do mego ojca już zupełnie innym głosem.

Nazajutrz, zaproszeni przez Van Torpa, pojechaliśmy wszyscy na jego yacht.

Ja byłam wciąż jak odużona i może dlatego ten przepych, o którym tyle naopowiadał nam Vico i który po raz pierwszy naoglądały moje oczy, nie uczynił na mnie wielkiego wrażenia.

Zapewne też nie zdawałam sobie sprawy, że całe wrażenie przeniosło się na tego, który był panem tych wspaniałości i że dzięki im, urok jaki na mnie rzucił, potęgował się z każdą chwilą. On zaś, zachowywał się znowu tak, jak gdybym ja tylko jedna znajdowała się na tym statku; każde jego spojrzenie zdawało się mówić: "to wszystko twoje i ciebie nie dość godne".

A czynił to w taki piekielnie zręczny sposób, że nikt prócz mnie na tem się nie poznał, nawet Vico, co mnie w najwyższym stopniu dziwiło i potrosze gniewało. Byłabym wolała, ażeby okazał choć odrobinę zazdrości: żeby nie był tak ślepy i tak wierzącym.

I jak gdyby sam szatan chciał Van Torpowi dopomóc, tak się złożyło, że po podwieczorku interes jakiś odwołał mego narzeczonego na ląd chwilowo, a Van Torp skorzystał z tego, aby się do mnie zbliżyć. Staliśmy na dunecie, po raz pierwszy, jakby sam na sam, bo moja rodzina znajdowała się w pewnym oddaleniu. Zresztą to byli tacy ludzie, że cień podejrzenia nie byłby im przyszedł do głowy. Jakże? Byłam zaręczoną — to wystarczyło.

A Van Torp, oparłszy się o balustradę, przemówił zniżonym głosem.

— Czy wie, piękna senorita, czego bym pragnął w tej chwili.

— Skądżebyś mogła wiedzieć — odrzekłam, nie patrząc na niego. — Znam pana dopiero od wczoraj. Pragnienia pana są mi zupełnie obce.

— Ale mogą nie być obojętne; choćby dlatego, że się tyczą ciebie, cudna królowno kwiatów; a tego się chyba domyślasz.

Przycisnęłam się do balustrady piersią, jakby w obawie, że mi serce z niej wyskoczy.

— Czy mam powiedzieć? — zapytał.

— Jak pan sobie życzy.

— A więc, pragnąłbym zdjąć z tej prześlicznej szyi stryczek, jaki sobie sama nałożyłaś i otoczyć ją najpiękniejszymi perłami.

— Jaki stryczek? — zapytałam zdumiona.

— Ten, na jakim zawieszysz, gdy poślubisz tego przezacnego pana de Bretiniere.

Krew buchnęła mi do twarzy. Czy z oburzenia — nie wiem? Zwróciłam się ku Van Torpowi i oczy nasze spotkały się po raz pierwszy długim, jakby wzajem wyzywającym się spojrzeniem. Dotychczas widzę ten dziwny uśmiech, jaki drgał na

jego ślicznych ustach; uśmiech okrutny, a jednak pełen czaru.

— Jak pan śmiesz — zaczęłam. Przerwał mi.

— Wiedz, piękna senorito, że niema takiej rzeczy, jakiej bym nie śmiał, gdy mi fantazja przyjdzie.  
— Ja panu zabraniam mówić w taki sposób o moim narzeczonym — przerwałam, chcąc koniecznie stawić mu czoło.  
— W jaki sposób? Wszak nazwałem go przeznaczonym. Czy jest w tem co uwłaczającego?  
Zamilkłam, nie znajdując odpowiedzi. On ciągnął dalej:  
— Zresztą nie o niego mi chodzi, lecz o ciebie. Sama nie wiesz, co czynisz. Nie znasz świata, piękna Roso, a świat cię woła; świat ciebie pożąda, bo taka wyjątkowa piękność jak twoja należy się światu, żeby ją podziwiał, żeby za nią szalał, żeby się nią napawał! ty to niewątpliwie czujesz.  
Słuchałam go w milczeniu i wzrok mój zwyczajem swoim pobiegł w przestrzeń tam, gdzie krył się ten świat nieznany, do którego od tak dawna tęskniłam. Ogarniało mnie przerażenie. Ten obcy człowiek zdawał się czytać we mnie.  
Pochylony nade mną, owiewając mnie płomiennym oddechem, szeptał:  
— Powiedz! Czyżbym się omylił? Czyżby te oczy twoje, tak wciąż gdzieś w dal wpatrzone kłamały? Powiedz! Nic że cię nie nęci, poza domowem podwórkiem tej twojej wyspy, na której możnaby skonać z nudów? Niczego poznać nie pragniesz?  
— Mój narzeczonny obiecał zawieźć mnie po

ślubie do Paryża — zawołałam z naiwnym triumfem.

Van Torp zaczął się śmiać.

— Do Paryża! Po ślubie. Hal hal ha! Wyobrażam sobie ten Paryż przy boku prawowitego i przykładowego małżonka: Przyzwoity hotel w przyzwoitej dzielnicy; zdrowe obiady i kolacje w przyzwoitych restauracjach, zwiedzanie osobliwości miasta z Baedekerem w rękę. Opera, kawiarnie na wielkich bulwarach, sprawunki w Luwrze i Bon Marché, a jako szczyt filisterskiego wybryku nowożeńców wieczór w Edenie, albo Folies Bérgeres. Ale ten Paryż, w którym tętni życie całego świata, który wszystko co najbujniejsza fantazja wymarzy, człowiekowi rozporządzającemu tą potęgą, jaką jest pieniądz, dać może; ten Paryż, który szaleje, zbytkuje, pławi się w rozkoszach, pozostanie wam obojgu nieznanym. I wróćcie z niego, jakbyście w nim nie byli; mąż do kantoru, żona do gospodarstwa i tam dalej. Taką będzie twoja przyszłość, nieświadoma dziewczyno! A czekają cię w niej dwie tylko możliwości: Albo cię ta atmosfera małżeńskiego kurnika udusi; albo prędko roztyjesz się w niej i zbrzydniesz, jak wszystkie kreolki.  
Milczałam. Po chwili Van Torp odsunął się trochę ode mnie.

— Widzę mój gig powracający z panem Bretiniere — rzekł, a ja mimowoli pomyślałam: "Już".

— Rozmowa nasza nie jest skończona — mówił dalej prędko. — Nim popełnisz samobójstwo, uroczą królowo kwiatów, co jak słyszałem, ma za kilka dni nastąpić, chciałbym wskazać ci sposób ocalenia. Przrzeknij mi, że jutro o jedenastej przed południem znajdziesz się w tej alei, która prowadzi do waszej willi.

— Pan mi naznaczasz schadzki — wyszeptałam, czując że mnie ogarnia jakaś nieprzeparta pokusa potajemnego sam na sam z tym dziwnym człowiekiem, a jednocześnie pojęcia w jakich mnie wychowano, zbuntowały się we mnie.



— Schadzke?... Nie. Spotkanie. Dalszy ciąg rozmowy, którą prowadzimy w tej chwili. Tylko rozmowy — dodał z naciskiem. — Na to daję ci moje słowo, a Leslie Van Torp zawsze dotrzymuje danego słowa. Zaufaj mi, a będziesz mi wdzięczną całe życie. Więc przyjdiesz?

Nie mogłam wydobyć głosu z gardła. Miałam je jak zasznurowane.

— Odpowiedz — nalegał niecierpliwie. — Pan de Bretiniere za chwilę będzie na poładzie.

— Tak — wyjąkałam i w tej chwili rozstrzygnęła się cała moja przyszłość.

Rosa zakryła twarz rękami i pozostała tak czas jakiś w milczeniu, które uszanowałam. Gdy wreszcie podjęła znów wątek opowiadania, oczy jej były wilgotne.

.....  
— Leslie czekał już na mnie w alei, gdyśmy się nazajutrz spotkali. Pocałował mnie w rękę na powitanie z największym uszanowaniem, a jednak było w tym pocałunku coś takiego, co targnęło całym moim jestestwem i zaraz rzekł:

— Zastanowiłem się i widzę, że niepodobniestwem nam będzie rozmawiać tu, gdzie każdej chwili mogą nam przeszkodzić, co ze wszech miar byłoby niepożądanem. Ale znalazłem w pobliżu spokojne schronienie. Tam pójdziemy.

— Gdzie? — zapytałam, cofając się instynktownie.

— Powtarzam: Zaufaj mi — rzekł, magnetyzując mnie wzrokiem. — Będziesz tam tak bezpieczną, jak wczoraj na moim yachcie. Daję ci znowu na to moje uroczyste słowo. Zresztą nie będziemy sami... Nie wahaj się; czas nagli. Byłam już tak pod jego wpływem, że poszłam, gdzie mnie prowadził.

Po drodze objaśnił mi, że trafił mu się niedaleko pusty domek i że go wynajął za pośrednictwem swego sekretarza, którego tam zastaniemy.

— To człowiek całkowicie mi oddany i na jego dyskrecję możesz liczyć, piękna Roso, jak na moją — dodał. — Po hiszpańsku nie umie, choć zna kilka obcych języków, i jeśli zechcesz, może być świadkiem naszej rozmowy. I tak się stało. Podczas całej tej mojej pierwszej bytności, ów sekretarz ani na chwilę nie wychodził z pokoju i ani słowa nie przemówił. Zasiadł z nami jednak do przygotowanych już najwykwintniejszych przekąsek i szampana, co mu nie przeszkadzało wstawać co moment, by zmieniać talerze i nalewać wino. Poza tem siedział w kącie z książką w ręku.

Widziałam go już na yachcie w charakterze jakby majordoma i odrazu powzięłam do niego nieprzewycięzony wstręt. Później miał się ten wstręt usprawiedliwić, bo fałszywszej i podlejszej istoty nie spotkałam nigdy.

Nazywał się jakoby Mottoggetti i był z pochodzenia jakoby Grekiem, ale myślę, że było to takim samym fałszem, jak wszystko inne, co w nim. To pewna tylko, że był to człowiek uniwersalny. Znał chyba cały świat i wszędzie był jak u siebie w domu. Mówił po angielsku jak Anglik, po francusku jak Francuz, po włosku jak Włoch, po nie

miecku jak Niemiec. Jestem pewna, że równie dobrze władał hiszpańskim językiem, choć się z tem nigdy przedemną nie zdradził.

Nie było rzeczy, którejby nie umiał. Gotował jak pierwszorzędny kucharz, a w sztukach pięknych miał podobno sąd najwytrawniejszego znawcy. Ja o tem oczywiście sądzić nie mogłam, ale tak mi mówili tacy, którzy się na tem rozumieli.

Dla tych jego wszechstronnych zalet — a układnym był jak lis — stary pan Van Torp, wyprawiając syna w tę dwuletnią podróż, przydał mu go niby za sekretarza, a w rzeczywistości za przewodnika i doradcę. I w złej chwili swego życia zrobił ten wybór.

Mottoggetti stał się złym duchem tego złego ducha, jaki już tkwił w Lesliem. Jestem pewna, że on pierwszy podsunął mu ten szatański pomysł, którego ja padłam ofiarą.

Teraz, gdy o tem myślę, zdaje mi się, że on nawet był na swój sposób przywiązany do Van Torpa, ale znajdował jakąś przewrotną rozkosz w deprawowaniu go, tak jak Van Torp znajdował rozkosz w deprawowaniu mnie. A! Senora; stanowiliśmy osobliwą trójkę... Takiej drugiej chyba nie było na świecie!

Rosa umilkła znowu i ponuro patrzyła przed siebie.

— Powiedz mi, Roso — rzekłam — czy Van Torp obiecywał ci małżeństwo?

— Nie, Senora. Tego mi nigdy nie obiecywał, bo gdyby był obiecał, to by się ze mną ożenił.

Tę sprawiedliwość muszę mu oddać. Dotrzymywał zawsze danego słowa, Ale i to powiedzieć trzeba, że potrafił dawać słowo na takie rzeczy, przed którymi każdy uczciwy człowiek byłby się

cofnął. Nie. On mi powiedział tylko: "Jedź ze mną w świat. Tam czeka na ciebie szczęście. Ja ci je dam", A widząc, że otwieram usta, aby wybuchnąć obrazą, dodał prędko: "Nie mów mi teraz nic. Namysł się... Rozważ... Jutro o tej samej porze dasz mi tu na tem samem miejscu odpowiedź".

Ach! jak on umiał we mnie czytać! Jak on wiedział, że w pierwszej chwili byłabym mu odpowiedziała stanowczo:

"nie", że, gdyby był chciał wywierać na mnie jakikolwiek nacisk, była bym się stanowczo oparła; była bym uciekła z tej jaskini pokusy, żeby więcej nie wrócić.

I znowu jestem pewna, że taki młody chłopiec, jakim on był, niemógł mieć takiego doświadczenia, takiej znajomości kobiecej natury, że to ten nikczemnik Mottoggetti, który już, gdyśmy byli na yachcie nie spuszczał ze mnie oka, musiał ten plan postępowania ze mną podyktować. A teraz siedział w kącie i niby czytał książkę, a jego czarna dusza musiała się radować naprzód...

Leslie wymógł na mnie tylko obietnicę, że przyjdę nazajutrz z odpowiedzią i na tem się to pierwsze nasze potajemne spotkanie skończyło.

Wróciłam do domu z mocnem postanowieniem, że ta odpowiedź będzie odmowną.

Ale gdy się znalazłam wśród swoich, wśród tych skromniutkich przygotowań do mego wesela, gdy wieczorem przyszedł Vico, uszczęśliwiony nabytkiem jakichś mebelków do mego gabinetu, które mu się udało okazyjnie kupić, gdy mi ta cała szarzyzna mojej przyszłej doli, jaką mi odmalował Leslie, stanęła przed oczyma, porwała mnie taka ckliwość, taki niesmak, tak mi się to wszystko wydało mdłe, płaskie, taka mną ośładnęła tęsknota za tym nieznanym światem, który wyciągał do mnie

ramiona, i taka pustka zrobiła się raptem dokoła mnie, że naprawdę doznałam wrażenia, jak gdybym miała strycalek na szyi, i że mnie on już dusić zaczyna...

Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Wszystko, co było we mnie lepszego szeptało mi: "Zostań! Zostań! Nie łam życia temu, który cię tak kocha, który ci tak wierzy! Nie idź tam więcej! Gdy nie przyjdiesz, tamten domyśli się; odjedzie i będzie po wszystkim".

Ale na tę myśl zrywała się we mnie burza protestu. Po wszystkim!... Więc miałabym już nigdy więcej nie zobaczyć tego dziwnego człowieka, który już mi dał tyle nowych wrażeń, który ich jeszcze tyle mógł mi dać!...

— Nie! — wołałam w duszy, łamiąc ręce. — Nie! To niemożliwe! Ja tu nie wytrzymam! Ja się zadławię! Sam los mi go zesłał w porę!...

I nazajutrz powiedziałam: "Tak".

Przez pozostałych kilka dni, dzielących mnie od mego ślubu, codziennie widywałam się z Lesliem, pozorując wydalanie się z domu na kilka godzin odwiedzinami chorej przyjaciółki, która miała być moją druhną.

Nie byłam jeszcze tak zepsuta, ażeby samej wymyślić tę bajeczkę; poddał mi ją Leslie, a opanował mnie już tak bezwzględnie, że ślepo spełniałam jego wolę i moja despotyczna natura znajdowała w tej obcej mi dotychczas uległości szczególną błogość.

.....

Teraz ja przerwałam Rosie. Chciałam się przekonać czy pewne przypuszczenia pana de Bretiniere były trafne.

— Powiedz mi — rzekłam — czy ani razu nie

przyszła ci chęć zbuntowania się przeciw temu jarzmu; cofnięcia się póki czas?

— Owszem, Senora. W wigilię tego dnia, kiedy miał się odbyć mój ślub i kiedy miałam uciec z Van Torpem. Było to po rozmowie poprzedniego wieczora z moim narzeczonym, w której odsoniła mi się, jak nigdy, jego szlachetna dusza i jego wielka dla mnie miłość. Uczułam wtedy, jak straszną chęć mu wyrządzić krzywdę, jaki bezcenny skarb podeptać! Spędziłam znów bezsenną noc, znów dobre i złe duchy stoczyły we mnie walkę, ale tym razem dobre zwyciężyły.

Pobiegłam do Van Torpa z mocnym postanowieniem zerwania. Zaklinałam go na wszystko, co mu świętego być może, żeby mnie zostawił. Włóczyłam mu się u nóg, błagając, żeby odjechał bezemnie. On wysłuchał tego wszystkiego spokojnie, tylko wpatrywał się we mnie z takim natężeniem, jakby mi chciał oczami wypić duszę, a gdy wyczerpana, mylnie sobie ten spokój tłumacząc, umilkłam, powiedział:

— Bardzo ładną chwilę dałaś mi, Roso. Nigdy nie byłaś tak piękną i tak zajmującą. Niema dla mnie nic ciekawszego nad widok takiej wewnętrznej rozterki. Tego za pieniądze kupić nie można. Nadzwyczaj mnie zainteresowałaś.

— O! Leslie! — zawołałam — więc się zgadzasz! Wracasz mi wolność?

— Mówisz jak dziecko — odpowiedział. — Czy sądzisz, że ja cały tydzień siedzę tu jak kret w jamie, tracę czas i szarpie sobie nerwy, by z tego wszystkiego zrobić prezent twemu narzeczonemu? I w jakim celu? Jeżeli nigdy nie byłaś dla niego odpowiednią żoną, to tembardziej teraz. Sama nie wiesz, czego żądasz. Ledwobyś od ołtarza odeszła,

jużbyś pożałowała twej bezużytecznej ofiary. Gorzej niż bezużytecznej, bo zamiast szczęścia piekłobyś dała temu człowiekowi. A ty?... Myślisz, że potrafiłabyś zapomnieć o mnie? A! usiądź tu przy mnie; daj mi twe koralowe usta i nie mówmy o tem.

— Dobrze więc — rzekłam — skoro nie chcesz dobrowolnie, ja się bez twojej zgody obejdę. Nie pojedę z tobą. Gwałtem mnie przecież nie zabierzesz. Zostanę.

Jemu twarz zrobiła się tak straszna, że ścierpłam całą.

— Spróbuj — rzekł chłodno. — Nie znasz jeszcze Lesliego Van Torpa. Daję ci moje niecofnione słowo, że gdybym dziś w nocy nie znalazł cię na umówionem miejscu — zabiję cię !!!

— Ach, Roso! — rzekłam — jakże naiwną byłaś! Łatwo to powiedzieć: zabiję cię. Taki człowiek jak Van Trop, sądząc z tego, co o nim od pana de Bretiniere i od ciebie słyszałam, nie narażałby lekkomyślnie całej swej przyszłości. Zabójstwo okupuje się więzieniem i śmiercią. I ty tej czczej pogroźce uwierzyłaś!

Poruszyła głową.

— To nie była czcza pogroźka, senora — odpowiedziała zwolna. — Gdyby nie miał przy sobie Mottoghetti'ego możebym nie uwierzyła, Ale tamten!... senora nie ma pojęcia co to był za potwór. Im lepiej miałam możliwość poznać go później, tem silniej wierzyłam, że on niejedno ludzkie życie miał na swoim, jakże tu powiedzieć: sumieniu, skoro on wcale sumienia nie miał? i zawsze się tak potrafił wywinąć, że mu wszystko uchodziło bezkarnie... A ja okropnie bałam się śmierci... i kochałam życie... och! jak ja je kochałam... ja.

je nawet jeszcze teraz kocham. Przecież gdyby nie ta miłość życia, to tyle co ja przeszedłszy, powinnam była z dziesięć razy popełnić samobójstwo!... A zresztą ja nie chcę taić... zaczęła się we mnie budzić wątpliwość, czy jednak Leslie nie miał słuszności, mówiąc, że pożałowałabym wprędce mego postanowienia i już przez resztę tego, nigdy nie zapomnianego dnia doznawałam takiego uczucia, jakgdyby cała moja istota rozdierała się we mnie, na dwoje... A w nocy wymknęłam się cichutko z uspięnego rodzicielskiego domu, ucałowałam próg, wydeptany stopami moich przodków i poszłam tam, gdzie mnie czekał Leslie i moje przeznaczenie...

Mówiłam senorze, że zapomniałam te wszystkie piękne i słoneczne chwile, jakie spędziłam z Lesliem. Stąd wnoszę, że jednak musiałam być szczęśliwą w owych pierwszych czasach, bo postać jego rysuje mi się w oczach jak przez mgłę, przysłonięta natłokiem nowych wrażeń i uczuć... To jedynie zapamiętałam, bo mnie to równie bolało, jak dziwiło, że wśród największych upojeń, najnamiętniejszych pieszczot wybuchał nagle śmiechem i wołał: "Chciałbym wiedzieć, jak wygląda i co porabia teraz ten przezacny pan de Bretiniere i wielebym dał, gdybym mógł pokazać mu nas w tej chwili". A gdy prosiłam, by o nim nie wspominał w ten sposób, bo mnie to rani, śmiał się jeszcze bardziej i powtarzał: Ty tego nie rozumiesz, Rosy. A to byłaby kapitalna rzecz".

Wylądowaliśmy w Hawrze. Tam yacht został wynajęty na rok (Leslie zabrał ze sobą tylko swój zbiór fajek) i rozpoczęliśmy podróż po Europie. Pierwszym naszym etapem był Paryż.

Przepędziliśmy w nim pół roku, bo Leslie zapisał się na jakieś wyższe kursa handlowe i uczyć

szczał na nie gorliwie, co mu nie przeszkadzało szaleć wraz ze mną wieczorami do późnej nocy. To była taka bogata natura, że umiał wszystkiemu poddać i wszystko, czego się tknął, doprowadził do doskonałości. Mottoghetti, który kierował jego studjami, nazywał go genialną głową i mówił że zrobi z niego pierwszego na świecie finansistę. Nie wiem ile prawdy było w tych. zapewnieniach, to tylko wiem, że gorliwie starał się wykorzeniać w nim wszelkie szlachetne popędy.

Ja ze swej strony brałam lekcje angielskiego i francuskiego i szybkie czyniłam postępy. Dla wprawy rozmawiałam z Mottoghettim, który mnie oprowadzał po Paryżu, kiedy Leslie nie mógł mi towarzyszyć. Dużo wiadomości nabywałam obcując z tym tak nadzwyczajnie wykształconym człowiekiem; nie mogłam jednak przewyciężyć wstępu, jaki od początku ku niemu powzięłam i nawet nie starałam się z tem kryć.

On jednak udawał, że tego nie widzi. Był dla mnie zawsze ogromnie grzeczny i uprzedzający; nazywał mnie "Perłą", wychwalał przy każdej sposobności, ale instykt ostrzegał mnie że mam w nim utajonego wroga i że wcześniej lub później zemści się on na mnie.

Leslie zauważył moją niechęć i rzekł mi raz:

— Co ty, Rosy, cierpisz do tego kochanego Mottoghetti'ego? On przecież stara się zgadywać twoje myśli i zawsze mówi do mnie o tobie z entuzjazmem.

— Brzydę się nim, jak gadem — odpowiedziałam.

— Ale dlaczego?

— Choćby dlatego, że ciebie tak psuje. Zaczął się śmiać.

— Ależ on mnie nie psuje. On tylko leczy mnie z tej resztki skrupułów, jakie się we mnie jeszcze kołaczą, bo twierdzi, kto ma skrupuły, ten nigdy do niczego nie dojdzie, zwłaszcza finansista, I ma rację. Gdybym miał skrupuły, to byś nie była moją — dodał, ogarniając mnie ramieniem. — Czy żałujesz tego?

Nie. Nie żałowałam. Leslie dotrzymał obietnicy. Dał mi wszystko, o czym marzyłam, do czego się rwała moja wyobraźnia. Stary pan Van Torp, uszczęśliwiony wiadomością, że syn wstąpił do akademii handlowej, zasypywał go prosto dolarami; on zaś szafował niemi z królewską hojnością.

Miałam więc wspaniały apartament, liczną służbę, konie, powozy, stroje, brylanty... Nie poznawałam samej siebie w tych zbytkownych ramach. Gdziekolwiek się ukazałam budziłam zachwyt. A Leslie pysznił się mną i jak mówiłam mu, śmiejąc się, obnosił mnie pomiędzy ludźmi, jakgdybym była naprawdę bezcenną perłą w jego krawacie.

A szczególnie cieszył się, gdy widział, iż mężczyźni tracą dla mnie głowę. Był zupełnie pewny mojej wierności i nie mylił się. Pamiętam jednego młodego malarza, którego nazywano francuskim Velasquez'em, ubolewając przytem, że jako suchotnik, nie zdąży zapewne dać sztuce tych wszystkich arcydzieł, jakie jego wielki talent zapowiadał.

Zakochał się on we mnie do szaleństwa. Chodził za mną jak cień, siadał gdzieś w kącie i potrafił godzinami, wpatrywać się we mnie. Leslie, skoro to zauważył, natychmiast zamówił u niego mój portret, on zaś wcale się o cenę nie umawiał, jakgdyby mu była obojętna, chociaż podobno był zu

pełnie ubogi; zastrzegł sobie tylko, ażeby portret mógł być wystawiony w dorocznym Salonie, który wkrótce miał być otwarty.

Leslie chętnie się na to zgodził. Nie opuścił ani jednego posiedzenia i afiszował swoją dla mnie czułość, bo widział, że biednemu malarzowi sprawia to niewysłowioną mękę. A potem się z niego wyśmiewał. Mnie go czasem było żal, a czasem także go drażniłam i śmiałam się.

Po skończeniu portretu artysta sam zawiózł go na wystawę, wybrał najlepsze dla niego miejsce, a nazajutrz znaleziono go tam na podłodze z przestrzeloną głową. Za ramę portretu wsunięta była kartka: "Nie znajdę nigdy równie pięknego modelu. Nic lepszego nigdy nie stworzę. Nie mam już po co żyć".

Śmierć ta uczyniła na mnie wielkie wrażenie; Leslie zaś rzekł tylko: "Przewidywałem taki koniec. To mu patrzyło z oczu" i poszedł obejrzeć trupa, poczem sprawił mu wspaniały pogrzeb.

Z Paryża pojechaliliśmy do Anglii. Trafiliśmy na pełnię wiosennego sezonu w Londynie. Cały highlife bawił w stolicy, ale pomimo nagromadzenia tylu pięknych i świetnych kobiet, każde moje ukazanie się czy to w teatrze, czy na publicznych zabawach wywoływało sensację. Toalety moje ekscentrycznością i przepychem gasiły inne. Wpředce zaczęto mnie nazywać the professional beauty.

Życie nasze było jednym pasmem uciech i wrażeń.

Nieraz z najwytworniejszej restauracji na St. James jechaliśmy do jakiejś podejrzaney garkuchni w dzielnicy White Chapel. Leslie lubował się w takich kontrastach. Uczęszczał też i tutaj na jakieś fachowe wykłady; zwiedzał fabryczne miasta, zawiązywał stosunki handlowe.

A wśród tego wszystkiego znajdował zawsze czas dla swoich utrapionych fajek i pudełek od zapalek. Nie wspominałam dotąd Senorze, że miał na tym punkcie rodzaj manji. Powiększał wciąż swoje zbiory i wysyłał je częściowo do Ameryki, a z najcenniejszemi okazami woził się wszędzie.

Gdzie tylko zasłyszał o jakimś zbieraczu, zaraz z nim zawierał znajomość i zaczynały się wzajemne oglądania kolekcji, kłótnie o autentyczność, zamiany, co czasem godzinami trwało. Ja patrzyłam wtedy na niego, jak na warjata i jeśli powstawały między nami nieporozumienia, to zawsze na tem tle.

— Wolisz te przebrzydłe fajki, niż mnie — powtarzałam mu często, a raz w wyjątkowem rozdrażnieniu zawołałam:

— Gotów byś jeszcze przehandlować mnie za jaki dziwoląg.

Na co Leslie zupełnie serjo rzekł:

— Nie przyszło mi to dotychczas na myśl, ale gdyby się tak okoliczności złożyły...

— Na szczęście czasy niewolnictwa minęły — przerwałam szyderczo, lecz zimny dreszcz mną wstrząsnął.

— Czyż minęły? — rzekł Leslie w zamyśleniu. — Każdy człowiek jest czegoś lub kogoś niewolnikiem; tylko nie zawsze wie o tem, do czasu.

I swoim zwyczajem zaczął się śmiać.

Lato spędziliśmy w Ostendzie. Potem przyszła kolej na Berlin, Wiedeń i Włochy. Leslie wszędzie się czegoś uczył, z czemś się zapoznawał, podług wskazówek Mottoghetiego.

Mnie czas nie dłużył się nigdy; każdy dzień przynosił jakieś nowe wrażenia i ani się spostrzegłam, jak nadeszła druga rocznica mojej ucieczki z domu.

Zastała nas ona w Neapolu. Przybywszy do tego czarodziejskiego miasta Leslie powiedział:

— Tu będą moje wakacje. Tu nie chcę o niczym innym słyszeć tylko o zabawie i rozkoszy.

Los jednak pokrzyżował te zamiary przez nagłą śmierć starego pana Van Torpa. Trzeba było natychmiast wracać do Ameryki. Ale tu powstała trudność jak postąpić ze mną? Co uchodziło w Europie nieznanemu, a sypiącemu złotem turyście; to było niedopuszczalnym w jego rodzinnym New Yorku i Leslie rozumiał to doskonale.

Z drugiej strony byłam mu jeszcze tak... drogą, jeśli to się tak da nazwać, że o rozstaniu się ze mną nie mogło być mowy.

Pozostawało jedyne proste i uczciwe wyjście: ożenić się ze mną, i wierzę głęboko, że Leslie pod wpływem lepszych uczuć, jakie w nim śmierć ojca, którego bardzo kochał, rozbudziła, byłby to uczynił, gdyby nie... Mottoggetti. On zapewne musiał mu wykazać lekkomyślność podobnego kroku, teraz właśnie, kiedy, tak młodym jeszcze będąc, został dziedzicem tak olbrzymiej fortuny i kiedy mógł szukać sobie żony wśród księżniczek i hrabianek europejskich. Zresztą wynalazł mu radę, godną jego przewrotnej duszy.

Przypadek zrządził, że zaraz po przyjeździe do Neapolu spotkał w pierwszorzędnej restauracji, do której przyszliśmy na obiad, niemłodą, ale jeszcze bardzo przystojną osobę i pół żartem, pół serjo przedstawił nam ją, jako swoją od dawna rozseparowaną z nim żonę.

Otóż teraz namówił Lesli'ego, żeby zabrał na yacht tę damę w charakterze owej prawowitej małżonki; ja zaś miałam uchodzić za ich córkę.

Leslie zgodził się bez wąchania; mnie nikt o zdanie nie pytał. Zresztą było mi to obojętnym,

o ile mi tylko nie groziło rozłąką z Lesliem. Na dnie duszy, sama przed sobą, nie przyznając się do tego, żywiłam nadzieję, że prędzej lub później nasz stosunek musi się skończyć małżeństwem.

Tymczasem przybyliśmy do New Yorku. Mnie

i moim wrzekomym rodzicom dano zupełnie osobny apartament w magnackim pałacu Van Torpa na Fifth Avenue. Nie wiem, czy krewni i bliżsi znajomi Lesli'ego wierzyli w tę naprędce skleconą rodzinę sprytnego sekretarza, ale pozorom stało się zadość.

Natychmiast po powrocie Leslie, z tą krańcowością, jaka go charakteryzowała, pogrążył się w interesach. Nie poznawałam hulaszczego sybaryty. Od wczesnego rana do późnej nocy przebywał bądź w zarządzie, gdzie pracował cały sztab urzędników, bądź w swoim prywatnym gabinecie, gdzie przyjmował znaczniejszych klientów; bądź objeżdżał fabryki, zatrudniające armję robotników; nie pomijał najdrobniejszego kółka w tej olbrzymiej i skomplikowanej maszynie, jaką mu ojciec w spuściźnie zostawił.

Podobno ostatnimi czasy zaczęło się coś psuć w finansach przedsiębiorstwa, a to na skutek kolosalnych wydatków, jakich wymagał pobyt Lesli'ego w Europie, a z jakimi, zawsze rachunkowy i przezorny pan Van Torp, zaślepiony miłością dla jedynaka, zupełnie przestał się liczyć. Podobno też to zachwianie się interesów tak wstrząsnęło nawykłym do świetnego zawsze powodzenia przemysłowcem, że przyczyniło się w znacznej mierze do jego nagłej śmierci.

Tak przynajmniej dawał do zrozumienia Mottoggetti, o ile raczył z nami, kobietami, o takich rzeczach rozmawiać i zwykle dorzuczał:

— Ale Leslie się z tem upora. Nie z takichby on wybrnął tarapatów. To genialna głowa! Genjalna głowa! Stosunek mój z Leslie'm uległ też z konieczności zmianie. Widywaliśmy się dorywczo, na krótko, zaledwie kilka razy na tydzień, ale gdy sobie to teraz usiłuję przypomnieć, widzę, że, jeżeli jakie chwile naszego wspólnego życia były coś warte; to te; jeżeli kiedy kochaliśmy się, to wówczas. Leslie zapracowany, pochłonięty wyłącznie myślą podźwignięcia chylącej się do upadku budowy, obmywał bezwiednie duszę z brudnego nalotu, wyłącznie tylko na zmysły i wyobraźnię działających podniet, którym się tak bez upamiętania w Europie oddawał. Nigdy dotychczas nie znający co to troska, wynosił z twardych zapasów z przeciwnościami umysł zmęczony, ale jakby podatniejszy, do kojących, miękkich wrażeń. I garnął się do mnie nietylko, by zaspokoić namiętne porywy, lecz po raz pierwszy w objęciach moich szukał wytchniania i osłody. Ja to odczuwałam i także stawałam się inną, tem bardziej, że i na mnie zmienione warunki otoczenia, spokój i cisza wśród zawsze najwykwintniejszych wygod zbawienny wpływ wywarły. Dopiero, gdy odurzająca atmosfera ciągłych uciech i szałów przestała na mnie działać, nastąpiło we mnie jakby odprężenie nerwów; poznałam do jakiego stopnia wyczerpało mnie to niezdrowe życie. Może z czasem moja nieszczęsna, ciągłych zmian łaknąca natura, byłaby się tem znudziła; na razie jednak doznawałam takiego wrażenia, jakgdyby, zaczadzoną pałacami wyziewami, miotaną wirem oszłamiających wstrząśnień zanurzono mnie

w rzeźwiącą kąpiel czystego powietrza i na łożu z delikatnie woniejących róż spocząć dano. Moja rzekoma matka, — pomijając jej przeszłość, która zapewne musiała być plugawą, skoro łączyły ją stosunki z takim jak Mottogetti człowiekiem, — w codziennem obcowaniu okazała się przyjemną, łagodną kobietą. Nie tała się z tem wcale, że gdyśmy ją w Neapolu spotkali, położenie jej materjalne było bardzo ciężkie, że zagrażała jej nędza, to też ten niespodziewany przytułek, jaki w pałacu Van Torpa znalazła, wydawał jej się poprostu rajem. A że stało się to pośrednio z mojej przyczyny, więc polubiła mnie przez wdzięczność. Z pochodzenia Angielka była nawet dosyć wykształconą i pod jej wpływem nabierałam upodobania w czytaniu. Dickens, Walterscott i Wiktor Hugo stali się mymi ulubionymi autorami... Tak; to były dobre, czyste chwile... Nadzieja zostania wreszcie żoną Leslie'go coraz bujniej rozrastała się w mojej duszy... On sam postępowaniem swoim przyczyniał się do tego. Raz powiedział mi pół żartem, pół serjo, a w ustach człowieka, który miał taką cześć dla słowa, to znaczyło bardzo wiele: — Coraz bardziej wchodzisz mi w życie, Rosy. Nie będę już chyba mógł obejść się bez ciebie. I jego zawsze chłodne jak stal, nawet w chwilach upojeń, oczy, spojrzaly na mnie tak miękko, tak po raz pierwszy "poczciwie", że zarzuciłam mu ręce na szyję i szepnęłam: — Tak, jak ja bez ciebie, Leslie... Tak... to były dobre, czyste chwile i tę jedną z nich wyraźnie zapamiętałam.



Ale Mottoggetti czuwał...

Nie mogłam nigdy zrozumieć, jaki miał w tym interes, żeby nie dopuścić do ożenienia się Lesliego ze mną, chyba, że powodowała nim zemsta za niechęć, jaką mu od początku okazywałam. Chwytał się więc wszelkich sposobów. Gdy pierwszych kilka miesięcy żałoby minęło, a Leslie coraz częściej wyjeżdżał z Nowego Yorku za interesami i czasem po tygodniu i dłużej był nieobecny, Mottoggetti, niby przez życzliwość dla mnie jął mu przekładać, że towarzystwo jednej, niemłodej kobiety nie może wystarczyć takiej jak ja, nawykłej do ciągłych zabaw dziewczynie i że powinnam zakosztować trochę rozrywek.

Leslie z łatwością zgodził się na to. Zaczęłam więc pod opieką mojej mniemanej matki pokazywać się w teatrach, na spacerach i innych miejscach publicznych i jak wszędzie, zwracałam na siebie powszechną uwagę.

Wkrótce skupiło się dokoła mnie grono złotej młodzieży Nowojorskiej.

Leslie będąc zupełnie pewnym swojego wpływu nademną nie okazywał najlżejszej zazdrości. Owszem; wyśmiewał się po dawnemu z moich wielbicieli; a ja mu wtórowałam.

Znalazł się jednak między nimi pewien bardzo bogaty, młody przemysławiec, który tak się we mnie rozkochał, że nie zważając na to, co sobie o mojej roli w pałacu Van Torpa szeptało, był nawet gotów ożenić się ze mną.

Mottoggetti, wywnioskowawszy to, ułatwiał nam swoją szatańską zręcznością spotkania, a moja wrzekoma matka, zapewne stosując się do jego wskazówek, zapraszała młodego milionera, na herbatki i często zostawiała nas samych, za co czyni

am jej potem wyrzuty. Odgadłam bowiem tę grę i miałam się na baczności.

Doszło do tego, że rozkochany Yankes oświadczył się formalnie moim wrzekomym rodzicom o moją rękę i dostał formalnego kosza — odemnie.

Mottoggetti był wściekły a Leslie triumfował; ale i wtedy nie powiedział mi wyraźnie: "Zostaniesz moją żoną".

Tak minął rok.

Widocznie Leslie był tą genialną głową, za jaką go miał Mottoggetti; bo nie tylko doprowadził do ładu zagrożone interesy, ale postawił je na jeszcze świetniejszej stopie, niż były kiedykolwiek. Zaczęto go nazywać stalowym królem. I wtedy doszła do skutku zamierzona jeszcze w Europie podróż do Japonji i Indji Wschodnich, której na przeszkodzie stanęła wtedy nagła śmierć starego Van Torpa.

Znaleźliśmy się znów na pokładzie yachtu White Lady, z którym tyle dla mnie wiązało się wspomnień.

Przed wyjazdem Leslie chciał oddalić moją opiekunkę, jako już niepotrzebną w tej egzotycznej wycieczce, a sądząc, że i Mottoggetti miał jej dosyć i pragnął się jej pozbyć, więc ja właśnie dlatego, a po części pomnąc na jej do mnie przywiązanie, wymogłam na Lesliem, że ją zostawił w pałacu, niby dla dozoru nad służbą.

W Japonji spędziliśmy kilka miesięcy. Dziwnie mi się niepodobał ten kraj, o którym przedtem słyszałam tyle zachwyty. Było mi tu nieswojo

I wszystko mnie drażniło: począwszy od języka, z którego ani słowa zrozumieć nie mogłam, a kończąc na ciągłym uśmiechu, jakim Japończycy, niby w liberję, ubierają wciąż swe płaskie twarze. Czytałam w nim nieszczerłość i drwiny.

Może wpłynęła na to i ta okoliczność, że tu po raz pierwszy zauważyłam zmianę na gorsze w stosunku Lesliego do mnie.

Czy to, że odzwyczaiał się od ciągłego ze mną obcowania, czy też wdzięczna jaka giejsza podziałała na jego zmysły urokiem nowości, ale często zostawiał mnie samą wśród tego obcego otoczenia, gdzie wszystko tak mi było niemiłym. Nienawykła do tego, aby mnie zaniedbywano, stałam się zazdrosną, podejrzliwą i czyniłam Lesliemu gwałtowne wymówki, co oczywiście zajątrza tylko sytuację.

W Indiach było jeszcze gorzej. W Leslie'm zbudziła się żyłka myśliwska. Jeździł na polowania w dalekie dżungle, a ja zostawałam sama, albo na yachcie, albo na łądzie, gdzie mi było bardziej jeszcze obco, niż w Japonji. Przytem klimat mi nie służył. Miewałam często gorączkę i bóle głowy, a okrutne upały doprowadzały mnie do najwyższego zdenerwowania.

— Nie jesteś stworzona do egzotycznych podróży, Rosy — powtarzał z niezadowoleniem Leslie. — Robisz się nieznośną, a to ciągle kwękanie każdemu obrzydło.

— Przedewszystkiem nie jestem stworzoną do tego, ażeby mnie zaniedbywano — odpowiadałam z goryczą. — A że obrzydłam, to aż nadto dobrze widzę.

— Jeszcze nie — zaprzeczał chłodno Leslie — ale łatwo do tego dojść może, jeżeli się nie zmienisz.

— To ty się zmień i bądź takim jak dawniej, a i ja wtedy będę inną — wołałam rozżalona i zaczynałam płakać.

— Łzy! — wykrzykiwał Leslie. — Już mnie niema!

I, korzystając z pozoru, czempředzej zostawiał mnie znów samą.

Chytry Mottoggetti pilnował, żeby nie doszło pomiędzy nami do porozumienia, podjudzając sprytnie to mnie przeciwko Leslie'mu to Lesliego przeciwko mnie.

Tak się rzeczy miały, gdy przybyliśmy do Kalkuty na dłuższy pobyt. Leslie wynajął piękną bungla (willę) za miastem i znowu, jakoby dla zapoznania się z miejscowemi stosunkami przemysłu i handlu, których Kalkuta jest ogniskiem na całe Indje, większą część dnia, a bywało i wieczór, spędzał poza domem.

Ja jednak nauczona doświadczeniem, postanowiłam nie czynić mu żadnych wyrzutów i, choć mnie to dużo kosztowało, pokazywałam mu twarz uśmiechniętą, witając słodkiem, serdecznem słowem.

To byłoby może odniosło dobry skutek, ale Mottoggetti zaczął napomykać niby od niechcenia, że Leslie znalazł sobie w mieście nową kochankę, prześliczną, młodziutką angielkę i że ta opanowała do całkowicie. Na poparcie słów swoich przytoczył mi jakieś dowody, które może były zmyślone, ale tak zręcznie, że im uwierzyłam.

Wtedy zrobiłam Leslie'mu tak piekielną scenę, do jakiej sama nie sądziłam się być zdolną. Wpadłam poprostu w furję. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy, ale nie poraz ostatni w dalszem życiu, o czem, niestety, i senora miała możność przekonać się... Myślałam, że go rozszarpię.

On ani się wypierał, ani usprawiedliwiał, co wprawiało mnie w tem większą wściekłość, ale patrzył na mnie z zaciekawieniem i widocznie go to bawiło,

— Brawo, Rosy! — zawołał, klaszcząc w ręce

i śmiejąc się. — Wyglądasz, jak Gorgona, dopóki jeszcze była piękna. Wolę to, niż szloch i jęki.  
W odpowiedzi porwałam ciężki wazon, jaki miałam pod ręką i cisnęłam w niego.  
Zręcznym ruchem uniknął ciosu i chwycił mnie za ręce, miażdżąc je w stalowym ujęciu.  
— Słuchaj, Rosy — rzekł zniżonym głosem i patrzył na mnie swymi bładoniebieskimi oczyma, które potrafiły być tak straszne. — Jeżeli raz jeszcze coś podobnego się powtórzy, zabiję cię, jakbym zabił domowego psa, który się wściekł.  
Daję ci na to moje słowo.  
Złękłam się. Wiedziałam, że to nie jest czcza pogróżka. Siłą woli powściągnęłam szalejącą we mnie burzę i znowu na jakiś czas nastąpił spokój.  
Pewnego wieczora Leslie wrócił do bungli szczególnie podniecony. Dnia tego udało mu się zawrzeć znajomość z sir Adrianem Lancaster, o którym już niejednokrotnie przedtem wspominał, jako o zapalonym zbieraczu różnych osobliwości.  
Ów sir Adrian zajmował przed laty w Indiach wysokie stanowisko urzędowego doradcy jakiegoś młodego radcy, z ramienia Anglii, potem wycofał się z życia politycznego i zamieszkał w Kalkucie, powiększając swą olbrzymią fortunę kolejowymi spekulacjami i gromadząc coraz nowe okazy do swoich zbiorów.  
Między innymi, posiadał wspaniałą kolekcję fajek, i Leslie, dowiedziawszy się o tem, zapragnął gorąco obejrzyć ją, co nie było rzeczą łatwą, bo sir Adrian miał opinię nieprzystępnego odludka. Wreszcie, jak we wszystkim, tak i w tem mu się powiodło. To, co zobaczył, przeszło jego oczekiwania, a zwłaszcza jeden okaz, o którym marzył, odkąd go ta fajczana manja opętała.

Oczywiście kupić go nie było sposobu, Ale Leslie i tu nie dał za wygraną. W swoim zbiorze posiadał również bardzo rzadkie sztuki; więc może drogą zamiany...

W tym celu zaprosił sir Adriana do siebie na obiad i widocznie tak się musiał wziąć zrećnie do rzeczy, że zaciekawiony kolekcjonista nie odmówił.

W całej naszej bungli aż zawrzało. Leslie wysilił całą swoją pomysłowość na przygotowanie jaknajwspanialszego przyjęcia. Mnie zapowiedział, żebym się ustroiła odpowiednio i żebym "oczarowała" gościa.

Nie potrzebowałam dokładać w tym kierunku żadnych starań. Gość od pierwszego spojrzenia został oczarowany. Byłam przyzwyczajona do tego wyjątkowego wrażenia, jakie mój widok sprawiał na mężczyznach, ale to, jakiego doznał Sir Adrian, było wręcz piorunujące. Ten niemłody już, sztywny Anglik, poprostu oszalał. Wodził za mną oczami jak urzeczony. Nawet gdy oglądał zbiór fajek Lesliego, zdawał się nie widzieć ich, tylko mnie.

Na mnie zaś, goryczą zaniedbywania karmionej, te hołdy brytyjskiego arystokraty działały jak dobroczynna rosa na wędzący kwiat.

Ożywiłam się, rozweseliłam i musiałam być istotnie czarująca, bo i Leslie spoglądał na mnie po dawnemu, Mottoggetti umiejętnie dolewał oliwy do ognia...

Był to piękny wieczór, Ach! gdyby mi kto był wtedy powiedział, czego będzie początkiem...

Sir Adrian, wyzajmniając się, zaprosił nas do siebie na dzień następny.

O! Senora, nie miałam sposobności bywać w prywatnych, arystokratycznych pałacach, ale nie wyobrażałam sobie, ażeby coś równie czarodziejskiego istnieć mogło.

Sir Adrian oprowadzał nas po tych komnatach, w których europejski przepych szedł o lepsze z bogactwem Wschodu, po galerach, grotach, tarasach, wyglądających jak wiszące ogrody, po parku, który był raczej lasem posągów, a czynił to w sposób prawdziwie wielkopański, bez chęci popisu i olśnienia drugich, tylko tak, ażeby im zrobić przyjemność.

Ja, mimo to, byłam olśniona i nie mogłam się powstrzymać, ażeby mu nie powiedzieć:

— Pan chyba zgromadził tu wszystkie cuda świata, milordzie.

A on spojrział na mnie z zachwytem, którego nie starał się ukryć i rzekł:

— Prócz tego największego cudu, jakim pani jesteś.

Słowa te słyszał Mattoggetti i uśmiechnął się w szczególny sposób, a mnie przebiegł dreszcz.

Leslie był dziwnie roztargniony. Prosił Sir Adriana, ażeby mógł raz jeszcze obejrzeć ową wymarzoną fajkę i dłuższą chwilę rozmawiał z nim, podczas gdy Mattoggetti zwracał moją uwagę na jakieś osobliwe tkaniny, rozwieszane po ścianach.

Nazajutrz, po odwiedzinach u Sir Adriana, dostałam silnego bólu głowy i gorączki i leżałam w moim pokoju na górze.

Pod wieczór zrobiło mi się o tyle lepiej, że mogłam zejść na dół.

Salonik, w którym siadywaliśmy zwykle, był pusty, ale z werandy, przez otwarte, francuskie okna, doleciały mnie głosy. Bezwiednie przystanąłam na środku pokoju.

— Jaby się nie wahał — mówił Mattoggetti.

— A jeżeli ona nie zechce? — rzekł Leslie.

— Jaby się nie pytał — dorzucił tamten niedbale.

— Zapewne... Wolałbym jednak, ażeby się bez tego obyło.

— Nic łatwiejszego... Zrezygnuj Leslie... Jedna fajka mniej...

— Nigdy! — wykrzyknął Leslie z uniesieniem. — Ty tego nie rozumiesz, Mattoggetti... Nie wiesz, czym jest dla zbieracza taki egzemplarz, którego naprózno lata całe szukał... Jaby za niego oddał połowę majątku.

— Ach! — rzekł Mattoggetti śmiejąc się. — Pocóż aż tyle. Wystarczy jedna... Rosa!

Wpadłam na werandę.

— Co to znaczy? — zawołałam. — Skąd się tu moje imię wzięło?

Lekki cień pomieszenia mignął w oczach Leslie'go. Mattoggetti z niezwruszonym spokojem patrzył na mnie.

— Skąd tu o mnie była mowa? — ponowiłam. Leslie odzyskał zwykłą mu zimną krew i wstał.

— Może to i lepiej, że słyszałaś... I tak, byłbym ci musiał powiedzieć. Rzecz się tak ma, że dałem słowo Sir Adrianowi, że przyjmiesz u niego gościnę... na jak długo zechcesz.

— Ja?

— Tak. Ty.

— I dałeś słowo za mnie! Jakiem prawem?

— Moja droga Rosy — odparł Leslie. — Wszystko co się ciebie w stosunku do mnie tyczy jest poza prawem. Więc lepiej nie zaczynaj z tego tonu.

— Ale ja się nie zgadzam! — wykrzyknęłam. — Noga moja nie przestąpi progu pałacu Sir Adriana! Przysięgam na...

— Nie przysięgaj — przerwał Leslie twardo. — Wiesz dobrze, co znaczy słowo w moich ustach. Tak być musi.

Inaczej...

Inaczej, co? — zapytałam wyzywająco, choć czułam, że mi krew ścina lodem.

— Zabiję cię! Usiłowałam się roześmiać.

— Już mi to parę razy obiecywałeś, a jakoś dotąd żyję.

— Nie miałem powodu dotrzymywać obietnicy, bo zawsze zrobiłaś com chciał.

Padłam przed nim na kolana.

— Leslie! — zawołałam z rozpaczą. — Leslie! Ulituj się nademną... Nie zmuszaj mnie... Ja się mam stać przedmiotem handlu? To ohydne... I ten człowiek przystałby na to ?

— Sam mi to zaproponował.

— Mie wierzę!

— To go się spytaj!

— Leslie!...

— Dostyc!... I po co te tragedje?

— To prawda! — wtrącił milczący dotąd Mottoggetti, wstając. — Przebędziesz czas jakiś śliczna Perło w warunkach, jakichby ci udziela księżna pozazdrościć mogła, a potem...

Spojrzałam na niego z bezgraniczną pogardą i nienawiścią.

— Ty, wężu syknęłam. — To twoja sprawka. Gdyby nie ty, ani Leslie, ani tamten nie wpadliby na taki nikczemny pomysł. Ty im go podsunąłeś, padalcze!

Skłonił mi się z przesadną uniżonością.

— Pochlebiasz mi, przepiękna istoto — rzekł drwiąco. — Ale muszę wyznać, że się poniekąd nie mylisz. Choć w imię prawdy i to dodać trzeba, że skromny mój posiew padł na wyjątkowo podatną glebę.

Zwróciłam się do Lesli'ego który stał posepny

z namarszczoną brwią. Wyglądał jakby coś rozważał. To mi dodało otuchy.

— Leslie... — zaczęłam błagalnie.

— Mottoggetti ma słuszość — przerwał niecierpliwie. — Sir Adrian otoczy cię zbytkiem, na jaki nawet ja nie mógłbym się zdobyć, a jeżeli cię to znudzi, no to... po pewnym czasie... nikt ci nie zabroni powrócić do mnie...

— Powrócić do ciebie!

— Tak. Postaram się, żebyś wiedziała zawsze, gdzie mnie szukać.

Doznałam takiego uczucia jakby mnie kto pięścią między oczy uderzył. Przez chwilę głosu z piersi dobyć nie mogłam.

— I ty... ty... mi to mówisz! — wykrztusiłam wreszcie. — Ty, który mnie prehandlowałeś za fajkę... Ty przypuszczasz, że mogłabym wrócić do ciebie, byś mnie przy zdarzonej sposobności sprzedał znów za pudełko od zapalek... O! tego za wiele! za wiele....

Trzęsłam się z oburzenia, ze wstydu, jak liść sensitivity.

— Wołałabym pójść w służbę do Hindusa! — krzyknęłam.

Mottoggetti parsknął śmiechem. Leslie wzruszył ramionami.

— Zrobisz jak ci się będzie podobało, Ale jutro masz być gotową. Wszystkie klejnoty i stroje możesz zabrać ze sobą. Sir Adrian przyśle po ciebie zrana.

Odwróciłam się w milczeniu i wyszłam. Cóż mogłam powiedzieć wobec takiego cynizmu? Ale w zmęczonym mózgu zakiełkowała zbawcza myśl: fl gdyby uciec?... Ale jak?... I dokąd?

Pierwsze pytanie nie przedstawiało wielkich trudności. Francuskie okna mego pokoju wycho

dziły na kamienny, tylny taras, który — ponieważ bungła zbudowana była frontem do rzeki Hugly () na lekkiej pochyłości — zaledwie o kilka jardów wznosił się nad otaczającym ją ogrodem.

Byłam silną i zręczną; mogłam znaleźć sposób zsunięcia się na dół... Ważniejszym było, gdzie się zwrócić. Nie miałam pojęcia o geografii Indji; wiedziałam tylko, że Kalkuta leży w zatoce Bengalskiej i że niedaleko znajduje się miasto Chandernagore, należące do Francji i że stamtąd mogłabym się także dostać na okręt, któryby mnie zawiózł do Europy. Do dworca kolejowego było od naszej bungli dość blisko; postanowiłam więc, aby nie wzbudzić podejrzeń zatrzeć za sobą ślady, wsiąść do pierwszego lepszego pociągu i dopiero na jakiejś dalszej stacji rozpytać o drogę. Teraz chodziło mi tylko o to, ażeby się stąd wydostać.

O stronę materialną mego zamiaru nie potrzebowałam się troszczyć. Same moje kosztowności przedstawiały dość znaczny majątek; prócz tego miałam sporo pieniędzy, których Leslie, hojny z natury, nie szczędził mi na drobne wydatki, jak mówił. A że ostatnimi czasy zobojeźniałam na wiele rzeczy, które mnie dawniej nęciły, więc zebrała się z tego pokaźna sumka.

Rozważywszy wszystko, zadzwoniłam na moją indyjską ayah (służącą) i kazałam przynieść sobie na górę obiad i posłać łóżko; poczem zapowiedziałam jej, aby mi nie przeszkadzano, chcę bowiem wazęśnie udać się na spoczynek. Dławiąc się jęzieniem, wmuszałam je w siebie dla nabrania sił; następnie zamknęłam drzwi na

klucz, spakowałam w ręczną walizką klejnoty, trochę bielizny i najpotrzebniejszych drobiazgów, z podartych prześcieradeł skręciłam mocną linę i zgasłam światło.

fl gdy tak siedziałam w ciemności, oczekując aby wybiła godzina druga po północy, przypomniała mi się pierwsza moja ucieczka i wszystko co się przez tych lat cztery wydarzyło, stanęło mi w pamięci. serce wezbrało mi ogromnym bólem, a zarazem jakąś radosną dumą. Bo ta druga ucieczka miała się stać jakby odkupieniem tamtej.

Pierwszym razem rzuciłam uczciwy dom rodzicielski, zdeptałam miłość najszlachetniejszego serca, wzięłam rozbrat z moją czystą przeszłością, niesławie dobre imię moje poświęciłam. Dla tego wszystkiego właśnie czem teraz postanowiłam wzgardzić, byle uratować tę odrobinę mojej kobiecej godności, jaka jeszcze do uratowania była. Więc nie byłam jeszcze na wskroś zepsutą; droga poprawy nie była przedemną zamknięta...

Szalona tęsknota szarpnęła moją duszą. Och! gdyby powrócić tam... na Gran Canarię do swoich! Gdyby mnie oni przyjąć zechcieli... Gdyby zechcieli przebaczyć! Gdyby zwłaszcza przebaczył mi... on... Vico!....

Czułam, że potrafiłabym się odrodzić, że by mnie to zbawiło!

Ale to było niepodobieństwem. To byłoby coś, czego możnaby żądać od aniołów, a nie od ludzi. Nikt jednak nie mógł mi zabronić rozpocząć nowe życie o własnych siłach. Znałam kilka obcych języków, mogłam jać się jakiejś pracy... za sprzedane klejnoty założyć magazyn, pensjonat.... Zresztą to były rzeczy dalsze; teraz trzeba było myśleć tylko o tem, ażeby się stąd wyrwać, uniknąć hańby, choćby w czarodziejskim pałacu Sir Adriana ukrytej...

Padłam na kolana i zaczęłam się modlić gorąco:

— Boże, dopomóż! Boże, ratuj! Boże, pozwól mi stać się znowu uczciwą — szeptały moje drżące usta; a łzy strumieniem płynęły mi po twarzy.

O! Senora! Jeżeli prawdą jest, że tam w Górze wszystko policzonem bywa, ta ta jedna modlitwa wielkim głosem przemówi za mną, gdy nędzna", spodlona grzesznica stanę przed Tronem Najwyższego. Ta jedna modlitwa... To jedno szczere, jak jasny płomień pochłaniające całą moją istotę pragnienie odrodzenia...

Godziny mijały, a ja wciąż trwałam na modlitwie, kając się i żebrząc miłosierdzia...

Wreszcie zegar wydzwonił w pół do drugiej.

Wstałam z klęczek, z takim uczuciem jak gdyby już coś z brudu spłynęło ze mnie wraz z temi błogosławionemi łzami...

Wyszłam na taras. Noc była cicha i bardzo pogodna; wygwieżdżona, ale bez księżycy. W dole podemną słały się głębokie cienie i były mocne wonie róż i jaśminów. Wpatrywałam się z natężeniem w otaczające mroki. Pusto było zupełnie. Gdzieś z dalekiej dżungli dolatywał ponury, żalony głos szakała.

Wzdrygnęłam się.

Wydało mi się, że to głodne łupu wycie nie jest wyciem zwierzęcia, lecz gorszych od zwierząt ludzi, że woła o mnie, o moją duszę i że nie mam ani chwili do stracenia.

Wyniosłam naprzód walizkę i spuściłam ją ostrożnie po sznurze na dół. Była ciężka i wydała głuchy dźwięk, dotknąwszy twardej ziemi. Potem uwiązałam u balustrady tarasu zaimprovizowaną linę i zsunęłam się po niej szczęśliwie.

Rozejrzałam się znowu, nadsłuchując. Nic... cisza. Tylko ten złowrogi głos szakała...

Bungła stała ciemna zupełnie i najwidoczniej wszyscy w niej spali. Bogu dzięki!

Wzięłam walizkę, otuliłam się fałdzistym, podróżnym płaszczem i poszłam w stronę ogrodowej furtki. Wtem jakaś ciemna postać, jakby wyrosła przedemną.

— Dokąd, Perełko? — zabrzmiał głos Motthoghetti'ego.

Walizka wysunęła mi się z ręki. Instyktownie uskokczyłam w bok i przedzierając się przez krzaki i klomby, dotarłam do furtki.

Wbrew zwyczajowi, była zamknięta. Ten wcielony szatan odgadł mój zamiar, czego też jego nagłe pojawienie się w ogrodzie dowiodło. Zresztą zamknięta, czy nie i tak byłby mnie dopędził.

Ale ja byłam tak zrozpaczona, że nie zastanawiając się nad niczem, zaczęłam ze wszystkich sił szarpać wąż zaporę. Byłaby może ustąpiła, lecz w tej samej chwili palce Mottoghetti'ego jak kleszcze wpiły mi się w ciało.

— Puść mnie! — krzyknęłam, wydzierając mu się. — Puść mnie, łotrze!

— Nie wrzeszcz! — zasyczał. — Bo ci to twoje śliczne gardziołko tak ścisnę, że raz na zawsze wrzeszczeć przestaniesz.

Ręce jego sunęły niby dwa oślizgłe gady, do mojej szyi. Rozpacz dodawała mi sił. Odrąciłam go znowu.

— Grozisz mi śmiercią, jak Leslie! — zawołałam — myślicie obaj, że się tak łatwo złękne... Nie zabija się człowieka bezkarnie. Za to samemu idzie się na szubienicę! Słyszysz! Na szubienicę!

Mówiłam tak, ale strach, od którego włosy mi się jeżyły na głowie, przeczył mym słowom.

Wiedziałam że jestem w mocy tego zbrodniarza i że on się nie cofnie przed niczem.

Jakoż parsknął śmiechem.

— Ach, ty głupia! Czy gdybyś uciekła, poszedłbym także na szubienicę? A ty słyszysz, jak ta rzeka szumi? Spróbuj mi się tylko opierać, a wnet cię do morza zaniecie. Morze blisko... I gdzie dowód.

Może inna, bardziej bohatera istota, byłaby postawiła wszystko na kartę, byłaby wybrała śmierć, niż hańbę... ale ja nie miałam w sobie ani krzty bohaterstwa, a natomiast lękałam się panicznie śmierci. Złożyłam błagalnie ręce.

Zrozumiał, że zdaję się na jego łaskę i niełaskę i puścił mnie.

— Wracaj na górę — rzekł rozkazująco.

— Leslie! — Wyjąknęłam. — Chcę go zobaczyć...

— Leslie wyjechał na polowanie. Chciał sobie i tobie oszczędzić bólu rozstania — odparł Mottogetti ironicznie. — Pójdź!

Nie opierając się już, oszołomioną zaprowadził na górę i wszedł za mną do mego pokoju...

Zamknąwszy drzwi na klucz, schował go do kieszeni i skierował się na taras.

— Radzę się położyć i wyspać, piękna Roso — rzekł z drwiącą uprzejmością, stając w oszklonem wejściu — bo, jak się nie wyśpisz będziesz jutro mizerna i Sir Adrian gotów pożałować transakcji.

— Rajfurze — zawołałam, hamując się aby, mu w oczy nie plunąć. — Precz stąd!

— Dobrze! Dobrze! Ja tu będę czuwał nad twoim snem, więc niech ci nie przyjdzie ochota kusić się o nową eskapadę. Bo tym razem nie będę żartować! Rozumiesz!

Milczałam.

— Dobranoc!

Delikatnie zamknął tarasowe okno za sobą i widziałam przez szybę, jak rozsiadł się wygodnie w płóciennym fotelu i zapalił papierosa.

Osunęłam się jak automat na krzesło i pozostałam tak nieruchomo z obwisłymi rękoma. Walizka, którą Mottogetti przyniósł za mną, stała u moich stóp i zdawała się uragać moim obróconym w niwecz porywom ku lepszemu, mojej żarliwej, niewysłuchanej modlitwie.

Nastąpiła znowu wielka cisza, przerywana wyciem głodnego szakala. Ale i ono wkrótce ustało. Oba szakale, człowiek i zwierzę znalazły sobie łup...

A we mnie, gdy tak siedziałam, martwa, sztywna, dokonywał się zwolna dziwny przewrót. Coś się rozpadało w proch; coś się popielilo... Żar bezsilnej nienawiści wyżarł mi z serca wszystkie tkliwsze, szlachetniejsze uczucia, które tak niedawno rzuciły mnie na kolana skruszoną i poprawy łaknącą i zatrul je mściwym jadem niewiary i szyderstwa.

Całą przeszłość moją, wraz z jej świetlanymi wspomnieniami z Gran Canarji kopnęłam nogą i odrzuciłam od siebie wzgardliwie, jak zmurszały czerep.

I gdy nazajutrz z suchymi oczyma i sztucznym uśmiechem na ustach wsiadałam do wspaniałego faetonu, jaki po mnie przysłał Sir Adrian, nie było już we mnie nic z tej dawnej Rosy Nieves, która potrafiła jeszcze chwilami tęsknić, marzyć i płakać... Los w okrutnie drwiący sposób spełnił moje pragnienia... Rozpoczęłam nowe życie...



Pierwszą ofiarą tej przemiany stał się Sir Adrian. Spóźniona namiętność rzuciła mi tego chłodnego, dumnego Anglika literalnie pod nogi. A ja poznawszy moją nad nim władzę, nadużywałam jej bez żadnej litości. Na każdy mój uśmiech nakładałam haracz najwymyślniejszych fantazji i wybryków, którym posłusznie czynił zadość. I często chodziło mi nie tyle o własne zadowolenie, jak o to, by mu dokuczyć i znęcać się nad nim jak kot nad myszą. Raz naprzykład wymogłam na nim, że zniszczył cały swój zbiór fajek. Na kolanach błagał mnie, bym nie żądała od niego tej ofiary, tak okrutnej dla kolekcjonisty. Byłam niewzruszona. Zagroziłam, że go rzucę. I nieszczęsny maniak ze łzami w swych spłowiałych oczach tłukł i łamał, nagromadzone z takim trudem okazy, a ja deptałam po ich szczątkach, śmiejąc się jak szalona. Mściłam się w ten sposób za tę moją przełomową noc, za wszystkie krzywdy, jakie mi wyrządzili Leslie i Mottoggetti. Mściłam się na Sir Adrianie, choć on najmniej był winien owej haniebnej transakcji z fajką, bo jak się tego trafnie dorozumiewałam i jak sam to potwierdził, myśl tę podsunął mu Mottoggetti, twierdząc, że podbiły mnie jego bezcenne bogactwa, że jestem znudzona Lesliem i że rzuciłabym go jednej chwili, gdybym się nie lękała jego zemsty. Nie wyprowadzałam z błędu Sir Adriana. Jakieś echo kobiecej godności nie pozwoliło mi na to. Wolałam, żeby uwierzył, iż się to stało za moją wiedzą i zezwoleniem, że inicjatywa wyszła odemnie... Służba pałacowa patrzyła z przerażeniem na to, co wyprawiałam z ich panem. Przypadkiem

usłyszałam raz, jak oddany mu stary Khitmutgar () mówił z głębokim przekonaniem do swoich towarzyszy, że sahib zwarzjował odkąd go ta biała djablica opętała. Do jednego tylko długo nie mogłam nakłonić Sir Adriana; nie chciał opuścić Indji. Europa musiała mu coś bardzo zawinić, bo wzdrygał się na jej wspomnienie, a przytem trzymały go w tym jego zaczarowanym pałacu ukochane zbiory. Fajki mi poświęcił, ale opuścić te obrazy, tkaniny, porcelany, zbroje, wśród których tyle lat spędził, bez których poprostu żyć nie mógł, to było nad jego siły. Ale ja niecierpiałam Indji, a rwałam się do Paryża. I ostatecznie postawiłam na swoim. Widocznie jednak przeciągnęłam strunę. Od przybycia na stary ład Sir Adrian nikł w oczach jak roślina wyrwana z korzeni ze swego gruntu i po paromiesięcznym pobycie zmarł na aneurizm serca. Była to więc już druga nagła śmierć, która się o mnie zbliża otarła i to w tym samym Paryżu. Ale nie uczyniła na mnie ani setnej części takiego wrażenia jak samobójstwo owego młodego malarza. Mogę nawet powiedzieć, że przyjąłem ją zupełnie obojętnie. A przecież ten człowiek kochał mnie i nigdy świadomie nie wyrządził mi najmniejszej przykrości. Owszem; starał się zawsze odgadywać moje myśli, był dla mnie aż za dobrym; tyranję moją znosił z nieprawdopodobną cierpliwością. Nawet jakby przeczuwając bliski zgon, prześliczny pałacyk, koło parku Moncau w którym zamieszkaliśmy w Paryżu, kupił na moje imię; w testamencie pozostawił mi znaczny zapis.

Lecz, jak powiedziałam, wszystkie tkliwsze uczucia zamarły we mnie w ową przeklętą indyjską noc i byłam prawie rada, że los uwolnił mnie od tego człowieka, który mi ją widokiem swoim przypominał.

Teraz otworzyła się znów przedemną nowa faza.

Matarjalnie byłam więcej, niż niezależną; byłam bogatą; znajdowałam się w najwyższym rozkwicie mojej piękności; otoczyły mnie roje wielbicieli; mogłam sięgać po wszystko tylko nie po miejsce pomiędzy uczciwymi kobietami.

Ale już nie dbałam o to. Ambicją moją stało się zostać kokotą w wielkim stylu; zaćmić wszystkie damy półświatka zarówno przepychem toalet, ekwipaży, klejnotów, jak... wyuzdaniem. Przybrałam sobie pseudonim...

— Neige Rose — przerwałam mimowoli. Spojrzała na mnie z osłupieniem.

I to senora wie. Skąd.

— Pan de Bretinierie będąc w Paryżu, widział cię w lasku Bulońskim jadącą wspaniałą wiktoria i słyszał jak cię tak w tłumie nazywano.

Zakryła twarz rękoma.

— Widział mnie — jęknęła z bólem. — Widział mnie! Więc i tej ostatniej kropli los nie oszczędził ani jemu, ani mnie.

O! Boże!...

Nastąpiło milczenie.

.....

— Mów dalej, Roso — ozwał się pierwsza.

— Nie mam już nic do powiedzenia — odparła apatycznie. I tak zbyt długo kalałam uszy senory wspomnieniami tych brudów... Cóż! Ambicji mojej stało się zadość. Cały Paryż rozbrzmiewał ha

niebną moją sławą. Prześcignęłam w bezwstydnym najbezwstydniejszej hetery, a w zbyt i rozrzutności najrozmaitsze marnotrawnicę. Zmieniałam kochanków i opiekunów, jak rękawiczki — według utartego wyrażenia; rujnowałam magnatów; doprowadzałam do obłędu artystów i poetów.

I to trwało lat kilka... Potem gwiazda moja zaczęła blednąć... Wtedy dla oszołomienia się zaczęłam grać... Ta niebezpieczna namiętność oświała mnie całkowicie. Stopniała w niej olbrzymia fortuna ostatniego mego protektora, starego rosyjskiego księcia; stopniał mój osobisty majątek, zresztą niewielki, bo trwoniłam swoje i cudze; stopniało i to co było najwięcej warte: moje klejnoty i futra. Wszystko poszło. Książę otrul się w Monte Carlo, a ja z rozpacz przyjął propozycję tego smarkacza Don Chrisostoma, włączyłam się z nim po oceanie przez trzy miesiące, aż mnie tu przywiózł i zostawił...

Senora wspomniała mi, że moje fernandoposkie dzieje opowiedział jej ten poczciwy Munro, któremu tak podle za jego dobroć odpłaciłam... A po jego wyjeździe — ach! po jego wyjeździe, co się tu ze mną działo... do czego doszłam — lepiej nie mówić. Odpokutowałam chyba za wszystkie moje grzechy! Aż wreszcie zapadłam na jakąś dziwną chorobę, której ślady już do śmierci nosić będę. Że wtedy nie umarłam, sam doktor, który mnie leczył, wyjść nie mógł z podziwienia... A to był mądry doktor; niema go już teraz.

Powiedział, że to było, ogólne zatrucie krwi, wywołane zbyt długim pobyt w tutejszym tak zgubnym dla Białych klimacie w połączeniu z takim życiem, jakie tu wiodłam, i że muszę być Kreolką, bo rdzenny Europejczyk nigdyby tego nie przetrzymał.

I wyleczył mnie... na moje nieszczęście... Od czasu do czasu tylko przypomina mi się to bardzo słabym atakiem. Senora widziała mnie, jak ja wtedy wyglądałam, ale nie może wiedzieć, co ja wtedy cierpię — bardziej jeszcze moralnie niż fizycznie — i pewno też skończę tak któregoś dnia, jak bezdomny, parszywy pies... co, aby Bóg miłosierny dał jak najprędzej.

IX.

Kiedy Rosa Nieves kończyła swą smutną opowieść, rozpadał się tak ulewny deszcz, że o powrocie jej do miasta nie mogło być mowy. Zatrzymałam ją więc na noc na Santa Marji.

Ponieważ pod żadnym pozorem nie chciała spać w dyscy wykwintnie jak na Afrykę urządzonym gościnnym pokoju, wstawiono jej połowe, składane łóżko do obszernego pantry (garderoby), gdzie stały różne skrzynie i szafy z bielizną i ubraniami i tam jej też wieczorny chop posłałam.

Przed samem udaniem się na spoczynek weszłam dowiedzieć się, czy czego nie potrzebuje. Leżała na łóżku w ubraniu, ale nie spała.

— O! Senora — wymówiła zdławionym głosem — czy ja mogłam się spodziewać, że jeszcze kiedyś złożę głowę, choćby na jedną noc pod uczciwym dachem! O! gdyby Senora wiedziała, co ja w tej chwili czuję!...

Chwyła moją rękę i przycisnęła ją do ust.

— Śpij spokojnie, Roso — rzekłam — możesz i ty znaleźć dla siebie uczciwy dach, nie na jedną noc ale na zawsze, jeżeli zechcesz. Porozmawiamy o tem jutro.

Spojrzała na mnie prawie z wyrzutem.

— Senora żartuje sobie ze mnie — szepnęła smutnie.

— Bynajmniej. Zobaczysz.

Nazajutrz deszcz przestał padać i po śniadaniu Rosa wybierała się z powrotem do swego domku.

Błoto było prawdziwie afrykańskie; rozumiałam jednak, że nie mogę odesłać jej hamakiem.

Niechby tak gubernator lub kto z Europejczyków spotkał w mieście Amandę del Cruzero niesioną w moim hamaku przez moich ludzi!... Tę dopiero był skandal! Zresztą ona sama nigdy by się na to nie zgodziła. A jednak!...

Patrzyłam, jak stała przedemną w posepnym świetle zachmurzonego dnia, mizerna i chuda w swej spłowiałej, jedwabnej sukni i nigdy jeszcze nie wydała mi się tak nędzną, takim żalosnym odpadkiem ludzkim ciśniętym bezlitośnie na brudne fale mętów życia...

Jakże bardzo była poza prawem, skoro nawet takiej drobnej grzeczności, jak użyczenia hamaku, nie mogłam jej wyświadczyć bez wywołania skandalu.

— Zabłocisz się bardzo — zauważyłam mimowoli, i wnet pożałowałam tych słów.

Rozśmiała się przykro.

— O! Senora! Błoto i ja to jak raz godne siebie towarzystwo. Nie zrobimy sobie wzajemnie krzywdy... Ale już czas na mnie... Jeszcze raz dziękuję pokornie za wszystko... za wszystko!...

Nieśmiało schyliła mi się do ręki. Wstrzymałam ją.

— Zostań jeszcze trochę. Nadmieniałam wczoraj, że mam ci coś do powiedzenia.

— Słucham, Senora — szepnęła zaniepokojonym głosem.

— Roso! Wierzysz już chyba teraz, że ci jestem życzliwą?

Odpowiedziała mi spojrzeniem wymowniejszym od słów.

— Posłuchaj zatem mojej życzliwej rady: Opuść tę wyspą!

Splasnęła rękoma.

— Och! Więc i Senora chce mnie stąd wypędzić! Już gubernator przysyłał po mnie dwa razy. Ale nie poszłam...

Domyśliłam się dlaczego mnie wzywa. Odpowiedziałam przez krumana, że jestem chora.

— I źle zrobiłaś. A ja cię nie chcę stąd wypędzać. Chcę ci wskazać drogę, abyś sobie zapewniła ten uczciwy, spokojny dach, o którym tak nie śmiesz nawet marzyć.

Zaśmiała się z goryczą.

— Ja?... W jaki sposób? Czy Europa mi go da?

— Nie, Roso. Odkąd wiem, kto jesteś, przyszłość twoja przedstawia mi się nie tylko jaśniej, ale wprost opatrnościowo. Powinnaś wrócić na Gran Canarię...

Skoczyła, jak gdyby ją wąż ukąsił.

— Na Gran Canarię! — wykrzyknęła z dawną gwałtownością. — Nigdy! Wolałabym umrzeć! I to Senora, taka dobra, żąda odemnie tego, czego by mi i najgorszy wróg nie życzył. Ja!... Miałabym tam wrócić taką, jaką dziś jestem i świecić oczami wobec mojej rodziny i... jego... Vica!. Nigdy! Nigdy!

Plamy na jej twarzy zaogniły się; oczy zaczęły ciskać błyskawice i mignęło w nich coś z tej dawnej nienawiści, jaką ku mnie czuła. Ale ja się nie dałam stropić.

— Wysłuchaj mnie spokojnie, Roso — rzekłam z surową nieco powagą, która uczyniła na niej wrażenie. — Nie mam prawa zmuszać cię do niczego. Powtórzę ci tylko co mi rzekł pan de Bretiniere w zakończeniu swego opowiadania. Powiedział tak: "Może kiedyś spotkam ją jeszcze już

nie najpiękniejszą wśród pięknych i najstrojniejszą wśród strojnych, lecz nędzarkę w łachmanach, głodną i sponiewieraną. A wtedy stanąłbym przy niej jak najtkliwszy brat i opiekun i zabrał ją gdzieś zdala od ludzi, aby nikt nie mógł bryznąć jej w oczy wzgardą i dałbym jej to jedno, co jeszcze dać bym jej mógł: spokojną, bezpieczną, starość. Gwałtowne łkanie przerwało mi mowę.

Rosa, zakrywszy twarz rękoma padła na ziemię i bijąc czołem o gabońskie maty powtarzała:

— Anioł! Anioł! Anioł!

Dałam się jej wyplakać. A gdy się trochę uspokoiła, ciągnęłam dalej:

— Nie na tem koniec. Dodał jeszcze: "Proszę codziennie Wszechmocnego, jeżeli ona żyje i pomocy mojej potrzebuje, bym się mógł o tem dowiedzieć i by mnie ta smutna nagroda za wszystko com przecierpiał nie minęła". Teraz już wiesz wszystko, Roso. Więc zastanów się dobrze czy ty, która mu tak straszną krzywdę wyrządziłaś, masz prawo pozbawiać go tej ostatniej pociechy, skoro on jej tak pragnie.

Podniosła głowę i wciąż klęcząc, zaczęła nią trząść rozpaczliwie.

— Co on wie? — wyszeptwała. — Co on wie?

Ale i we mnie zbudziła się wątpliwość. Istotnie. Co on wie? Przypomniałam sobie, że już starożytni mieli złośliwych bogów, zajmujących się gorliwie spełnianiem ludzkich życzeń i że ludzie niekoniecznie im za to bywali wdzięczni...

A jeżeli pan de Bretiniere przecenił swoje siły? Jeżeli lepiej dla niego będzie nie ujrzeć tej tak straszliwej ruiny tego, co było niegdyś jego najwyższym ukochaniem; nigdy nie dowiedzieć się całej prawdy?

Wahanie się moje trwało jednak tylko chwilę. Uczułam wnet, że skoro tak prawie cudownie los pokierował wypadkami nie do mnie należy sprzeciwiać mu się. Rzekłam więc:

— Nie odpowiadaj mi teraz, Roso. Namyśl się; rozważ wszystko w sumieniu swoim i... postanów. Jedno ci tylko muszę powiedzieć: Gubernator bezwzględnie wywali cię z wyspy i pośle do Europy. Tak mi rzekł; a to jest człowiek stanowczy. Masz więc do wyboru: Gran Canarię i opiekę pana de Bretiniere i Europę, oczywiście Hiszpanję, a w niej jakiś przytułek dobroczynny. Tak czy inaczej czasu do stracenia niema. Wiesz, że hiszpański parowiec Larache spodziewany jest z południa najpóźniej za dwa tygodnie. Larache'm będziesz musiała odjechać. Daję ci dwa dni do namysłu. Po ich upływie przyjdź powiedzieć mi, co postanowiłaś, A przedtem jeszcze staw się u Gubernatora. To przedstawiciel królowej Regentki i lekceważyć się nie pozwoli. Zapamiętaj to sobie, Roso.

— Dobrze, senora — odpowiedziała posłusznie.

.....  
Naznaczając Rosie Nieves termin, do którego miała się zastosować, zapomniałam, że przypadł on na go czerwca, dzień imienin Gubernatora i że mogła mnie w domu nie zastać, byliśmy bowiem na ten uroczysty obchód, mający się rozpocząć nabożeństwem, również uroczyście zaproszeni.

Istotnie, hamaki nasze, zdążające do miasta, skrzyżowały się z Rosą, która szła na Santa Marię. Traf zrządził, że było to w tem samem miejscu na aloesowej drodze, gdzie ją poraz pierwszy wygrażającą mi pięścią zobaczyłam. Trzy miesiące zaledwie, a ile dziwnych rzeczy stało się przez ten czas.

Nie chcąc wdawać się z nią w rozmowę na gościńcu, wychyliłam się tylko z hamaku, pytając na nią patrząc. Odpowiedziała mi w ten sam nieznaczny sposób, skłaniając nisko głowę i kładąc prawą rękę na sercu.

— Więc zgadza się — pomyślałam z ulgą. Podczas śniadania solenizant, obok którego siedziałam, nachylił się ku mnie i rzekł:

— Była tu Amanda del Cruzero, aby mi powiedzieć, że jest gotowa jechać!

— Na Gran Canierę? — podchwyciłam nieopatrnie.

Gubernator spojrział na mnie wielce zdumiony.

— Co słyszę? Moja znakomita kuma jest już powiadomiona. Wolno wiedzieć jakim sposobem?

— Bardzo prostym, panie Gubernatorze — odrzekłam, stawiając mężnie czoło sytuacji. — Ja sama ją do tego namówiłam.

Spojrział na mnie z nietajonem zgorzaniem w swych dobroduszych, bladoniebieskich oczach.

— Jakże to? Nie śmiem doprawdy rozumieć...

— O! to długa historia — przerwałam. — Jeżeli pan Gubernator będzie sobie życzył, opowiem mu ją innym razem. Teraz tylko nadmienię, że ta nieszczęśliwa opowiedziała mi swoje, istotnie tragiczne dzieje i...

— Ośmieliła się bezwstydna! — wykrzyknął Antonio Morena de Guerra y Croquer. — Dobre miałem przecucie, gdy ją chciałem wyprawić stąd jak najprędzej. Co za czelność!

— Ja ją sama do tego upoważniłam.

— Pani! Uszom własnym nie wierzę. Jakże się to stać mogło?

— Drogi kumie! — przerwałam znowu, dając mu z umysłu tę nazwę, by go udobruchać. — Upewniam, że stało się to w zupełnie prosty spo

sób, a co ważniejsze stało się jaknajlepiej, Amanda odkryła mi swoje prawdziwe nazwisko i proszą sobie wyobrazić, co za dziwny traf! Ja znam na Grań Canarii kogoś... kogoś z jej bliskich, który dotąd troszczy się o jej los i jak najchętniej przyjmie ją pod swój dach. Nie jest że to Opatrznościowe? Niech pan sam przyzna.

— Nie naszą rzeczą jest wyrokować o drogach Opatrzności — rzekł gubernator nieco sztywno — widzę tylko, iż pewne pojęcia etyczne ulegają większym przeobrażeniom w różnych krajach niż przypuścić mogłem. Każda z moich rodaczek naprzykład uważałaby sobie za ublżenie jakiegokolwiek zetknięcie z taką istotą jak Amanda del Cruzero. Gdy tymczasem...

— O! panie Gubernatorze, niech pan nie krzywdzi swoich rodaczek, które niewątpliwie są równie dobre jak piękne i potępiając zło, umieją ulitować się w danym razie nad tym, które to zło czyni. Co więcej, jestem przekonana, że pan sam rad jest w głębi swego zacnego serca, iż ta tak okrutnie sponiewierana przez życie istota znajdzie bezpieczną przystań dla swej skolatanej łodzi.

W tej chwili ktoś stuknął nożem w szklanekę, ktoś drugi powstał z pełnym kielichem i rozmowa się przerwała, Ale gdyśmy wstali od stołu, gubernator, na którego atmosfera toastów podziałała widocznie kojąco, zbliżył się do mnie i rzekł:

— Jakże więc będzie ze składkami? Cała nasza kolonja Białych jest tu w komplecie i jeżeli moja znakomita kuma życzy sobie doprowadzić dzieło swej wzniosłej filantropji do końca, to może raczy przyjąć moje ramię i obejdziemy nie zwlekając tych panów...

— Boże uchowaj! Nie psuwałbym nigdy tak miłego nastroju posmakiem karoty — zawołałam

wesoło. — Zresztą, będzie to na szczęście wogóle Zbyteczne, Amanda ma z łaski pana pasaż zapewniony, a raz znalazłszy się na Gran Canarii, o nic już nie będzie się potrzebowała troszczyć. Co zaś się tyczy drobnych wydatków z podróżą związanych, to biorę je na siebie.

Gubernator pomyślał chwilę.

— W takim razie — rzekł — mi ilustre comadre pozwoli, że sumkę zbywającą z kosztu krótszego niż do Europy pasażu złożę do jej rozporządzenia na owe drobne wydatki. Wszak mi pani nie odmówi, tem bardziej, że te pieniądze są tak dobrze wyasygnowane, nie wiedziałbym, doprawdy, co z niemi począć!

— Ależ, najzacniejszy kumie, przyjmuję z wdzięcznością — zawołałam, śmiejąc się. — Już ja nie będę w kłopotcie na co je dla niej zużytkować.

I uściśnęłam serdecznie obie ręce tego kryształowej prawości i złotego serca człowieka, którego pamięć zaliczam do najmiłszych wspomnień mego afrykańskiego życia.

Składki istotnie okazały się zupełnie zbyteczne.

Pomimo, że na wpół zjedzony przez termity domek Rosy, ze względu na otaczające go półko bananów i ogródek, a bardziej jeszcze na bliskość rządowych budynków znalazł chętnego nabywcę w osobie dawniejszego jego właściciela, który zapłacił zań sumkę śmiesznie małą, ale aż nadto wystarczającą w obecnych warunkach.

Liche swe sprzęty i całą garderobę Rosa darowała Sarze Kennedy, na mnie zaś wymogła, abym przyjęła jej maszynę do szycia.

— Senorze ta pamiątka nie ubliży — rzekła. — Jedyne uczciwe chwile jakie tu spędziłam, jej mam do zawdzięczenia.

— Dobrze, Roso — odpowiedziałam, — ale ty nawzajem musisz przyjąć odemnie jakiś upominek. Powiedz, czego byś sobie życzyła ?

Zawahała się trochę.

— Chciałabym bardzo — rzekła nieśmiało — mieć jakiś tani, biały materiał. Uszyję sobie z niego suknię... na drogę!

— dodała szczególnym głosem.

Życzenie to zdziwiło mnie trochę.

— Dobrze dostaniesz go; a oprócz tego moją fotografię — rzekłam, sądząc, że sama nie śmie mnie o to prosić, lecz, że jej to będzie miłym. I zdziwiłam się jeszcze bardziej, gdy odmówiła.

— Ja obraz senory do ostatniej chwili życia zachowam w sercu, jak żywy — szepnęła, — ale fotografii nie wezmę, bo... bo...

Zmieszała się i kończyła jeszcze ciszej, spuszczać oczy:

— Miejsce jej nie u mnie.

— Ale ja mam jeszcze jedną prośbę do senory — odezwała się po chwili.

— Cóż takiego ?

— Chciałam przed tą... drogą wyświadczyć się i przystąpić do Stołu Pańskiego. Tak dawno już nie byłam u spowiedzi, że będzie to dla mnie jakby Pierwsza Komunja i właśnie dlatego chcę się ubrać w białą suknię i pragnę gorąco, ażeby senora wyświadczyła mi tę ostatnią łaskę i była obecną pojednaniu się grzesznicy z Najmiłosierniejszym Stwórcą. Naturalnie przyrzekłam. Wyjaśniające słowa Rosy pogodziły mnie z jej życzeniem otrzymania odemnie białego materiału, co na razie wydało mi się zbyt fataląskowatym.

Aby je spełnić musiałam znowu odwiedzić faktorję Holta.

Pan Fynn powitał mnie ze zwykłym entuzjazmem; Johnson i Tomson naznosili znowu stosy "nowości i atrakcji", które zawsze przybywały jakoby ostatnim parowcem i były "ostatnim wyrazem mody", chociaż co do wielu z nich miałam silne podejrzenie, że od niepamiętnych czasów murszyły w faktoryjnych składach.

Tego jednak co mi było potrzebne nie znalazłam.

Pan Fynn wprawdzie zachwalał mi namiętnie bladuróżowy perkalik w żółtą kratkę, twierdząc, że zdaleka "pod światło" wygląda zupełnie jak biały i będzie "o całe niebo" praktyczniejszym; tym razem wszelako nie dałam się steroryzować. Natomiast kupiłam parę białych pończoch i białych, płóciennych trzewików.

— Niechże ma wszystko białe i nowe, jak do ślubu — myślałam, kierując swe kroki do faktorji Amba Bay.

Pan Carter odrazu wznosił oczy i ręce do sufitu.

Białą, lekką wełnę? Skądżeby mógł mieć coś podobnego? Czy dla Potonegerek i Bubisek? One właśnie znają się na białej, lekkiej wełnie! I pięknieby w niej wyglądały! A może na marynarki dla hiszpańskich urzędników?... Nie! Nie! Takich rzeczy on, Carter, nie sprowadza. Bogu dzięki nie brak mu jeszcze piątej klepki, tak jak temu idjocie Frynnowi, który podobno zamówił u swojej firmy gross pilników do paznokci i dzieła Szekspira. Taki człowiek może mieć i białą wełnę. Niech Mrs. Rogant uda się do niego...

Byłam szczerze zmartwioną. Nie mogłam mu przecie powiedzieć, że już się "udawałam" do pana Fynna, czego zresztą chytry agent wybornie się domyślił.

— Chociaż; przypominam sobie — ponowił pan Carter, uznawszy wreszcie, że już zostałam dostatecznie ukarana za oddanie pierwszeństwa "temu idjocie" — przypominam sobie, że gdzieś w storze ( składzie ) musi być sztuka czegoś w tym rodzaju, którą mi kiedyś firma w przystępie operacji umysłowej przysłała. Leży to oczywiście bez użytku i zapewne wilgoć to już zżarła, albo myszy; ale jeżeli Mrs. Rogant życzy sobie obejrzeć...

Mrs. Rogant życzyła sobie obejrzeć. Materiał znalazł się dziwnie prędko jak na towar gdzieś w zapomnieniu leżący i okazał się bardzo ładnym, śnieżno białym woalem.

Byłam tak uradowana, że nawet na myśl mi nie przyszło potargować się trochę i zapłaciłam z pewnością dwa razy więcej, niż gdybym załatwiła ten sprawunek bez zainscenizowanych sprytnie przedwstępnych niemożliwości. Taktyka pana Cartera okazała się w danym przypadku lepszą od taktyki pana Fynna.

X.

Parowce hiszpańskiej Transatlantyckiej Kompanji, kursujące pomiędzy Kadyksem a Zachodnim Brzegiem Afryki zawijały na Fernando Poó tylko osiem razy w ciągu roku. Cztery razy w tamtą stronę i cztery w powrotną. W przeciwstawieniu do parowców angielskiej Kompanji Elder Dampster i niemieckiej Woermanna odznaczały się one zegarkową niemal punktualnością, co się tłumaczyło tem, że obsługując wyłącznie hiszpańskie posiadłości, zatrzymywały się rzadko i nie były narażone na niedające się przewidzieć zwłoki.

Spodziewany z Południa "Larache" nie chybił i tym razem.

W wigilję jego przybycia Rosa zjawiała się na naszej Santa Maria, aby mi przypomnieć daną obietnicę. Wypowiadała się tego dnia rano i nazajutrz miała przystąpić do Stołu Pańskiego. Była widocznie pod silnem wrażeniem Sakramentu



Pokuty i twarz jej, dziwnie w ostatnich kilku tygodniach wyszlachetniała, nosiła wyraz wielkiego skupienia, głębokiej melancholji i jakby obawy.

To mnie zdziwiło.

— Czemu jesteś taka smutna, taka zatrwożona, Roso? — zapytałam.

Spuściła oczy.

— Przeraziły mnie moje własne grzechy — odpowiedziała cicho — gdym je wszystkie u stóp konfesjonału zobaczyła... Sama nie zdawałam sobie sprawy jak bardzo jestem występna... Mój spowiednik dopiero otworzył mi oczy.

— Ale jednocześnie musiał ci otworzyć oczy na miłosierdzie Boże, które nie zna granic.

— Tak, Senora. To prawda.

— Więc skoro się z win twoich obmyłaś, powinnaś być jak ten, który zrzucił z siebie ciężkie brzemię i dla którego zaczyna się czas odpoczynku.

— Dla mnie ma się zacząć tylko czas pokuty — rzekła tym samym, bezdźwięcznym głosem. — Tak ojciec misjonarz, dając mi rozgrzeszenie, powiedział.

— Ale w pokucie tkwi ukojenie, a ja w tobie tego nie widzę — zauważyłam. — Czyżbyś żałowała twego postanowienia?

Westchnęła, wstrząsając głową i milczałyśmy dłuższą chwilę. Zapanowała jakaś ciężka atmosfera. Jakby się coś czaiło w powietrzu.

— Posłuchaj, Roso — rzekłam wreszcie. — Postanowiłam napisać do pana de Bretiniere.

Już nie jakaś obawa, lecz wyraźny przestrach nappełnił jej oczy.

— Do Vica?... Po co, Senora?

— Pomyślałam, że gdyby cię tak niespodzianie zobaczył, byłoby to może dla niego zbyt silnym wrażeniem.

— O! pewno! — wyrwało się z jej bladych ust z niewysłowioną goryczą.

— Trzeba go więc uprzedzić, przygotować. Poproszę kapitana, aby mu mój list oddał, a ty poczekaś na niego, na "Larache'u". Może on pojedzie z tobą zaraz do Europy, albo wyśle cię naprzód... Może wogóle nie zechce, żebyś wysiadała na Gran Canarii...

Szczególny wyraz przemknął po twarzy Rosy.

— O tak, Senora. Tak będzie najlepiej, żebyś już nigdy nie stąpnęła nogą na Gran Canarię...

Spojrzałam na nią podejrzliwie.

Czyżby miała jakie ukryte plany? Czyżby pomimo wszystko wolała pojechać do Europy? Ale wnet odsunęłam tę myśl. Skądżeby wzięła pieniędzy na dalszą drogę?

— Tak będzie najlepiej jak postanowi pan de Bretiniere — odparłam z pewną surowością.

— I Bóg — rzekła uroczyście.

— Naturalnie, że Bóg przede wszystkim, Ale Jego wola objawiła się w tem wszystkim aż nadto wyraźnie.

Nie odpowiedziała nic; zajęła się ustawianiem w garderobie maszyny do szycia, którą za nią przydźwigał syn Sary Kennedy.

— Jaka ja szczęśliwa, że mi Senora nie odmówiła. Że ta maszyna tutaj zostanie.

— Możesz być pewną, że ile razy na niej szyc będę, zawsze o tobie pomyślę.

Radosny uśmiech rozchylił jej zwiędłe, bezbarwne wargi. Był to jej pierwszy i jedyny uśmiech dnia tego.

— Właśnie o tem śmiałam marzyć, ażeby Senora przypomniała sobie czasem biedną Rosę.

— Nie będziesz już wtedy biedną, bo znajdziesz spokój — rzekłam, uśmiechając się także.

— O! tak, Senora. Nie będę już biedną, bo znajdę spokój — odpowiedziała jak echo.

Nazajutrz o wczesnym ranku hamak mój stanął przed drzwiami kościoła.

Upał już był wielki i słońce piekło niemiłosiernie, jak zwykle w porze deszczowej, gdy w jakiś wyjątkowo pogodny dzień udało mi się przedrzeć po przez chmury; ale od cynkowych ścian świątyni, wystudzonych ciągłymi ulewami szedł roszkoshny chłód i wnikał w organizm jak niewysłowienie czysta pieszczota.

Kościół był pusty.

U drewnianej barjery, oddzielającej presbiterjum od nawy, klęczała Rosa w białej, luźnej sukni, której miękkie fałdy drapowały się na jej smukłych kształtach jak grecka chlamyda.

Na głowie miała swoją koronkową mantillę, tylko że nie upiętą wysoko na grzebieniu hiszpańską modą, lecz opuszczającą się płasko po obu stronach twarzy, jak welon ślubny. U stóp jej, niby czarny wąż, leżał zwinięty jedwabny płaszcz, zapewne ten sam, który zerwały z niej swawolne ręce don Chrisostoma, kiedy jako strojna i błyszcząca świecidłami piękna Amanda weszła po raz pierwszy do parterowej sali gubernatorskiego gmachu.

Uklękałam za nią trochę z boku, w ten sposób, że mogłam widzieć jej profil, zwrócony ku ołtarzowi, przy którym właśnie w tej chwili rozpoczęła się cicha msza.

Była tak pogrążona w modlitwie, że nie zauważyła mojej obecności.

To wyszlachetnienie rysów, które mnie w niej już przedtem uderzyło, spotęgowało się jeszcze, a gdy wreszcie zakonnik odprawiający mszę, zbliżył się do niej z Przenajświętszym Chlebem Żywota, jakaś wielka dostojność oblała całą jej postać i widocznem było, że ta tak długo w hańbie i poniewierce nurzająca się istota, odzyskuje w tym uroczystym momencie swą człowieczą godność powróconą jej przez najwyższą sankcję Odkupiciela świata.

I jakby na uwieńczenie tego całego splotu dziwnych zbiegów okoliczności, jakie teraz rozstrzygnęły o jej życiu w kilka minut potem, w głębokiej ciszy kościoła rozległ się armatni strzał.

To "Larache" wchodził do portu.

Rosa, która po przyjęciu Komunii klęczała nieruchomo, z rękoma przy ustach jak w zachwycie, zatrzęsła się na całym ciełe i padła krzyżem na posadzkę; a mnie żywo w pamięci stanęła ta chwila z opowiadania pana de Bretiniere, kiedy strzał z jachtu Van Torpa przywołał ją, garnącą się pod wpływem lepszych uczuć w szlachetne ramiona narzeczonego, do fatalnej rzeczywistości, której miała się stać ofiarą.

I teraz tak samo, ten "Larache", który miał ją zawieść na Gran Canarię zbudził ją z ekstazy, zwiastując odwrócenie się nowej i już ostatniej karty w jej życiu.

Tylko odwrócenie się miało być nie zgubą, lecz wybawieniem...

Czemuż więc przyjmowała jego zapowiedź w tak dziwny, prawie tragiczny sposób?

Trwało to dość długo, aż pochyliłam się nad nią i dotknęłam jej ramienia.

— Pójdźmy, Roso.

Dźwignęła się, ukazując twarz zalaną łzami i napiętnowaną znów tym wyrazem trwogi, który mnie tak dziwił.

Gdyśmy wyszły przed kościół, pierwsze moje spojrzenie pobiegło ku portowi, gdzie lekka morska briza igrała w słońcu z szafirową, o białej tarczy pośrodku flagą Transatlantyki.

— Patrz, Roso — rzekłam — to "Larache" tam stoi.

Nietylko nie spojrziała, ale odwróciła głowę w inną stronę.

Poczem widząc, że czekający na mnie w cieniu kościelnym hamakarze podchodzą, rzekła:

— Ja już tu pożegnam senorę. Gubernator kazał mi powiedzieć, żebym była gotową na czwartą. Rządowy serfboat() zawiezie mnie na pokład. Więc raz jeszcze z głębi pełnego wdzięczności serca dziękuję za wszystko, za wszystko, i...

— Niemasz za co dziękować Roso — przerwałam — zresztą zobaczymy się jeszcze na "Larache'u". Don Esteban ma interes do kapitana a ja chcę mu wręczyć list do pana de Bretiniere. Wtedy się pożegnamy.

Rosa drgnęła.

— Więc senora trwa wciąż w zamiarze napisania do Vica ? — zapytała stłumionym głosem.

— Bezwarunkowo.

Milczała chwilę.

— Niechże zatem dzieje się wola Boska — wymówiła w jakiś szczególnie uroczysty sposób.

## XI.

Wróciwszy na Santa Maria zasiadłam do pisania owego listu. Żaden chyba "proceder" z piórem nie szedł mi tak opornie.

Strawiłam nad tem kilka godzin, drąc arkusik po arkusiku, dumając nad każdym zdaniem, nie wiedząc jak zacząć, jak skończyć; nie wiedząc co napisać, a czego nie napisać.

A główna przyczyna tych trudności i niezdecydowania tkwiła w tem, że znów zaczęła dręczyć mnie wątpliwość czy istotnie czynię dobrze, spełniając zgoła może zgubne jego pragnienie; czy nie wyświadczę mu w ten sposób niedźwiedziej przysługi? Wreszcie napisałam tak:

"Kochany Panie i Przyjacielu! W najbujniejszej fantazji przewidzieć nie mogłam, że ów wieczór na werandzie w hotelu Quinay, kiedy pan, ulegając może jakiemuś nakazowi wewnętrznemu, opowiedział mi bolesne dzieje swego serca, pociągnie za sobą takie następstwa, jakie pociągnął. Oto Rosa Nieves wraca do Pana. Ona sama opowie Panu jakim sposobem się to stało. Jest bardzo, jest nieskończenie nieszczęśliwą, ale nie wątpię, że znajdzie u boku Pana to bezpieczeństwo i ten spokój, jakie szlachetna dusza Pana tak gorąco dać jej pragnie... "

— Niechże się dzieje wola Boska, powtórzyłam głośno słowa Rosy, zaklejając kopertę.

Na pół godziny przed zachodem słońca gig nasz przybił do burtu parowca "Larache". Rosa czekała już przy schodkach, a wnet nadbiegł z po

witaniem kapitan dosyć jeszcze młody i elegancki mężczyzna.

Wręczyłam mu list do pana de Bretiniere, nie wspominając oczywiście, że ma on jakikolwiek związek z tą, która dla wszystkich na wyspie prócz mnie była Amandą del Cruzero. Prosiłam tylko, by zaraz po przybyciu na Gran Canarię, oddał go adresantowi, gdyż chodziło o załatwienie bardzo pilnego interesu jeszcze przed odpłynięciem "Larache'a" do Europy. Kapitan przyrzekł mi to solennie.

Rozmowa ta miała miejsce w obecności Rosy, która słuchała jej z oczyma utkwionymi w pokład, mieniąc się dziwnie na twarzy.

Ponieważ "Larache" nie wiozł wcale pasażerów pierwszej klasy, co zresztą w tych tak mało ucywilizowanych stronach nie było rzadkiem zjawiskiem, poprosiłam kapitana, by pozwolił "Amandzie" siadywać na dunecie, gdzie powietrze było najlepsze, do czego, jako pasażerka drugiej klasy nie miała prawa.

Uprzejmy kapitan chętnie się na to zgodził.

Zabrałam ją więc tam niezwłocznie — choć zdziwiło, a nawet dotknęło mnie trochę, że przyjęła to wielkie uprzyjemnienie podróży zupełnie obojętnie.

Mąż mój został na pokładzie, omawiając swoje interesa kakaowe z kapitanem.

Siadłyśmy na ławce, skąd rozciągał się widok na wyspę i zatokę.

Rosa miała na sobie tę samą białą suknię, w jakiej przystępowała do Komunji św. i koronkową mantillę na głowie.

Strój ten wydał mi się dosyć nieodpowiedni do podróży na parowcu, zwłaszcza w drugiej klasie.

— Zbrudzisz ją zupełnie nim dojedziesz — rzekłam.

— Byłaby wtedy taką, jak moje życie — odpowiedziała z goryczą — ale tak się nie stanie.

Nie zwróciłam uwagi na te słowa, zapatrzona w cudną panoramę zatoki.

— Patrz, Roso, jak tu pięknie! — zawołałam mimowoli.

— Tak, Senora. Pokazuje się, że i piekło może pięknie wyglądać — rzekła z tą samą goryczą.

Spojrzałam na nią baczniej. Nie było już w jej twarzy trwogi i udreki; natomiast przyoblekł ją wyraz rozdzierającej beznadziejności i tępej rezygnacji.

— Na miłość Boską, Roso — zawołałam — nie bądź tak straszliwie zgnębioną, bo zacznę sobie wyrzucać, że przyłożyłam rękę do tej sprawy

Zwróciła się ku mnie żywo.

— Niech Senora niczego sobie nie wyrzuca! — zawołała z uniesieniem — niczego! Ja proszę, błagam, zaklinam. I właśnie dlatego.

Z pomiędzy białych fałd sukni wydobyła zaklejoną kopertę.

— Właśnie dlatego, ja tu napisałam kilka słów... Ale Senora przyrzeknie mi, że otworzy to i przeczyta dopiero u siebie w domu... Przyrzeka mi Senora? — powtórzyła nalegająco.

— Przyrzekam, Roso.

— I jeszcze jedno... Niech Senora przyrzeknie mi także, że poczekacie państwo w łodzi aż... "Larache" odpłynie zupełnie. Chciałabym patrzeć na Senora w chwili... zacięła się... do ostatniej chwili.

— Możesz być pewną.

Gwizd syreny oznajmiał, że "Larache" wnet podniesie kotwicę. Należało się śpieszyć z opuszczeniem parowca.

Rosa zeszła znów ze mną do schodków portowych. Przy ostatnim pożegnaniu pochyliła mi.

się do kolan, obejmując je gorącym uściskiem i przyciskając do nich usta, których żar uczułam przez cienką tkaninę mojej bluzy.

Podniosłam ją i ucałowałam jej śliczne, jedwabiste włosy.

— Niech cię Bóg prowadzi, Roso. Jego opiece cię polecam — rzekłam wzruszona, kreśląc krzyż nad jej głową.

— Niech Bóg zapłaci seniorze za wszystko, Niech napelni pomyślnością jej lata — odpowiedziała, łkając.

I bez prośby Rosy nie byłibyśmy wrócili zaraz na ląd, oboje bowiem lubiliśmy ogromnie patrzeć z morza na odpływający parowiec. Jest w tym widoku coś niewysłowienie majestatycznego i tajemniczego.

Starożytni musieli też odczuwać poezję wody i wiosła, skoro umarłym swoim kazali nie odchodzić z tej ziemi, lecz odpływać na pola Elizejskie.

Oddaliliśmy się więc tylko o tyle, aby Larache manewrując, nie wyrzucił nam gigu, poczem boje przestali wiosłować. Łódź znieruchomiła, kołysząc się leciuchno na gładkiej, mieniającej się jak mora powierzchni zatoki.

"Larache" był to śliczny dwumasztowiec, najmłodsze dziecko hiszpańskiej Transatlantyki. Od roku zaledwie krążył po wodach oceanu i jaśniał jeszcze całą młodzieńczością swej niesteranej w zapasach morskich struktury.

Patrzyliśmy jak drgał niby zbudzony ze snu olbrzym, jak zakwitł wspaniałą kitą dymu u wylotu błyszczącego kolorową barwą komina, jak odetchnął kilkakrotnie swą pulsującą od pary piersią i jak pod tym oddechem wzburzyła się gwałtownie i zabieliła toń morska; poczem zwolna

jął zataczać coraz szersze i dłuższe kręgi to zbliżając się, to oddalając od groźnego przyłotka Puntury Fernandy.

Od tych jego ruchów zbudziły się zdradzieckie wiry, drzemiące wśród bazaltowych łomów i wytrysły z pomiędzy głębin czarnych niby ciśnięte niewidzialną ręką girlandy białych róż.

Na zachodzie rozlała się po morzu wielka, szkarłatna luna, a na jej tle manewrujący parowiec stawał się jakby żywą rzeźbą, a liny jego prężyły się i drgały, niby nabrane krwią arterje.

Na dunecie, oparta o balustradę stała Rosa Nieves, nieruchoma, smukła, doskonale kształtna, posągowa w swych białych draperjach. Powiewałam ku niej chusteczką, a ona patrzyła na mnie z palcami złożonymi przy ustach, jak gdyby się modliła.

Ale tu nastąpiło coś, co skierowało moją uwagę w inną stronę; rzadkie, a ogromnie imponujące zjawisko świecenia się gór.

Widny stąd doskonale wspaniały szczyt Karneruński i przeciwległa mu śliczna kopuła Fernandopska zaczęły nasiąkać różowością coraz żywszą, aż rozgorzały niby dwie żagwie płonące na tle nieskazitelnego błękitu, przepasanego szkarłatną wstęgą zachodniej luno, a manewrujący Larache, krążył po między nimi, jak pomiędzy dwoma zapalonemi na jego cześć pochodniami.

Był to jedyny w swoim rodzaju widok; te dwa szczyty potężne, w królewskie szaty przyodziane, spoglądające na siebie jakby zaiskrzonym pychą, i współzawodnictwem wzrokiem poprzez morskie głębiny, które im stopy obmywały; i ten Larache, nikłe, kruche dzieło ludzkiej ręki, a tak dumny, tak wolny i niestrudzony wobec tych groźnych

bezkresów, w jakie szedł... I nie wiem czemu sprawiło na mnie wrażenie jakiegoś tryumfu, a jednocześnie pogrzebu...

— Massa look! Mami look! — zagulgotali nagle nasi wiosłarze.

— Co to jest? Co ona robi? — wykrzyknął w tej samej chwili Stefan, zrywając się gwałtownie że gig o mało nie stracił równowagi,

Instyktownie spojrzałam na dunetę.

Rosa stała na balustradzie, jedną ręką trzymając się słupa markizy, drugą, przesyłając mi od ust pocałunek. Wiatr rozwiewał długie końce jej mantilli na podobieństwo przezroczystych skrzydeł.

Raptem puściła słup zakołysała się całą postacią na wąskiej barjerze, wyciągnęła przed siebie obie ręce i skoczyła w morze.

Wzburzone dokoła burt fale zamknęły się nad nią natychmiast.

— Jezus ! Marja! — krzyknęłam przeraźliwie, zrywając się z kolei z ławeczki gigu w bezwiednym porywie śpieszenia nieszczęsnej z pomocą. Silne ramie Stefana uchroniło mnie od wpadnięcia do wody.

Ale już na parowcu spostrzeżono wypadek. Zrobił się ruch. Odczepiono błyskawicznie łódź ratunkową. Paru majtków przywdziało pasy bezpieczeństwa. Larache stanął.

— Chłopcy! — zawołał Stefan, zwracając się do wiosłarzy. — Jeden niech zostanie, a trzech w morze! Po dziesięć szylingów na głowę, a temu, który ją wyłowi żywą czy martwą cała gwineja! Prędko !

W mgnieniu oka krumani porzucili singlety i puihy i ci niezruwnani nurkowie znikli wnet pod wodą.

— Wracajmy! Wracajmy! — wołałam rozpaczliwie, trzęsąc się cała jak w febrze.

W moim zmęczonym mózgu uświadomiła się nagła myśl... Zrozumiałam dlaczego tej nieszczęśliwej tak bardzo chodziło o to, bym czekała póki "Larache" nie odpłynie. List! ten list koniecznie trzeba było odebrać.

Stefan ujął za wiosło i wraz z pozostałym krumanem, nie bez trudności doprowadził gig do rozbujanego burtu.

Kapitan wybiegł ku nam z twarzą wburzoną.

— Que calamidad ! (co za wypadek) — zawołał. — Nic podobnego nie przytrafiło się jeszcze Transatlantyce... Stałem na mostku komendanckim i nie spostrzegłem... Co tej warjatce przyszło do głowy, wywracać kozły przez barjerę?...

Musiała chyba stracić równowagę... Ach! Carramba!

— Może ją jeszcze uratują — wykrztusiłam. — Jak pan sądzi?

— Wątpię... Otóż i szalupa z Pontonu płynie z dragą () ale pewno ciała nie znajdują. Byliśmy za blisko Puntury Fernandy.

Prąd musiał ją porwać i rzucić o te djabelskie głazy... A co się tam dostanie to już przepało.

Nastąpiła chwila milczenia.

Staliśmy przy burtach, śledząc beznadziejnym wzrokiem rozwijającą się na morzu akcję ratowniczą.

Tymczasem wieść o wypadku błyskawicznie przedostała się do miasta i wysoki zrab wybrzeża zaroił się biegnącymi z różnych stron postaciami

potonegerskich dżentlemenów i opasłych mami, wśród których nie brakło białych marynarek europejczyków. — Panie kapitanie — rzekłam, jak gdyby coś sobie przypomniawszy — skorośmy wrócili to proszę o mój list. Rozmyślałam się. Nie będę już zaprzętać pana deBretiniere mojami sprawami. Niech mu pan nawet o tem nie wspomina.

— Z całą chęcią — odparł kapitan — a tem łatwiej mi to przyjdzie, że się z nim wcale nie zobaczę. Nie miałem do niego tym razem żadnego interesu, po za wręczeniem tego właśnie listu. Zresztą, przyznam się państwu szczerze, że wobec tego co się stało, wolę jaknajmniej stykać się z ludźmi po drodze... A załodze zapowiem surowo, aby trzymała język za zębami... Transatlantyka niema się czem znów tak bardzo chwalić!...

I zaklął, jak mu się zdawało pocichu, bardzo dosadnie.

Co do mnie odetchnęłam z ulgą.

W mojem szalonym zdenerwowaniu wyobraziłam sobie, że gdyby kapitan wspomniał mimochodem o nieszczęśliwym wypadku, jaki zaszedł przy odpływaniu z Fernando Poó pan de Bretiniere niechybnie domyśliłby się, że tą białą kobietą, która utonęła była Rosa Nieves.

Później dopiero, gdy się nad tem trzeźwiej zastanowiłam, zrozumiałam, że gotowa byłam przypisać panu de Bretiniere już nie przenikliwość, ale dar jasnowidzenia.

Wzięłam list i poszłam z nim na dunetę, pod pozorem, że stamtąd będę lepiej widziała, w rzeczywistości jednak dlatego, że lękałam się wybuchnąć płaczem.

Stałam przy barjerze, w tem samym miejscu, z którego Rosa Nieves skoczyła do morza

i drżącemi rękoma podarłam już niepotrzebne pismo moje. Porwane brizą strzępki, zawirowały w powietrzu jak rój białych motylek i wolno opadły na falę, z których w tej chwili wychyliła się ociekająca wodą głowa jednego z naszych krumanów, aby się w net w innym miejscu pograżyć.

Lódź pontonowa połączyła się z ratunkową szalupą "Larache'u" i obie ciągnąc dragę, prującą dno morskie, krążyły zwolna w pobliżu złowrogich głazów Puntury Fernandy.

Tymczasem szkarłatna luna zbladła na zachodzie, oba szczyty zczerniały raptownie na tle posiniąłych obłoków, woda zatoki przybrała barwę ołowianą i uczyniło się straszno, jak gdyby tchnienie śmierci przeszło tędy, gasząc wszystkie blaski i uśmiechy życia.

I wkrótce potem, po zaprzestaniu bezowocnych poszukiwań "Larache", odpłynął, wsiąkając zwolna w mroczną dal, z rozpostartym nad nim płasko, wieczorną wilgocią przytłoczonym słupem dymu na podobieństwo żałobnej bandery.

.....  
Stosownie do życzenia Rosy Nieves dopiero znalazłszy się na Santa Maria przeczytałam jej list.

Pisany był tego samego dnia, zapewne powrocie z kościoła, więc może w tym samym czasie, kiedy ja biedziłam się nad listem do pana de Bretiniere

Dziwnie, dziwnie splatały się te wszystkie okoliczności.

Oto treść jego:

"Senora mia! Zamierzałam inaczej, niż się stanie, a gdy to Senora czytać będzie, niż się już stało. Chciałam to zrobić potajemnie, na pełnem

morzu, nocą, żeby nikt nie wiedział, nikt się nie zatroszczył, nikt nie próbował ratować... "

"Ale skoro Senora napisała do Vica, nie mogłam inaczej... Nie mogłam dopuścić, żeby on ten list otrzymał i może ucieszył się... biedaki i podążył zabrać mnie z "Larache'a" i tam się dowiedział, że mnie już niema, że popełniłam samobójstwo... Do tego nie mogłam dopuścić w żaden sposób. "

"Tylko niech Senora nie czyni sobie, broń Boże, wyrzutów, że się tym swoim listem do tego przyczyniła. Nie! Nie! Klnę się na Boga, że nie! Ja w każdym razie przysięgam sobie, że on mnie nie zobaczy, bo czułam, że to by się na nic nie zdało, że byłby jeszcze nieszczęśliwszym, niż przedtem".

"On w szlachetności swego anielskiego serca wyobrażał sobie, że to byłoby jedyną nagrodą za wszystko co przecierpiał, jak mi Senora te jego słowa powtarzała, a ja czułam, ja wiedziałam, że to stałoby się dla niego najsroższą karą, za niepopelnione winy. "

"Co by on zrobił ze mną, taką, jaką jestem, z moją przeszłością i moją twarzą?... Gdzieby uciekł, gdzieby mnie skrył, aby mnie oko ludzkie nie widziało?... Ale gdziekolwiekby mnie skrył sam musiałby na mnie patrzeć... ciągle... ciągle... O! Senora! to się nigdy nie powinno było stać... Nigdy!"

"I raz jeszcze powtarzam, niech sobie Senora tego nie wyrzuca... Ja wiedziałam, że gdy to zrobię w oczach Senory, to Senora wróci się na parowiec i list swój do Vica odbierze, a kapitan przecież nie wie, kto ja jestem, więc mu nie powie, bo nie będzie się miał z czym chwalić, a choćby nawet powiedział, czego nie przypuszczam, że na "Lara

che'u" utopiła się jakaś Amanda del Cruzero, to i cóż?".. Tajemnica pójdzie ze mną na dno morza!"

"I jeszcze więcej powiem: Dobrze się stanie. Senora była od początku do końca narzędziem Opatrzności dla mnie. Więc i ten list był potrzebny... Bo widzi Senora, ja tak okropnie bałam się zawsze śmierci. Więc, kto wie; gdyby nie ten list... możeby mi w drodze zabrakło odwagi; może bym była zwłóczyła, zwłóczyła, aż bym dojechała na Gran Canarię... a wtedy byłoby zapóźno, i on by mnie zobaczył, a wtedy... co by to było dla niego!... A tak, to był jakby ostatni nakaz z Góry!"

"Ja nie wiem, Senora, ja nie wiem, czy ja naprawdę popełnię tak wielki grzech, odbierając sobie życie? Bo przecież wypowiadałam się ze wszystkich moich stokroć większych grzechów i rozgrzeszenie otrzymałam, i danem mi było przystąpić do Stołu Pańskiego, więc powinnam się była opamiętać. Łaska Boża powinna była wstrzymać mnie od nowego występku... A jednak!... "

"Ja nie wiem, Senora, nie wiem... może bluźnię w tej chwili. Ale tak wierzę, że mi to Chrystus Pan przebaczy, jak przebaczył Magdalenie, dlatego, że wiele kochała. A ja to uczynię z miłości, Senora. Tak, z najczystszej, najgoretszej miłości uczynię dla człowieka, który mnie tak bardzo kochał, którego nie byłam nigdy warta, a cóż dopiero teraz, i któremu pragnę oszczędzić większego nad wszystkie inne, jakie go spotkały nieszczęścia. "

"Więc tak jak się stanie jest najlepiej. Wielki spokój zstępuje na mnie w tej chwili i czuję, że nie stchórzę. Raz jeszcze błagam Senora, by się nie martwiła z mojego powodu. A jeżeli dostąpię tej Najwyższej Łaski i znajdę, biedna, występną przebaczenie tam, w Górze, modlić się będę u Tronu



Przedwiecznego o spokój dla Vica i szczęście dla Senory".

"A ostatniem tchnieniem pozwę jeszcze przed Najsprawiedliwszy Sąd Boga Leslie'go Van Torpa i moją samobójczą śmiercią obciążyć jego sumienie. Tak mi Panie Boże dopomóż. Amen. "

"Rosa Nieves. "

.....  
Minęło parę lat. Gdy w swoim czasie wracając do Europy, znaleźliśmy się znów na Gran Canarii w tym samym hotelu "Quinay", nie zastaliśmy pana de Bretiniere na wyspie.

Powiedziano nam, że pojechał do Paryża na ślub swego młodszego brata.

Byłam rada temu. Lękałam się bowiem, aby swym smutnym, przenikliwym wzrokiem nie wyczytał w moich oczach tego, co za wszelką cenę byłam chciała przed nim zataić; aby intuicją cierpiących dusz nie odgadł, iż danem mi było szczególnym trafem stać się nietylko powiernicą bolesnych dziejów jego serca, lecz jeszcze świadkiem ich tragicznego epilogu.

I już nigdy więcej nie słyszałam o panu de Bretiniere.

KONIEC.

Warszawa, Październik r. — Maj r.